

A woman in a red dress is shown from the chest up, holding a white lace fan. The background is a deep red color. The text is overlaid on the image.

LISA
KLEYPAS

*Uwiedź
mnie*

Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Uwiedz Mnie

Rodzina Hathaway 02



Rozdział 1

*Londyn,
Zima 1848*

Win od zawsze uważała, że Kev Merripen jest piękny - tak jak piękny może być surowy krajobraz czy zimowy dzień. Kev był potężnie zbudowanym, uderzająco przystojnym, pod każdym względem wspaniałym mężczyzną. Egzotyczne, zuchwałe rysy twarzy stanowiły doskonałą oprawę dla oczu tak ciemnych, że nie można było dostrzec granicy pomiędzy źrenicą a tęczówką. Włosy miał gęste i czarne jak skrzydło kruka, brwi proste i mocne, a jego szerokie wargi wykrzywiały stale ponury grymas, na który Win nie była obojętna.

Merripen, jej ukochany, lecz nie kochanek. Znali się od dzieciństwa, jej rodzina go przysparzała. Choć Hatha-wayowie zawsze traktowali go jak jednego ze swoich, Merripen wolał się uważać za służącego, opiekuna. Był po prostu obcy.

Zajrzał do sypialni Win i stał teraz w progu, obserwując, jak dziewczyna pakowała do kufra osobiste drobiazgi z górnej szuflady komody. Szczotka do włosów, szpilki, stos chusteczek, które wyszyła jej siostra, Poppy. Win wkładała te rzeczy do skórzanej torby, boleśnie świadoma niewzruszonej obecności Merripena. Wiedziała, co kryje się za jego spokojem, bo sama odczuwała tę samą tęsknotę.

Myśl o rozłące z nim łamała jej serce. A jednak nie miała wyboru. Od zachorowania na szkarlatynę dwa lata wcześniej była wątła i krucha, łatwo się męczyła i mdlała. Pacjentka ma słabe płuca, powtarzali lekarze. Nic nie można zrobić, trzeba się z tym pogodzić. Spędzi życie leżąc i odpoczywając, jak inwalidka, i czeka ją przedwczesna śmierć.

Win jednak nie miała zamiaru się z tym pogodzić.

Chciała wyzdrowieć i móc się rozkoszować wszystkim tym, co większość ludzi uznawała za pewnik, normalne i zwyczajne. Marzyła o tańcu, śmiechu, spacerach. Pragnęła kochać... a pewnego dnia wyjść za mąż i założyć rodzinę.

W obecnym stanie nie miała na to najmniejszych szans, ale to się musi zmienić. Tego dnia wyjeżdżała do kliniki we Francji, gdzie energiczny młody lekarz, Julian Harrow, osiągał zadziwiające rezultaty w leczeniu pacjentów takich jak ona. Jego metody były niekonwencjonalne, kontrowersyjne, ale Win tym się nie przejmowała. Odważyłaby się na wszystko, byle tylko wyzdrowieć. W przeciwnym razie nigdy nie zdobędzie Merripena.

- Nie jedź - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Walczyła ze sobą, aby nie okazać zdenerwowania, choć jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Proszę, zamknij drzwi - zdołała szepnąć. Potrzebowali odrobiny spokoju, aby móc porozmawiać.

Merripen się nie poruszył. Na jego smagłą twarz wystąpił rumieniec, czarne oczy rozbłysły gniewem, który rzadko okazywał. W tej chwili był Romem - emocje burzyły się w nim gwałtownie, na co sobie nigdy nie pozwalał.

Win sama zamknęła drzwi. Odsunął się, gdy do niego podeszła, jakby jakikolwiek bliski kontakt z nią mógł spowodować tragiczne skutki.

- Dlaczego nie chcesz, żebym wyjechała, Kev? - zapytała miękko.

- Nie będziesz tam bezpieczna.

- Oczywiście, że będę - odparła. - Ufam doktorowi Harrowowi. Jego metoda wydaje mi się rozsądna, a odniósł tak wiele sukcesów...

- Porządek ma tyle samo. Tu, w Londynie, są lepsi lekarze. Powinnaś najpierw zasięgnąć porady kogoś z nich.

- Myślę, że doktor Harrow jest moją wielką szansą. - Win uśmiechnęła się do jego surowych, czarnych oczu, świadoma tego wszystkiego, czego on sam nigdy nie ośmieliłby się wyznać. - Wrócę do ciebie, obiecuję.

Nie zareagował na jej słowa. Każda próba wyjawienia uczuć napotykała nieugięty opór z jego strony. Pod każdym względem bezkompromisowy Merripen nigdy nie przyznałby, że widzi w niej kogoś więcej niż kruchą, chorą i słabą istotę, która potrzebuje jego opieki. Motyl za szkłem.

A on tymczasem kolekcjonował kolejne podboje.

Merripen zachowywał się bardzo dyskretnie, ale Win była przekonana, że niejedna kobieta chciała, by ją uwiódł i wykorzystał. Poczula ponury gniew na myśl o Merripe-nie dzielącym łożę z kimś innym. Wszyscy, którzy ją znali, byłiby zaszokowani, jak bardzo go pragnęła. A najbardziej zdumiony byłby pewnie sam jej ukochany.

Doskonale, Kev, pomyślała na widok jego pozbawionej wyrazu twarzy. Zachowam obojętność i spokój, jeśli tak sobie zyczysz. Pożegnamy się uprzejmie i chłodno.

Potem to odchodzi w zaciszu swojej sypialni, świadoma, że upłynie cała wieczność, zanim znów go zobaczy. Wiedziała jednak, że tak będzie lepiej - nie mogła znieść myśli, że mogą już do końca jej dni żyć obok siebie, rozdzieleni chorobą.

- Cóż - oznajmiła beztroskim tonem - niedługo wyjeżdżam. Nie ma powodu do żartów, Kev. Leo zaopiekuje się mną w czasie podróży do Francji, a...

- Twój brat nie umie się zatroszczyć nawet o samego siebie - odparł gniewnie Merripen. - Nigdzie nie jedziesz. Zostajesz tutaj, gdzie będę mógł...

Przygryzł wargę.

Win dosłyszała w jego głosie głęboko ukrywaną nutę wściekłości czy bólu.

To stawało się coraz bardziej interesujące. Jej serce zaczęło tłuc się w

piersi.

- Jest... - Musiała przerwać, aby złapać oddech. - Jest tylko jedna rzecz, która mogłaby mnie powstrzymać przed wyjazdem.

Posłał jej czujne spojrzenie. - Jaka?

Przez chwilę Win zbierała się na odwagę.

- Powiedz mi, że mnie kochasz. Wyznaj to, a zostanę.

Jego czarne oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Szum gwałtownego oddechu przeciął powietrze jak cios siekiery. Merripen zastygł w milczeniu.

Win czuła rozbawienie, a zarazem głęboki żal, czekając na jego odpowiedź.

- Ja... Zależy mi na każdym członku twojej rodziny...

- Nie. Wiesz, że nie o to mi chodzi. - Podeszła doń, uniosła swoje blade dłonie do jego piersi i oparła na twardych, mocnych mięśniach. Jego ciało drgnęło gwałtownie.

- Proszę - powtórzyła, nienawidząc się za nutę desperacji w głosie. - Mogłabym umrzeć nawet jutro, gdybym choć raz to usłyszała...

- Nie - mruknął w odpowiedzi, odsuwając się. Odrzucając całą swą rezerwę, Win poszła za nim i chwyciła go za koszulę.

- Powiedz mi. Wyznajmy sobie w końcu prawdę i...

- Cicho. Jeszcze się rozchorujesz.

Win rozwścieczyła świadomość, że on ma rację. Już czuła znajomą słabość, zawroty głowy, którym towarzyszyło gwałtowne przyspieszenie tętna i ciężki oddech. Przekląła swoją słabość.

- Kocham cię - oznajmiła żałośnie. - Gdybym była zdrowa, żadna siła na ziemi by mnie nie powstrzymała. Gdybym była zdrowa, wzięłabym cię do łóżka i pokazała, jak wiele pasji może kryć w sobie kobieta, która...

- Nie. - Uniósł dłoń do ust Win, żeby ją uciszyć, ale cofnął się gwałtownie, gdy wyczuł ciepło jej warg.

- Jeśli nie boję się tego wyznać, dlaczego ty miałbyś się bać? - Przyjemność bycia blisko niego, dotykania go, była jak szaleństwo. Przyłgnęła do niego odważnie. Próbował ją odsunąć tak, aby jej nie skrzywdzić, ale przywarła do niego z całą siłą, jaką zdołała zgromadzić. - A jeśli widzimy się po raz ostatni? Nie będziesz żałował, że nie wyznałeś mi, co czujesz? Nie chciałbyś...

Merripen przykrył jej wargi swoimi, pragnąc desperacko, aby w końcu zamilkła. Oboje westchnęli i zastygli w bezruchu, czując swoją bliskość. Jego oddech uderzał falami ciepła o gładki policzek Win. Merripen otoczył ją ramionami, przytulił mocno i przyciągnął do siebie. A potem wybuchł płomień, w którym oboje się ztratili.

Czuła w oddechu ukochanego słodycz jabłek, gorzyc kawy i cierpki smak jego warg. Pragnąc więcej, wspięła się na palce. Przyjął jej niewinne zaproszenie z niskim, cichym jękiem.

Poczuła muśnięcie jego języka. Otworzyła się na niego i pociągnęła go ku sobie, z wahaniem oddając się jedwabistej pieszczocie. Merripen zadrzał, złapał

powietrze i przytulił ją mocniej. Zalała ją kolejna fala słabości, zmysły umierały z tęsknoty za jego dłońmi, ustami i ciałem... cała jego siła na niej i w niej... Och, jakże bardzo go pragnęła...

Merripen całował ją gwałtownie, jego usta atakowały ją szorstko, namiętne i wygłodniałe. Win płonęła z namiętności; wstrząsana rozkoszą, obejmowała go z całych sił, pragnąc znaleźć się jeszcze bliżej.

Wyczuwała przez warstwy spódnicy nacisk jego bioder, które poruszały się rytmicznie. Instynktownie wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć, pogłodzić; jej palce napotkały twardą wypukłość - dowód jego pożądania.

Usłyszała jego cichy jęk. Merripen chwycił jej dłoń i przycisnął na jeden fascynujący moment. Win otworzyła szeroko oczy, wyczuwając pulsowanie.

Napięcie wokół niemal groziło eksplozją.

- Kev... chodź... - szepnęła, pąsowiejąc od policzków do palców stóp. Pragnęła go tak rozpaczliwie, od tak dawna, i w końcu miało się to wydarzyć. - Weź mnie...

Merripen zaklął i odsunął ją od siebie. Dyszał ciężko.

Win zbliżała się do niego.

-Kev...

- Nie podchodź do mnie - rzucił tak wściekle, że odskoczyła przerażona.

Przez chwilę stali w bezruchu, a w powietrzu słychać było tylko gwałtowne oddechy obojga.

Merripen przemówił pierwszy. W jego głosie dźwięczały gniew i odraza, choć nie dało się rozpoznać, przeciwko komu kierował oba te uczucia.

- To już nigdy więcej się nie wydarzy.

- Boisz się, że mógłbyś mnie skrzywdzić?

- Nie chcę cię w ten sposób.

Win zeszytywniała z oburzenia i roześmiała się z niedowierzaniem.

- Reagowałeś na mnie. Czulałam to.

Jego rumieniec stał się jeszcze wyraźniejszy.

- Z każdą inną kobietą byłoby tak samo.

- Ty... ty chcesz, żebym uwierzyła, że nic do mnie nie czujesz?

- Nic poza chęcią chronienia cię, tak jak każdej innej osoby z twojej rodziny.

Wiedziała, że to kłamstwo; czuła to. Ale jego reakcja ułatwiła jej pożegnanie.

- Ja... - Z trudem wydobywała z siebie głos. - To bardzo szlachetne z twojej strony. - Próbowала ironizować, lecz zadyszka zepsuła efekt. Głupie, słabe płuca.

- Zmęczyłaś się - zauważył Merripen, podchodząc bliżej. - Musisz odpocząć...

- Nic mi nie jest - odparła gwałtownie Win, podchodząc do umywalni i chwytając się jej dla zachowania równowagi. Zmoczyła lekko ręcznik i przyłożyła go do rozpalonych policzków. Spojrzała w lustro i przybrała swój zwykły, łagodny wyraz twarzy. Zdołała jakoś uspokoić głos.

- Będę miała ciebie całego albo w ogóle - powiedziała. - Wiesz, co powiedzieć, abym została. Jeśli tego nie powiesz, wyjadę.

Atmosfera w pokoju była ciężka od emocji. Serce Win krzyczało w proteście, gdy cisza się przedłużała. Wpatrywała się w lustro, w którym odbijał się zarys szerokich ramion ukochanego. A potem Kev się wycofał, drzwi otworzyły się i zamknęły.

Win ochłodziła twarz mokrym ręcznikiem, ocierając strumienie łez z oczu. Odkładając go, poczuła, że na palcach, które go tak intymnie dotykały, zachowała wspomnienie jego ciepła. Wargi wciąż jej drżały od jego słodkich, mocnych pocałunków, a jej serce wypełniał ból rozpaczliwej miłości.

- Cóż - powiedziała do swojego zarumienionego odbicia - teraz przynajmniej masz motywację. - Roześmiała się i zaczęła ocierać kolejne łzy.

Cam Rohan nadzorował załadunek bagażu do powozu, który miał wkrótce je zawieźć do portu. Rohan wciąż się zastanawiał, czy nie popełnia błędu. Obiecał swojej młodej żonie, że zatroszczy się o jej rodzinę. A teraz, dwa miesiące po ich ślubie, wysyłał jedną ze szwagierek do Francji.

- Możemy poczekać - powiedział do Amelii poprzedniej nocy, gdy trzymał ją w ramionach, gładząc jej gęste, brązowe włosy, które spływały falą na pierś. - Jeśli chcesz mieć Win przy sobie trochę dłużej, możemy ją wysłać do kliniki na wiosnę.

- Nie, ona musi wyjechać najszybciej, jak to możliwe. Doktor Harrow jasno dał nam do zrozumienia, że zmarnowano już zbyt wiele czasu. Jediną nadzieją dla Win jest natychmiastowe rozpoczęcie leczenia.

Cam się uśmiechnął, słysząc rozsądne słowa Amelii. Jego żona celowała w ukrywaniu emocji, zachowując na co dzień tak zrównoważoną postawę, że tylko kilka osób wiedziało, jak w głębi duszy jest wrażliwa. Cam był jedynym człowiekiem, przy którym nie musiała udawać.

- Powinniśmy być rozsądni - dodała.

Cam przewrócił ją na plecy i spojrzał na jej drobną, śliczną twarz, na którą padało światło lampy. Wielkie, błękitne oczy były mroczne jak najgłębsza północ.

- Tak - przyznał łagodnie. - Ale to nie zawsze jest łatwe, prawda?

Amelia pokręciła głową. Oczy jej zwilgotniały. Mąż czubkami palców dotknął jej policzka.

- Mój biedny koliberek - szepnął. - Przeżyłaś tak wiele zmian w ostatnich miesiącach, a nasz ślub nie był wcale najmniejszą z nich. A teraz twoja siostra wyjeżdża.

- Do kliniki, żeby mogła wyzdrowieć. Wiem, że to dla jej dobra. Tylko że... Będę za nią tęskniła. Win to najdroższa, najłagodniejsza istota z naszej rodziny. Zawsze nas godziła. Pewnie się pozabijamy pod jej nieobecność. - Jęknęła cicho. - Nie waż się nikomu zdradzić, że płakałam, bo się z tobą policzę.

- Nie, *monisha*. - Przytulał ją i uspokajał, gdy pociągała nosem. - Twoje sekrety są u mnie bezpieczne. Przecież wiesz.

Scałował łązy z jej policzków, powoli ją rozebrał i kochał się z nią leniwie.

- Moja miłości - szeptał, gdy drżała pod nim. - Pozwól mi zadbać o siebie...

- Gdy brał w posiadanie jej ciało, powtarzał jej w swoim języku, że jest nią oczarowany, kocha ją całą i nigdy jej nie opuści. Choć Amelia nie rozumiała jego słów, sam ich dźwięk ją oszałamiał. Jej paznokcie przesuwaly się po jego plecach, a biodra unosiły się ku niemu. Zadowalał ją i sam czerpał przyjemność, aż jego żona odpłynęła w pełen zaspokożenia sen.

Jeszcze długo potem Cam tulił ją do siebie, gdy z zaufaniem oparła głowę na jego ramieniu. Był teraz odpowiedzialny za Amelię i całą jej rodzinę.

Rodzina składała się z czterech siostr, brata i Merripena, który był Romem, jak

Cam. Niewiele o nim wiedziano, prócz tego, że jako dziecko został przygarnięty przez rodziców tamtych pięciorga po tym, jak rannego w obławie na Cyganów porzucono go na pewną śmierć. Był kimś więcej niż sługą, choć nie całkiem członkiem rodziny.

Nie można było przewidzieć, jak Merripen będzie się prowadził pod nieobecność Win, ale Cam miał przeczucie, że czeka ich sporo kłopotów. Nie mogli się od siebie bardziej różnić - jasnowłosa chora Win i potężnie zbudowany przystojny Rom. Ona wyrafinowana i eteryczna, on - ciemnoskóry, grubociosany i prawie nieucywilizowany. Istniała jednak pomiędzy nimi silna, nierozzerwalna więź.

Gdy zakończono załadunek, a bagaż został zabezpieczony skórzanymi pasami, Cam wrócił do hotelowego apartamentu, w którym się zatrzymali całą rodziną. Hathawayowie zebrali się w saloniku, aby pożegnać Win.

Nieobecność Merripena wydawała się podejrzana.

Tłoczyli się w małym pokoju - cztery siostry i ich brat, Leo, który jechał do Francji jako towarzysz i opiekun Win.

- Już wystarczy - powiedział szorstko Leo, klepiąc po plecach najmłodszą z dziewcząt, Beatrix, która właśnie skończyła szesnaście lat. - Nie ma sensu urządzić scen.

Dziewczyna wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

- Będziesz taki samotny, z dala od domu. Może weźmiesz jedno z moich zwierzątek, żeby ci dotrzymało towarzystwa?

- Nie, kochanie. Będę musiał się zadowolić ludzkim towarzystwem, które znajdę na pokładzie. - Leo zwrócił się do Poppy, osiemnastoletniej, rudowłosej piękności. - Do widzenia, siostrzyczko. Ciesz się swoim pierwszym sezonem w Londynie. Spróbuj nie zaakceptować pierwszego konkurenta, który ci się oświadczy.

Poppy podeszła, aby go objąć.

- Drogi Leo - powiedziała, przyciskając twarz do jego ramienia - spróbuj się przyzwycię sprawować w tej Francji.

- Nikt się nie sprawuje przyzwycię we Francji - odparł. - Dlatego wszyscy tak lubią tam jeździć.

Odwrócił się teraz do Amelii. Jego pewna siebie postawa zaczęła słabnąć. Odetchnął niepewnie. Z całego rodzeństwa to Leo i Amelia najczęściej i najbardziej zapalczywie się kłócili. A jednak to ona była jego ulubienicą. Przeszli razem tak wiele, gdy opiekowali się młodszym rodzeństwem po śmierci rodziców.

Na oczach Amelii brat przemienił się z obiecującego młodego architekta we wrak człowieka. Odziedziczenie tytułu w niczym nie polepszyło sytuacji. W zasadzie nowo uzyskany tytuł i status tylko przyspieszyły upadek Leo. To jednak nie powstrzymało Amelii przed walką o niego. Na każdym kroku próbowała go ratować, co go szalenie irytowało.

Podeszła do niego teraz i oparła czoło na jego piersi.

- Leo - powiedziała, pociągając nosem. - Jeśli Win coś się stanie, zabiję cię.

Delikatnie pogłaskała ją po głowie.

- Grozisz mi od lat i nic z tego nie wynika.

- Cz-czekałam na właściwy powód.

Leo się uśmiechnął i złożył uroczysty pocałunek na czole siostry.

- Przywiozę ją całą i zdrową.

- A siebie?

- Siebie również.

Amelia wygładziła zagniecenia jego płaszcz; jej wargi zdrząły.

- Więc może lepiej już zerwij z życiem pijanego utra-cjusza.

Leo uśmiechnął się szeroko.

- Ale ja zawsze wierzyłem, że należy rozwijać swoje naturalne talenty. -

Pochylił się i cmoknął ją w policzek. - A zresztą ty nie możesz dawać rad na temat prowadzenia się. Przecież wyszłaś za człowieka, którego ledwo znasz.

- To była najlepsza rzecz, jaką mogłam zrobić.

- Nie będę się kłócił, skoro to on opłaca moją podróż do Francji. - Leo wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Cama. Ich znajomość nie zaczęła się najlepiej, ale obaj szybko się polubili. - Do widzenia, *phral* - powiedział Leo, używając romskiego słowa, którego Cam go nauczył. Znaczyło ono: „brat”. - Wiem, że doskonale sobie poradzisz, zaopiekujesz się rodziną. Mnie się już pozbyłeś, a to obiecujący początek.

- Wrócisz do odbudowanego domu i kwitnącej posiadłości, milordzie.

Leo roześmiał się nisko.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę twoje osiągnięcia na własne oczy. Wiesz, nie każdy powierzyłby swoje dziedzictwo dwóm Cyganom.

- Jestem przekonany, że ty jesteś jedyny.

Win pożegnała się z siostrami, a Leo pomógł jej wsiąść do powozu i usiadł obok. Poczuli lekkie szarpnięcie, gdy czwórka koni ruszyła, wioząc ich w kierunku portu.

Leo przyglądał się profilowi Win. Jak zwykle nie okazywała zbyt wielu emocji, a jej piękna twarz była spokojna i opanowana. Dostrzegł jednak plamy kolorów na jej bladych policzkach i palce zaciśnięte na haftowanej chusteczce,

którą trzymała na kolanach. Zauważył, że Merripen nie przyszedł się z nimi pożegnać. Zastanawiał się, czy tych dwoje się posprzeczało.

Westchnął cicho i objął ramieniem jej szczupłą, kruchą postać. Zesztywniała, ale się nie odsunęła. Po chwili chusteczka powędrowała do góry;

Win otarła oczy. Była przerażona, chora i nieszczęśliwa.

A on był wszystkim, co miała.

Boże, dopomóż.

Spróbował ją rozweselić.

- Nie pozwoliłaś chyba Beatrix wmusić sobie żadnego z jej zwierzaków? Ostrzegam, jeśli masz przy sobie jeża albo szczura, wyrzucę go za burtę, gdy tylko znajdziemy się na statku.

Win potrząsnęła głową i wydmuchała nos.

- Wiesz - oznajmił swobodnym tonem, wciąż ją przytulając - jesteś najmniej zabawna ze wszystkich moich sióstr. Jak to się w ogóle stało, że jadę z tobą do Francji?

- Możesz mi wierzyć - padła mokra od łez odpowiedź - że nie byłabym taka nudna, gdybym tylko miała jakiś wybór. Kiedy wyzdrowieję, zacznę się zachowywać bardzo źle.

- Jest więc na co czekać. - Przytulił policzek do jej jasnych włosów.

- Leo - zapytała po chwili - dlaczego się ofiarowałaś, że pojedziesz ze mną do tej kliniki? Czy to dlatego, że także chcesz wyzdrowieć?

Niewinne pytanie wywołało w nim falę wzruszenia i irytacji. Win, tak jak pozostali członkowie jego rodziny, traktowała jego picie jak chorobę, którą może uleczyć abstynencja i zmiana otoczenia. A tymczasem było ono tylko objawem prawdziwej choroby - bólu tak upartego, że czasami się bał, iż jego serce się od niego zatrzyma.

Nie było lekarstwa na utratę Laury.

- Nie - odparł. - Nie mam takich aspiracji. Będę po prostu kontynuował moje szaleństwo w nowej scenerii. - Jego słowa zostały nagrodzone cichym śmiechem. - Win... czy pokłóciłaś się z Merripenem? To dlatego nie przyszedł się pożegnać? - Po długiej chwili ciszy Leo westchnął. - Jeśli naprawdę zamierzasz przez cały czas tak milczeć, siostrzyczko, czeka nas bardzo długa podróż.

- Tak, pokłóciliśmy się.

- O co? O klinikę Harrowa?

- Nie do końca. To znaczy po części, ale... - Win wzruszyła ramionami. - To zbyt skomplikowane. Wyjaśnienie zajęłoby mi całą wieczność.

- Mamy do pokonania ocean i pół Francji. Zdamy, możesz mi wierzyć.

Gdy powóz odjechał, Cam udał się do stajni za hotelem, schludnego budynku, w którym mieściły się boksy dla koni i powozów. Tak jak się spodziewał, zastał Merripena przy wierzchowcach. Hotelowe stajnie zaspokajały tylko część wymagań swoich mieszkańców, dlatego też niektóre prace musieli wykonywać właściciele zwierząt. Merripen czyścił właśnie czarnego wałacha

Cama, trzylatka o dźwięcznym imieniu Puka.

Ruchy Merripena były lekkie, szybkie i metodyczne, gdy przeciągał zgrzeblem po lśniącym grzbiecie rumaka.

Cam obserwował przez chwilę starania, doceniając zręczność. Przekonanie, że Cyganie najlepiej zajmują się końmi, nie było do końca zmyślane. Romowie traktowali konie jak towarzyszy, zwierzęta poezji i heroizmu. Puka akceptował obecność Merripena z szacunkiem, którego nie okazywał zbyt wielu ludziom.

- Czego chcesz? - zapytał Merripen, nawet nie patrząc na Cama.

Ten wszedł leniwym krokiem do otwartego boksu i uśmiechnął się, gdy Puka pochylił łeb i szturchnął go w pierś.

- Nie, chłopcze... żadnego cukru. - Poklepał muskularny kark konia. Rękawy miał podwinięte do łokci; na jego przedramieniu widniał tatuaż przedstawiający czarnego latającego konia. Cam nie pamiętał, skąd go ma... Był tam od zawsze, z powodów, których jego babka mu nie objaśniła.

Rysunek przedstawiał legendarnego irlandzkiego wierzchowca, pukę, zarazem złowrogi i szlachetne stworzenie, które mówiło ludzkim głosem i unosiło się nocami na szeroko rozpostartych skrzydłach. Według legendy *puka* pojawiał się niezapowiedziany pod oknami o północy i zabierał ludzi na przejażdżki, które na zawsze odmieniały ich życie.

Cam nigdy nie widział u nikogo podobnego rysunku. Do czasu, gdy spotkał Merripena.

Zrządzeniem losu Merripen został niedawno ranny w pożarze. Gdy leczyli jego oparzenia, dostrzegli na ramieniu tatuaż.

To sprowokowało Cama do kolejnych pytań.

Zobaczył, że Merripen ukradkiem spogląda na jego dłoń.

- Co można pomyśleć o Romie noszącym irlandzki symbol? - zapytał Cam.

- W Irlandii też są Romowie, to nic takiego.

- Ten tatuaż kryje jakąś tajemnicę - oznajmił spokojnie Cam. - Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Ty masz taki sam. A ze zdumienia Hathawayów tym faktem wnioskuje, że bardzo się starałeś, by go nie pokazać. Dlaczego, *phraP*.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Należysz do rodziny Hathawayów od dzieciństwa. A ja się w nią wzeniłem. To czyni nas braćmi, nieprawdaż?

Jedyną odpowiedzią było pogardliwe spojrzenie.

Cam czerpał perwersyjną przyjemność z przyjacielskiego traktowania Merripena, który tak otwarcie nim gardził. Rozumiał doskonale, co było źródłem wrogości tamtego. Nowy mężczyzna w rodzinie, *vitsa*, komplikował sytuację, a jego status powinien być niższy. Cam, obcy, który tak nagle wkroczył w ich życie i z marszu przejął rolę głowy rodu, nie mógł budzić w tamtym życzliwych uczuć. Nie pomagał także fakt, że Cam był *poshram*, mieszańcem zrodzonym ze związku Cyganki i irlandzkiego gadzia. A co gorsza, do tego wszystkiego był bogaty, co stanowiło prawdziwą hańbę w oczach każdego Roma.

- Dlaczego go ukrywałaś? - zapytał Cam.

Merripen przerwał szcztokowanie konia i posłał mu zimne, mroczne spojrzenie.

- Powiedziano mi, że to oznacza klątwę. W dniu, w którym odkryję, co ten rysunek oznacza, umrę ja lub ktoś mi bliski.

Cam nic po sobie nie pokazał, ale poczuł dreszcz niepokoju.

- Kim ty jesteś, Merripen? - zapytał cicho. Mrukliwy Rom wrócił do pracy.

- Nikim.

- Należałeś kiedyś do jakiegoś plemienia. Musiałeś mieć rodzinę.

- Ojca nie pamiętam, matka zmarła przy moich narodzinach.

- Tak jak moja. Wychowywała mnie babka. Zgrzebło zastygło w bezruchu. Żaden z nich się nie poruszył. W stajni zapadła martwa cisza, słychać było tylko pochrapywanie koni.

- Mnie wychowywał wuj. Na *asharibe*.

- Aha. - Cam nie pokazał po sobie współczucia, które go wypełniło.

Nic dziwnego, że Merripen potrafił tak dobrze walczyć. Niektóre cygańskie rodziny wybierały najsilniejszych chłopców i przyuczały do walk na gołe pięści, wystawiając ich przeciwko sobie na jarmarkach i w zajazdach. Gapie obstawiali wyniki. Niektórzy z tych chłopców doznawali trwałych urazów, inni umierali. A tych, którzy przetrwali, dalej ćwiczyli w sztuce walki, aby stali się twardymi wojownikami.

- Cóż, to by tłumaczyło twój łagodny charakter - zadrwił Cam. - To dlatego zdecydowałaś się zostać z Hathawayami po tym, jak cię przygarnęli? Bo nie chciałaś już dłużej żyć jak *asharibe*?

-Tak.

- Kłamiesz, *phral* - powiedział Cam, przypatrując się mu uważnie. - Zostałaś z innego powodu. - Rumieniec na twarzy Merripena zdradził mu prawdę.

- Zostałaś dla niej - dodał cicho.

Rozdział 2

Dwanaście lat wcześniej

Nie było w nim dobra. Ani łagodności. Od małego spał na twardej ziemi, jadł niewyszukaną strawę, pił zimną wodę i na rozkaz walczył z innymi chłopcami. Jeśli odmówił wzięcia udziału w pojedynku, bił go jego wuj, *wm baw*, przywódca klanu. A on nie miał matki, która by się za nim wstawiła, ani ojca, który mógłby zaprotestować przeciw surowym karom *rom baw*. Wuj nigdy nie dotykał go inaczej niż z nienawiścią. Przecież on żył tylko po to, by walczyć, kraść i występować przeciwko gadziom.

Większość Cyganów nie darzyła nienawiścią białych Anglików o ziemistej cerze, którzy mieszkali w schludnych domach, nosili w kieszeniach zegarki i czytali książki przy kominku. Inni Romowie po prostu im nie ufali. Ale klan Keva pogardzał gadziami, bo pogardzał nimi *wm baw*. A zachcianki, poglądy i upodobania wodza stają się twoimi.

Tam, gdzie rozkładali obóz, klan *wm baw* wyrządzał zazwyczaj tyle szkód i cierpienia, że ostatecznie gadziowie zdecydowali się wygnać intruzów ze swojej ziemi.

Anglicy zjawili się na koniach, mieli broń. Były strzały i ciosy pałkami. Śpiących Romów zaatakowano w ich własnych posłaniach, kobiety i dzieci krzyczały i płakały. Obóz został zniszczony, mieszkańców wygnano, wozy *vardo* podpalono. Gadziowie zabrali też konie.

Kev próbował z nimi walczyć, bronić swojej *vitsa*, ale otrzymał cios w głowę ciężką kolbą strzelby. Ktoś inny dźgnął go szpadą. Krewni zostawili go na pewną śmierć. Leżał sam, półprzytomny, na brzegu rzeki i przysłuchiwał się szemrzącej wodzie, czując chłód twardej, mokrej ziemi, mgliście świadomy tego, że jego krew wsiąka w ziemię ciepłymi strumykami. Czekał bez strachu na wielkie koło, które przetoczy go w ciemność. Nie miał po co żyć. Kiedy jednak poranek wyszedł na spotkanie swojej siostry nocy, Kev poczuł, że ktoś go podnosi i kładzie na małym, wiejskim wozie. Znalazł go gadzio, który poprosił miejscowego dzierżawcę, aby ten pomógł mu odwieźć umierającego chłopca do domu.

Po raz pierwszy w życiu Kev znalazł się pod dachem czegoś innego niż *vardo*. Czuł się rozdarty pomiędzy zaciekawieniem tym obcym miejscem a gniewem na gadzia, przez którego miał umierać w upokorzeniu pod dachem. Okazał się jednak zbyt słaby, dręczył go zbyt wielki ból, aby mógł choć kiwnąć palcem w swojej obronie.

Pokój, w którym go położono, był niewiele większy od końskiego boksu, stały w nim tylko łóżko i krzesło. Do tego kołdry i poduszki na łóżku, oprawione robótki na ścianach, ozdobiona koralikami i frędzlami lampa. Gdyby Kev nie czuł się tak chory, oszalałby w tym przeładowanym, małym pomieszczeniu.

Gadzio, który go tu przyniósł, pan Hathaway, był wysokim, szczupłym mężczyzną z jasnymi, żółtymi włosami.

Jego łagodność i delikatność wzbudzały w Kevie wrogie uczucia. Dlaczego ten człowiek go ocalił? Czego mógł chcieć od cygańskiego chłopca? Kev nie chciał z nim rozmawiać i odmówił przyjmowania leków. Odrzucał każdy przyjazny gest. Pragnął nie zawdzięczać niczego temu Hathawayowi. Nie chciał zostać ocalony, nie chciał żyć. Leżał więc w milczeniu i wzdragał się, ilekroć tamten mężczyzna zmieniał mu opatrunek.

Kev przemówił tylko raz - gdy Hathaway zapytał o jego tatuaż.

- Co to za znak?

- To klątwa - wykrztusił chłopak przez zaciśnięte zęby. - Nie mów o tym nikomu albo dotknie także ciebie.

- Rozumiem. - Mężczyzna miał miły głos. - Dotrzymam twojej tajemnicy. Ale powiem ci, że jako racjonalista nie wierzę w przesady. Klątwa ma tylko tyle mocy, ile my sami jej przypisujemy.

Głupi gadzio, pomyślał Kev. Wszyscy wiedzieli, że ten, kto zaprzecza klątwie, ściąga na siebie nieszczęście.

Domostwo było hałaśliwe, pełne dzieci. Kev słyszał je przez zamknięte drzwi pokoju, w którym go umieszczono. Było jednak coś jeszcze... czyjaś nikła, słodka obecność. Unosiła się w powietrzu, tuż za ścianą, poza jego zasięgiem. A chłopak za nią tęsknił i pragnął jej, bo niosła wybawienie od mroku, gorączki i bólu.

W zgiełku sprzeczących się, śmiejących i śpiewających dzieci słyszał szmer, który wywoływał u niego gęsią skórkę. Dziewczęcy głos. Uroczy, kojący. Chciał, aby ta istota do niego przyszła. Marzył o tym, gdy tak leżał nieruchomo, a rany goiły się z męczącą powolnością. Przyjdź do mnie...

Ona jednak nigdy się nie zjawiała. Jedynymi osobami, które go odwiedzały, byli pan Hathaway i jego żona, sympatyczna, lecz nieufna kobieta, która przypatrywała się Kewowi jak dzikiemu zwierzęciu, które znalazło drogę do cywilizowanego domu. A on zachowywał się zgodnie z jej wyobrażeniami, warczał i prychał, ilekroć ktoś się do niego zbliżył. Gdy tylko odzyskał siły, umył się w misce ciepłej wody, którą zostawili mu w pokoju. Nie jadł przy nich, lecz czekał, aż zostawią mu tacę przy łóżku. Całą siłą woli pragnął wyzdrowieć na tyle, by móc uciec.

Kilka razy przez szparę uchylonych drzwi do pokoju zaglądały dzieci - dwie małe dziewczynki o imionach Poppy i Beatrix, które chichotały i piszczwały, gdy na nie warczał. Była także starsza dziewczyna, Amelia; patrzyła na niego z taką samą nieufnością jak jej matka. I wysoki, niebieskooki chłopiec, Leo,

zapewne niewiele starszy od Keva.

- Chcę ci coś wyjaśnić - oznajmił chłopak od progu cichym głosem. - Nikt z nas nie wyrządzi ci krzywdy. Możesz stąd odejść, gdy tylko odzyskasz siły. - Spojrzał na Keva posępnym, gorączkowym wzrokiem. - Mój ojciec to dobry człowiek. Samarytanin. Ja nie. Więc nawet nie myśl o skrzywdzeniu czy zranieniu kogoś z Hathawayów, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

Kewowi spodobały się te słowa. Na tyle, że lekko skinął Leo głową. Rzecz jasna, gdyby był zdrowy, z łatwością pokonałby tego chłopaka, posłałby go na ziemię krwawiącego i połamanego. Kev jednak zaczął wierzyć, że ta dziwaczna rodzina nie wyrządzi mu krzywdy. I nic od niego nie chce. Dają mu tylko schronienie i opiekę jak bezpańskiemu psu. A w zamian niczego nie oczekują.

To jednak nie umniejszało jego pogardy dla nich i ich absurdalnie miękkiego, wygodnego świata. Nienawidził ich wszystkich prawie tak bardzo, jak nienawidził siebie. Był wojownikiem, złodziejem pławiącym się w przemocy i oszustwie. Nie widzieli tego? Zdawali się w ogóle nie pojmować, jak wielkie zagrożenie sprowadzili do swojego domu.

Po tygodniu gorączka Keva spadła, a jego rana zasklepiła się na tyle, aby mógł się poruszać. Wiedział, że musi odejść, zanim stanie się coś strasznego, zanim zrobi coś złego. Pewnego ranka obudził się więc wcześniej i powoli ubrał w to, co mu podarowano, a co kiedyś należało do Leo.

Każdy ruch powodował cierpienie, ale Kev ignorował dudnienie w głowie i palący ból w plecach. Włożył do kieszeni nóż i widelec z tacy, ogarek świecy i skrawek mydła. Do pokoju wpadły przez małe okno pierwsze promienie słońca. Tamci wkrótce wstaną. Kev wstał i zwrócił się w kierunku drzwi, ale czując zawroty głowy, opadł zemdłony na materac. Dysząc ciężko, spróbował się podnieść.

Rozległo się pukanie. Rozchylił wargi, aby warknąć na intruza.

- Mogę wejść? - usłyszał miękki, dziewczęcy głos. Przekleństwo ucichło mu na ustach. Jego zmysły oszalały. Zamknął oczy, oddychał ciężko i czekał. - To ty. Przyszłaś. Nareszcie.

- Tak długo byłeś sam - powiedziała, podchodząc do niego - że pomyślałam, że potrzebne ci towarzystwo. Mam na imię Winnifred.

Kev sycił się jej zapachem i głosem, serce tłukło się w piersi. Ostrożnie ułożył się na plecach, ignorując przeszywający ból. Otworzył oczy.

Był przekonany, że żadna Angielka nie może się równać z Cygankami. Ale ona była piękna, niezwykła, jak istota nie z tego świata, blada jak światło księżyca, ze srebrnymi włosami i twarzą, na której malowała się czuła powaga. Taka słodka, niewinna i delikatna. Była wszystkim, czym on nie mógł być. Całe jego jestestwo zareagowało na nią tak gwałtownie, że wyciągnął dłonie i pochwycił ją z cichym pomrukiem.

Wydała stłumiony okrzyk, ale się nie poruszyła. Kev wiedział, że nie powinien jej dotykać. Nie miał w sobie łagodności. Skrzywdziłby ją, nawet się o

to nie starając. A jednak uspokoiła się pod jego dotykiem i popatrzyła na niego tymi spokojnymi, niebieskimi oczami.

Dlaczego się go nie bała? Właściwie to on bał się o nią, bo wiedział, do czego jest zdolny.

Nieświadomie przyciągał ją coraz bliżej. Czuł tylko, że część jej postaci opiera mu się, a jego palce wbijają się w miękkie ciało jej ramion.

- Puść - powiedziała łagodnie.

Nie chciał tego. Nigdy. Pragnął tulić ją do siebie, rozpuścić jej warkocz i przeczesywać palcami jej jasno-srebrzyste, jedwabiste włosy. Chciał ją unieść ze sobą na krańce ziemi.

- Jak cię puszcze - mruknął - to zostaniesz? Delikatne wargi dziewczyny wygięły się w słodkim, rozkosznym uśmiechu.

- Głuptasie, oczywiście, że zostanę. Przecież przyszłam cię odwiedzić.

Powoli rozluźnił uścisk. Myślał, że ucieknie, ale została.

- Połóż się - poleciła. - Czemu jesteś już ubrany? - Otworzyła szeroko oczy.

- Och, nie możesz odejść, dopóki całkiem nie wyzdrowiejesz.

Nie musiała się martwić. Przestał myśleć o odejściu w chwili, gdy ją zobaczył. Ułożył się wygodnie na poduszkach i nie spuszczał z niej oczu, kiedy siadała na krześle. Miała na sobie różową sukienkę. Jej brzegi, dekolci i rękawki były ozdobione marszczeniami.

- Jak masz na imię? - zapytała.

Kev nienawidził mówić. Nienawidził rozmawiać. Ale był gotów na wszystko, aby ją przy sobie zatrzymać.

- Merripen.

- To twoje imię? Potrząsnął głową.

- A zdradzisz mi swoje imię?

Nie mógł. Rom mógł dzielić się tą wiedzą tylko z innymi Romami.

- Zdradź chociaż pierwszą literę - poprosiła. Kev wpatrywał się w nią w zdumieniu.

- Nie znam zbyt wielu cygańskich imion. Luca? Marko? Stefan?

Kev zrozumiał nagle, że ona próbuje go rozbawić. Żartuje sobie z niego. Nie wiedział, jak na to zareagować. Zazwyczaj, gdy ktoś z niego kpił, otrzymywał mocny cios prosto w twarz.

- Któregoś dnia mi powiesz - oznajmiła, uśmiechając się lekko. Poruszyła się, chcąc wstać z krzesła, a wtedy ręka Keva wystrzeliła do przodu i chwyciła ją za ramię. Na jej twarzy błysnęło zaskoczenie.

- Powiedziałas, że zostaniesz - rzucił szorstko.

Win dotknęła wolną ręką jego dłoni, zacisnęła się na jej nadgarstku.

- Zostanę. Uspokój się, Merripen. Przyniosę nam tylko kanapki i herbatę. Puść mnie. Zaraz wrócę. - Jej dłoń była lekka i ciepła, gdy otarła się o jego rękę. - Zostanę cały dzień, jeśli tylko chcesz.

- Nie pozwolą ci.

- Oczywiście, że pozwolą. - Wyswobodziła się, delikatnie odginając jego palce. - Nie denerwuj się tak. Mój Boże, a ja myślałam, że Cyganie z zasady są weseli.

Prawie się uśmiechnął.

- Miałem ciężki tydzień - powiedział ponuro.

- Tak, widzę. Jesteś ranny?

- Gadziowie zaatakowali mój klan. Mogą tu po mnie przyjść. - Nadal wpatrywał się w dziewczynę wygłodniałym wzrokiem, ale zmusił się, aby ją puścić. - Nie jestem tu bezpieczny. Muszę odejść.

- Nikt się nie odważy zabrać cię stąd. Mój ojciec jest bardzo szanowanym człowiekiem. Uczonym. - Widząc sceptyczne spojrzenie Merripena, dodała: - Pióro jest silniejsze od miecza.

Tak mógłby powiedzieć tylko gadzio. Przecież to nie miało najmniejszego sensu.

- Ludzie, którzy w zeszłym tygodniu zaatakowali moją *vitsa*, nie byli uzbrojeni w pióra.

- Biedactwo - powiedziała ze współczuciem. - Tak mi przykro. Twoje rany musiały się zaognić od tego szarpania się. Przyniosę ci lekarstwo.

Nigdy wcześniej nikt nie okazywał Kewowi współczucia. Nie podobało mu się to. Urażało jego dumę.

- I tak go nie wezmę. Lekarstwa gadziów nie działają. Jeśli je przyniesiesz, wrzucę je do...

- Dobrze. Nie ekscytuj się tak. Jeszcze sobie zaszkodzisz. - Podeszła do drzwi, a Kev poczuł szaloną desperację. Był pewien, że ona nie wróci. A tak bardzo pragnął jej obecności. Gdyby tylko miał siłę, wyskoczyłby z łóżka i znów ją złapał. Ale nie był w stanie.

Odprowadził ją więc ponurym spojrzeniem i mruknął:

- A idź sobie. Niech cię diabli.

Winnifred przystanąła w drzwiach z zagadkowym uśmiechem i spojrzała na niego przez ramię.

- Ależ ty jesteś przekorny i zagniewany. Wrócę z herbatą, kanapkami i książką, i zostanę tak długo, jak będzie trzeba, żebyś się uśmiechnął.

- Ja się nie uśmiecham.

Ku jego zdumieniu Win wróciła. Spędziła z nim większą część dnia, czytając mu jakąś nudną, rozwlekłą historię, która napełniła go sennym zadowoleniem. Nic, ani muzyka, ani szum drzew w lesie, ani śpiew ptaków nie sprawiły mu nigdy tyle radości, co jej delikatny głos. Czasami zaglądał do nich ktoś z jej rodziny i teraz Kev nie mógł się zmusić, aby warczeć na przybyłego. Wypełniał go spokój, po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią. Nie potrafił nienawidzić, gdy był tak bliski szczęścia.

Następnego dnia Hathawayowie przenieśli go do głównego pomieszczenia w domu, saloniku, zastawionego zniszczonymi meblami. Każdy wolny

skrawek miejsca pokrywały szkice, robótki ręczne i stosy książek. Nie można było się ruszyć, żeby czegoś nie przewrócić.

Kev leżał na sofie, a młodsze dziewczynki bawiły się na dywanie, próbując nauczyć wiewiórkę Beatrix nowych sztuczek. Leo grał z ojcem w szachy. Amelia i jej matka gotowały w kuchni obiad. A Win usiadła przy Kevie, aby się zająć jego włosami.

- Masz grzywę jak dzika bestia - skomentowała, rozdzielając palcami zmierzwiöne pasma i delikatnie je rozczesując. - Nie ruszaj się. Próbuję sprawić, żebyś wyglądał bardziej cywi... Och, przestań się wiercić. Nikt nie ma tak wrażliwej głowy.

Kev nie wiercił się jednak z powodu splątanych włosów czy grzebienia. Po prostu nikt nigdy tak długo go nie dotykał. Był przerażony, cały trząsł się w środku... Gdy jednak rozejrzał się ostrożnie po pokoju, dostrzegł, że nikt nie zwraca uwagi na to, co robi Win.

Odchylił się na oparcie z przymkniętymi oczami. Nagle grzebień pociągnął go zbyt mocno, a Win wymamrotała przeprosiny i zaczęła rozcierać podrażnione miejsce czubkami palców. Tak delikatnie. Ścisnęło go w gardle, a pod powiekami poczuł łzy. Poruszony, oszołomiony, zdławił w sobie to uczucie. Pozostał czujny, ale bez protestów zgadzał się na jej dotknięcie. Prawie nie mógł oddychać z przyjemności, którą mu to sprawiało.

Win owinęła mu szyję ręcznikiem i wzięła nożyczki.

- Jestem w tym naprawdę dobra - powiedziała, pochylając mu głowę i czesząc pasma na karku. - A ty potrzebujesz fryzjera. Masz tak dużo włosów, że wystarczyłoby na materac.

- Uważaj, chłopcze - wtrącił wesoło pan Hathaway. - Pamiętaj, co spotkało Samsona.

Kev podniósł głowę. -Co?

Win znów popchnęła ją w dół.

- Włosy były źródłem siły Samsona - wyjaśniła. - Gdy Dalila je obcięła, osłabł i został wzięty do niewoli przez Filistynów.

- Nie czytałeś Biblii? - zapytała Poppy.

- Nie - odparł Kev. Zastygł w bezruchu, gdy nożyczki ostrożnie zaczęły przeredzać gęste pasma na jego karku.

- Jesteś poganinem? -Tak.

- Takim, co zjada ludzi? - zapytała Beatrix z wielkim zainteresowaniem.

- Nie, Beatrix. Można być poganinem bez bycia kanibalem - odpowiedziała Win siostrze, zanim Kev zdołał to zrobić.

- Ale Cyganie jedzą jeże - stwierdziła Beatrix. - A to równie złe jak zjadanie ludzi. Jeże też mają uczucia, wiecie? - Przerwała, obserwując spadający na podłogę ciężki pukiel. - Jaki ładny! - wykrzyknęła. - Mogę go wziąć, Win?

- Nie - rzucił ponuro Merripen.

- A dlaczego?

- Ktoś mógłby go użyć, aby rzucić zły urok. Albo miłosne zaklęcie.

- Ja nigdy bym tego nie zrobiła - przyznała z rozbrajającą szczerością Beatrix. - Chciałabym nim wymościć gniazdo.

- Nie, kochanie - odpowiedziała spokojnie Win. - Jeśli to niepokoi naszego przyjaciela, twoje zwierzątka będą musiały znaleźć coś innego do gniazda. - Nożyczki kontynuowały pracę. - Czy wszyscy Cyganie są tak przesadni jak ty?

- Nie. Większość jest jeszcze gorsza.

Jej lekki śmiech połaskotał go w ucho, a ciepły oddech wywołał gęsią skórę.

- A co byłoby twoim zdaniem gorsze, Merripen... zły urok czy miłosne zaklęcie?

- Miłosne zaklęcie - odparł bez wahania.

Z jakiegoś powodu wszyscy zaczęli się śmiać. Merripen zmierzył ich złym wzrokiem, ale nie dostrzegł na ich twarzach drwiny, tylko przyjacielskie rozbawienie.

W milczeniu przysłuchiwał się rozmowom, gdy Win obcinała mu włosy. Była to najdziwniejsza konwersacja, jakiej kiedykolwiek był świadkiem - dziewczęta swobodnie dyskutowały z bratem i ojcem. Roztrząsali różne tematy, debatowali nad problemami, które ich w ogóle nie dotyczyły, i sytuacjami, które nie miały na nich bezpośredniego wpływu. To wszystko było bez sensu, ale oni wydawali się doskonale bawić.

Merripen nie wiedział dotychczas, że tacy ludzie istnieją. I nie potrafił zgadnąć, jak udało im się tak długo przetrwać.

Hathawayowie byli naiwni, ekscentryczni i pełni radości. Żyli pochłonięci książkami, muzyką i sztuką. Mieszkali w rozpadającym się domku, ale zamiast naprawić futryny i zatkać dziury w dachu, hodowali róże i czytali poezję. Jeśli ułamała się noga krzesła, wkładali pod nią naręczkę książek. Ich postępowanie było dla Keva zagadką. Zaskoczyli go jeszcze bardziej, gdy po tym, jak już wyleczyli jego rany, zaproponowali, aby z nimi zamieszkał.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz - oznajmił pan Hathaway - choć podejrzewam, że pewnego dnia zapragniesz nas opuścić i udać się na poszukiwania swego klanu.

Kevin nie miał już jednak żadnych krewniaków. Zostawili go na pewną śmierć. Ten dom stał się od teraz jego przystanią.

Zaczął się zajmować rzeczami, na które Hathawayowie nie zwracali uwagi - łątał dziury w suficie i reperował butwiejące belki pod kominem. Bał się wysokości, ale ułożył na dachu nowe dachówki. Zajął się koniem i krową, doglądał grządek warzywnych i nawet naprawiał buty. Wkrótce pani Hathaway zaczęła powierzać mu pieniądze, aby robił w wiosce zakupy.

Tylko raz jego obecność w domu Hathawayów stanęła pod znakiem zapytania, gdy przyłapano go na bójce z wiejskimi chłopakami.

Pani Hathaway przeraziła się na widok jego poharatanej twarzy i

krwawiącego nosa. Zażądała, aby wyjaśnił, co się wydarzyło.

- Posłałam cię po ser, a wracasz z pustymi rękami w takim stanie! - krzyczała. - Co zrobiłeś?

Kev się nie tłumaczył, z ponurą twarzą stał bez słowa w progu, gdy ona go gromiła.

- Nie będę tolerować przemocy pod moim dachem. Jeśli nie chcesz wyjaśnić mi, co się wydarzyło, zabierz swoje rzeczy i odejdz.

Zanim jednak zdążył przemówić, do domu weszła Win.

- Nie, mam - powiedziała spokojnie. - Ja wiem, co się stało. Moja przyjaciółka Laura wszystko mi opowiedziała. Jej brat tam był. Merripen bronił naszego dobrego imienia. Dwaj chłopcy obrażali naszą rodzinę i Merripen ich za to zbił.

- Dlaczego nas obrażali? - zapytała zdumiona pani Hathaway.

Kev wpatrywał się w podłogę, zaciskając pięści. Win nie bała się prawdy.

- Krytykują naszą rodzinę, bo przygarnęliśmy Roma. Niektórym mieszkańcom wioski to się nie podoba. Boją się, że Merripen ich okradnie, rzuci na nich kłatwę i tego typu bzdury. Mają do nas pretensje, bo go przygarnęliśmy.

Kev drżał, wstrząsany gniewem. Jednocześnie przepełniało go przygnębienie. Był dla tej rodziny ciężarem. Nie mógł żyć wśród gadziów, nie wywołując konfliktów.

- Odejdę - powiedział. To najlepsze, co mógł zrobić.

- Dokąd? - zapytała Win zaskakująco ostrym głosem, jakby sama wzmianka o jego odejściu ją zirytowała. - Tu jest twoje miejsce. Nie masz dokąd pójść.

- Jestem Romem - odparł zwyczajnie. Jego miejsce było wszędzie i nigdzie.

- Nie ma mowy o odejściu - oznajmiła pani Hathaway. - Na pewno nie z powodu wiejskich głupków. Jaki przykład dałabym swoim dzieciom, gdybym pozwoliła zwyciężyć ignorancji i niczemności? Nie, zostaniesz. Nie można postąpić inaczej. Ale nie wolno ci się bić, Merripen. Nie zwracaj na nich uwagi, a w końcu przestaną się tobą interesować.

Głupie sentymenty gadziów. Ignorowanie wroga nigdy nie odnosiło skutku.

Najszybszy sposób, aby uciszyć prześladowcę, to zbić go na kwaśne jabłko.

Do rozmowy włączył się nowy głos.

- Jeśli zostanie - zauważył Leo, wchodząc do kuchni - będzie musiał się bić, mam.

Leo wyglądał równie kiepsko jak Kev - miał podbite oko i rozciętą wargę. Uśmiechnął się krzywo do matki i sióstr, a potem spojrział na niego.

- Obiłem jednego czy dwóch, których ty przegapiłeś - wyjaśnił.

- Moje biedactwo - powiedziała z rozpaczą pani Hathaway, biorąc w dłoń rękę syna, posiniaczoną i krwawiącą w miejscu, w którym kłykiec musiał się zetknąć z czymś zębem. - To dłonie stworzone do książek, nie do walki.

- Myślę, że radzą sobie z jednym i drugim - odparł zawadiacko Leo. Spoważniał zaraz, gdy spojrział na Merripena. - Niech mnie diabli, jeśli pozwolę,

aby ktokolwiek mi dyktował, kto ma prawo mieszkać w moim własnym domu. Tak długo, jak u nas zostaniesz, Merripen, będę cię bronił jak brata.

- Nie chcę przysparzać wam kłopotów - wymamrotał Kev.

- To nic takiego - odparł Leo, ostrożnie zginając palce. - Niektóre sprawy są warte tego, aby za nie walczyć.

Rozdział 3

Idealy. Zasady. Surowe warunki poprzedniego życia Keva nie pozwalały nawet myśleć o takich sprawach, ale stałe kontakty z Hathawayami go odmieniły - dzięki nim zaczął dostrzegać wartości wyższe niż tylko przetrwanie. Rzecz jasna, daleko mu było do uczonego czy dżentelmena. Całe lata jednak przysłuchiwał się ożywionym dyskusjom na temat Szekspira, Galileusza, przewagi sztuki flamandzkiej nad wenecką, demokracji, monarchii i teokracji. Nauczył się czytać, przyswoił sobie łacinę i kilka francuskich słów. Zmienił się w kogoś, kogo jego bliscy by nie poznali.

Jednak nie myślał o państwie Hathaway w kategoriach rodziców, chociaż zrobiliby dla nich wszystko. Nie czuł potrzeby, aby nawiązywać bliskie relacje z innymi ludźmi. To wymagałoby znacznie więcej zaufania i otwartości, niż w sobie znajdował. Ale naprawdę zależało mu na gromadce Hathawayów, nawet na Leo. I była jeszcze Win, za którą po tysiącokroć oddałby życie.

Nigdy nie ośmieliliby się zhańbić jej swoim dotknięciem czy zakładać, że mógłby liczyć na jakieś inne miejsce w jej sercu niż tylko strażnika i opiekuna.

Była po prostu doskonała, wyjątkowa. Stawała się kobietą, a jej piękność urzekała każdego mężczyznę w hrabstwie.

Obcy jednak postrzegali Win jako lodową królową, uporządkowaną, niewzruszoną sawantkę. Niewiele wiedzieli o jej inteligentnym poczuciu humoru i ciepłe, które przebijało przez idealny wygląd. Nie widzieli, jak uczyła Poppy kadryla, aż obie padły na podłogę, pokładając się ze śmiechu. Nie widzieli, jak polowała na żaby z Beatrix, mając ich pełen fartuszek. Ani jak zabawnie czytała Dickensa, naśladując różne głosy i dźwięki, czym wywoływała salwy śmiechu u słuchaczy.

Kev ją kochał. Nie tak, jak opisują miłość artyści i poeci. Nie tak banalnie. Jego uczucie przekraczało granice ziemi, nieba czy nawet piekła. Każda chwila bez niej była dla niego agonią; każda chwila z nią przynosiła spokój. Każde dotknięcie jej dłoni pozostawiało w jego duszy niezatarty ślad. Wolałby się jednak zabić, niż do tego przyznać. Owa prawda tkwiła głęboko pogrzebana w jego sercu. Nie wiedział, czy Win odwzajemnia jego uczucie. Wiedział tylko, że on tego nie chce.

- Proszę, proszę - powiedziała Win pewnego dnia, gdy po wędrownie doliną padli na trawę w swoim ulubionym miejscu. - Prawie ci się udało.

- Co mi się prawie udało? - zapytał Kev leniwie. Wyciągnęli się pod kępą drzew, obok której przepływał po-roztopowy strumyk, wysychający latem. Trawa

usiana była fioletowymi fiołkami i białą wiazówką, która nasycala wilgotne powietrze zapachem migdałów.

- Uśmiechnąć się. - Win uniosła się na łokciach i pogladziła palcami jego wargi. Kev wstrzymał oddech.

Z pobliskiej gałęzi wzbił się w niebo świergotek, wydając z siebie długi, wysoki trel.

Win w skupieniu wygięła kąciki ust Keva do góry i przytrzymała je tak przez chwilę.

Podekscytowany i rozbawiony Kev prychnął śmiechem i odsunął jej dłoń.

- Powinieneś się częściej uśmiechać - powiedziała Win, nie spuszczaając zeń wzroku. - Jesteś wtedy bardzo przystojny.

Była bardziej olśniewająca niż słońce, jej włosy przypominały kremowy jedwab, usta miała lekko zaróżowione. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że prowadzi przyjacielską rozmowę, ale Merripen wiedział, że Win próbuje odkryć jego sekrety.

Pragnął pociągnąć ją na trawę i przykryć swoim ciałem. Już cztery lata mieszkał z Hathawayami. Coraz trudniej było mu kontrolować swoje uczucia względem ukochanej kobiety.

- O czym myślisz, gdy tak na mnie patrzysz? - zapytała miękko.

- Nie mogę powiedzieć.

- Czemu?

Kev poczuł, że na jego wargach znów błąka się uśmiech, tym razem podszyty kpina.

- Przestraszyłabyś się.

- Merripen - zaprzeczyła zdecydowanie - nic, co mógłbyś powiedzieć czy zrobić, mnie nie przestraszy. - Zmarszczyła brwi. - Powiesz mi w końcu, jak masz na imię?

-Nie.

- Powiesz. Zmuszę cię. - Zaczęła udawać, że wali go pięściami.

Kev chwycił jej szczupłe nadgarstki i z łatwością ją obezwładnił. Opadł na nią ostrożnie, więzając dziewczynę pod sobą. To było złe, ale nie potrafił się powstrzymać. Unieruchomił ją swoim ciężarem, a gdy poczuł, jak instynktownie układała się pod nim, aby jej było wygodniej, ogarnęła go pierwotna przyjemność.

Spodziewał się walki, a Win leżała spokojnie w jego ramionach i uśmiechała się do niego.

Mgliście pamiętał jeden z mitów, których Hathawayowie byli zagorzałymi wielbicielami... ten grecki, o Hadesie, bogu podziemia. Porwał on młodą Persefonę z ukwieconej łąki i pociągnął ją za sobą w dół, do swojego mrocznego świata, by tam ją posiadać. Oczywiście siostry Hathaway były oburzone losem Persefony, ale Kev w duchu stał po stronie Hadesa. Kultura Romów aprobowała ideę porwania kobiety, którą chciało się pojąć za żonę. Coś takiego powtarzało się przy prawie każdych konkurach.

- Nie rozumiem, dlaczego została skazana na życie z Hadesem w podziemiach tylko dlatego, że zjadła kilka pestek granatu - oznajmiła wzburzona Poppy. - Nikt jej nie uprzedził, jakie są zasady. To nieuczciwe. Jestem pewna, że niczego by nie tknęła, gdyby wiedziała, co się wydarzy.

- I nawet się nie najadła - dodała zdenerwowana Beatrix. - Ja na jej miejscu poprosiłabym o pudding albo chociaż pasztecik.

- Może wcale nie czuła się nieszczęśliwa, gdy musiała tam zostać - zasugerowała Win z błyskiem w oku. - Przecież Hades uczynił ją swoją królową. A mit głosi, że posiadał wszystkie bogactwa ziemskie.

- Zamożność męża - wtrąciła Amelia - nie zmienia faktu, że główna rezydencja Persefony znajdowała się w nieciekawym miejscu. Pomyślcie o trudnościach, jakie miałyby, gdy chciała ją wynająć poza sezonem.

Jednomyślnie się zgodziły, że Hades był okropnym łotrem.

Kev jednak doskonale rozumiał, dlaczego bóg podziemia zdecydował się porwać Persefonę, swoją oblubienicę. Pragnął dla siebie odrobiny słońca i ciepła w ponurych mrokach podziemnego pałacu.

- Członkowie twojego klanu, którzy cię porzucili na pewną śmierć - powiedziała Win, wyrывая go z zadumy - mogli znać twoje imię, a ja nie?

- Owszem. - Kev obserwował grę światła i cienia na jej twarzy. Zastanawiał się, co by czuł, gdyby przycisnął wargi do tej delikatnej, jasnej skóry.

Pomiędzy płowymi brwiami Win zarysowała się urocza zmarszczka.

- Dlaczego? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Bo jesteś gadziem. - Jego ton był znacznie czulszy niż powinien.

- Twoim gadziem.

Serce Keva ścisnęło się boleśnie. Nie należała do niego i nigdy nie będzie należeć. Chyba że w jego sercu. Przetoczył się nad nią i wstał.

- Czas wracać - rzucił szorstko. Wyciągnął rękę, ujął jej małą dłoń i poderwał dziewczynę do góry. Win wpadła na niego z impetem. Jej spódnice zatrzepotały wokół jego nóg, a szczupłe, miękkie ciało przytuliło się do niego. Rozpaczliwie zebrał całą siłę woli, aby odepchnąć ukochaną istotę.

- Spróbujesz ich odnaleźć, Merripen? - zapytała. - Odejdiesz ode mnie pewnego dnia?

Nigdy, pomyślał żarliwie.

- Nie wiem - powiedział głośno.

- Jeśli to zrobisz, pójdę za tobą. I sprowadzę cię do domu.

- Wątpię, aby człowiek, którego poślubisz, zezwolił ci na to.

Win uśmiechnęła się tak, jakby usłyszała coś absurdalnego. Odsunęła się i puściła jego rękę. Wracali do Hampshire House w milczeniu.

- Tobar? - zapytała Win po długiej chwili. - Garridan? Pało?

- Nie. - Rye? -Nie.

- Cooper?... Stanley?... -Nie.

Cała rodzina była dumna z Leo, który został przyjęty do Akademii Sztuk

Pięknych w Paryżu. Przez dwa lata studiował tam sztukę i architekturę. Jego talent był tak obiecujący, że część czesnego pokrył z własnej kieszeni wybitny londyński architekt, Rowland Tempie, proponując Leo odpracowanie długu u niego w pracowni w charakterze kreślarza po powrocie.

Leo wyrósł na spokojnego, łagodnego młodzieńca, obdarzonego wybitnym intelektem i poczuciem humoru. Jego talenty i ambicje zapowiadały kolejne sukcesy. Po powrocie do Anglii zamieszkał w Londynie, aby wypełnić swoje zobowiązania wobec Temple'a, często jednak odwiedzał rodzinę, a przy okazji zalecał się do ślicznej, ciemnowłosej Laury Dillard.

Pod jego nieobecność Kev robił, co mógł, opiekując się Hathawayami. A pan Hathaway nieraz próbował pomóc mu zaplanować przyszłość. Rozmowy te za każdym razem kończyły się jednak obopólnym zdenerwowaniem.

- Marnujesz się tutaj - perswadował pan Hathaway ze zmartwioną miną.

Kev mamrotał coś w odpowiedzi, ale jego dobroczyńca się nie poddawał.

- Musimy rozważyć twoją przyszłość. I zanim cokolwiek powiesz, pozwól mi zauważyć, że jestem świadomy tego, że Romowie żyją terazniejszością. Ale ty się zmieniłeś, Merripen. Zaszedłeś zbyt daleko, aby odrzucać to, co się w tobie pojawiło.

- Chcecie, żebym odszedł?

- Wielkie nieba, oczywiście, że nie. Mówiłem ci już nieraz, że możesz zostać z nami tak długo, jak będziesz tego chciał. Ale moim obowiązkiem jest uświadomić ci, że zostając tutaj, zaprzepaścisz szansę dalszego rozwoju. Powinieneś wyjechać w świat, tak jak Leo. Zdobycь praktykę w jakimś zawodzie, nauczyć się handlu, a może zaciągnąć do armii...

- I co bym z tego miał?

- Na początek zarobiłbyś więcej niż te marne grosze, które ja mogę ci płacić.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Ale w obecnej sytuacji nie masz środków na to, aby się ożenić, kupić szmat ziemi...

- Nie chcę się żenić. Ani posiadać ziemi. Nikt jej nie posiada.

- W oczach brytyjskiego rządu, Merripen, człowiek zdecydowanie może mieć ziemię i postawić na niej dom.

- Namiot stanie tam, gdzie zawali się pałac.

- Wolałbym się kłócić z setką uczonych niż z jednym Cyganem. Dobrze więc, zostawmy na razie tę sprawę. Ale miej na uwadze, Merripen... życie to coś więcej niż podążanie za prymitywnymi impulsami. Mężczyzna musi odcisnąć na ziemi swoje piętno.

- Dlaczego? - zapytał Kev, autentycznie zdumiony.

Mniej więcej rok po powrocie Leo z Paryża rodzinę Hathawayów spotkał nagły cios. Do tej pory żadne z nich nie doświadczyło prawdziwego smutku, strachu czy żalu. Żyli w rodzinnym kręgu chronionym pewną magią. Pewnego

wieczoru jednak pan Hathaway zaczął narzekać na osobliwe, ostre bóle w piersi, co jego żona zdiagnozowała jako niestrawność po wyjątkowo obfitej kolacji. Pan Hathaway położył się do łóżka wcześniej, z poszarzałą twarzą. Następnego ranka pogrążona we łzach pani Hathaway oznajmiła zdumionym dzieciom, że ich ojciec nie żyje.

To był wszakże dopiero początek nieszczęść. Wydawało się, że na tę rodzinę spadła klątwa, zsyłając teraz na nich tyle cierpienia, ile przeżyli szczęścia. „Nieszczęścia chodzą trójkami”, mawiał Merripen i ku jego wielkiemu rozżaleniu, tym razem owo powiedzenie miało się okazać prawdziwe.

Po pogrzebie męża pani Hathaway pogrążyła się w nieutulonym żalu. Nie jadła i nie piła, nie podnosiła się z łóżka. Starania dzieci, które próbowały ją skłonić do powrotu do normalnego życia, nie odnosiły skutku. Marniała w oczach.

- Czy można umrzeć z powodu złamanego serca? - zapytał Leo posepnie pewnego wieczoru po wizycie lekarza, gdy ten oznajmił, że nie widzi fizycznych przyczyn pogorszenia się stanu zdrowia ich matki.

- Powinna chcieć żyć chociaż dla Poppy i Beatrix - powiedziała Amelia cicho. Poppy właśnie kładła Beatrix do łóżka. - One są zbyt młode, aby zostać bez matki. Nieważne jak długo musiałabym żyć ze złamanym sercem, zmusiłabym się do tego, aby zadbać o dzieci.

- Ale ty jesteś ze stali - odparła Win, klepiąc siostrę po plecach. - Sama dla siebie jesteś źródłem siły. Obawiam się natomiast, że mama zawsze czerpała swoją siłę od ojca. - Spojrzała na Merripena pełnymi desperacji oczami. - Merripen, a co twoi zaleciliby na melancholię? Czy jest coś, cokolwiek, co mogłoby jej pomóc? Co zrobiliby twoi pobratymcy?

Kev potrząsnął głową i odwrócił wzrok do ognia.

- Zostawiliby ją w spokoju. Romowie obawiają się nadmiernej żaloby.

- Dlaczego?

- Bo prowokuje zmarłych do powrotu i nawiedzania żyjących.

Wszyscy czworo umilkli, wsłuchani w syk i trzaski ognia.

- Mama chce być z tatą - powiedziała w końcu Win w zadumie. - Gdziekolwiek on się znajduje. Ma złamane serce. Chciałabym się mylić. Zamieniłabym się z nią na życia, serca, gdyby to tylko było możliwe. Chciałabym... - Urwała, gdy dłoń Keva zacisnęła się nagle na jej ramieniu.

- Nie mów tak - mruknął. Pamiętał na tyle dużo ze swojej przeszłości, aby wiedzieć, że takie słowa kuszą los.

- Dlaczego? - szepnęła.

Bo to nie swoje serce oddajesz. Twoje serce należy do mnie, pomyślał z pasją. Do mnie.

Nie powiedział tego na głos, ale Win go zrozumiała. Jej oczy rozszerzyły się i pociemniały, a na policzki wystąpiły rumieńce. I właśnie wtedy, w obecności brata i siostry, pochyliła głowę i przycisnęła policzek do dłoni Keva.

Pragnął ją pocieszyć, pokryć jej twarz pocałunkami, otoczyć Win swoją

siłą. Zamiast tego uwolnił ostrożnie jej ramię i spojrzał nieufnie na Amelię i Leo. Ona wyciągała właśnie kilka polan z kosza przy kominku, aby dorzucić je do okna. On natomiast wpatrywał się intensywnie w Win.

Nie minęło sześć miesięcy od śmierci pana Hatha-waya, gdy pani Hathaway została złożona w grobie obok niego. Zanim rodzeństwo zdołało pogodzić się z nagłym odejściem rodziców, uderzyła w nie trzecia tragedia.

- Merripen. - Win stała na progu domu, wahając się, czy wejść do środka. Miała tak osobliwy wyraz twarzy, że Kev od razu poderwał się na nogi.

Był śmiertelnie zmęczony i brudny, bo właśnie wrócił po całym dniu pracy od sąsiada, któremu pomagał w stawianiu ogrodzenia i bramy. Musiał wykopać doły na słupy w ziemi, a ta już stwardniała z powodu przymrozków. Usiadł przy stole, gdzie Amelia próbowała doczyścić sukienkę Poppy piórkiem zamoczonym w terpentynie. Chemiczny zapach wgryzł mu się w nozdrza, gdy gwałtownie wciągnął powietrze. Po twarzy Win poznał, że stało się coś bardzo złego.

- Spędziłam dzień z Laurą i Leo - oznajmiła Win. - Laura się rozchorowała... Narzekała na głowę i gardło, odprowadziliśmy ją więc do domu, a jej rodzice posłali po lekarza. To szkarlatyna.

- O Boże - westchnęła Amelia z pobladłą twarzą. Wszyscy troje zamilkli z przerażenia.

Nie było choroby, która atakowałaby gwałtowniej i szybciej się rozprzestrzeniała. Objawiała się drobną, plamistą, czerwoną wysypką i siała w organizmie przerażające spustoszenia. Zarazki znajdowały się w wydychanym powietrzu, we włosach, na skórze chorego. Jedynym sposobem, aby się przed nimi uchronić, była izolacja pacjenta.

- Jest pewien? - zapytał Kev opanowanym głosem.

- Tak, objawy były jednoznaczne. Powiedział też, że...

- Urwała, gdy Kev się podniósł. - Nie, Merripen! - Wyciągnęła przed siebie szczupłą, białą dłoń z tak rozpaczliwym zdecydowaniem, że przystanął. - Nikt nie może się do mnie zbliżać. Leo został z Laurą. Nie opuści jej. Powiedzieli mu, że może zostać, a ty... musisz wziąć Poppy, Beatrix i Amelię, i odwieźć do naszych krewnych w Hedgerley. Nie ucieszą się z wizyty, ale je przyjmą i...

- Ja nigdzie się nie wybieram - oznajmiła Amelia spokojnie, choć głos jej lekko drżał. - Jeśli dostaniesz szkarlatyny, będziesz mnie potrzebować.

- Ale jeśli się zarazisz...

- Przechodziłam łagodnie tę chorobę, gdy byłam mała. To chyba znaczy, że nic mi już teraz nie grozi.

- A Leo?

- Obawiam się, że on nie. Co znaczy, że ryzykuje.

- Amelia spojrzała na Keva. - Merripen, czy ty...

- Nie wiem.

- Powinieneś więc zostać z dziewczynkami, dopóki to się nie skończy. Pójdiesz po nie? Bawią się przy strumieniu. Ja je spakuję.

Kev nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby zostawić chorą Win. Nie miał jednak wyboru. Ktoś musiał odwieźć jej siostry w bezpieczne miejsce.

Nie minęła nawet godzina, a Kev znalazł Beatrix i Poppy, zapakował je do powozu i zawiózł do Hedgerley. Zanim powierzył je kuzynostwu i wrócił do wioski, było już dobrze po północy.

Zastał Amelię przy kominku, w koszuli nocnej i szlafroku. Jej włosy opadały w grubym warkoczu na plecy. Siedziała z pochylonymi ramionami przy ogniu.

Zaskoczona poderwała głowę, gdy Kev wszedł do domu.

- Nie powinienes tu być. Niebezpieczeństwo...

- Jak ona się czuje? - przerwał jej Kev. - Są już oznaki choroby?

- Dreszcze, ból głowy. Temperatura jeszcze się me podniosła, o ile wiem. Może to dobry objaw. Może to znaczy, że przebieg choroby będzie lekki.

- Są jakieś wieści od Dillardów? Od Leo? Amelia pokręciła głową.

- Win powiedziała, że postanowił spać w saloniku i siedzieć przy niej, gdy tylko mu pozwolą. To nie jest do końca właściwe, ale jeżeli Laura... cóż, jeśli tego nie przeżyje... - Głos jej się zaczął łamać, urwała więc, by przełknąć łzy. - Podejrzewam, że gdyby miało dojść do najgorszego, nie będą chcieli pozbawiać Laury ostatnich chwil z ukochanym mężczyzną.

Kev usiadł obok niej i w ciszy przypominał sobie te wszystkie komunały, które prawili sobie gadziowie w takich chwilach. O wytrwaniu, godzeniu się z wolą Wszchemogącego i światach znacznie lepszych niż ten. Nie mógł się jednak zmusić, aby powtórzyć to Amelii. Jej cierpienie było zbyt porażające, jej miłość do rodzeństwa zbyt wielka.

- To za wiele. - Usłyszał po chwili jej szept. - Nie zniosę kolejnej straty. Tak się boję o Win. I o Leo. - Potarła dłonią czoło. - Pewnie mówię teraz jak najgorszy tchórz?

Kev potrząsnął głową.

- Musiałabyś być szalona, żeby się o nich nie bać. Usłyszał jej cichy śmiech.

- W takim razie zdecydowanie nie jestem szalona.

Do rana Win miała już wysoką gorączkę; leżała, poruszając niespokojnie nogami pod pledem. Kev podszedł do okna i rozchylił zasłony, wpuszczając do pokoju słabe światło świtu.

Obudziła się, gdy podszedł do łóżka. Jej niebieskie oczy były ogromne w rozpalonej twarzy.

- Nie - wychrypiała, próbując się od niego odsunąć. - Nie powinienes tu być. Nie podchodź bliżej, bo się zarazisz. Odejdź, proszę...

- Cicho - przerwał jej Kev, siadając na materacu. Przytrzymał Win, gdy próbowała się cofnąć, i przyłożył dłoń do jej czoła. Pod delikatną skórą poczuł palące pulsowanie, żyły rozpalala szalejąca gorączka.

Gdy Win próbowała go odepchnąć, Kev ze zdumieniem zauważył, jaka

zrobiła się słaba. Tak szybko.

- Nie - załkała, wrywając się. Po jej policzkach popłynęły łzy. - Proszę, nie dotykaj mnie. Nie chcę, żebyś tu był. Nie chcę, żebyś zachorował. Proszę, odejdz...

Kev przyciągnął ją do siebie; jej ciało pod cienką koszulą nocną paliło go jak żywy płomień. Jasne, jedwabiste włosy rozsypały się na ramiona. Ujął jej twarz w mocne, zniszczone walką na pięści dłonie.

- Jesteś szalona - powiedział drżącym głosem - jeśli myślisz, że cię teraz zostawię. Dopilnuję, żebyś wyzdrowiała. Za wszelką cenę.

- Ja tego nie przeżyję - szepnęła.

Keva poraziły te słowa i jego własna reakcja na nie.

- Umrę - dodała - i nie zabiorę cię ze sobą.

Kev przygarnął ją jeszcze bliżej, jej nierówny oddech muskał mu twarz. Wrywała się z całych sił, ale jej nie puszczał. Oddychał otaczającym ją powietrzem, wciągając je głęboko do płuc.

- Przestań - prosiła, rozpaczliwie próbując się odsunąć; twarz jej pociemniała z wysiłku. - To szaleństwo... Och, ty uparty głupcze, puść mnie!

- Nigdy. - Kev gładził jej potargane, miękkie włosy, ciemniejące w miejscach, gdzie padały łzy. - Leż spokojnie - wyszeptał. - Nie przemęczaj się. Odpoczywaj.

Przestała się wrywać, zrozumiałwszy w końcu, że to bezcelowe.

- Jesteś taki silny - powiedziała tonem nie podziwu, lecz potępienia. - Taki silny...

- Tak - odparł Kev, wycierając jej twarz rogiem prześcieradła. - Jestem brutalem, ale ty zawsze o tym wiedziałaś, prawda?

- Tak - szepnęła.

- Będziesz więc robić, co ci każę. - Przytulił Win i podał jej wodę.

Upiła kilka łyków.

- Nie mogę - zdołała wyszeptać z trudem, odwracając twarz.

- Jeszcze. - Uniósł ją, przyciskając filizankę do jej ust.

- Pozwól mi zasnąć, proszę...

- Jak wypijesz więcej.

Nie ustąpił, dopóki go nie posłuchała. Potem ułożył ją na poduszkach, pozwolił jej chwilę podrzemać i wrócił z grzanką namoczoną w bulionie. Zmusił Win do zjedzenia kilku łyżek.

Gdy tylko Amelia się obudziła, pobiegła do pokoju siostry. Gwałtownie zamruwała na widok Win opierającej się na ramieniu Keva, który ją karmił.

- Zabierz go - poprosiła chora ochryłym głosem. - Dręczy mnie.

- Cóż, od zawsze wiedzieliśmy, że to diabeł - odparła Amelia spokojnym tonem, stając przy łóżku. - Jak śmiesz, Merripen? Męczysz bezbronną dziewczynę, karmiąc ją tostem.

- Gorączka się wzmaga - powiedział, zauważając wysypkę, która wystąpiła

na szyi i policzkach Win. Jej jedwabista skóra stała się grudkowata i czerwona. Poczul na plecach dłoni Amelii, która zacisnęła się kurczowo na jego koszuli. Jakby musiała się go przytrzymać, żeby zachować równowagę.

Jej głos był jednak pogodny i spokojny.

- Zrobię wody z sodą. To powinno ukoić swędzenie, kochanie.

Kev poczuł dla niej wielki podziw. Nieważne, jakie dotykały ich tragedie, Amelia zawsze gotowa była stawić im czoło. Ze wszystkich Hathawayów to ona okazała dotychczas najwięcej siły charakteru. A to Win powinna być silniejsza i bardziej wytrzymała, jeśli ma przeżyć nadchodzące dni.

- Ty ją wykąpiesz - powiedział do Amelii - a ja pojedę po doktora.

Nadal nie ufał lekarzom gadziów, ale wiedział, że to może je obie uspokoić. Chciał też sprawdzić, jak sobie radzą Leo i Laura.

Przekazał Win pod opiekę Amelii i udał się do domu Dillardów. Pokojówka, która otworzyła mu drzwi, powiadomiła go, że Leo nie może teraz wyjść.

- Jest z panienką Laurą - powiedziała łamiącym się głosem, ocierając twarz fartuchem. - Ona już nikogo me poznaje; prawie postradała zmysły. Bardzo szybko słabnie.

Merripen poczuł ból, gdy bezwiednie zacisnął pięści, wbijając paznokcie w dłonie. Win nigdy nie dorównywała siłami i zdrowiem Laurze Dillard; miała słabszy organizm. Jeśli stan Laury pogarszał się tak szybko, mało prawdopodobne było, aby Win przetrzymała tę samą gorączkę.

Myśli Keva poszybowały ku Leo, który nie był jego prawdziwym bratem, ale przecież należał do najbliższych mu osób. Leo kochał nieprzytomnie Laurę Dillard i z pewnością nie zdoła spokojnie zaakceptować jej śmierci. Kev coraz bardziej się o niego martwił.

- Jaki jest stan pana Hathawaya? Czy są już jakieś objawy choroby?

- Nie, proszę pana. Nie sędę. Nie wiem – odrzekła niepewnie.

Spuściła pełne łez oczy i wtedy Kev zrozumiał, że Leo nie miewa się najlepiej. Należałoby zabrać go do domu i położyć do łóżka, aby zachował siły na nadchodzące dni, Merripen wiedział jednak, że byłoby okrucieństwem pozbawiać go ostatnich chwil z ukochaną.

- Kiedy ona odejdzie - rzucił obcesowo - odeślijcie go do domu. Ale niech nie jedzie sam. Niech ktoś przyprowadzi go pod same drzwi Hathawayów. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana.

Leo wrócił do domu dwa dni później.

- Laura nie żyje - oznajmił i stracił przytomność z gorączki i żalu.

Rozdział 4

Szkarlatyna, która przeszła przez wieś, była szczególnie złośliwą odmianą choroby; siała spustoszenie zwłaszcza wśród osób bardzo młodych i wiekowych. Do opieki nad chorymi nie wystarczało już lekarzy, a nikt spoza Primrose Place nie odważył się tu przyjechać. Po wizycie w wiosce wyczerpany lekarz przepisał obojgu Hathawayom okłady z gorącego octu na gardło. Zostawił także roztwór akonitu. Te lekarstwa nie pomogły jednak ani Win, ani Leo.

- Za mało robimy - oznajmiła Amelia czwartego dnia. Prawie w ogóle nie spała, na zmianę z Kevem opiekując się rodzeństwem. Właśnie weszła do kuchni, gdzie Kev gotował wodę na herbatę. - Jedyne, co dotychczas osiągnęliśmy, to to, że czynimy ich chorobę nieco mniej bolesną. Ale przecież musi być coś, co obniży gorączkę. Nie dopuszczę, by odeszli. - Stała sztywno, z drzeniem wyrzucając z siebie słowo za słowem, jakby próbowała zmobilizować siły do walki.

Wyglądała tak bezbrinnie, że Keva zalała fala współczucia. Nie lubił, gdy go dotykano, i sam nie dotykał innych ludzi, ale braterskie uczucie popchnęło go ku najstarszej z rodzeństwa.

- Nie - powstrzymała go Amelia, gdy zobaczyła, że wyciągnął do niej rękę.

Cofnęła się o krok i stanowczo potrząsnęła głową. - Ja... ja nie jestem typem kobiety, która chciałaby się na kims oprzeć. Rozpadłabym się na kawałki. Kev zrozumiał. Dla takich jak ona i on bliskość oznaczała zbyt wiele.

- Co jeszcze możemy zrobić? - szepnęła, obejmując się mocno rękami.

Kev potarł zmęczone powieki.

- Słyszałaś kiedyś o roślinie, która się nazywa wilcza jagoda?

- Nie. - Amelia знаła jedynie zioła używane w kuchni.

- Kwitnie tylko w nocy. Gdy wschodzi słońce, kwiaty umierają. Był w moim klanie *adrabengro*, zielarz. Czasami posyłał mnie po rośliny, które trudno znaleźć. Powiedział mi kiedyś, że wilcza jagoda to najpotężniejsze ziele, jakie zna. Może zabić człowieka, ale też go wyrwać z objęć śmierci.

- Widziałeś kiedyś, jak komuś pomogła?

Kev kiwnął głową i spojrział na Amelię z ukosa, pocierając zeszywniałe mięśnie karku.

- Widziałem, jak leczono nią gorączkę - mruknął. I czekał.

- Idź po nią - powiedziała w końcu Amelia drżącym głosem. - Wprawdzie może zabić, ale bez tego środka oni oboje umrą na pewno.

Kev znalazł wilczą jagodę w rogu wiejskiego cmentarza; ugotowali z niej gęsty, czarny wywar. Amelia stała obok, gdy Kev odcedził niebezpieczny płyn i

wlał go do kieliszka.

- Leo pierwszy - oznajmiła Amelia stanowczo, choć na jej twarzy widać było powątpiewanie. - Jest w znacznie gorszym stanie niż Win.

Podeszli do jego łóżka. To nie do uwierzenia, jak szybko stracił siły, wychudł i zmarniał. Jeszcze do niedawna tak przystojna twarz Leo była nie do poznania, obrzmiała, spuchnięta i blada. Ostatnie składne zdanie padło z jego ust poprzedniego dnia, gdy błagał Keva, by pozwolili mu umrzeć. Jego życzenie miało się wkrótce spełnić; wszystko wskazywało na to, że od śmiertelnego snu dzielił go godzina, jeśli nie minuty.

Amelia podeszła do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając do środka chłodne powietrze, które usunęło zapach octu.

Leo jęczał i szarpał się niespokojnie, ale nie zdołał się przeciwstawić Kewowi, który przemocą rozchylił mu wargi, uniósł łyżeczkę i wlał cztery czy pięć kropli wywaru na suchy, spękany język chorego.

Amelia usiadła przy bracie, pogłaskała jego zmierzwione włosy i ucałowała skroń.

- Gdyby to miało... wywołać odwrotny skutek... - odezwała się, a Kev od razu zrozumiał, o co chodzi - jak długo to potrwa?

- Pięć minut do godziny. - Ręka Amelii zadrżała, ale dziewczyna ani na chwilę nie przestała gładzić brata po włosach.

Była to najdłuższa godzina w ich życiu. Siedzieli, obserwując chorego, który rzucał się na łóżku i jęczał przez sen, jak gdyby mu się śniły najgorsze koszmary.

- Biedaczysko - szepnęła Amelia, ocierając mu twarz chłodnym ręcznikiem.

Gdy się upewnili, że nie jest z nim gorzej, Kev wziął ze stołu kieliszek z wywarem i wstał.

- Idziesz teraz do Win? - zapytała Amelia, nie odrywając wzroku od brata.

-Tak.

- Potrzebujesz pomocy? Kev pokręcił głową.

- Zostań z Leo.

Wszedł do pokoju Win, która leżała na łóżku cicha i nieruchoma. Już go nie poznawała, jej ciało i umysł pochłaniały czerwone fale gorączki. Gdy ją uniósł i oparł jej głowę na swoim ramieniu, wzdrygnęła się w proteście.

- Win - powiedział łagodnie. - Kochanie, nie wrywaj się. - Słyszac jego głos, uniosła powieki. - Jestem tutaj - szepnęła. Podniósł łyżeczkę i włożył ją do kieliszka. - Otwórz usta, kochanie. Zrób to dla mnie. - Odmówiła. Odwróciła twarz, a jej usta zaczęły się poruszać w bezgłośnym szepcie.

- Co mówisz? - mruknął, biorąc ją pod brodę. - Win, musisz wziąć lekarstwo.

Znów coś szepnęła.

Merripen zrozumiał jej słowa i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Weźmiesz je, jeśli ci zdradzę swoje imię? Walczyła o każdy dźwięk.

-Tak.

Jego gardło się zacisnęło, a kąciaki oczu zaczęły płonąć.

- Kev - zdołał wykrztusić. - Mam na imię Kev. Pozwoliła, by wsunął jej łyżeczkę między wargi, i atramentowa trucizna spłynęła do gardła Win.

Oparła się o niego rozluźniona. Jej kruche ciało było lekkie i gorące jak płomień.

Podążę za tobą, pomyślał, dokądkolwiek się udasz.

Win była jedyną kobietą na świecie, której pragnął. Nie odejdzie sama.

Pochylił się i dotknął wargami jej suchych, rozpalonych ust.

Pocałunek, którego nie poczuła i którego nie będzie pamiętać.

Posmakował trucizny, ale się nie wycofał. Podniósł głowę i spojrzał na stół nocny, na którym stała resztką naparu z wilczej jagody. Dawka wystarczająca, aby powalić zdrowego mężczyznę.

Wydawało się, że jedyne, co wstrzymywało duszę Win przed opuszczeniem ciała, to mocne ramiona Keva. Przytulił więc dziewczynę do piersi i łagodnie kołysał. Przez chwilę chciał się pomodlić, nie mógł jednak błagać o łaskę nadprzyrodzonej istoty, która zagroziła, że mu odbierze ukochaną.

Jego świat skurczył się do tego cichego, zacienionego pokoju, szczupłego ciała, które ścisnął w ramionach, oddechu, który delikatnie unosił jej pierś. Merripen towarzyszył jej rytmem swojego oddechu i biciem serca. Odchylił się na poduszki i odpłynął w mroczny letarg, czekając na ich wspólne przeznaczenie. Nieświadomy upływu czasu trwał tak z Win w ramionach, aż obudził go ruch i blask światła na progu.

- Merripen - usłyszał ochrypły głos Amelii. Stała w drzwiach ze świecą.

Kev na oślep dotknął policzka Win, przyłożył dłoń do jej czoła i opanował go straszliwy lęk, gdy jego palce dotknęły chłodnej skóry. Potem wyczuł puls na jej szyi.

- Gorączka opadła - powiedziała Amelia. Kev prawie jej nie słyszał, tak szumiała mu w uszach krew. - Leo wyzdrowieje.

Słabe, lecz miarowe uderzenia serca Win przywracały mu życie i cały wszechświat.

Rozdział 5

London, rok 1849

Pojawienie się Cama Rohana w rodzinie Hathawayów oznaczało zupełnie nową sytuację. Zadziwiające, jak jedna osoba może wszystko zmienić. A przy tym ogromnie irytujące.

Chociaż przecież teraz Keva drażniło dosłownie wszystko. Win wyjechała do Francji, nie miał więc powodu, aby być miłym czy choćby uprzejmym. Jej nieobecność sprawiała, że wciąż chodził rozdrażniony, jak dzikie zwierzę pozbawione towarzyski. Cały czas pragnął być blisko niej, a świadomość, że Win znajduje się gdzieś, gdzie nie może jej dotknąć, była nie do zniesienia.

Zapomniał już, jakie to uczucie, gdy opanuje cię ponura nienawiść do świata i jego mieszkańców. Przypominało mu się dzieciństwo, w którym nie zaznał niczego prócz przemocy i cierpienia. A jednak Hathawayowie oczekiwali, że będzie się zachowywał tak, jak zwykle, będzie uczestniczył w życiu rodziny i udawał, że Ziemia nadal się kręci.

Jedynie, co powstrzymało go przed szaleństwem, to świadomość tego, czego Win by sobie dla niego życzyła.

Chciałaby, aby zatroszczył się o jej siostry. I powstrzymał się od zamordowania nowego szwagra.

Kev nie mógł po prostu znieść tego drania.

Cała reszta rodziny go uwielbiała. Cam Rohan zdobył Amelię, zadeklarowaną starą pannę, w ciągu kilku tygodni. Uwiódł ją, czego Kev wciąż jeszcze nie mógł mu wybaczyć. Amelia była jednak niewiarygodnie szczęśliwa ze swoim mężem, mimo że ten miał w połowie rzymskie korzenie.

Nikt z nich nie spotkał nigdy wcześniej nikogo takiego jak Rohan, którego pochodzenie było równie tajemnicze jak Keva. Przez większą część życia Rohan pracował w domu gry dla dżentelmenów, u Jennera, a w końcu awansował na zarządzającego tym przybytkiem i otrzymywał procent od zysków. Przytłoczony pomnażającą się fortuną, inwestował w najgorsze przedsięwzięcia, aby oszczędzić sobie hańby, jaką dla Cygana było bogactwo. Nic jednak nie pomagało, pieniądze cały czas spływały, a każda najbardziej nawet absurdalna inwestycja przynosiła krociowe zyski. Rohan nazywał to z zakłopotaniem swoim szczęśliwym przekleństwem.

Wkrótce jednak majątek Rohana okazał się bardzo przydatny, bo sprawowanie opieki nad Hathawayami wymagało wielkich wydatków. Ich

rodzinną posiadłość w Hampshire, którą rok wcześniej odziedziczył wraz z tytułem Leo, spłonęła do cna i teraz była odbudowywana. Poppy potrzebowała nowej garderoby na swój pierwszy londyński sezon, a Beatrix chciała uczyć się na pensji. A do tego wszystkiego dochodziły jeszcze rachunki za leczenie Win. Jak Rohan wytknął kiedyś Kewowi, mógł wiele zrobić dla Hathawayów i z tego powodu ten powinien go tolerować.

I dlatego Kev go znosił. Z wielkim trudem.

- Dzień dobry - oznajmił Rohan radośnie, wchodząc do jadalni ich apartamentu w hotelu Rutledge. Śniadanie już trwało. W przeciwieństwie do pozostałych, Rohan nie był rannym ptaszkiem, bo spędził większość życia w domu gry, pracując nocami. Miejski Cygan, pomyślał Kev z pogardą.

Świeżo ogolony i ubrany w strój gadziów, Rohan odznaczał się niezwykłą, egzotyczną urodą. Miał ciemne, nieco zbyt długie włosy i nosił diamentowy kolczyk w uchu. Był szczupły i sprężysty, poruszał się zręcznie. Zanim zajął miejsce obok Amelii, pochylił się nad nią i pocałował ją w czubek głowy. Jego żona zarumieniła się na tę otwartą demonstrację uczucia. Jeszcze nie tak dawno temu z pewnością potępiłaby takie zachowanie. Teraz tylko się zawstydziała.

Kev spojrzał gniewnie na swój talerz.

- Nadal jesteś śpiący? - usłyszał, jak Amelia pyta Rohana.

- W tym tempie nie obudzę się do południa.

- Powinieneś spróbować kawy.

- Nie, dziękuję. Nie znoszę tego świństwa.

- Merripen pije mnóstwo kawy - wtrąciła Beatrix.

- Uwielbia kawę.

- Oczywiście, że tak - odparł Rohan. - Kawa jest przecież ciemna i gorzka. -

Uśmiechnął się, gdy Kev spojrzał na niego ostrzegawczo. - Jak ci minął poranek, *phraP*.

- Nie nazywaj mnie tak. - Choć Kev nie podniósł głosu, na dźwięk jego ostrego tonu wszyscy zamarli.

- Idziemy dzisiaj do krawcowej, Poppy, Beatrix i ja - powiedziała po chwili Amelia, zmieniając temat.

- Wrócimy chyba dopiero na kolację. - Gdy zaczęła wyliczać suknie, kapelusze i drobiazgi, które są im teraz potrzebne, Kev poczuł uścisk małej dłoni Beatrix.

- Nie smuć się - szepnęła dziewczynka. - Ja też za nimi tęsknię.

Najmłodsza, szesnastoletnia panna Hathaway znalazła się teraz w punkcie pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Łagodna i skłonna do psot, była równie ciekawa jak zwierzątka, które przygarniała. Odkąd Amelia poślubiła Rohana, Beatrix prosiła ich, aby zezwolili jej wyjechać na pensję. Kev podejrzewał, że naczytała się powieści, których bohaterki zdobywały maniery i ogładę właśnie w „akademiach dla młodych panien”. Wątpił jednak szczerze, aby szkoła okazała się właściwym miejscem dla nieznoszącej ograniczeń Beatrix.

Najmłodsza z siostr puściła jego dłoń i z uwagą zaczęła się przysłuchiwać rozmowie, której tematem były teraz najnowsze inwestycje Rohana.

Punktem honoru i swoistą grą stało się dlań znalezienie przedsięwzięcia, które przyniosłoby porażkę. Jego ostatnią próbą był zakup londyńskiej manufaktury gumowej stojącej na skraju bankructwa. Jednak gdy tylko Rohan dokonał zakupu, fabryka uzyskała prawa patentowe do procesu wulkanizacji i wprowadziła na rynek coś, co nazywało się gumki recepturki. Ludzie kupowali je teraz na tony.

- To na pewno będzie katastrofa - mówił Cam. - Dwóch braci, kowali z zawodu, wymyśliło pojazd napędzany siłą mięśni. Nazywają go welocypedem. To dwa koła osadzone w stalowej ramie, które poruszają się dzięki pedałom naciskanym stopami.

- Tylko dwa koła? - powtórzyła zdumiona Poppy. - Jak na czymś takim utrzymuje się równowagę?

- Jadący balansuje swoim środkiem ciężkości, siadając nad kołami.

- A jak się to włącza?

- I co ważniejsze - zapytała Amelia kpiąco - jak się to zatrzymuje?

- Balansując ciałem w kierunku ziemi? - zasugerowała Poppy.

Cam się roześmiał.

- Pewnie tak. Oczywiście, niedługo ruszymy z produkcją. Westcliff mówi, że nigdy jeszcze nie widział tak katastrofalnego przedsięwzięcia. Welocyped wygląda na diabelnie niewygodny i wymaga zmysłu równowagi, którego nie mają zwykli ludzie. Nie będzie tani ani praktyczny. W końcu, kto przy zdrowych zmysłach chciałby pedałowac po ulicy na dwukołowym pojeździe, jeśli może dosięść konia?

- Wygląda to na świetną zabawę - napomknęła tęsknie Beatrix.

- Nie jest to pojazd dla kobiet - wytknęła jej Poppy.

- Dlaczego nie?

- Spódnice by nam przeszkadzały.

- Dlaczego więc musimy chodzić w spódnicach? - zapytała Beatrix. -

Uważam, że spodnie byłyby znacznie wygodniejsze.

Amelia spojrzała na nią z przyganą i rozbawieniem.

- Takie poglądy najlepiej zachować dla rodziny, moja droga. - Podniosła szklankę z wodą i skinęła nią w kierunku męża. - Za twoją pierwszą porażkę. - Uniosła brwi. - Mam nadzieję, że nie stracisz całej swojej fortuny przed naszą wizytą u krawcowej.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Na pewno nie. Nie musisz oszczędzać, *monisha*.

Gdy śniadanie dobiegło końca, panie opuściły jadalnię. Siadając z powrotem na krzesła, Rohan przyglądał się Kewowi, który ruszył za nimi.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał leniwie. - Umówiłeś się z krawcem? Masz zamiar dyskutować o ostatnich wydarzeniach politycznych w kawiarni?

- Jeśli chcesz mnie zirytować - odparł Kev - nie musisz się wysilać. Osiągasz swój cel samym oddychaniem.

- Wybacz. Spróbowałbym wykorzenić ten brzydki nałóg, ale za bardzo się do niego przywiązałem. - Rohan wskazał dłonią krzesło. - Dotrzyмай mi towarzystwa, Merripen. Musimy omówić kilka spraw.

Kev zmierzył go gniewnym spojrzeniem, lecz usiadł.

- Nie jesteś zbyt rozmowny - zauważył Rohan.

- Lepsze to, niż wypełniać czas pustą paplaniną.

- Zgadzam się. Przejdę więc od razu do rzeczy. Leo... lord Ramsay... jest w Europie, a pod jego nieobecność jego posiadłość, sprawy finansowe i trzy siostry powierzono dwóm Romom. Nie nazwałbym tego idealnym układem. Gdyby istniał choć cień nadziei, że Leo dojdzie do siebie w Anglii, nalegałbym, aby został, i wysłałbym z Win do Francji Poppy.

Leo był jednak w beznadziejnym stanie i obaj o tym wiedzieli. Był ruiną człowieka, pijakiem i karciarzem. Załamał się po śmierci Laury Dillard i choć w końcu zaczynał się godzić z losem, miał przed sobą jeszcze długą drogę do wyzdrowienia na duszy i ciele.

- Naprawdę wierzysz - zapytał Kev głosem pełnym pogardy - że Leo zgłosi się do kliniki na leczenie?

- Nie. Ale będzie trzymał się blisko, aby mieć oko na Win. A to posiadłość na uboczu, gdzie znacznie trudniej o kłopoty. Poprzednim razem, gdy studiował architekturę, dobrze się czuł we Francji. Może powrót tam pozwoli mu wziąć się w garść.

- Albo - odparł ponuro Kev - zaszyje się gdzieś w Paryżu i będzie topił smutki w alkoholu i z prostytutkami.

Rohan wzruszył ramionami.

- Przyszłość Leo spoczywa w jego własnych rękach. Bardziej martwi mnie sytuacja tutaj. Amelia uważa, że Poppy powinna mieć swój sezon, a Beatrix chciałaby pojechać do szkoły. Odbudowa posiadłości w Hampshire musi być kontynuowana. Trzeba oczyścić ruiny, a ziemia...

- Wiem, co trzeba zrobić.

- To znaczy, że się tym zajmiesz? Będziesz dozorował architektów, murarzy, kamieniarzy i stolarzy?

Kev spojrział na niego wrogo.

- Nie pozbędziesz się mnie. I prędzej mnie piekło pochłonie, niż zgodzę się u ciebie pracować, odpowiadać przed tobą czy...

- Zaraz. - Rohan uniósł dłonie w uspokajającym geście, a złote pierścionki zabłyśły na jego palcach. - Na miłość boską, przecież nie próbuję się ciebie pozbyć. Proponuję ci partnerstwo. Szczerze mówiąc, mnie również ta perspektywa nie cieszy, ale tak wiele jest do zrobienia. A osiągniemy więcej, współpracując, niż ciągle na siebie warcząc.

Kev podniósł ze stołu nóż i przesunął palcami po tępej krawędzi i misternie

zdobionej rączce.

- Chcesz, żebym jechał do Hampshire i pilnował robót, a sam zostaniesz w Londynie z kobietami.

- Możesz kursować tam i z powrotem, jeśli sobie życzysz. Ja będę od czasu do czasu przyjeżdżał do Hampshire, aby sprawdzać postępy prac. - Rohan spojrzął na niego przenikliwie. - Przecież nic cię nie trzyma w Londynie?

Kev potrząsnął głową.

- Czyli postanowione?

Merripen nie chciał się do tego przyznać, ale plan Rohana miał dla niego pewien urok. Kev nienawidził Londynu, brudu, hałasu, zatłoczonych budynków, smogu i zgiełku. Tęsknił za wsią. A myśl o odbudowaniu posiadłości... o ciężkiej pracy aż do skrajnego zmęczenia... To by mu dobrze zrobiło. Poza tym lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, co należy zrobić w posiadłości Ramsaya.

- Chcę wprowadzić pewne ulepszenia także w gospodarstwie - powiedział na głos, odkładając nóż. - Trzeba zreperować bramy i ogrodzenia. Wykopać rowy i kanały melioracyjne. A dzierżawcy nadal posługują się cepami i sierpami, bo nie mają maszyn. Posiadłość powinna mieć własną piekarnię, żeby ludzie nie musieli jeździć do wioski po chleb. I...

- Zgadzą się, cokolwiek postanowisz - oświadczył pospiesznie Rohan, wykazując typowy dla londyńczyka brak zainteresowania tymi sprawami. - Nowi dzierżawcy bez wątpienia przysłużą się posiadłości.

- Wiem, że zatrudniłeś już architekta i budowniczych. Od teraz to do mnie będą się zwracać z pytaniami. Chcę też mieć dostęp do ksiąg posiadłości. I zamierzam dobrać sobie ludzi i zarządzać nimi bez twojego wtrącania się.

Rohan uniósł brwi, słysząc zdecydowanie w głosie Keva.

- Cóż, nie znałem cię od tej strony, *chal*.

- Przystajesz na moje warunki?

- Tak. - Rohan wyciągnął rękę. - Uściśniemy sobie dłonie?

Kev wstał, ignorując pokojowy gest tamtego.

- Nie ma takiej potrzeby.

Rohan błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Merripen, czy to byłoby naprawdę takie straszne, gdybyś spróbował się ze mną zaprzyjaźnić?

- Nigdy nie będziemy przyjaciółmi. W najlepszym razie jesteśmy wrogami, których łączy wspólny cel.

Rohan nadal się uśmiechał.

- Podejrzewam, że rezultat byłby taki sam. - Poczekał, aż tamten podejdzie do drzwi i dodał: - A tak przy okazji, zamierzam zbadać sprawę tych tatuaży. Jeśli coś nas łączy, chcę się dowiedzieć co.

- Poradzisz sobie beze mnie - odparł Kev lodowatym tonem.

- Dlaczego? Nie jesteś ciekawy?

- Ani trochę.

- Nic cię nie wiąże z przeszłością ani z Romami, nie wiesz, dlaczego w dzieciństwie ktoś cię naznaczył tym rysunkiem. Czego więc się boisz? - drążył Rohan.

- Masz ten tatuaż równie długo jak ja. I niewiele więcej o nim wiesz. Po co teraz się tym zajmować?

- Ja... - Rohan nieświadomie potarł ramię w miejscu, w którym widniał tajemniczy znak. - Zawsze zakładałem, że to był kaprys mojej babki. Nigdy mi nie wyjaśniła, skąd mam ten tatuaż ani co on oznacza.

- A wiedziała?

- Podejrzewam, że tak. - Jego rozmówca pokiwał głową. - Ona wiedziała wszystko. Była potężną zielarką i wierzyła w *Biti Foki*.

- Leśne duszki? - Kev wykrzywił pogardliwie usta. Rohan się uśmiechnął.

- Tak. Zapewniała mnie, że wiele z nich sama widuje. - Wyraz rozbawienia znikł z jego twarzy. - Gdy miałem dziesięć lat, babka mnie odesłała. Powiedziała, że grozi mi niebezpieczeństwo. Mój kuzyn Noah przywiózł mnie do Londynu i pomógł mi znaleźć pracę w domu gry. Od tamtej pory nie spotkałem nikogo z mojego rodu. - Rohan urwał, a jego twarz spochmurniała. - Zostałem wygnany i nawet nie wiem za co. Nie miałem powodu przypuszczać, że ten tatuaż ma z tym jakiś związek. Aż spotkałem ciebie. Łączą nas dwie rzeczy, *phral*: jesteśmy wyrzutkami i zostaliśmy naznaczeni irlandzkim symbolem. Myślę, że gdy dowiemy się czegoś więcej, obu nam to pomoże.

Przez następne miesiące Kev przygotowywał posiadłość Ramsaya do odbudowy. Zima w Stony Cross i okolicach była łagodna. Pastwiska pokrył szron, a brzegi rzek Avon i Itchen zamarły. Potem na wierzbach pojawiły się baze, miękkie i puszyste jak ogonek jagnięcia, a gałęzie dereni się zaczerwieniły, ożywiając bladoszary krajobraz.

Ludzie zatrudnieni przez Johna Dashiella, przedsiębiorcę, który miał odbudowywać Ramsay, byli pracownicy i wydajni. Pierwsze dwa miesiące poświęcili na oczyszczanie ruin domu, wywieźli zwęglone drewno, resztki kamieni i gruzu. Małą stróżówkę przy drodze dojazdowej odnowiono i przystosowano do zamieszkania.

Gdy w marcu ziemia odtajała, zaczęto odbudowę głównego budynku. Kev był przekonany, że wszystkich uprzedzono, iż prace będą nadzorowane przez Roma, bo ku jego zdziwieniu nikt nie zgłaszał wobec niego żadnych zastrzeżeń. Dashiell, pragmatyk, który do wszystkiego doszedł własną pracą, jak gdyby nie zastanawiał się, czy jego klientem jest Anglik, Rom czy też ktokolwiek inny, dopóki rachunki były płacone na czas.

Pod koniec lutego Kev odbył dwunastogodzinną podróż ze Stony Cross do Londynu. Otrzymał list od Amelii, z którego dowiedział się, że Beatrix zrezygnowała ze szkoły. Wprawdzie Amelia napisała, że wszystko w porządku, ale Kev chciał się osobiście o tym przekonać. Już od dwóch miesięcy nie widział siostr Hathaway i sam był zdumiony, jak bardzo się za nimi stęsknił.

Uczucie to było odwzajemnione. Gdy tylko zjawił się w apartamencie hotelu Rutledge, Amelia, Poppy i Beatrix powitały go z ogromną radością. Znosił ich wesołe okrzyki i pocałunki z szorstką pobłażliwością, ale w duchu radowało go tak ciepłe powitanie.

Usadowili się w saloniku: Kev z Amelią na sofie, Cam i Poppy na najbliższych krzesłach, a Beatrix na podnóżku u stóp Merripena. Wszystkie wyglądają bardzo dobrze, uznał, tak elegancko ubrane i uczesane, z ciemnymi włosami upiętymi do góry, z wyjątkiem Beatrix, która wciąż nosiła warkocze.

Amelia często się śmiała i promieniała radością, którą mogło dać tylko szczęśliwe małżeństwo. Poppy wyrastała na prawdziwą piękność; miała delikatne rysy twarzy i gęste, kasztanowe włosy... cieplejsza, bardziej dostępna wersja eterycznej doskonałości Win. Tylko Beatrix była wychudzona i przybita. Każdemu, kto jej nie znał, mogła się wydawać normalną, radosną dziewczyną, Kev dostrzegł jednak w jej twarzy oznaki napięcia i zdenerwowania.

- Co się wydarzyło w szkole? - zapytał wprost. Najmłodsza z sióstr z chęcią zaczęła wylewać przed nim swoje żale.

- Och, Merripen, to wszystko moja wina. Szkoła była okropna. Znienawidziłam ją. Zaprzyjaźniłam się z jedną czy dwiema dziewczynkami i przykro było z nimi się rozstać. Ale w ogóle nie mogłam się porozumieć z nauczycielami. Zawsze mówiłam nieodpowiednie rzeczy, zadawałam niewłaściwe pytania...

- Okazało się - wtrąciła z ironią Amelia - że metody pedagogiczne Hathawayów nie są tam mile widziane.

- Pokłóciłam się kilka razy - kontynuowała Beatrix - bo niektóre dziewczęta mówiły, że ich rodzice nie pozwalają im się ze mną przyjaźnić, ponieważ mam w rodzinie Cyganów, więc ja też mogę być w części Cyganką. Powiedziałam im, że nie jestem, a nawet gdybym była, to żaden powód do wstydu i nazwałam je snobkami, a potem było dużo drapania i ciągnięcia za włosy.

Kev zaklął pod nosem. Wymienił ponure spojrzenie z Rohanem. Ich obecność w rodzinie stanowiła obciążenie dla sióstr Hathaway... ale nie było na to lekarstwa.

- A potem wrócił mój problem.

Wszyscy zamilkli. Kev wyciągnął rękę i uściśnął dłoń dziewczyny.

- *Chavi* - mruknął. Było to pieszczotliwe określenie dla młodej kobiety w romani. Rzadko używał starego języka, Beatrix spoglądała więc na niego ze zdumieniem.

Jej problem objawił się po raz pierwszy po śmierci ojca i powracał od czasu do czasu pod wpływem niepokoju i stresu. Beatrix kradła różne rzeczy, zazwyczaj drobiazgi, takie jak ołówki, zakładki do książek czy sztucce. Czasami nawet tego nie pamiętała, ale zawsze potem miała ogromne poczucie winy i starała się niepostrzeżenie wszystko zwrócić.

Kev spojrzał na nią ciepło.

- Co zabrałaś, mała fretko? - zapytał łagodnie. Popatrzyła na niego z przygnębieniem.

- Wstążki do włosów, grzebienie, książki... drobiazgi. Próbowałam wszystko odłożyć na miejsce, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd wzięłam te rzeczy. Wybuchła wielka awantura i musiałam się przyznać. Poproszono mnie, żebym opuściła szkołę. I teraz już nigdy nie będę damą.

- Ależ oczywiście, że będziesz - wtrąciła natychmiast Amelia. - Znajdziemy ci guwernantkę, co powinniśmy byli od początku zrobić.

Beatrix spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Nie sądzę, aby jakaś naprawdę dobra guwernantka, zgodziła się u nas pracować.

- Och, przecież wcale nie jesteśmy tacy źli... - zaczęła Amelia.

- Owszem, jesteśmy - poinformowała ją Poppy. - Jesteśmy odmieńcami, Amelio. Zawsze ci to mówiłam. Byliśmy nimi, jeszcze zanim wprowadziłaś do rodziny pana Rohana. - Spojrzała kątem oka na Cama. - Bez obrazy, drogi szwagrze.

W jego oczach mignęło rozbawienie.

- Nie obrażam się.

Poppy zwróciła się do Keva.

- Nieważne, jak trudno będzie nam znaleźć odpowiednią guwernantkę, musimy to zrobić. Potrzebuję pomocy. Mój sezon to pasmo katastrof, Merripen.

- Minęły dopiero dwa miesiące. Chyba za wcześnie, by mówić o katastrofie?

- Podpieram ściany.

- Niemożliwe.

- Nawet gorzej. Żaden mężczyzna nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Kev spojrzał na Rohana i Amelię z niedowierzaniem. Taka piękna, inteligentna panna jak Poppy powinna mieć przecież konkurentów na pięćki.

- Co jest nie tak z tymi gadziami? - zapytał zdumiony.

- To sami głupcy - odpowiedział mu Rohan. - Nigdy nie zmarnują okazji, by to udowodnić.

Kev spojrzał na Poppy i postanowił przejść do sedna sprawy.

- To przez Cyganów w rodzinie? Dlatego nikt się o ciebie nie stara?

- Cóż, to oczywiście mi nie pomaga - przyznała Poppy - ale problem polega głównie na tym, że nie umiem się zachowywać w towarzystwie. Bezustannie popełniam gafy. Okazało się, że w ogóle nie umiem rozmawiać. Oczekują ode mnie, żebym fruwała z tematu na temat lekko jak motyl. To niełatwe, i w dodatku całkiem pozbawione sensu. A dżentelmeni, którzy zmuszą się i w końcu do mnie podejną, po pięciu minutach szukają wymówki, aby uciec. Flirtują i mówią najgłupsze rzeczy, a ja zupełnie nie wiem, co im odpowiadać.

- I tak żadnego z nich bym dla niej nie chciała - stwierdziła rzeczowo Amelia. - Gdybyś tylko mógł ich zobaczyć, Merripen! Nigdy wcześniej nie

widziałam równie bezużytecznej trzody puszących się pawi.

- Powinnaś ich chyba nazwać stadem pawi - podpowiedziała Poppy. - Nie trzoda.

- Banda ropuch - dodała Beatrix.

- Kolonia pingwinów - włączyła się Amelia.

- Wataha pawianów. - Poppy się roześmiała.

Kev też się uśmiechał, choć do jego serca wkradł się niepokój. Poppy zawsze marzyła o sezonie w Londynie. Taki obrót spraw musiał być dla niej druzgocącym rozczarowaniem.

- Zapraszano cię na przyjęcia? - zapytał. - Potańcówki... kolacje...

- Bale i wieczorki. Tak, dzięki życzliwości lorda West-cliffa i lorda St. Vincenta otrzymujemy zaproszenia. Ale to, że mogę wejść do czyjś salonu, nie czyni ze mnie pożądanego towarzystwa, Merripen. Daje mi tylko okazję, bym podpieraała ściany, gdy wszyscy inni tańczą.

Kev zmarszczył brwi i spojrzał na Amelię i Rohana. - I co zamierzacie zrobić?

- Przerwiemy sezon Poppy - odparła Amelia - i powiemy wszystkim, że po namyśle doszliśmy do wniosku, że jest jeszcze zbyt młoda, by bywać w towarzystwie.

- Nikt w to nie uwierzy - wtrąciła Beatrix. - Przecież Poppy ma prawie dziewiętnaście lat.

- Nie musisz mówić o mnie, jakbym była obsypaną brodawkami staruchą, Bea - odgryzła się *siostrze* Poppy.

- A przede wszystkim - kontynuowała cierpliwie Amelia - znajdziemy guwernantkę, która nauczy Poppy i Beatrix dobrych manier.

- Lepiej, żeby była dobra - powiedziała Beatrix, wyciągając z kieszeni biało-czarną świnkę morską i przytulając ją do policzka. - Wiele pracy przed nami. Prawda Nibbles?

Niedługo później Amelia wzięła Keva na stronę. Sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła z niej małą, białą kopertę. Podała mu ją, spoglądając na niego z uwagą.

- Win pisała listy również do nas i oczywiście je także powinieneś przeczytać. Ale ten był zaadresowany wyłącznie do ciebie.

Niezdolny wydusić z siebie słowa, Kev zacisnął palce na zapieczętowanej woskiem kopercie.

Wrócił do swojego pokoju, który na jego własne życzenie był oddzielony od innych pomieszczeń, usiadł przy małym stoliku i z wielką ostrożnością złamał pieczęć.

Zobaczył znajome pismo Win, drobne, precyzyjnie skreślone litery.

Drogi Kevie,

mam nadzieję, że mój list znajdzie Cię w dobrym zdrowiu. W zasadzie nie mogę sobie wyobrazić Ciebie inaczej. Każdego ranka budzę się w tym miejscu, które wydaje mi się zupełnie innym światem, i dziwię się na nowo, jak daleko

jestem od mojej rodziny. I Ciebie.

Podróż przez kanał była męcząca, a droga lądowa nawet bardziej. Jak wiesz, marny ze mnie podróżnik, ale Leo się mną zaopiekował. Teraz rezyduje niedaleko stąd, w małym chateau jako płatny gości odwiedza mnie co drugi dzień...

Dalej Win opisywała klinikę, cichą i skromną. Pacjenci cierpieli na różne schorzenia, ale głównie na płuca.

Zamiast faszerować ich lekami i trzymać pod dachem, jak to czyniła większość lekarzy, doktor Harrow zalecał im ćwiczenia, zimne kąpiele, mikstury wzmacniające i prostą, zdrową dietę. Przymuszanie pacjentów do ćwiczeń było kontrowersyjną metodą leczenia, lecz według doktora Harrowa ruch to podstawowa czynność wszystkich żywych stworzeń.

Pacjenci rozpoczynali więc każdy dzień od spaceru, czy słońce, czy deszcz, po którym następowała godzina ćwiczeń w sali gimnastycznej, gdzie wspinali się po drabinkach i podnosili ciężary. Na razie Win nie radziła sobie z ćwiczeniami, bo szybko brakło jej tchu, dostrzegała jednak powolne zmiany na lepsze. Każdy pacjent miał także obowiązek ćwiczyć oddychanie na nowym przyrządzie nazywanym spirometrem, który mierzył ilość wdychanego i wydychanego powietrza.

Opis kliniki i pacjentów był znacznie dłuższy, ale Kev tylko przebiegł po nim wzrokiem. I w końcu dotarł do ostatnich akapitów.

Od mojej choroby starcza mi sił na niewiele rzeczy poza kochaniem, a okazję do tego wykorzystywałam i nadal wykorzystuję w pełni. Przepraszam, jeśli moje zachowanie tamtego ranka Cię zszokowało, jednak nie żałuję, że dałam wyraz swoim uczuciom.

Biegnę za Tobą i życiem w szalonym pościgu. W moich marzeniach i Ty, i ono pewnego dnia przystaniecie i pozwolicie się złapać. To marzenie pomaga mi przetrwać noce. Chciałabym powiedzieć Ci tak wiele, ale jeszcze nie jestem zdrowa.

Mam nadzieję, że pewnego dnia poczuję się na tyle dobrze, aby znów Cię zszokować, z bardziej zadowolającym rezultatem.

Zalączęm sto pocałunków. Musisz je uważnie policzyć i nie zgubić ani jednego.

Twoja Winnifred

Kev rozłożył arkusik na stole, wygładził brzegi i przesunął palcami po delikatnych liniach pisma. Przeczytał list jeszcze dwa razy.

Potem jego dłoń zamknęła się na papierze i cisnęła go do kominka, w którym płonął niewielki ogień.

Na jego oczach list zaczął się tlić, biel obróciła się w popiół, a słowa, które

posłała mu Win, zniknęły.

Rozdział 6

*Londyn,
Wiosna 1851 roku*

Nareszcie Win wracała do domu. Kliper z Calais właśnie przybijał do portu z ładownią wypełnioną luksusowymi towarami oraz workami listów i paczek królewskiej poczty. Statek był średniej wielkości, z siedmioma przestronnymi kabinami dla pasażerów, obitymi łukowatymi panelami i pomalowanymi na lśniący odcień florenckiej bieli.

Win stała na pokładzie i obserwowała, jak załoga zwija takielunek i cumuje okręt. Pasażerowie wkrótce mieli zacząć schodzić na ląd.

Z podniecenia zaciskało jej się gardło i prawie nie mogła oddychać. Powracała do Londynu zupełnie odmieniona. Zastanawiała się, jak jej rodzina przywita te zmiany. Oni także musieli się zmienić: Amelia i Cam byli małżeństwem już od dwóch lat, Poppy i Beatrix zaczęły bywać na salonach.

A Merripen... Win odrzuciła od siebie myśli o nim - były zbyt poruszające, aby poświęcać im się poza zaciszem sypialni.

Obserwowała las masztów dookoła, bezkresne połacie nabrzeży i molo, ogromne składy tytoniu, wełny i wina. Wszędzie panował ruch: kłębili się marynarze, pasażerowie, agenci celni, tragarze, pojazdy i żywe zwierzęta. Powietrze było gęste od nadmiaru zapachów kóz i koni, przypraw, soli z oceanu, smoły i butwiejącego drewna. A nad tym wszystkim unosiły się dymy z kominów i opary węgla, ciemniejące w zapadającej nad miastem nocy.

Win zatęskniła za Hampshire, gdzie zieleniły się łąki pełne pierwiosnków oraz stokrotek i rozkwiwały żywopłoty. Z tego, co pisała Amelia, wynikało, że odbudowa Ramsay nie została jeszcze zakończona, ale dom nadawał się już do zamieszkania. Prace posuwały się naprzód w imponującym tempie pod kierunkiem Merripena.

Trap został opuszczony i zabezpieczony. Win obserwowała, jak pierwsi pasażerowie schodzą na ląd i kątem oka dostrzegła wysoką, prawie tyczkowatą sylwetkę brata, który szedł w jej kierunku.

Francja wywarła dobry wpływ na ich oboje. Win przybrała na wadze, a Leo pozbył się pijackiej opuchlizny. Spędzał wiele czasu na wolnym powietrzu, spacerując, malując i pływając. Jego ciemne włosy rozjaśniły się od słońca, a blada cera nabrała ciemniejszej barwy. Żywe, jasnoniebieskie oczy wyróżniały się w opalonej twarzy.

Win wiedziała, że jej brat już nigdy nie będzie tym pełnym uroku,

beztroskim chłopcem, którym był przed śmiercią Laury Dillard. Ale też nie wyglądał już jak wrak człowieka, co bez wątpienia ogromnie ucieszy resztę rodziny.

Po chwili Leo wspiął się z powrotem na trap. Podszedł do Win z kpiącym uśmiechem i mocniej wcisnął kapelusz na głowę.

- Czy ktoś nas oczekuje? - zapytała Win skwapliwie. - Nie.

Win zmarszczyła czoło.

- To znaczy, że nie otrzymali mojego listu. - Posłali do domu wiadomość, że wrócą kilka dni wcześniej ze względu na zmianę rozkładu rejsów liniowych.

- Twój list przykleił się pewnie do samego dna jakiegoś worka pocztowego. Nie martw się, Win. Pojedziemy do Rutledge dorożką. To niedaleko.

- Jaki to będzie dla nich szok, gdy się zjawimy tak bez uprzedzenia!

- Nasza rodzina uwielbia niespodzianki. A przynajmniej jest do nich przyzwyczajona.

- Zaskoczy ich również to, że przyjechał z nami doktor Harrow.

- Jestem pewien, że nie będą mieli nic przeciwko temu - odparł Leo. Po chwili uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Przynajmniej większość z nich.

Zanim dotarli do hotelu Rutledge, zapadł zmierzch. Leo wynajął pokoje i zajął się bagażami, gdy Win i doktor Harrow czekali w przestronnym holu.

- Zapewne chcecie przywitać się z rodziną bez świadków - oznajmił lekarz.

- Ja i mój służący pójdziemy teraz na górę.

- Będzie nam bardzo miło, jeśli zostaniesz - powiedziała Win, w głębi duszy ciesząc się, gdy doktor pokręcił odmownie głową.

- Tylko bym przeszkadzał.

- Ale zobaczymy się jutro? - zapytała.

- Tak. - Wstał, patrząc na nią z lekkim uśmiechem na ustach.

Doktor Julian Harrow był eleganckim, świetnie zbudowanym czarującym mężczyzną. Miał ciemne włosy, szare oczy i zdecydowane rysy twarzy, co sprawiało, że każda z jego pacjentek trochę się w nim zakochiwała. Jedna z kobiet powiedziała kiedyś żartem, że urok Harrowa działa nie tylko na mężczyzn, kobiety i dzieci, ale także na instrumenty, meble i złotą rybkę, która pływała w kulistym akwarium.

A Leo ujął to jeszcze trafniej:

- Harrow nie wygląda jak lekarz, lecz jak kobieca fantazja o lekarzu. Podejrzewam, że połowa jego pacjentek to zadurzone kobiety, które przeciągają chorobę, byle tylko on wciąż je leczył.

- Zapewniam cię - odpowiedziała Win ze śmiechem - że ja nie jestem ani zadurzona w nim, ani zainteresowana przeciąganiem mojej choroby.

Musiała jednak przyznać, że trudno nie żywić gorętszych uczuć do mężczyzny tak atrakcyjnego i troskliwego, który w dodatku ją wyleczył. Podejrzewała też, że jej uczucia są odwzajemnione. Zwłaszcza w ostatnim roku,

gdy w pełni wróciła do zdrowia, Julian traktował ją jak kogoś więcej niż tylko pacjentkę. Chodzili na długie spacery w niezwykle romantycznej scenerii Prowansji, śmiali się i flirtowali. Jego zaloty koły jej zranione serce po tym, jak Merripen tak bezdusznie ją potraktował.

Ostatecznie Win pogodziła się z tym, że jej uczucie do Merripena nie będzie odwzajemnione. Wypłakała się nawet na ramieniu Leo. Jej brat powiedział wtedy, że niewiele jeszcze w życiu widziała, a o mężczyznach nie wie nic.

- Nie sądzisz, że twoje przywiązanie do Merripena to przede wszystkim efekt waszej bliskości? - zapytał ją wtedy łagodnie. - Spójrz na to obiektywnie, Win. Nie macie ze sobą nic wspólnego. Ty jesteś uroczą, wrażliwą, wykształconą dziewczyną, a on... on jest po prostu Merri-penem. Dla rozrywki rąbie drewno na opał. Żałuję, że to mnie przypadł obowiązek uświadomienia ci tej niedelikatnej prawdy, ale są pary doskonale dobrane w sypialni, lecz nigdzie indziej.

Jego bezpośredniość tak zszokowała Win, że aż łzy stanęły w jej oczach.

- Leo Hathaway, czy sugerujesz...

- Teraz już: lordzie Ramsay, proszę - poprawił ją żartobliwie.

- Lordzie Ramsay, czy ty sugerujesz, że moje uczucia do Merripena są natury wyłącznie cielesnej?

- Na pewno nie intelektualnej - odparł Leo i uśmiechnął się, gdy Win uderzyła go w ramię.

Po namyśle musiała jednak przyznać bratu rację. Oczywiście Merripen był znacznie bardziej inteligentny i wykształcony, niż się wydawało Leo. Odkąd sięgała pamięcią, toczyli ze sobą zagorzałe dyskusje, a Merripen znał grekę i łacinę lepiej niż ktokolwiek w rodzinie, poza ich ojcem. Zyskał jednak te umiejętności, aby dopasować się do Hathaway ów, a nie dlatego, że chciał zdobyć wykształcenie.

Merripen był człowiekiem natury; pragnął ziemi i nieba. Był tylko w połowie ucywilizowany. Różnili się od siebie jak ryba i ptak.

Julian ujął jej dłoń w szczupłe, delikatne palce.

- Winnifred - powiedział łagodnie - teraz, poza kliniką, twoje życie nie będzie już tak uregulowane. Musisz o siebie dbać. Pamiętaj, aby porządnie wypocząć, choćby nawet kusiły cię zabawy do rana.

- Dobrze, panie doktorze - odparła z uśmiechem. Wezbrała w niej fala uczucia, gdy przypomniła sobie pierwszy raz, kiedy udało jej się wspiąć na drabinkę podczas ćwiczeń. Julian asekurował każdy jej krok i szeptał jej do ucha słowa zachęty: „Jeszcze troszkę wyżej, Winnifred. Nie pozwolę ci upaść”. Nie robił niczego za nią. Tylko na nią uważał, gdy wspinała się do góry.

- Denerwuję się - wyznała bratu Win, gdy podążali do apartamentu Hathawayów na drugim piętrze.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna. Bo wszyscy się zmieniliśmy.

- Najważniejsze rzeczy pozostały bez zmian. - Leo ujął ją za łokieć. - Ty

wciąż jesteś tak samo uroczą dziewczyną, jak byłaś. A ja wciąż jestem hulaką, lubującym się w mocnych trunkach i spódniczkach.

- Leo. - Win spojrzała na brata, marszcząc lekko czoło. - Chyba nie planujesz powrotu do swoich starych nawyków?

- Postaram się unikać pokus, chyba że staną mi na drodze. - Przystanął na półpiętrze. - Chcesz chwilę odpocząć?

- Ależ skąd - odparła Win z entuzjazmem. - Uwielbiam chodzić po schodach. Uwielbiam robić wszystko, czego dotychczas nie mogłam. Od teraz będę żyć pełnią życia.

Leo uśmiechnął się szeroko.

- Powinnaś wiedzieć, że to życzenie w przeszłości wielokrotnie wpędziło mnie w tarapaty.

Win z przyjemnością rozglądała się wokół. Tak długo żyła w surowym otoczeniu kliniki Harrowa, że teraz cieszyła ją ta odrobina luksusu.

Elegancki, nowoczesny i niezwykle wygodny Rutledge należał do tajemniczego Harry'ego Rutledge'a, na temat którego krążyło tyle plotek, że nie było nawet z całą pewnością wiadomo, czy to Brytyjczyk, czy Amerykanin. Wiedzano tylko, że przez jakiś czas mieszkał w Ameryce, a przyjechał do Anglii, by otworzyć tu hotel, który łączył w sobie wytworną tradycję Europy z innowacyjnością Amerykanów.

Rutledge był pierwszym hotelem, w którym każdy pokój został wyposażony we własną łazienkę. Posiłki przewożono specjalnymi windami, a w sypialniach były szafy wnękowe. Znajdowały się tu prywatne sale spotkań ze szklanymi sufitami, ogrody zaprojektowane jak pokoje na wolnym powietrzu, a także najpiękniejsza jadalnia w Anglii, ozdobiona tak dużą liczbą kryształowych żyrandoli, że sufit w niej wzmocniono dodatkowo, aby podolał ciężarowi.

Dotarli do drzwi apartamentu Hathawayów, a Leo zastukał lekko.

Usłyszeli ruch. Drzwi uchyliły się i stanęła w nich młoda, jasnowłosa pokojówka, która uważnie im się przyjrzała.

- Czym mogę służyć, proszę pana? - zapytała Leo.

- Chcielibyśmy zobaczyć się z panem i panią Rohan.

- Proszę wybaczyć, ale właśnie udali się na spoczynek.

Już dosyć późno, pomyślała przybita Win.

- Powinniśmy wrócić do siebie i pozwolić im spać - powiedziała na głos. - Przyjdziemy rano.

Leo spojrzał na pokojówkę z lekkim uśmiechem i zapytał miękko, łagodnym głosem:

- Jak masz na imię, dziecko?

Jej brązowe oczy rozszerzyły się, a na policzki wystąpił rumieniec.

- Abigail, proszę pana.

- Abigail - powtórzył. - Powiedz pani Rohan, że przyjechała jej siostra i pragnie się z nią zobaczyć.

- Dobrze, proszę pana. - Pokojówka zachichotała i zostawiła ich w drzwiach.

Win spojrzała ostro na brata, który pomógł jej zdjąć pelerynę.

- Nigdy nie przestanę cię zadziwiać twoim wpływem na kobiety.

- Większość kobiet czuje niezrozumiały pociąg do rozpustników - powiedział z żalem. - Naprawdę nie powinienem wykorzystywać tego przeciwko nim.

Ktoś wszedł do saloniku. Leo zobaczył znajomą sylwetkę Amelii, otuloną niebieskim szlafrokiem i towarzyszącego jej Cama Rohana, uroczo potarganego, w rozpiętej koszuli i spodniach.

Na widok rodzeństwa Amelia przystanęła i spojrzała na nich oczami wielkimi jak spodki. Uniosła do piersi białą dłoń.

- To naprawdę wy? - zapytała niepewnie.

Win próbowała się uśmiechnąć, ale nie zdołała, tak bardzo drżały jej wargi. Była ciekawa, jak wygląda w oczach Amelii, która ostatni raz widziała ją jako kruchą inwalidkę.

- Wróciłam do domu - powiedziała łamiącym się głosem.

- Och, Win! Marzyłam... miałam nadzieję... - Amelia urwała i do niej podbiegła. Padły sobie w objęcia.

Win zamknęła oczy i westchnęła, czując, że w końcu jest w domu. Moja siostra! Upajała się mocnym uściskiem Amelii.

- Jesteś taka piękna - powiedziała Amelia, gładząc dłońmi jej mokre policzki. - Taka zdrowa i silna. Och, spójrzcie na tę dziewczynę. Cam, spójrz na nią!

- Wspaniale wyglądasz - rzekł Rohan z błyszczącymi oczami. - Lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, siostrzyczko. - Delikatnie ją objął i pocałował w czoło. - Witaj w domu.

- Gdzie Poppy i Beatrix? - zapytała Win, kurczowo uczeplona ramienia Amelii.

- W łóżkach, ale zaraz je obudzę.

- Nie, pozwól im spać - odparła Win szybko. - Nie zostaniemy długo, oboje jesteśmy zmęczeni, ale musiałam cię zobaczyć, zanim pójdę się położyć.

Amelia spojrzała na Leo, który czekał przy drzwiach. Odetchnęła głośno, gdy zobaczyła, jakie zaszły w nim zmiany.

- A oto mój dawny Leo - powiedziała miękko.

Win zdumiała się, widząc na twarzy brata zazwyczaj pełnej kpiny, przebłysk wzruszenia, jakby go zawstydziła radość płynąca z tego spotkania.

- Będiesz miała teraz powód do narzekań - oznajmił Amelia - bo jak widzisz, wróciłem.

Podbiegła do niego i uścisnęła go mocno.

- Francuzi cię nie chcieli?

- Wręcz przeciwnie, uwielbiali mnie. Nie ma jednak nic interesującego w

mieszkanu tam, gdzie jest się mile widzianym.

- Szkoda - odparła Amelia, stając na palcach i całując brata w policzek. - Bo tu jesteś bardzo mile widziany.

Leo z uśmiechem wyciągnął rękę, aby przywitać się ze szwagrem.

- Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć zmiany, o których pisałeś. Posiadłość kwitnie, jak mniemam.

- Będziesz mógł jutro o wszystko wypytać Merripena - odparł Rohan lekko.

- Zna tam każdy skrawek ziemi, nazwisko każdego służącego i dzierżawcy. Ostrzegam jednak, że na ten temat może mówić całymi godzinami.

- Jutro? - powtórzył Leo, rzucając szybkie spojrzenie Win. - Jest więc w Londynie?

- Nawet tu, w Rutledge. Przyjechał do agencji, aby zatrudnić więcej służby.

- Tak wiele mu zawdzięczam - powiedział Leo z niezwykłą jak na niego szczerością w głosie - i tobie również, Rohan. Diabli wiedzą, czemu tak wiele dla mnie zrobiliście.

- Jesteśmy rodziną.

Gdy obaj pograżyli się w rozmowie, Amelia pociągnęła Win na sofę przy kominku.

- Poprawiłaś się na twarzy - powiedziała, uważnie śledząc zmiany w wyglądzie siostry. - Twoje oczy nie są zmęczone, a figurę masz wspaniałą.

- Koniec z gorsetami - odparła Win z uśmiechem.

- Doktor Harrow twierdzi, że uciskają płuca, wymuszają nienaturalne ułożenie kręgosłupa i osłabiają mięśnie pleców.

- Skandal! - zawołała Amelia z roześmianymi oczami.

- Żadnych gorsetów nawet przy oficjalnych okazjach?

- Pozwala nosić je bardzo rzadko, i to luźno zasnurowane.

- I co jeszcze mówi doktor Harrow? - Amelia najwyraźniej świetnie się bawiła. - Ma jakieś zdanie na temat pończoch i podwiązek?

- Możesz go o to sama zapytać. Przyjechał z nami.

- Wspaniale. Ma tu do załatwienia jakieś sprawy?

- Nic o tym nie wiem.

- Skoro jest w Londynie, będzie się zapewne spotykał z krewnymi i przyjaciółmi?

- Tak, to również, ale... - Win się zarumieniła. - Julian wyraził chęć spędzenia ze mną czasu poza kliniką.

Amelia otworzyła usta ze zdumienia.

- Julian! - powtórzyła. - Czy on się o ciebie stara, Win? .

- Nie jestem pewna. Nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia, ale tak mi się wydaje.

- Lubisz go?

Win bez wahania skinęła głową.

- Nawet bardzo.

- W takim razie ja na pewno też go polubię. I cieszę się, że będę miała okazję osobiście podziękować mu za to, co dla ciebie zrobił.

Uśmiechnęły się do siebie, szczęśliwe z ponownego spotkania. Po chwili jednak Win pomyślała o Merripenie, jej puls przyspieszył, a nerwy napięły się jak postronki.

- Jak on się miewa, Amelio? - zapytała w końcu szeptem.

Amelia nawet nie musiała pytać, kogo ma na myśli.

- Merripen się zmienił - zaczęła ostrożnie - prawie tak ogromnie jak ty i Leo. Cam mówi, że to, co zrobił w majątku, jest więcej niż imponujące. Kierowanie pracami budowlanymi, rzemieślnikami i służbą czy rekultywacja farm dzierżawców wymagają wielu umiejętności. A Merripen tego dokonał. Kiedy sytuacja tego wymagała, sam zdejmował płaszcz i brał się do pracy. Zdobył szacunek wszystkich, nikt nie ośmiela się kwestionować jego poleceń.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła Win. - Zawsze był bardzo utalentowany. Ale co masz na myśli, mówiąc, że się zmienił?

- Stał się... twardy.

- Bezlitosny? Stanowczy?

- Tak, i taki odległy. Wszystkie te osiągnięcia w ogóle go nie cieszą, nie ma w życiu żadnych radości. Wiele się nauczył, ma autorytet i wygląda teraz stosownie do swojej nowej pozycji, ale wydaje się przy tym jeszcze mniej cywilizowany niż dawniej. Myślę, że... - Urwała niezdecydowanie. - Może pomoże mu ponowne spotkanie z tobą. Zawsze miałaś na niego dobry wpływ.

Win opuściła dłonie i wbiła wzrok w kolana.

- Nie sądzę. Wątpię, abym miała na niego jakikolwiek wpływ. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że w ogóle go nie obchodzi.

- Nie obchodzisz? - powtórzyła Amelia i roześmiała się dziwnie. - Nie, Win, tego bym nie powiedziała. Każda wzmianka o tobie przykuwa jego uwagę.

- Ja sądzę go po czynach. - Win westchnęła i potarła zmęczone oczy. - Z początku naprawdę cierpiałam, gdy nie odpowiadał na moje listy. Potem byłam zła. A teraz czuję się głupio.

- Dlaczego, kochanie? - zapytała Amelia z troską. „Bo kochałam, a tę miłość ciśnięto mi w twarz. Bo zmarnowałam morze łez na zimnego, nieczułego brutala. Bo pomimo to nadal pragnę go zobaczyć”.

Win potrząsnęła głową. Rozmowa o Merripenie poruszyła ją i zasmuciła.

- Jestem zmęczona po podróży, Amelio - powiedziała z bladym uśmiechem.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli...

- Nie, nie, idź - odparła Amelia, podnosząc siostrę z sofy i obejmując opiekuńczo ramieniem. - Leo, odprowadź Win do pokoju. Oboje jesteście zmęczeni. Jutro będziemy mieć dużo czasu na rozmowy.

- Och, ten uroczy, despotyczny ton - powiedział Leo.

- Miałem nadzieję, że uda ci się wykorzenić ten jej nawyk wykrzykiwania rozkazów jak sierżant w armii, Rohan.

-
- Uwielbiam jej wszystkie nawyki - odparł Rohan, uśmiechając się do żony.
 - W którym pokoju mieszka Merripen? - szepnęła Win do Amelii.
 - Trzecie piętro, numer dwadzieścia jeden. Ale nie wolno ci dziś do niego iść, kochanie.
 - Oczywiście, że nie. - Win uśmiechnęła się do niej.
 - Zamierzam iść prosto do łóżka.

Rozdział 7

Trzecie piętro, numer dwadzieścia jeden. Idąc ciemnym korytarzem, Win narzuciła na głowę kaptur peleryny, aby ukryć twarz.

Musiała zobaczyć Merripena, to oczywiste. Przebyła zbyt długą drogę. Pokonała wiele mil i wspięła się chyba na tysiąc drabinek w sali gimnastycznej, by do niego wrócić. Teraz, gdy znajdowali się pod jednym dachem, nie zamierzała przedwcześnie zakończyć podróży.

Hotelowe korytarze kończyły się lekkimi, wspartymi na kolumnach klatkami schodowymi, co gwarantowało dostęp naturalnego światła w ciągu dnia. Win słyszała muzykę dobiegającą gdzieś z głębi budynku. Zapewne w sali balowej albo nawet w słynnej jadalni trwał właśnie jakiś huczny bal. Harry Rutledge był nazywany hotelarzem królów, bo w swoje progi przyjmował głównie sławnych, potężnych i bogatych.

Spoglądając na tabliczki na drzwiach, Win odszukała w końcu numer dwadzieścia jeden. Poczowała ściskanie w żołądku, jej mięśnie napięły się jak postronki, na czoło wystąpił pot. Walczyła przez chwilę z rękawiczkami, ale w końcu zdjęła je i włożyła do kieszeni.

Zapukała drżącymi palcami i zamarła w oczekiwaniu, z pochyloną głową, ze zdenerwowania nie mogąc złapać tchu. Objęła się ramionami pod okrywającą jej postać peleryną.

Nie była pewna, ile czasu upłynęło, ale zdawało się jej, że trwało to całą wieczność, zanim drzwi się otworzyły.

Zanim zdołała podnieść głowę, usłyszała głos Merripena. Zapomniała już, jaki był głęboki i mroczny, jak sięgał w głąb niej.

- Nie posyłałem dzisiaj po kobietę.

Te słowa ubiegły przywitanie Win. „Dzisiaj” oznaczało, że były inne noce, kiedy po kobiety posyłał. I choć Win była naiwna, od razu pojęła, co się dzieje w hotelu pomiędzy mężczyzną a kobietą, po którą posłano.

W głowie jej szumiało od nadmiaru myśli. Nie miała prawa czynić Merripenowi wyrzutów, jeśli przez te lata zapragnął kobiety. Nie należał przecież do niej. Nie składali sobie obietnic, nie poczynili żadnych ustaleń. Nie zobowiązał się do wierności.

Nie mogła jednak przestać się zastanawiać... Ile kobiet? Ile nocy?

- Nieważne - rzucił szorstko. - Wezmę cię. Wejdz. - Potężna dłoń chwyciła Win za ramię i wciągnęła ją do środka, nie dając jej czasu, aby zaprotestowała. „Wezmę cię?”

Przeszyła ją fala gniewu i zdumienia. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić

czy powiedzieć. Nie wydawało jej się stosowne rzucić teraz kaptur i zawołać głośno: niespodzianka!

Merripen wziął ją za ladacznice - spotkanie, o którym przez tyle czasu marzyła, zamieniało się w farsę.

- Zakładam, iż uprzedzono cię, że jestem Romem.

Win przytaknęła z twarzą ukrytą w cieniu kaptura.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Zdołała pokręcić głową.

Z gardła Merripena wydobył się zupełnie inny niż dawniej cichy, ponury śmiech.

- Oczywiście, że nie. Dopóki hojnie płacę.

Zostawił ją, podszedł do okna i zasunął ciężkie, aksamitne zasłony, odcinając ich od przydymionych świateł Londynu. Pojedyncza lampa nie rozpraszała mroku pokoju.

Win spojrzała na niego szybko. To był Merripen... ale tak, jak uprzedzała Amelia, odmieniony. Schudł. Był potężny, ale bardzo szczupły. Rozpięta koszula odsłaniała brązową, gładką pierś, lśniącą wypukłościami mięśni. Z początku Win myślała, że to gra świateł - te jego ramiona i ręce. Dobry Boże, jaki stał się silny!

Najbardziej jednak zaintrygowała ją i zaskoczyła jego twarz. Nadal był przystojny jak sam diabeł, z tymi czarnymi oczami i wykrzywionymi wargami, surową linią nosa i szczęki i ostrymi kośćmi policzkowymi. Pojawiły się jednak nowe rysy: głębokie, pełne zgorzknienia zmarszczki, które biegnęły od nosa do ust, i pionowa kreska pomiędzy gęstymi brwiami. A najbardziej niepokojący był ten okrutny wyraz w oczach. Merripen wyglądał teraz jak człowiek zdolny do czynów, których dawniej nigdy by się nie dopuścił.

Kev, pomyślała z rozpaczą i zdumieniem, co się z tobą stało?

Podszedł do niej. Win zapomniała już, jak zwinnie się poruszał, jak zręczną miał sylwetkę. Szybko pochyliła głowę.

Merripen wyciągnął do niej rękę i wyczuł, że się wzdrygnęła. Musiał też zauważyć jej zmieszanie, bo powiedział obojętnym tonem:

- Jesteś nowa.

- Tak - wyszeptała ochryple.

- Nie zrobię ci krzywdy.

Poprowadził ją do stołu, stanął za nią i rozpiął klamrę jej peleryny. Ciężkie okrycie opadło, odsłaniając proste, jasne włosy, które wymknęły się ze spinek. Usłyszała jego gwałtowne westchnienie. Zastygli na chwilę w bezruchu. Win zamknęła oczy, gdy dłonie Merripena przemknęły po jej talii i biodrach. Była teraz pełniejsza, bardziej zaokrąglona w tych miejscach. Nie nosiła gorsetu, chociaż przyzwoite kobiety zawsze go wkładały. Mężczyzna mógł więc dojść tylko do jednego wniosku.

Merripen pochylił się, aby odłożyć jej pelerynę na stół, a Win poczuła, jak jego twarde ciało otarło się o nią. Jego zapach, tak świeży, bogaty i męski, sprowokował falę wspomnień. Pachniał jak wiejskie powietrze, suche liście i

zroszona deszczem ziemia. Pachniał jak Merripen.

Nie chciała być tak poruszona, lecz jej to nie dziwiło. Było w nim coś takiego, co zawsze burzyło jej spokój, sięgało do najgłębszych emocji.

Była zafascynowana, przerażona i szczęśliwa zarazem - przy żadnym innym mężczyźnie tak się nie czuła.

- Nie chcesz zobaczyć mojej twarzy? - zapytała ochryplym z emocji głosem.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś ładna, czy brzydka - padła chłodna, obojętna odpowiedź. Ale usłyszała, jak jego oddech przyspieszył, gdy Merripen położył jej dłoń na plecach i gestem polecił, by się pochyliła. Jego następne słowa zabrzmiały w jej uszach jak czarny aksamit.

- Połóż ręce na stole.

Posłuchiwała go ślepo, próbując zrozumieć, co się z nią dzieje, dlaczego pieką ją oczy, a całym jej ciałem wstrząsają dreszcze rozkoszy. Stał za nią. Jego palce sunęły pewnie w dół po jej plecach w pieszczocie, od której chciała się wygiąć w łuk jak kot. Jego dotyk budził emocje, które od dawna tkwiły w uśpieniu. Te dłonie kołły ból i opiekowały się nią, gdy była chora; wyciągnęły ją z objęć śmierci.

Teraz jednak nie dotykał jej z miłością, lecz z obojętnym kunsztem. Domyśliła się, że naprawdę zamierza ją posiadać, wziąć, jak to ujął. A po tym intymnym akcie z zupełnie obcą kobietą zamierzał ją odesłać, wciąż obcą. To było poniżej jego godności, tchórz. Czy nigdy nie pozwoli sobie na odrobinę uczucia?

Zacisnął dłoń na jej spódnicy i podciągał ją do góry. Win poczuła powiew zimnego powietrza na kostkach i nie mogła przestać sobie wyobrazać, jakby to było, gdyby pozwoliła mu na więcej.

Pobudzona i spanikowana, spojrzała na swoje ręce i zapytała:

- To teraz tak traktujesz kobiety, Kev?

Zastygł na moment, jej słowa zawisły w powietrzu.

Jej spódnice opadły; Merripen pochwyił ją w gwałtowny, bolesny uścisk i odwrócił. Bezbronna, spojrzała w jego mroczną twarz.

Była pusta, tylko oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Gdy tak na nią patrzył, jego policzki i nos pokryły się rumieńcem.

- Win - szepnął drżącym głosem.

Próbowała się do niego uśmiechnąć, ale jej wargi drżały, a oczy przysłoniły łzy przyjemności. Znow z nim być... Czuła się obezwładniona i bezsilna.

Podniósł rękę i stwardniałym kciukiem otarł wilgoć z policzka Win. Dotknął jej twarzy tak łagodnie, że dziewczyna opuściła powieki. Nie opierała się, gdy przyciągał ją bliżej. Rozchylonymi ustami scalał smugę łez i podążył za nią w dół po policzku. A potem łagodność pierzchła. Szybkim, zaborczym ruchem objął ją mocno i niemal zmiażdżył w uścisku. Jego wargi opadły na jej usta, wyciskając na nich palące, chciwe pocałunki. Smakował ją... Win uniosła ręce i przesunęła palcami po jego szorstkim zarostcie. Z gardła Merripena wyrwał się

niski dźwięk, jęk przyjemności i pożądania. Zamknął ją w swoich mocnych ramionach, a Win poczuła wdzięczność - bała się, że jej kolana całkiem odmówią posłuszeństwa.

Wreszcie Merripen spojrział na nią zdumionymi, mrocznymi oczami.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Wróciłam wcześniej. - Przeszył ją dreszcz, gdy poczuła na wargach jego gorący oddech. - Chciałam cię zobaczyć. Chciałam cię...

Znów wziął w posiadanie jej usta i nie był już delikatny. Zatonął w nich językiem, a potem ujął w dłonie twarz Win i przechylił jej głowę na bok, aby móc całować jej szyję. Win owinęła się wokół niego, zaciskając ręce na jego silnych plecach i twardych mięśniach.

Jęknął, czując na sobie jej dłonie. Sięgnął do grzebieni w jej włosach, wyjął je i zanurzył palce w długich, jedwabistych splotach. Odchylił jej głowę do tyłu, pieszcząc gładką szyję i wodząc po niej wargami, jakby chciał ją pochłonać. Jego głód rósł, oddech i puls przyspieszał, aż Win pojęła, że Merripen jest bliski utraty kontroli nad sobą.

Z zadziwiającą łatwością uniósł ją i ułożył na łóżku. Odnalazł ustami jej wargi i natarł na nie gorącymi, głębokimi pocałunkami.

Opadł na nią, przyciskając ją swym ciężarem do pościeli. Win poczuła, jak dłoń Merripena zaciska się na jej sukni podróżnej i ciągnie tak mocno, że przestraszyła się, że materiał nie wytrzyma. Kilka guzików na plecach naprężyło się i odpadło.

- Zaczekaj... zaczekaj... - szepnęła, bojąc się, że Kev porwie jej ubranie na strzępy. On był jednak zbyt oszołomiony pożądaniem, aby ją usłyszeć.

Objął dłonią miękką kulę jej piersi rysującą się pod stanikiem sukni, a wtedy sutek boleśnie stwardniał. Zdumiona Win poczuła, jak Merripen pochyla głowę i przygryza go przez materiał. Z jej ust wyrwał się jęk, a biodra instynktownie poderwały się do góry.

Merripen przetoczył się na nią. Jego twarz była pokryta potem, nozdrza drżały. Zadarł jej spódnice i ułożył się pomiędzy udami, aż poczuła jego twardą męskość przez warstwy halek. Podniosła powieki i spojrzała w rozpalone, czarne oczy Keva. Poruszył się, pozwalając jej poczuć każdy skrawek tego, czym chciał ją wypełnić. Westchnęła i otworzyła się na niego.

Wydał z siebie głuchy jęk i znów otarł się o nią, sprawiając jej niewypowiedzianą rozkosz. Chciała go powstrzymać, ale jednocześnie marzyła, aby nigdy nie przestawał.

- Kev. - Jej głos drżał. - Kev...

Nakrył wargami jej usta, a jego biodra wykonywały powolne pchnięcia. Wstrząśnięta i rozpalona, uniosła się na spotkanie jego napiętej męskości. Każdy ruch Keva zalewał ją gorącą falą.

Wiła się pod nim bezradnie, niezdolna mówić z ustami pełnymi pocałunków. Jeszcze więcej ognia, więcej rozkosznych pchnięć. Coś się działo, jej

mięśnie się zaciskały, jej zmysły otwierały, gotowe na... na co? Czuła, że zemdleje, jeśli on nie przestanie. Jej ręce chwyciły jego ramiona i odepchnęły go, ale zignorował ten słaby opór. Chwycił jej pośladki i podciągnął ją wyżej, wprost na drżącą, pulsującą twardość. Poczowała rozkosz tak ostrą, że z jej gardła wydarł się bolesny jęk.

Nagle Merripen poderwał się i cofnął na drugą stronę pokoju. Oparł ręce o ścianę, zwiesił głowę i dyszał ciężko, otrząsając się jak mokry pies.

Oszołomiona i drżąca Win wstała powoli i poprawiła ubranie na sobie. Czuła się tak rozpaczliwie, boleśnie pusta, tęskniła za czymś, czego nie potrafiła nawet nazwać. Gdy już uporządkowała suknię, podeszła na niepewnych nogach do Merripena.

Było jasne, że jest pobudzony. Boleśnie. Pragnęła znów go dotknąć. Pragnęła, by wziął ją w ramiona i powiedział jej, jak bardzo się cieszy, że wróciła. Odezwał się, zanim zdołała wyciągnąć dłoń. A jego ton nie był zachęcający.

- Jeśli mnie dotkniesz - powiedział gardłowo - zaciągnę cię z powrotem do łóżka. I nie biorę odpowiedzialności za to, co się potem wydarzy.

Win się zatrzymała i nerwowo splótła palce. W końcu Merripen odzyskał oddech. Posłał jej spojrzenie, które mogłoby zabić.

- Następnym razem - oznajmił chłodno - mogłabyś mnie uprzedzić.

- Wysłałam list. - Win była zdumiona tym, że w ogóle może coś powiedzieć. - Zapewne zaginał. - Urwała. - To było z-znacznie miłsze powitanie, niż się spodziewałam, biorąc pod uwagę to, że przez ostatnie dwa lata kompletnie mnie ignorowałeś.

- Nie ignorowałem cię. Win poratowała się ironią.

- Napisałeś do mnie raz.

Merripen odwrócił się i oparł plecami o ścianę.

- Nie potrzebowałam moich listów.

- Potrzebowałam jakiegokolwiek objawu uczucia! A ty nie dałeś mi nic. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem, gdy nie odpowiedział. - Na litość boską, Kev, nie powiesz nawet, że cieszysz się, że mnie widzisz?

- Cieszę się, że cię widzę.

- To dlaczego tak się zachowujesz?

- Bo poza tym nic się nie zmieniło.

- Ty się zmieniłeś. W ogóle cię nie poznaję.

- I tak powinno pozostać.

- Kev - zapytała zdumiona - dlaczego tak się zachowujesz? Wyjechałam, aby odzyskać zdrowie. Przecież nie możesz mnie za to winić.

- O nic cię nie obwiniam. Ale naprawdę nie wiem, czego teraz ode mnie chcesz.

Chcę, żebyś mnie kochał, pragnęła wykrzyknąć. Przebyła taką długą drogę, a jednak Kev oddalił się od niej bardziej niż kiedykolwiek.

- Powiem ci, czego nie chcę, Kev. Nie chcę być dla ciebie obca.

Na jego twarzy nie malowało się nic prócz chłodu.

- Nie jesteśmy dla siebie obcy. - Podniósł pelerynę i podał ją Win. - Włóż to. Odprowadzę cię do pokoju.

Win otuliła się starannie peleryną, spoglądając ukradkiem na Merripena, który wkładał koszulę i spodnie. Szelki podkreślały wspaniałą linię jego pleców.

- Nie musisz mnie odprowadzać - powiedziała z przygnębieniem. - Sama znajdę drogę.

- Nie będziesz samotnie spacerować po hotelu. To niebezpieczne.

- Masz rację - odparła obrażonym tonem. - Jeszcze ktoś zacząłby mnie nagabywać.

Strzała sięgnęła celu. Merripen zacisnął wargi i spojrzał na nią ostrzegawczo, wkładając surdut.

Tak bardzo przypominał jej teraz twardego, pełnego gniewu chłopca, którym był, gdy trafił do Hathawayów.

- Kev - powiedziała miękko - czy możemy znów być przyjaciółmi?

- Nigdy nie przestałem być twoim przyjacielem.

- Ale nikim więcej?

- Nie.

Nie mogąc się powstrzymać, Win spojrzała na łóżko przykryte pomietą narzutą. Poczowała nagłą falę ciepła. Merripen drgnął, podążając za jej wzrokiem.

- To nie powinno było się wydarzyć - powiedział ostro.

- Nie powinienem był... - Urwał i głośno przełknął ślinę.

- Ja nie... od jakiegoś czasu nie miałem kobiety. Znalazłaś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Jeszcze nigdy w życiu Win nie czuła takiego wstydu.

- Zareagowałbyś w ten sposób na każdą kobietę? - Tak.

- Nie wierzę ci!

- Możesz wierzyć, w co chcesz. - Podeszedł do drzwi, uchylił je i wyjrzał na korytarz. - Chodź.

- Chcę zostać. Musimy porozmawiać.

- Nie tutaj. I nie o tej porze. - Urwał. - Powiedziałem, że masz wyjść!

Ostatnie zdanie wypowiedział takim tonem, że aż wzdrygnęła się z oburzenia.

Posłuchała jednak. Zbliżyła się do niego, a Merripen naciągnął jej kaptur na głowę, zasłaniając twarz. Wyprowadził Win na korytarz i zamknął drzwi.

Podeszli w milczeniu do schodów. Była boleśnie świadoma jego dłoni, która spoczywała na jej plecach. Gdy dotarli do pierwszego stopnia, zatrzymał się.

- Weź mnie pod ramię.

Uświadomiła sobie, że chce jej pomóc pokonać schody, że tak robił zawsze. Stopnie były dla niej szczególną próbą. Cała rodzina drżała ze strachu, że Win kiedyś zemdleje, spadnie z nich i złamie kark. Merripen nosił ją, nie pozwalając, by ryzykowała.

- Nie, dziękuję - odparła teraz. - Poradzę sobie sama.

- Pod ramię - powtórzył, sięgając po jej dłoń. Win wyrwała mu się z oburzeniem.

- Nie chcę twojej pomocy. Już nie jestem inwalidką. Chociaż chyba ty wolałbyś, abym była.

Nie widziała jego twarzy, ale usłyszała, jak gwałtownie zachłysnął się powietrzem. Poczua się zawstydzona tym małostkowym atakiem, ale nie mogła przestać się zastanawiać, czy w jej stwierdzeniu nie ma choć ziarnka prawdy.

Merripen nie odpowiedział. Jeśli go zraniła, przyjął to ze stoickim spokojem. Szli po schodach osobno, w milczeniu.

Win czuła się całkowicie zagubiona. Wyobrażała sobie tę noc na setki sposobów. Ale nie tak. Podeszła do drzwi pokoju i sięgnęła do kieszeni po klucz. Merripen wyjął go z jej dłoni i otworzył drzwi.

- Wejdz do środka i zapal lampę.

Czekał na progu, gdy Win podeszła do nocnego stolika. Ostrożnie uniosła szklany klosz, podpaliła knot i założyła klosz z powrotem.

Merripen włożył klucz do zamka po wewnętrznej stronie drzwi.

- Zamknij za mną.

Win spojrzała na niego i poczuła, że w gardle wibruje jej bezsilny śmiech.

- Na tym skończyliśmy poprzednim razem, prawda? Ja ci się narzucałam, a ty mnie odtrąciłeś. Wcześniej myślałam, że rozumiem. Nie czułam się na tyle dobrze, aby móc myśleć o naszym wspólnym życiu. Ale teraz nie rozumiem niczego. Bo teraz nic nas nie powstrzymuje przed dowiedzeniem się, czy... jeśli mieliśmy... - Zdenerwowana i zawstydzona nie mogła znaleźć właściwych słów. - Czy mylnie odbierałam twoje uczucia? Czy kiedykolwiek mnie pożądałeś, Kev?

- Nie. - Z trudem go usłyszała. - To była tylko przyjaźń. I litość.

Win zbladła jak ściana. Oczy zaczęły ją piec. Po jej policzku spłynęła pojedyncza, gorąca łza.

- Kłamiesz - powiedziała i odwróciła się. Drzwi zamknęły się cicho.

Kev nie pamiętał, jak wrócił do pokoju, ocknął się z zadumy dopiero przy łóżku. Przeklinając, opadł na kolana, ścisnął narzutę w dłoniach i zanurzył w niej twarz. Był w piekle.

Chryste Panie, Win go niemal zdruzgotała. Pragnął jej od tak dawna, śnił o niej nocami i budził się sam o poranku tyle razy, że z początku nie uwierzył, że dziś zjawiała się tutaj naprawdę.

Przypomniał sobie jej śliczną twarz, miękkie usta i to, jak się wyginała pod jego dotknięciem. Była inna, pełniejsza i silna. Ale wewnątrz pozostała taka sama, emanowała słodyczą i szczerością, która zawsze przemawiała wprost do jego serca. Potrzebował całej swojej siły, aby nie paść przed nią na kolana.

Poprosiła go o przyjaźń. Niemożliwe. Jak miał rozplątać węzły swoich uczuć i oddać jej tak nieznaczną część? Powinna była wiedzieć. Nawet w ekscentrycznym świecie Hathawayów pewne rzeczy pozostawały tabu.

Wszak nie mógł jej zaoferować niczego, poza upodleniem. Nawet Cam

Rohan miał więcej - bogactwo, którym mógł otoczyć Amelię. A Kev nie posiadał nic wartościowego, żadnych zalet charakteru, wykształcenia, kontaktów towarzyskich, niczego, co cenili gadziowie. Odrzucili go i maltretowali nawet członkowie jego własnego klanu z powodów, których do dziś nie rozumiał. W głębi serca czuł tylko, że musiał na to zasługiwać. Było w nim coś, co skazało go na życie w przemoc. I nikt obdarzony zdrowym rozsądkiem nie uznałby, że panna Hathaway będzie szczęśliwa, kochając mężczyznę, który nie był kimś więcej, niż tylko prymitywnym brutalem.

Jeśli Win wyzdrowieje na tyle, aby kogoś poślubić, będzie to dzentelmen. Wytworny i delikatny.

Rozdział 8

Następnego ranka Leo poznał guwernantkę. Poppy i Beatrix pisały mu o niej rok temu. Nazywała się panna Marks i obie siostry bardzo ją polubiły, choć ich opis nie do końca tłumaczył, co takiego można by w tej istocie polubić. Panna Marks była podobno drobna, cicha i poważna. Pomagała nie tylko dziewczętom, ale i pozostałym członkom rodziny odnaleźć się w zawiłościach londyńskiej etykiety.

Leo nie wątpił, że jej porady są bardzo przydatne. Dla wszystkich, oprócz niego.

W kwestii odpowiedniego zachowania społeczeństwo znacznie więcej oczekiwało od kobiet niż mężczyzn. A jeśli mężczyzna miał tytuł i w miarę mocną głowę, mógł mówić i robić niemal wszystko i nadal był zapraszany do wytwornych domów.

Zrządzeniem losu Leo odziedziczył tytuł i posiadłość, a po długim pobycie we Francji ograniczył picie do kieliszka wina do kolacji. Był więc prawie pewien, że będzie mile widziany na każdym nudnym, szacownym przyjęciu w Londynie, choć i tak nie miał ochoty uczestniczyć w takich wydarzeniach.

Miał jednak nadzieję, że onieśmielająca panna Marks spróbuje go zreformować. Ostudzenie zapędów byłoby niewątpliwie zabawne.

Leo nie wiedział o guwernantkach nic poza tym, że w powieściach występowały jako szare istoty, które miały skłonność do zakochiwania się w dziedzicach, zawsze ze złym skutkiem. Panna Marks jednak była przy nim całkowicie bezpieczna, nie zamierzał uwodzić guwernantek. Niegdysiejsze podboje już go nie ekscytowały.

Podczas jednej z wycieczek po Prowansji, gdy zwiedzał zabytki architektury galijsko-romańskiej, Leo natknął się na jednego ze swoich starych profesorów z akademii. Przypadkowe spotkanie zaowocowało odnowieniem znajomości. W następnych miesiącach Leo spędził wiele dni na szkicowaniu, czytaniu i pracy w atelier profesora lub w jego warsztacie. Doszedł do pewnych wniosków, które teraz, po powrocie do Anglii, miał zamiar zweryfikować.

Gdy tak maszerował nonszalancko korytarzem do apartamentu Hathawayów, usłyszał nagle szybkie kroki. Ktoś nadbiegał z przeciwnej strony. Leo usunął się na bok i czekał z rękami w kieszeniach spodni.

- Chodź tutaj, ty mały diable! - usłyszał kobiecy głos. - Ty przerośnięty szczurze! Niech cię tylko dostanę w swoje ręce, a powyrywam ci wnętrzności!

Krwiożerczy ton nie przystawał damie. Okropność. Leo zaczynał świetnie się bawić. Kroki słyhać było coraz bliżej... ale musiały należeć do jednej osoby.

Kogo, na Boga, ona ściga?

Szybko okazało się, że uciekinierem nie jest ktoś, lecz coś. Korytarzem przemknęła puszysta, zwinna fretka z ozdobionym falbanką kawałkiem materiału w pyszczku.

Większość hotelowych gości nie ucieszyłaby się na widok małego zwierzaka, który biegł prosto na nich. Leo jednak przez lata mieszkał z przyjaciółmi Beatrix; pamiętał myszy w kieszeniach, króliki w butach i jeże spacerujące sobie bez troski po stole w jadalni. Z uśmiechem popatrzył teraz na fretkę, która przemknęła obok niego.

Kobieta nadbiegła zaraz po niej, w obłoku szarych spódnic. Kobięce ubiory zdecydowanie nie były szyte z myślą o szybkim poruszaniu się. Dama zaplątała się w halki krępujące jej kostki i upadła kilka kroków przed Leo. Z jej nosa spadły małe okulary.

Leo natychmiast znalazł się przy niej i kucnął na podłodze, próbując rozplątać kłębowisko rąk, nóg i spódnic.

- Nic się pani nie stało? Jestem pewien, że gdzieś w tym wszystkim jest kobieta... Ach, tu pani jest. Spokojnie, proszę pozwolić...

- Proszę mnie nie dotykać - warknęła, uderzając go pięściami.

- Nie dotykam pani. To znaczy dotykam, ale tylko po to, żeby, cholera jasna, żeby pani pomóc. - Czepek z wełny, wykończony tanią wstążką, opadł jej na oczy. Leo poprawił go, w ostatniej chwili uchylając się przed mocnym ciosem w szczękę. - Chryste, czy mogłaby pani przestać wymachiwać rękami?

Kobieta zdołała usiąść i spojrzała na niego wściekle.

Leo znalazł okulary i podał jej z uśmiechem. Wzięła je od niego bez słowa podziękowania.

Była szczupła i drobna. Z jej zmrużonych oczu sypały się iskry. Jasnobrażowe włosy miała ściągnięte tak mocno, że Leo skrzywił się na sam widok. Ktoś mógłby liczyć na jakiś wynagradzający to wszystko rys, na przykład miękkie wargi albo zgrabną pierś. Ale nie - były tylko wąskie usta, płaska klatka piersiowa i wymizerowane policzki. Gdyby Leo został zmuszony do spędzania z nią czasu - co, na szczęście, nigdy nie mogło się zdarzyć - zaczęłyby od podkarmienia tej chudziny.

- Jeśli chce pan pomóc - powiedziała chłodno, wkładając okulary - proszę mi przynieść tę przeklętą fretkę. Może zmęczyłam ją na tyle, że pozwoli się już złapać.

Wciąż zgięty wpół Leo zaczął rozglądać się za zwierzątkiem, które przywarło do ziemi kilka kroków od nich i przyglądało się im obojgu jasnymi, paciorkowatymi oczkami.

- Jak jej na imię?

- Dodger.

Leo gwizdnął nisko i kilka razy klasnął językiem.

- Chodź tu, Dodger. Dostatecznie dużo kłopotów już dziś spowodowałeś.

Chociaż nie mogę cię winić za to, że gustujesz w... podwiązkach? Bo co ty tam masz?

Kobieta przyglądała się w oszołomieniu, jak długa, chuda fretka zbliża się ku Leo. Popiskując głośno, Dodger wspiał się na udo mężczyzny.

- Grzeczny chłopak - powiedział Leo, głaszcząc lśniące futerko. - Mam podejście do zwierząt. Uznają mnie za swego. - Delikatnie wyjął falbaniasty kawałek koronki i wstążek spomiędzy długich zębów fretki. To zdecydowanie była podwiązka, rozkosznie kobieca i niepraktyczna. Rzucił nieznajomej kpiący uśmiech i podał jej kompromitujący drobiazg.

- To chyba należy do pani.

Tak naprawdę wcale tak nie myślał. Założył, że podwiązka należy do kogoś innego. Niemożliwe, żeby tak surowa kobieta nosiła coś tak frywolnego. Gdy jednak zauważył rumieniec na jej policzkach, zrozumiał, że się pomylił.

Intrygujące.

Uniósł fretkę, która ułożyła się na jego ręce, i zapytał:

- Czy ten zwierzak należy do pani?

- Nie, do jednej z moich podopiecznych.

- Jest pani może guwernantką?

- To nie pańska sprawa.

- Jeśli pani nią jest, to jedną z pani podopiecznych będzie niewątpliwie panna Beatrix Hathaway.

Zmarszczyła brwi.

- Skąd pan to wie?

- Moja siostra jest jedyną osobą, jaką znam, która wniosłaby kradnącą podwiązki fretkę do hotelu Rutledge.

- Pańska siostra?

Uśmiechnął się na widok zdumienia szarej myszki.

- Lord Ramsay, do usług. A pani to zapewne panna Marks, guwernantka?

- Tak - mruknęła, ignorując dłoń, którą do niej wyciągnął. Wstała bez pomocy.

Leo poczuł nieodpartą pokusę sprowokowania jej.

- To wspaniale. Zawsze marzyłem o guwernantce do nagabywania.

Tą uwagą rozsierdził ją ponad wszelkie wyobrażenie.

- Jestem świadoma pańskiej reputacji, milordzie. Nie znajduję w tym jednak żadnych powodów do radości.

Leo nie sądził, aby ta istota w czymkolwiek znajdowała radość.

- To owa reputacja przetrwała moją dwuletnią nieobecność w kraju? - zapytał tonem zadowolonego zdziwienia.

- Pan jest z tego dumny?

- Ależ oczywiście. Łatwo jest zyskać dobrą reputację, po prostu nie trzeba nic robić. Ale by zasłużyć na złą... cóż, to wymaga sporego wysiłku.

W soczewkach okularów zapłonął pełen oburzenia ogień.

- Gardzę panem - ogłosiła panna Marks i odwróciła się na pięcie, by odejść. Leo poszedł za nią, z fretką na rękach.

- Dopiero się poznaliśmy. Nie może pani mną gardzić, dopóki mnie pani lepiej nie pozna.

Ignorowała go, gdy podążał za nią do apartamentu Ha-thawayów. Ignorowała go, gdy zapukał do drzwi i wtedy, gdy pokojówka wpuściła ich do środka.

Panowało tu zamieszanie, które nie powinno dziwić Leo, bo przecież przyszedł odwiedzić rodzinę. Słysząc było przekleństwa, krzyki i odgłosy fizycznej walki.

- Leo? - Z salonu wyszła Beatrix i do nich podbiegła.

- Beatrix, kochanie! - Leo był zdumiony zmianą, która zaszła w jego najmłodszej siostrze pod jego nieobecność. - Jak ty urosłaś i...

- Tak, nieważne - rzuciła niecierpliwie, zabierając od niego zwierzątko. - Pędź tam i pomóż Rohanowi!

- Pomóc mu? W czym?

- Próbuje powstrzymać Merripena przed zamordowaniem doktora Harrowa.

- Już? - stwierdził Leo w osłupieniu i pospieszył do salonu.

Rozdział 9

Kev przez całą noc przewracał się z boku na bok na łóżku, które zamieniło się w koło tortur, i wstał rano z ciężkim sercem, dręczony palącym wstydem.

Nawiedzały go podniecające sny, w których czuł pod sobą nagie ciało Win. Wszystkie pragnienia, które trzymał na uwieczni w świetle dnia, w nocy się uwalniały... Tulił Win, wchodził w nią, słyszał jej krzyki... całował ją od czubka głowy do palców stóp. W tych snach Win nie zachowywała się wcale jak dobrze wychowana dama, lecz pieściła go wygłodniałymi wargami i dotykała ciekawskimi małymi dłońmi.

Kąpiel w lodowatej wodzie pomogła tylko odrobinę. Kev był boleśnie świadomy ognia, który pulsował tuż pod jego skórą.

Zamierzał dzisiaj stawić czoło Win i rozmawiać z nią przy wszystkich tak, jakby nic się nie wydarzyło. Spojrzy na nią i nie będzie myślał o jej miękkich udach, o tym, jak go nimi owinęła, gdy ją pieścił, i o jej ciepłe, które poczuł przez warstwy ubrania. I jak ją okłamał i sprowokował do płaczu.

Zmęczony i podenerwowany, włożył swoje miejskie ubranie, na noszenie którego nalegała rodzina, gdy był w Londynie.

- Wiesz, jak wielką wagę przykładają gadziowie do ubrań - tłumaczył Rohan, ciągnąc go za sobą na Savile Row. - Musisz wzbudzać szacunek, bo w przeciwnym razie odbije się to na twoich siostrach.

Były pracodawca Rohana, lord St. Vincent, polecił im pracownię krawiecką, która specjalizowała się w szyciu eleganckich ubiorów na miarę.

- Nie znajdziesz nic przyzwoitego dla siebie w zwykłym sklepie - oznajmił, szacując wzrokiem sylwetkę Keva. - Nic nie będzie na ciebie pasować.

Kev poddał się więc upokarzającej procedurze zdjęcia miary, pozwał upinać na sobie całe bele materiałów i chodził na niekończące się przymiarki. Rohan i siostry Hathaway byli w pełni usatysfakcjonowani rezultatem, ale Kev nie dostrzegał żadnej różnicy pomiędzy swoim starym stylem a nowym. Ubranie to ubranie, coś, co okrywało ciało, żeby chronić je przed żywiołami.

Z gniewną miną przywdział białą koszulę z pliskami, czarny krawat, wyciętą z przodu kamizelkę i wąskie spodnie. Na wierzch włożył wełniany, miejski surdut z małymi klapami i rozcięciem z tyłu. (Gardził ubraniami gadziów, ale musiał przyznać, że był to porządny, wygodny surdut).

Jak miał w zwyczaju, udał się do apartamentu Hathawayów na śniadanie. Przybrał obojętną minę, choć żołądek mu się skręcał, a puls galopował. Wszystko to na myśl, że spotka Win. Ale przecież znakomicie sobie poradzi. Będzie spokojny i cichy, a Win będzie na powrót spokojna i zrównoważona i jakoś

przetrawią to pierwsze osobliwe spotkanie.

Wszystkie jego dobre intencje niestety prysnęły, gdy wszedł do apartamentu Hathawayów i udał się do salonu. Ujrzał tam na podłodze Win. W białej bieliźnie.

Leżała na brzuchu, twarzą do ziemi i próbowała unosić się w górę, a jakiś mężczyzna pochylał się nad nią. Dotykał jej.

Na ten widok Kev eksplodował.

Z krwiożerczym rykiem porwał Win w ramiona.

- Merripen! - zachłysnęła się ze zdumienia. - Co ty... O nie! Pozwól mi wyjść... Nie!

Bezceremonialnie położył ją na sofie, po czym odwrócił się do mężczyzny.

Jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl - szybko i efektywnie poćwiartować łotra, zaczynając od urwania mu głowy.

Mężczyzna roztropnie schronił się za ciężkim fotelem, ustawiając go pomiędzy nimi.

- Pan musi być Merripen - powiedział. - A ja jestem...

- Trupem - warknął Kev.

- To mój lekarz! - wykrzyknęła Win. - To doktor Harrow, a... Merripen, nie waż się go tknąć!

Kev zignorował ją i zdołał podejść dwa kroki, zanim poczuł, że ktoś podkłada mu nogę, i wylądował na podłodze. To był Rohan, który skoczył na niego, kolanami przycisnął mu ramiona do ziemi i chwycił go za kark.

- Merripen, ty głupcze - wykrztusił, próbując go przytrzymać - przecież to jej lekarz. Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Morduję... go - stęknął Kev, podrywając się do góry pomimo przyciskającego go ciężaru Cama.

- Cholera jasna! - krzyknął Rohan. - Leo, pomóż mi go przytrzymać! I to już!

Leo podbiegł natychmiast. Trzeba było ich obu, aby opanować Merripena.

- Uwielbiam te nasze rodzinne spotkania - zakpił Leo. - Merripen, co się z tobą, do diabła, dzieje?

- Win leżała w białej bieliźnie, a ten mężczyzna...

- To nie jest białe! - rozległ się rozdrażniony głos Win. - To kostium do ćwiczeń!

Merripen wykręcił głowę, aby spojrzeć na dziewczynę. Rohan i Leo nadal go trzymali, nie mógł więc się podnieść, ale dostrzegł, że Win ma na sobie luźne pantalone i koszulę z dekoltem.

- Umiem rozpoznać białe, gdy na nią patrzę - warknął.

- To tureckie spodnie i zupełnie przyzwoita koszula. Każda kobieta w klinice nosiła taki strój. Muszę ćwiczyć dla zdrowia i na pewno nie będę tego robić w sukni i gorse...

- Dotykał cię! - przerwał jej Kev gwałtownie.

- Upewniał się, czy mam odpowiednią postawę. Doktor podszedł do nich ostrożnie. W jego czujnych szarych oczach mignęła iskierka rozbawienia.

- To ćwiczenia hindu. Fragment zestawu wzmacniającego, którego jestem autorem. Wszyscy moi pacjenci muszą go włączyć do swoich codziennych zajęć. Proszę mi wierzyć, że moje zainteresowanie panną Hathaway jest profesjonalne i pełne szacunku. - Urwał i dodał kpiąco: - Czy jestem już bezpieczny?

Leo i Cam nadal szarpali się z Kevem i zdołali tylko wykrztusić razem: -Nie!

Do pokoju wpadły Poppy, Beatrix i panna Marks.

- Merripen - powiedziała ta pierwsza. - Doktor Harrow nie robił krzywdy Win, a...

- On jest naprawdę bardzo miły, Merripen - wtrąciła Beatrix. - Nawet moje zwierzęta go lubią.

- Spokojnie - rzekł Rohan w romani tak cicho, aby nikt inny go nie usłyszał.

- To nie pomoże nikomu.

Kev zastygł w bezruchu.

- Dotykał jej - powtórzył w starym języku, choć nienawidził go używać.

Wiedział, że Rohan zrozumie, jak trudne, a nawet niemożliwe dla Roma jest pozwalanie na to, aby inny mężczyzna kładł ręce na jego kobiecie, niezależnie od przyczyn.

- Ona nie jest twoja, *phral* - stwierdził Cam w romani z nutą współczucia w głosie.

Powoli Kev zaczął się uspokajać.

- Mogę już z niego zejść? - zapytał Leo. - Jest tylko jeden rodzaj aktywności fizycznej, którą toleruję przed śniadaniem. I na pewno nie mam na myśli czegoś takiego - Rohan pozwolił Kewowi wstać, ale nadal wykręcał mu ramię na plecach.

Win stanęła obok Harrowa. Widok jej w tak skąpym odzieniu, stojącej tak blisko innego mężczyzny, sprawił, że wszystkie mięśnie w całym ciele Keva nagle się napięły. Widział zarys jej bioder i nóg. Cała rodzina musiała kompletnie zwariować, jeśli pozwala jej tak się ubierać przy obcych i zachowuje się, jakby to było właściwe. Tureckie spodnie... Jak gdyby sama nazwa miała spowodować, że będą wyglądać inaczej niż bielizna.

- Nalegam, abyś przeprosił - oświadczyła Win. - Byłeś bardzo niegrzeczny dla mojego gościa, Merripen.

Jej gościa? Kev spojrzał na nią z furją.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł pospiesznie doktor Harrow. - Wiem, jak to musiało wyglądać.

Win spojrzała gniewnie na Keva.

- Dzięki niemu znów jestem zdrowa, a ty w ten sposób mu się odwdzięczasz?

- Jest pani zdrowa tylko dzięki sobie - wtrącił Harrow. - To rezultat pani

wysiłeków, panno Hathaway.

Teraz Win złagodniała; spojrzała na swojego lekarza.

- Dziękuję. - Jednak gdy ponownie skierowała wzrok na Keva, zmarszczka na czole powróciła. - Czy zamierzasz przeprosić, Merripen?

Rohan jeszcze mocniej wykręcił jego ramię.

- Zrób to, do cholery - mruknął. - Dla dobra rodziny Mierzając lekarza wściekłym wzrokiem, Kev przemówił w romani.

- *Ka xlia ma pe tute.* (Wytarżam cię w gnoju).

- Co znaczy - pospieszył z pomocą Rohan - proszę wybaczyć to nieporozumienie, rozstańmy się w przyjaźni.

- Te *malavel les i menkiva* - dodał Kev dla efektu. (Zdychaj w obłądziej i cierpieniach).

- W wolnym tłumaczeniu - znów wtrącił się Rohan - mech twój ogród zapełnią dorodne, grube jeże. Co, jeśli mogę dodać, jest uważane wśród Romów za błogosławieństwo.

Harrow patrzył na nich sceptycznie.

- Przyjmuję przeprosiny. Nie żywię urazy - mruknął.

- Proszę nam wybaczyć - powiedział Rohan, wciąż wykręcając ramię Merripena. - Kontynuujcie śniadanie, proszę... My mamy jeszcze kilka spraw. Przekażcie Amelii' gdy wstanie, że wrócę około południa. - I wyprowadził swojego jeńca z pokoju. Leo poszedł za nimi.

Gdy tylko wyszli na korytarz, Rohan uwolnił Keva i odwrócił się do niego. Przeczesał palcami włosy w geście łagodnej irytacji i zapytał:

- Co chciałeś osiągnąć, mordując lekarza Win?

- Chciałem mieć odrobinę radości.

- Nie wątpię. Win jednak nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Dlaczego Harrow tu jest? - zapytał gwałtownie Kev.

- Na to ja odpowiem - wtrącił Leo, opierając się swobodnie o ścianę. - Harrow pragnie lepiej poznać rodzinę Hathawayów. On i moja siostra są sobie... bliscy.

Kev poczuł mdlący ciężar w żołądku, jakby właśnie połknął garść rzecznych kamieni.

- Co masz na myśli? - zapytał, choć już się domyślał. Żaden mężczyzna nie mógł przebywać w towarzystwie Win i się w niej nie zakochać.

- Harrow jest wdowcem - odparł Leo. - To przyzwoity człowiek, bardzo przywiązany do swojej kliniki i pacjentów. Wiele podróżował, jest wykształcony i bogaty jak sam diabeł. I zbiera piękne okazy. Zna się na doskonałości. Nikomu nie umknęła ta aluzja. Win byłaby niewątpliwie ozdobą każdej kolekcji.

Następne pytanie nie chciało mu przejść przez gardło, ale Kev zmusił się, by je zadać.

- Czy Win coś do niego czuje?

- Nie jestem pewien, ona chyba sama nie wie, czy czuje wdzięczność, czy

coś więcej. - Leo spojrzal na niego z ukosa. - I wciaz pozostaje jeszcze kilka pytan, na ktore musi poznac odpowiedz.

- Porozmawiam z nia.

- Na twoim miejscu bym tego nie robil. Przynajmniej dopoki nie ochlonie.

Jest troche zagniewana.

- Dlaczego? - zapytal Kev, zastanawiajac sie, czy Win zwierzyła sie bratu z wydarzen ubieglej nocy.

- Dlaczego? - Leo wykrzywil sie z ironia. - Istnieje tak wiele powodow, ze z trudnościa moge cos wybrac. Poza wydarzeniami dzisiejszego ranka, co powiesz na to, ze nigdy do niej nie napisales?

- Napisalem - odparl zapalczywie Kev.

- Jeden list - stwierdzil Leo. - Raport o stanie gospodarki. Pokazala mi go, wiesz? Czyz mozna zapomniec te strzeliste frazy, ktorych uzywales, opisujac nawozenie pol po wschodniej stronie? Powiem ci, ze ten fragment o owczym fajnie przyprawil mnie o lzy, byl tak pelen ekspresji i...

- A czego sie spodziewala po moich listach?

- Nie zaglebiaj sie w wyjaśnienia, milordzie - wtracil Cam, zanim Leo zdazył otworzyc usta. - Romowie nie przelewaja mysli na papier.

- I nie zarzadzaja ziemskimi posiadlościami, robotnikami i dzierzawcami - odparl Leo. - Ale on to robi nieprawdaz? - Usmiechnal sie ironicznie do zjezonego Keva. - Bardzo prawdopodobne, ze bylbyś lepszym wlascicielem ziemskim niz ja, Merripen. Spojrz na siebie Czy jestes ubrany jak Rom? Spędzasz dni przy ognisku czy przegladasz ksiegi rachunkowe? Sypiasz na twardej ziemi pod gołym niebem czy tez pod dachem i ciepla, puchowa pierzyna? Czy ty w ogole mowisz jeszcze jak Rom? Nie, nawet akcentu juz nie masz. Mowisz jak...

- Do czego zmierzasz? - przerwal mu szorstko Kev.

- Idziesz na kompromisy na lewo i prawo, odkad stales sie czlonkiem tej rodziny. Robiles wszystko, co musiales aby byc blisko Win. Nie badz wiece cholernym hipokryta i me zamieniaj mi sie tu nagle w Roma, gdy masz w koncu szanse... - Leo urwal i wzniosl oczy do nieba. - Boze drogi, to zbyt wiele nawet dla mnie. A myslalem, ze to ja mam sklonnosci do dramatyzowania. - Poslal cięzkie spojrzenie Camowi. - Ty z nim porozmawiaj, ja idę na herbatę.

Wrócił do apartamentu, zostawiajac ich na korytarzu.

- Nie pisalem o owczym fajnie - mruknal Kev. - To byl rodzaj obornika.

Rohan z calych sil probowal sie nie rozesmiac.

- Tak czy inaczej, *phral*, slowa „obornik” nie powinno sie uzywac w liście do damy.

- Nie nazywaj mnie tak. Rohan ruszyl korytarzem.

- Chodz ze mna. Jest pewna sprawa, do ktorej jestes mi potrzebny.

- Nie jestem zainteresowany.

- To niebezpieczne - kusil Rohan. - Moze trzeba bedzie kogos zbic.

Rozpetac prawdziwa bojke. Ach... wiedzialem, ze tym cię przekonam.

Jedną z najbardziej irytujących cech Rohana było, według Keva, jego uparte dążenie do rozwiązania zagadki ich tatuaży. Zmagał się z tą tajemnicą już od dwóch lat.

Pomimo licznych obowiązków, które dźwigał na swoich barkach, nigdy nie tracił okazji, aby kopać w przeszłości. Gorliwie szukał swoich krewnych, rozpytując o nich w każdym mijającym go *vardo* i w każdym cygańskim obozie. Wydawało się jednak, że jego bliscy zapadli się pod ziemię albo wyjechali na drugą półkulę. Istniało prawdopodobieństwo, że nigdy ich nie odnajdzie - cygańskie tabory nie znały granic, nie było więc gwarancji, że jeszcze kiedykolwiek zawitają do Anglii.

Rohan przeszukiwał rejestry ślubów, zgonów i urodzeń, ale nie znalazł tam żadnej wzmianki ani o sobie, ani o swojej matce, Sonyi. Konsultował się także z ekspertami od heraldyki i irlandzkimi historykami, aby poznać znaczenie symbolu puki. Wiedzieli niewiele więcej niż on: znana legenda opowiadała o koniu z koszmarów, który mówił ludzkim głosem, pojawiał się o północy i wzywał ludzi, aby szli za nim, a oni nie mogli odmówić. A w czasie przejażdżki w chmurach ich życie zmieniało się nie do poznania.

Cam nie znalazł także żadnych znaczących powiązań pomiędzy nazwiskami Rohan i Merripen, które były wśród Romów dość powszechne. Dlatego zdecydował się zacząć szukać rodziny Keva lub kogokolwiek, kto coś by o nim wiedział.

Merripen odniósł się do jego planu ze zrozumiałą wrogością, czemu dał wyraz, gdy razem szli w kierunku hotelowych stajni.

- Porzucili mnie na pewną śmierć - powiedział. - A ty chcesz, abym pomógł ci ich odnaleźć? Jeśli któregoś z nich zobaczę, zwłaszcza *wm baw*, zabiję gołymi rękami.

- Dobrze - odparł Rohan ze spokojem. - Ale po tym, jak opowiedzą nam o tatuażu.

- Powiedzą ci tylko to, co i ja wiem: to znak klątwy. Jeśli dowiesz się, co on oznacza...

- Tak, tak, wiem. Będziemy potępieni. Ale jeśli noszę przeklęty znak na ramieniu, Merripen, chciałbym o tym wiedzieć.

Kev posłał Camowi spojrzenie, które powinno go z miejsca powalić. Przystanął w kącie stajni, gdzie na półkach leżały schludnie ułożone kopystki, obcegi i pilniki.

- Ja nie jadę. Będziesz musiał szukać mojego plemienia beze mnie.

- Potrzebuję cię. Naszym celem jest *kekkeno mushes puv*.

Kev spojrzał na niego z niedowierzaniem. *Kekkeno mushes puv*, czyli ziemia niczyja, był to zaniedbany teren nad Tamizą, od strony Surrey. Otwartą, błotnistą przestrzeń zapełniały przetarte cygańskie namioty, kilka zniszczonych *vardo*, zdziczałe psy i prawie zdziczali Romowie. Nie to jednak stanowiło największe niebezpieczeństwo. Była tam jeszcze inna grupa, nie Cyganów, tylko

Choro-dów, potomków zbirów i wyrzutków, głównie saskiego pochodzenia. Chorodowie byli nikczemni, brudni i brutalni, nie przestrzegali romskich obyczajów ani tradycji. Wkraczanie na ich terytorium było proszeniem się o napaść i rabunek. Trudno było znaleźć bardziej niebezpieczne miejsce w Londynie, może z wyjątkiem okolic Eastside.

- Skąd pomysł, że ktoś z moich mógłby tam zamieszkać? - zapytał Kev, zdumiony tą ideą. Z pewnością nie upadliby tak nisko pod dowództwem *wm baw*.

- Niedawno spotkałem *chała* z plemienia Bosvil. Powiedział mi, że jego najmłodsza siostra, Shuri, była kiedyś żoną *wm baw*. - Rohan spojrział uważnie na Merripena. - Historię o tym, co ci się przydarzyło, znają już chyba wszyscy Romowie.

- Nie rozumiem czemu - mruknął Kev przez ściśnięte gardło. - Nie ma o czym mówić.

Rohan niedbale wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od twarzy Keva.

- Romowie troszczą się o siebie nawzajem. Żadna rodzina nie porzuciłaby rannego czy umierającego chłopca, bez względu na konsekwencje. Ten czyn najwyraźniej sprowadził klątwę na ród *wm baw*... Szczęście się od nich odwróciło, popadli w ruinę. Oto i sprawiedliwość.

- Nigdy nie dbałem o sprawiedliwość. - Nawet Keva zdziwiło chropowate brzmienie własnego głosu.

W głębi duszy Rohan go rozumiał.

- Życie jest takie osobliwe, nieprawdaż? Rom bez krewniaków. Nieważne, jak usilnie szukasz, nigdy nie odnajdziesz domu. Bo dla nas dom to nie budynek, namiot czy *vardo*... dom to rodzina.

Kev z trudem znosił wzrok tamtego. Te słowa przemawiały zbyt głęboko do jego serca. Od tylu lat znał Cama, a nigdy nie czuł z nim żadnej więzi, aż do teraz. Nie mógł już dłużej ignorować tego, jak wiele mieli wspólnego. Obaj stali się wyrzutkami, a ich przeszłość była pełna nierozwiązanych zagadek. I obu ich przygarnęli Hathawayowie, u których znaleźli dom.

- Pojadę z tobą, niech to diabli - rzucił szorstko. - Ale tylko dlatego, że wiem, co zrobiłaby mi Amelia, gdyby coś ci się stało.

Rozdział 10

W całej Anglii wiosna pokrywała ziemię zielonym aksamitem i budziła do życia kwitnące krzewy. W całej Anglii niebo było niebieskie, a powietrze pachniało słodko. W całej Anglii, tylko nie w tej ziemi niczyjej, gdzie dym z milionów kominów zatruwał powietrze żółtą mgłą, przez którą nie przebijało się światło dnia. Nie było tam nic, tylko błoto i nieszczęście. Ziemia niczyja rozciągała się mniej więcej ćwierć mili od rzeki i graniczyła ze wzgórzem i linią kolejową.

Kev milczał ponuro, gdy z Rohanem prowadzili konie przez cygański obóz. Namioty były rozsiane po całym terenie. Siedzieli przed nimi mężczyźni, którzy strugali kołki i wyplatali kosze. Uszu Keva dobiegły nagle chłopięce okrzyki. Gdy objechał jeden z namiotów, zobaczył grupkę Romów, która skupiła się wokół uczestników pojedynku. Mężczyźni ze złością wykrzykiwali komendy i groźby do chłopców walczących jak zwierzęta w pułapce.

Na ten widok Kev zatrzymał konia i zaczął się przyglądać chłopcom. Przed oczami stanął mu obraz jego własnego dzieciństwa. Ból, przemoc, strach... Złość *rom baw*, który bił Keva, gdy ten przegrał. Jeśli wygrywał, posyłając na ziemię kolejnego zakrwawionego, połamanego przeciwnika, nie było nagrody. Tylko przygniatające poczucie winy, bo skrzywdził kogoś, kto nie zrobił mu nic złego.

- Co to ma znaczyć? - wrzasnął *rom baw*, gdy pewnego dnia zobaczył, jak zwinięty w kłębek Kev, szlochał rozpaczliwie, gdy pobił chłopca, który błagał go o litość. - Ty żaloszny, skomlący psie, już ja ci dam - jego obuta stopa zmiażdżyła żebro Keva - za każdą łzę, którą wylałeś. Co za głupiec płacze, gdy zwycięża? Płacze, bo zrobił dobrze jedyną rzecz, do której się nadaje? Już ja wybiję z ciebie tę litość, ty słabeuszu. - Wtedy skopał Keva do nieprzytomności.

Gdy następnym razem Kev kogoś pobił, nie czuł już wyrzutów sumienia. Nie czuł nic.

Teraz nie był świadomy tego, że zastygł w miejscu i oddycha ciężko, dopóki nie przemówił do niego Rohan.

- Chodź, *phwl*.

Oderwał wzrok od chłopców i dostrzegł w oczach towarzysza współczucie i zrozumienie. Kiwnął głową i poszedł za Camem.

Rohan zatrzymywał się przy namiotach, rozpytując o kobietę imieniem Shuri. Odpowiadano mu niechętnie. Romowie traktowali ich obu podejrzliwie, choć byli zaintrygowani. Ich dialekt był trudną do zrozumienia mieszaniną romani i slangu, którego używali miejscy Cyganie.

W końcu wskazano im mały namiot, przed którym, na odwróconym do góry dnem wiadrze, siedział chłopiec i rzeźbił guziki z drewna.

- Szukamy Shuri - powiedział Kev w starym języku. Chłopiec spojrzął przez ramię do namiotu.

- *Main!* - zawołał. - Są tu dwaj mężczyźni, którzy pytają o ciebie. Romowie w ubraniach gadziów.

W wejściu do namiotu pojawiła się osobliwie wyglądająca kobieta. Nie miała więcej niż półtora metra wzrostu, ale była masywnie zbudowana. Jej czarne oczy błyszczały jednak żywo w ciemnej, pomarszczonej twarzy. Kev rozpoznał ją od razu. To była Shuri, która skończyła ledwie szesnaście lat, gdy została wydana za *wm baw*. Kev opuścił ich tabor niedługo potem.

Czas nie obszedł się z nią łagodnie. Kiedyś była uderzającą pięknoscia, lecz trudy życia sprawiły, że przedwcześnie się postarzała. Byli z Kevem mniej więcej w tym samym wieku, a wyglądali tak, jakby różnica pomiędzy nimi wynosiła co najmniej dwadzieścia lat, nie dwa.

Spojrzała na niego bez zainteresowania. Potem jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a sękaty dłoń uniosły się w geście, którym tradycyjnie odpędzano złe duchy.

- Kev - szepnęła.

- Witaj, Shuri - odparł i powitał ją słowami, których nie używał od dzieciństwa. - *Dwboy tume Romale*.

- Jesteś duchem? - zapytała.

Rohan spojrzął na niego ze zdumieniem.

- Kev? Tak masz na imię?

Merripen nie odpowiedział na jego pytanie.

- Nie jestem duchem, Shuri. - Uśmiechnął się do niej. - Gdybym nim był, nie dorósłbym, prawda?

Potrząsnęła niedowierzająco głową, zerkając na niego podejrzliwie.

- Jeśli to naprawdę ty, pokaż mi znak.

- Czy mogę to zrobić w środku?

Po długim wahaniu Shuri niechętnie skinęła głową i zaprosiła ich obu do namiotu.

Cam przystanął u wejścia i skinął ręką na chłopca.

- Dopilnuj, aby nam nie ukradziono koni - powiedział - a dam ci pół korony. - Nie był pewien, kto bardziej zagraża wierzchowcom: Chorodowie czy Cyganie.

- Dobrze, *kako* - odparł chłopiec, używając pełnej szacunku formy, którą zwracano się do starszego mężczyzny.

Cam uśmiechnął się smutno i wszedł za Merripenem do namiotu.

Konstrukcja opierała się na wbitych w ziemię palach i podtrzymujących je mniejszych palikach powiązanych sznurkiem, na których ułożono zgrzebne, bure sukno. Nie było krzesel i stołu. Romom wystarczała goła ziemia. W kącie piętrzył się stos garnków i jakichś desek, a skromne posłanie przykryte było płótnem. Wnętrze namiotu ogrzewało małe palenisko oświetlające ustawiony na trójnogu

rondel.

Wzorem Shuri Cam usiadł po turecku przy ogniu. Zdusił uśmiech, widząc wyraz cierpienia na twarzy Ke-va, który spowodowały nalegania Shuri, by ten pokazał znak. Skromny i strzegący swej prywatności Merripen zapewne wzdrygał się na myśl, że musi się przed nimi rozebrać. Zacisnął jednak zęby, zdjął surdut i zaczął rozpinąć kamizelkę.

Nie zdjął koszuli do końca, tylko zsunął ją lekko z ramienia, obnażając lśniące jak miedź mięśnie. Widok rysunku identycznego z tym, który miał on sam, wciąż nie przestawał zdumiewać Cama.

Mrucząc coś w starym języku i wplatając weń słowa, które musiały pochodzić z sanskrytu, Shuri podeszła do Keva, aby przyjrzeć się tatuazowi. Merripen pochylał głowę, oddychając ciężko.

Rozbawienie Cama zniknęło, gdy spojrzął na twarz Merripena, która nie zdradzała żadnych uczuć. Cam cieszyłby się niezmiernie, gdyby spotkał kogoś ze swoich krewnych. Dla Merripena to doświadczenie było wręcz cierpieniem. Znosił je ze stoickim spokojem, czym wzbudził szacunek Cama.

Shuri spojrzała na wizerunek konia, odsunęła się od Keva i ruchem ręki pokazała mu, że może się ubrać.

- Kim jest ten mężczyzna? - zapytała, skinąwszy głową w kierunku Cama.

- To ktoś z mojej *kumpania* - mruknął Merripen. Tym słowem określano klan, grupę osób niepowiązanych pokrewieństwem. Ubrał się szybko i zapytał szorstko: - Co się stało z naszymi, Shuri? Gdzie *rom baw*?

- W ziemi - odparła kobieta, objawiając zupełny brak żalu po śmierci męża. - A reszta się rozpierchła. Po tym, co on ci zrobił, Kev... zmusił nas, abyśmy cię tam zostawili na pewną śmierć... wtedy wszystko się zmieniło. Nikt już nie chciał słuchać jego rozkazów. W końcu gadziowie go powiesili, bo przyłapali go na *wafodu luwu*.

- Co to znaczy? - zapytał Cam, nie mogąc zrozumieć jej słów.

- Fałszowanie pieniędzy - wyjaśnił Kev.

- Wcześniej próbował jeszcze - opowiadała Shuri - wyszkolić kilku chłopców na *asharibe*, żeby zarobić trochę grosza na jarmarkach i ulicach Londynu. Nikt jednak nie umiał walczyć tak jak ty, a rodzice chłopców nie pozwalali *wm baw* na zbyt wiele. - Jej przenikliwe spojrzenie powędrowało do Cama. - *Rom baw* nazywał Keva swoim psem - dodała. - Ale psy traktował lepiej niż tego chłopca.

- Shuri - mruknął Merripen, krzywiąc się. - On nie musi wiedzieć...

- Mój mąż pragnął śmierci Keva, ale nawet *rom baw* nie ośmieliłby się tak po prostu pozbawić go życia. Dlatego go głodził i wystawiał w najtrudniejszych walkach, i nie opatrywał jego ran. Kev nie miał nawet koca do spania, tylko goły słomiany siennik. Przemycaliśmy jedzenie i leki, gdy *rom baw* nie widział, ale nie było komu obronić tego biednego chłopca. - W jej wzroku pojawiła się przygana, gdy znów zwróciła się do Merripena. - A niełatwo było ci pomagać, bo tylko

warczałeś i kąsałeś. Nigdy ani słowa podziękui, nigdy uśmiechu.

Merripen milczał, na jego twarzy nie widać było żadnych uczuć, gdy zapinał guziki surduta.

Cam stwierdził w duchu, że dobrze się stało, że *wm baw* już nie żyje. Z wielką ochotą bowiem zakatowałby tego łajdaka na śmierć. I nie podobało mu się pełne wyrzutu spojrzenie, którym Shuri obrzuciła Keva. Merripen nie był co prawda zbyt ujmujący, ale wychowano go tak bezwzględnie, iż zakrawało na cud, że w ogóle mógł żyć jak normalny człowiek.

Hathawayowie ocalili nie tylko jego życie, ale i duszę.

- Dlaczego twój mąż darzył Merripena tak wielką nienawiścią? - zapytał łagodnie Rohan.

- *Rom baw* nienawidził wszystkich gadziów. Zawsze groził, że zabije każdego z jego rodu, kto pójdzie za ga-dziem.

Merripen spojrzał na nią ostro.

- Przecież ja jestem Romem.

- Jesteś *poshram*, Kev. Półgadziem. - Uśmiechnęła się na widok jego jawnego zdumienia. - Nic nie podejrzewałeś? Przecież wyglądasz jak gadzio.

Twój wąski nos. Kształt twojej szczęki.

Merripen potrząsnął głową, oniemiały ze zdziwienia.

- Niech mnie diabli - szepnął Cam.

- Twoja matka poślubiła w Irlandii gadzia - kontynuowała Shuri. - Ten znak to symbol jego rodu. Ale twój ojciec ją opuścił, jak każdy gadzio. A gdy myśleliśmy, że umarłeś, *rom baw* powiedział: teraz został już tylko jeden.

- Tylko jeden? - zdołał wykrztusić Cam.

- Brat. - Shuri się przesunęła, aby rozniecić przygasający ogień. - Kev miał młodszego brata.

Przez twarz Cama przemknęła fala emocji. Nagle wszystko uległo diametralnej zmianie. Całe życie wierzył, że jest sam, aż nagle odnalazł kogoś, w kim płynęła ta sama krew. Prawdziwy brat. Przyglądał się Merripenowi i czekał, aż Kev sam wszystko zrozumie. Nie sądził, aby Merripena ucieszyła ta wiadomość, ale w ogóle o to nie dbał.

- Przez jakiś czas chłopcami opiekowała się babka - kontynuowała Shuri. - Ale potem ktoś powiedział, że gadziowie mogą przyjść i ich zabrać. Albo nawet zabić. Zatrzymała więc młodszego wnuka, a drugiego odesłała do ich wuja, którym był Pov, *rom baw*. Jestem pewna, że nie wiedziała, jak *rom baw* go traktował, bo w przeciwnym razie nigdy by tego nie zrobiła. - Spojrzała na Merripena. - Myślała zapewne, że skoro Pov jest tak potężnym mężczyzną, będzie mógł dobrze się tobą zaopiekować. Ale on czuł do ciebie odrazę, bo przecież byłeś w połowie...

Zachłysnęła się ze zdumienia, gdy Rohan zrzucił płaszcz i podciągnął rękaw koszuli, ukazując przedramię.

Tatuaż był widoczny nawet w mroku namiotu, atramentowy ślad wyróżniał

się na tle jasnej skóry.

- Jestem jego bratem - oznajmił Cam ochrypłym głosem.

Shuri zaczęła się im przyglądać.

- Tak, widzę - mruknęła w końcu. - Podobieństwo nie rzuca się w oczy, ale nie można mu zaprzeczyć.

- Uśmiechnęła się zaintrygowana. - *Devlesa avilan*. To Bóg was połączył.

Jakakolwiek była opinia Merripena na ten temat, nie zamierzał się nią dzielić. Zamiast tego zapytał zwięźle:

- Czy znasz nazwisko naszego ojca? Shuri spojrzała na niego z żalem.

- *Rom baw* nigdy o nim nie wspominał. Przykro mi.

- Nie ma powodu - odparł Cam. - I tak bardzo nam pomogłaś. Czy wiesz, dlaczego gadziowie mogli chcieć...

- *Mami* - dobiegł ich z zewnątrz głos chłopca. - Chorado wie idą!

- Chcą zabrać konie - powiedział Merripen, wstając zwinnie. Wcisnął w dłoń Shuri kilka monet. - Życzę ci zdrowia i szczęścia.

- *Kushti bok* - odparła tym samym.

Cam i Merripen wybiegli z namiotu. Trzej Chorodowie byli już bardzo blisko. Mieli potargane włosy i spróchniałe zęby, a w brudnych ubraniach, które cuchnęły z daleka, wyglądali bardziej jak zwierzęta niż ludzie. Kilku zaciekawionych Romów obserwowało sytuację z bezpiecznej odległości. Było jasne, że nikt im nie pomoże.

- Cóż - mruknął Cam - to będzie interesujące.

- Chorodowie lubią noże - poinformował go Merripen.

- Ale nie wiedzą, jak ich używać. Zostaw to mnie.

- Ależ proszę bardzo.

Jeden z przybyłych przemówił w języku, którego Cam nie zrozumiał. Pokazał ręką na konia Cama, Pukę, zmierzył ich nerwowym wzrokiem i przestąpił z nogi na nogę.

- Po moim trupie - mruknął Cam.

Merripen odpowiedział im równie niezrozumiale. Tak jak podejrzewał, ich rozmówca sięgnął do tyłu za pas i wyjął wyszczerbiony nóż. Merripen nawet nie drgnął, tylko uniósł ręce i przygotował się na atak.

Przeciwnik rzucił się do przodu z dzikim okrzykiem, celując ostrzem w klatkę piersiową Keva. Merripen uchylił się zwinnie, a potem z nieprawdopodobną szybkością i zręcznością chwycił napastnika za rękę i zwałił go z nóg, wykorzystując przeciw niemu jego własną siłę. W mgnieniu oka posłał go na ziemię, wykręcając mu ramię. Wszyscy, nawet Cam, wzdrygnęli się, gdy złamana kość przebiła mięśnie. Tamten zawył z bólu. Merripen wytrącił nóż z jego bezwładnej dłoni i rzucił go Camowi, który złapał ostrze w locie, po czym spojrzał na dwóch pozostałych bandytów.

- Kto następny? - zapytał zimno.

Zwrócił się do nich po angielsku, ale tamci najwyraźniej go zrozumieli.

Uciekli, nie oglądając się za siebie i pozostawiając rannego towarzysza, który jęcząc głośno, zaczął pełznąć za nimi.

- Bardzo ładnie, *phwl* - powiedział Cam z podziwem.
- Jedziemy - odparł szorstko Merripen. - Zanim zjawią się następni.
- Chodźmy do szynku - zaproponował Cam. - Muszę się napić.

Merripen podążył za nim bez słowa. W tym jednym się zgadzali.

Szynki często były nazywane azylem ludzi zajętych, rozrywką leniwych i świątynią melancholików. Piekiełko i Wiaderko, położone w niecieszącej się najlepszą sławą dzielnicy Londynu, stanowiło natomiast kryjówkę wszelkiej maści kryminalistów i raj pijaków. Doskonale odpowiadało potrzebom Cama i Keva, bo tam obsłużono ich natychmiast i bez mrugnięcia okiem. Dostali dobre piwo, a choć usługujące kobiety były gburowate, dbały o to, aby kufle były pełne, a podłogi czyste.

Cam i Kev usiedli przy małym stole, na który padało mgliste światło łożowych świec. Merripen wypił pół kufła duszkiem, zanim odstawił piwo. Bardzo rzadko pił coś mocniejszego, wyjątek robił dla wina, ale w umiarkowanych ilościach. Nie lubił utraty kontroli, którą powodował alkohol.

Cam osuszył swój kufel do dna. Odchylił się na oparcie ławy i spojrzał na Keva z bladym uśmiechem.

- Zawsze mnie zdumiewało, że masz słabą głowę - zauważył. - Taki postawny Rom powinien wypić ćwierć baryłki bez mrugnięcia okiem. Jednak teraz, gdy wiem, że w dodatku jesteś jeszcze po części Irlandczykiem... to niewybaczalne, *phral*. Będziemy musieli nad tym popracować.

- Nikomu o niczym nie powiemy - poinformował go ponuro Kev.
- O tym, że jesteśmy braćmi? - Cam roześmiał się na widok jego krzywej miny. - Bycie w połowie gadziem nie jest takie złe. I wyjaśnia, dlaczego obaj znaleźliśmy spokojną przystań, podczas gdy większość Romów wybiera życie włóczęgów. To ta irlandzka krew w nas...

- Ani słowa. Nawet rodzinie. Cam nieco otrzeźwiał.
- Nie mów mi sekretów przed żoną.
- Nawet dla jej własnego dobra?

Cam wyrzwał zadumany przez wąskie okienko. Na ulicy tłoczyli się straganiarze, koła powozów turkotały po bruku. Zewsząd rozlegały się głośne okrzyki zachęcające do kupna pudeł na czepki, zabawek, diabelskich zapalek, parasolek i mioteł. Po drugiej stronie ulicy na wystawie u rzeźnika pyszniły się szkarłatne i białe półcie świeżego mięsa.

- Myślisz, że nasz ojciec wciąż może chcieć nas zabić? - zapytał.
- To możliwe.

W zamyśleniu potarł rękaw w miejscu, gdzie widniał symbol puki.

- Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko: tatuaże, sekrety, rozdzielenie nas, nadanie nam różnych nazwisk, nigdy by się nie wydarzyło, gdyby nasz ojciec nie był choć trochę zamożny? W przeciwnym razie gadziowie w ogóle nie

interesowaliby się dwoma bękartami. Zastanawiam się, czemu porzucił naszą matkę. Czemu...

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Muszę jeszcze raz przeszukać księgi parafialne. Może ojciec...

- Zostaw to.

- Zostawić to? - Cam posłał mu zdumione spojrzenie. - Naprawdę zamierzasz zapomnieć o tym, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy? Zignorować łączącą nas więź?

-Tak.

Cam potrząsnął głową i zaczął się bawić pierścionkiem na palcu.

- Teraz znacznie więcej rozumiem, bracie. Fakt, że ty...

- Nie nazywaj mnie tak.

- Wyobrażam sobie, iż to, że wychowywano cię na walczącą bestię, nie wzbudziło w tobie zbyt ciepłych uczuć do gatunku ludzkiego. Przykro mi, że to ty zostałeś oddany wujowi. Ale nie możesz pozwolić, aby ta sprawa niszczyła ci życie. Musisz się dowiedzieć, kim jesteś.

- To, że się dowiem, kim jestem, nie oznacza, że dostanę to, czego chcę.

Nikt mi tego nie da. I dlatego to nie ma sensu.

- A czego chcesz? - zapytał Cam miękko.

Kev zacisnął wargi i spojrzał na niego gniewnie.

- Nie potrafisz się do tego przyznać nawet sam przed sobą? - prowokował go Cam. Gdy Kev nadal nic nie mówił, sięgnął po jego kufel. - Dokończysz piwo?

-Nie.

Cam dopił je kilkoma potężnymi łykami.

- Wiesz - stwierdził cierpko - znacznie łatwiej było zarządzać klubem pełnym pijaków, hazardzistów i wszelkiej maści oszustów, niż radzić sobie z tobą i Hathawayami. - Odstawił kufel i zamilkł na chwilę. - Przeczuwałeś coś? Podejrzewałeś, że może łączyć nas tak silna więź?

-Nie.

- A ja tak, w głębi serca. Od zawsze czułem, że nie jestem sam.

Kev posłał mu posępne spojrzenie.

- To nic nie zmienia. Nie jestem twoją rodziną. Nic nas nie łączy.

- Łączy nas krew - odparł przyjaźnie Cam. - Moi bliscy odeszli, więc jesteś wszystkim, co mam, *phral*. Nawet nie myśl, że zdołasz się mnie teraz pozbyć.

Rozdział 11

Win szła po głównych schodach hotelu, a jeden ze służących Hathawayów, Charles, podązał tuż za nią.

- Ostrożnie, panno Hathaway - ostrzegł ją. - Może się panienska pośliznąć i złamać kark na tych stopniach.

- Dziękuję, Charles - odparła Win, nie zwalniając kroku. - Ale nie ma powodów do obaw. - Była mistrzynią w chodzeniu po schodach, pokonywała je przecież niezliczoną ilość razy w klinice. - Muszę cię uprzedzić, Charles, że zamierzam spacerować dosyć szybko.

- Dobrze, panienko. - W głosie Charlesa nie słyszało się zadowolenia. Lokaj był dosyć krepły i nie przepadał za spacerami. Posunął się już w latach, ale Hathawayowie nie zamierzali go zwalniać, chyba że sam wyraziłby chęć odejścia na emeryturę.

Win stłumiła uśmiech.

- Tylko do Hyde Parku i z powrotem, Charles.

Na dole Win zauważyła w holu wysoką, ciemną sylwetkę. To był Merripen - markotny i nieobecny szedł przed siebie z opuszczoną głową. Na widok tego przystojnego, choć pełnego gniewu awanturnika Win poczuła przyjemny dreszcz. Kev podszedł do schodów i podniósł głowę; wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie, gdy tylko zobaczył Win. W jego oczach mignęło pragnienie, którego nie zdążył ukryć. Ten przelotny błysk niezwykle poprawił humor Win.

Po porannym zajściu, kiedy to Merripen dał upust dzięki zazdrości, Win przeprosiła Juliana. Lekarz był raczej rozbawiony niż zaniepokojony.

- Jest dokładnie taki, jak opisywałaś - powiedział - tyle że bardziej.

„Bardziej” było słowem doskonale pasującym do Merripena. Nie można było go bagatelizować. Teraz wyglądał jak ponury czarny charakter z powieści łośrzykowskiej. Jeden z tych, którzy zawsze przegrywali z jasnowłosymi bohaterami.

Dyskretne spojrzenia, które posyłały mu kobiety w holu, uświadomiły Win, że nie tylko ona jest nim zafascynowana. Miejskie ubranie świetnie do niego pasowało. Miał na sobie doskonale skrojony surdut, który nosił tak, jakby w ogóle nie dbał o to, czy wygląda jak dżentelmen czy też robotnik portowy. I o ile Win znała Merripena, mogła się założyć, że istotnie o to nie dbał.

Win zatrzymała się i czekała z uśmiechem, aż do niej podejdzie. Przesunął wzrokiem po jej postaci, nie pomijając żadnego detalu prostej, różowej spacerowej sukni i dopasowanego do niej zakieciku.

- Teraz jesteś ubrana - stwierdził Merripen, jakby się spodziewał, że

zastanie ją parującą nago po korytarzach.

- To suknia spacerowa - odparła. - Jak widzisz, wybieram się zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Kto ci towarzyszy? - zapytał, choć nie mógł nie zauważyć lokaja stojącego kilka kroków od nich.

- Charles.

- Tylko on? - oburzył się Merripen. - Potrzebna ci lepsza opieka.

- Idziemy tylko do Marble Arch - powiedziała zdumiona.

- Czyś ty oszalała, kobieto? Masz pojęcie, co ci się może przydarzyć w Hyde Parku? Pełno tam kieszonkowców, złodziei torebek, oszustów i całych band gotowych natychmiast oskubać takiego gołąbka jak ty.

Charles w ogóle się nie obraził.

- Może pan Merripen ma rację, panno Hathaway. To raczej daleko... i nie wiadomo, czy...

- Chcesz iść ze mną zamiast niego, Kev? - zapytała Win.

Zaczął zrzędzić z niechęcią, dokładnie tak, jak się tego spodziewała.

- Chyba tak, jeśli miałabyś się włóczyć bez opieki po ulicach Londynu, kusząc każdego kryminalistę w okolicy. - Spojrzał krzywo na Charlesa. - Nie jesteś nam już potrzebny. Wolałbym nie musieć się troszczyć jeszcze o ciebie.

- Tak jest, proszę pana - padła pełna wdzięczności odpowiedź. Lokaj ruszył ku schodom ze znacznie większym entuzjazmem.

Win wsunęła dłoń pod ramię Merripena i wyczuła gwałtowne napięcie jego mięśni. Coś go gryzie, uświadomiła sobie. Coś znacznie poważniejszego niż kostium do ćwiczeń czy przechadzka po Hyde Parku.

Wyszli z hotelu, długie kroki Merripena harmonizowały z jej zwawym tempem. Win starała się utrzymać swobodny, radosny ton.

- Jakie chłodne, rześkie powietrze.

- Pełno w nim węglowego dymu - odparł, prowadząc ją szerokim łukiem obok kałuży, jakby zamoczenie obcasów stanowiło dla niej śmiertelne zagrożenie.

- Ja wyczuwam zapach dymu na twoim płaszczu. Ale to nie dym z papierosów. Dokąd pojechałeś dziś rano z Rohanem?

- Do obozu cygańskiego.

- Z jakiego powodu? - dopytywała. Wiedziała, że nie należy się zrażać lapidarnymi wyjaśnieniami Merripena, bo w przeciwnym razie niczego nie można byłoby się od niego dowiedzieć.

- Rohan myślał, że znajdziemy tam kogoś z moich krewnych.

- I znaleźliście? - zapytała miękko, wiedząc, jak drażliwy to temat.

Poczuła, jak Kev się wzdrygnął. -Nie.

- Przecież wiem, że tak. Widzę, jak się tym dręczysz. Merripen spojrzał na nią. Win wpatrywała się w niego z wyteżoną uwagą. Westchnął.

- Do mojego plemienia należała pewna dziewczyna imieniem Shuri...

Win poczuła ukłucie zazdrości. Dziewczyna, którą znał i o której nigdy nie

wspominał. Może coś do niej czuł.

- Znaleźliśmy ją dzisiaj w tym obozie - kontynuował Merripen. - Bardzo się zmieniła. Kiedyś była piękna, lecz postarzała się przedwcześnie.

- Och, to straszne - rzuciła Win, siląc się na współczucie.

- Jej mąż, *rom baw*, był moim wujem. On nie... nie był dobrym człowiekiem.

To nie była niespodzianka, jeśli wziąć pod uwagę, w jakim stanie znajdował się Merripen, gdy Win zobaczyła go po raz pierwszy. Ranny, porzucony i tak zdziczały, że było jasne, iż musiał żyć jak zwierzę.

Win przepełniały litość i czułość do niego. Żałowała, że nie znajdują się w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie mogłaby nakłonić Merripena, aby wszystko jej wyznał. Mogłaby go objąć, nie jak kochanka, lecz ukochanego przyjaciela. Większość ludzi uznałaby to pewnie za nedorzeczne, że jest tak opiekuńcza w stosunku do kogoś na pierwszy rzut oka tak zimnego i twardego. Win wiedziała jednak, że pod tą lodowatą, obojętną pozą skrywa się człowiek niezwykle wrażliwy. Wiedziała też, że on sam by temu zaprzeczył.

- Czy pan Rohan powiedział Shuri o swoim tatuażu? - zapytała Win. - O tym, że rysunek jest dokładnie taki sam jak twój?

-Tak.

- I co na to Shuri?

- Nic. - Odpowiedź padła jednak zbyt szybko. Dwaj uliczni sprzedawcy, jeden z naręczem rzeżuchy, a drugi z parasolami, podeszli do nich z nadzieją na zarobek. Jedno spojrzenie Merripena wystarczyło, by skłonić ich do odwrotu i stawienia czoła powozom, dorożkom i koniom, byle tylko znaleźć się po drugiej stronie ulicy.

Win milczała przez chwilę, trzymając się ramienia Keva, który prowadził ją z irytującą apodyktycznością, mamrocząc pod nosem: „nie zatrzymuj się tu”, „idź tam” i „uważaj”, jak gdyby stąpając po nierównym bruku, mogła sobie wyrządzić straszliwą krzywdę.

- Dosyć! - zaprotestowała. - Nie jestem ze szkła.

- Wiem.

- Nie traktuj mnie więc tak, jakbyś się spodziewał, że rozbiję się przy pierwszym potknięciu.

Merripen zaczął burczeć coś o ulicy, która nie jest dla niej wystarczająco dobra - zbyt wyboista, zbyt brudna. Win nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Na litość boską, gdyby ta ulica była wybrukowana złotem, a zamiatałyby ją anioły, ty i tak byś uznał, że jest dla mnie zbyt nierówna i brudna. Musisz się pozbyć tego nawyku chronienia mnie.

- Nie, dopóki żyję.

Win nie odpowiedziała, tylko chwyciła go mocniej za ramię. Pasja ukryta w tych kilku surowych, zwyczajnych słowach sprawiła jej wręcz nieprzyzwoitą przyjemność. Tak łatwo trafiał do najgłębszych zakamarków jej serca.

- Wolałabym, abyś nie stawiał mnie na piedestale - powiedziała w końcu.

- Nie stawiam cię na piedestale. Ja cię... - Urwał jednak i potrząsnął lekko głową, jakby sam był zaskoczony tym, co zdążył powiedzieć. Cokolwiek wydarzyło się tego poranka, głęboko wstrząsnęło jego samokontrolą.

Win była ciekawa, co takiego mogła powiedzieć im Shuri. Na pewno coś łączy Cama Rohana i Merripena...

- Kev. - Win zwolniła i zmusiła go do tego samego. - Jeszcze zanim wyjechałam do Francji, podejrzewałam, że wasze tatuaże świadczą o bliskim związku pomiędzy tobą a panem Rohanem. Byłam tak chora, że niewiele mogłam robić poza dokładnym obserwowaniem otaczających mnie ludzi. Zauważałam rzeczy, które inni przeoczyli lub nad którymi się nie zastanawiali. I zawsze byłam szczególnie wyczulona na ciebie. - Spojrzała na niego z ukosa i zobaczyła, że jej słowa mu się nie spodobały.

Nie chciał być obserwowany i rozumiany. Pragnął pozostać bezpieczny w swojej samotni. - Gdy spotkałam Cama Rohana - kontynuowała swobodnym tonem, jakby rozmawiali o błahostkach - zdumiało mnie to, jak bardzo jesteście do siebie podobni. Pochylenie głowy, ten drwiący uśmiech... gesty... te wszystkie szczegóły, które zauważałam także u ciebie. I pomyślałam sobie wtedy, że wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby pewnego dnia okazało się, że jesteście... braćmi.

Merripen zastygł w bezruchu. Odwrócił się do niej i stał na środku ulicy, zmuszając innych ludzi, aby go obchodzili naokoło, sarkając pod nosem, że nie należy blokować ruchu w miejscu publicznym. Win podniosła głowę, spojrzała prosto w ponure czarne oczy Keva i niewinnie wzruszyła ramionami, czekając na odpowiedź.

- Niemożliwe - rzucił szorstko.

- Niemożliwe rzeczy przydarzają się cały czas. Zwłaszcza naszej rodzinie. - Nie przestawała na niego patrzeć, czytając w nim jak w otwartej książce. - Mam rację, prawda? - zapytała zdumiona. - To twój brat?

Kev się zawahał, a potem wyszeptał tak cicho, że Win ledwie usłyszała:

- Młodszy brat.

- Tak się cieszę. Ze względu na was obu. - Uśmiechała się doń tak długo, aż jego kąciki ust również się uniosły.

- A ja nie.

- Pewnego dnia też będziesz się z tego cieszył. Po chwili Kev znów ujął jej dłoń i poszli dalej.

- Jeśli jesteście braćmi, to znaczy, że ty także jesteś w połowie gadziem. Tak jak on. Czy jest ci przykro z tego powodu?

- Nie, ja... - Urwał, aby przemyśleć swoje odkrycie. - Nie byłem tak zaskoczony, jak powinienem. Zawsze czułem, że jestem Romem, ale i... jeszcze kimś.

Win zrozumiała to, czego nie powiedział. W przeciwieństwie do Rohana, Kev niechętnie mierzył się ze swoim zupełnie nowym pochodzeniem, z tą częścią

swego dziedzictwa, której dotychczas nie był świadomy. Znała Merripena, wiedziała więc, że będzie chciał zachować tę nowinę dla siebie, dopóki wszystkiego nie przemyśli.

Kev potrząsnął głową.

- Są jeszcze pytania, na które musimy poznać odpowiedź. Przede wszystkim to, czemu gadzio, który nas spłodził, chciał nas zabić.

- Naprawdę? Wielkie nieba, dlaczego?

- Podejrzewam, że chodziło o kwestię dziedziczenia. W przypadku gadziów zazwyczaj wszystko sprowadza się do pieniędzy.

- Jesteś taki zgorzkniały - powiedziała Win, przywierając do jego ramienia.

- Mam swoje powody.

- Masz również wiele powodów do szczęścia. Dziś odnalazłeś brata. I dowiedziałeś się, że w twoich żyłach płynie irlandzka krew.

Ta uwaga nieco go rozbawiła.

- A dlaczego miałyby mnie to uszczęśliwić?

- Bo Irlandczycy to wspaniali ludzie. I dostrzegam w tobie ich zalety: uwielbienie dla ziemi, nieustępliwość...

- Umiłowanie bójek.

- Tak, cóż, może tę cechę powinieneś nieco pohamować.

- Powiniennem też chyba bardziej lubić alkohol.

- I rozmawiać z ludźmi.

- Wolę mówić tylko wtedy, gdy mam coś do powiedzenia.

- Hmm. To chyba nie jest cecha ani irlandzka, ani cygańska. Może masz w sobie jeszcze jakąś domieszkę, której dotychczas nie zidentyfikowaliśmy.

- Mój Boże. Mam nadzieję, że nie. - W końcu się uśmiechnął, a Win znowu poczuła ciepły dreszcz przyjemności.

- To pierwszy prawdziwy uśmiech, który u ciebie widzę, odkąd wróciłam - powiedziała. - Powinieneś się częściej uśmiechać, Kev.

- Powiniennem? - zapytał miękko.

- Och, tak. To bardzo zdrowe. Doktor Harrow twierdzi, że weseli pacjenci odzyskują zdrowie znacznie szybciej niż ponurzy.

Wzmianka o doktorze Harrowie wystarczyła, aby nikły uśmiech Merripena zgasł.

- Ramsay mówi, że jesteście sobie bliscy.

- Doktor Harrow to przyjaciel.

- Tylko przyjaciel?

- Tak, na razie. Zgłaszałyś jakieś obiekcje, gdyby zdecydował się do mnie zalecać?

- Ależ skąd - mruknął Merripen. - Jakie mam do tego prawo?

- Żadnego. Chyba że zgłosiłbyś swoje pierwszeństwo, do czego jednak również nie masz prawa.

Wyczuła, że Merripen walczy ze sobą, aby porzucić ten temat. Przegrał, bo

mruknał gniewnie:

- Nie mógłbym odmówić ci stawy, w której tak zasmakowałaś.

- Porównujesz doktora Harrowa do jedzenia? - Win z całych sił powstrzymywała pełen satysfakcji uśmiech.

Mała scena zazdrości była jak balsam na jej zranioną duszę. - Zapewniam cię, że doktor Harrow wcale nie jest nijaki. To człowiek majątny i pełen zalet.

- To bladolicy, śliniący się gadzio.

- Jest bardzo atrakcyjny. I wcale się nie ślini.

- Pozwoliłaś się mu pocałować?

- Kev, jesteśmy w miejscu publicznym...

- Pozwoliłaś?

- Raz - przyznała i czekała, aż on przetrawi tę nowinę. Zmierzył rozsierdzonym wzrokiem chodnik pod ich stopami. Gdy w końcu stało się jasne, że nie zamierza niczego powiedzieć, Win dodała: - Był to odruch sympatii.

Żadnej odpowiedzi.

Uparty osioł, pomyślała gniewnie.

- To nie był taki pocałunek, jak nasze. I nigdy... - Poczula na policzkach gorący rumieniec. - Nigdy nie robiliśmy nic podobnego do tego, co ty i ja... poprzedniej nocy...

- Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Dlaczego możemy rozmawiać o pocałunkach doktora Harrowa, ale o twoich nie?

- Bo moje nie prowadzą do oficjalnych zalotów.

To zabolalo. A także zdumialo ja i rozzloscilo. Win postanowila zmusic w koncu Merripena, aby wyznal, dlaczego nie zamierza o nia walczyc. Nie bylo to jednak odpowiednie miejsce i czas.

- Cóż, możliwe, że pocałunki pana Harrowa do nich doprowadzą - stwierdziła rzeczowym tonem. - A w moim wieku muszę rozważyć każdą propozycję małżeństwa bardzo poważnie.

- W twoim wieku? - prychnął. - Skończyłaś ledwie dwadzieścia pięć lat.

- Dwadzieścia sześć. Co oznacza, że mam już swoje lata. Straciłam kilka, najprawdopodobniej tych najlepszych, z powodu choroby.

- Teraz jesteś znacznie piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Mężczyzna musiałby być szalony lub ślepy, aby cię nie pragnąć. - Komplement nie był zbyt gładki, ale został wypowiedziany tonem tak pełnym szczerości, że Win zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Dziękuję ci, Kev.

Posłał jej enigmatyczne spojrzenie.

- Chcesz wyjść za mąż?

Samowolne, zdradzieckie serce Win przyspieszyło gwałtownie, bo z początku pomyślała, że Kev zapytał, czy chce, by wyszła za niego. Dopiero po chwili zrozumiała, że pyta o jej stosunek do małżeństwa, tak jakby pytał o coś, co

ich ojciec nazywał „strukturą pojęciową z potencjałem realizacji”.

- Ależ oczywiście - odparła. - Pragnę mieć dzieci do kochania. Męża, z którym mogłabym się zestarzeć. I własną rodzinę.

- A Harrow powiedział ci, że teraz jest to możliwe? Win wahała się o sekundę za długo.

- Tak, całkowicie możliwe. Merripen znał ją jednak zbyt dobrze.

- Czego mi nie mówisz?

- Czuję się już na tyle dobrze, że mogę robić, co mi się podoba - oznajmiła stanowczo.

- Co on...

- Nie chcę o tym rozmawiać. Ty masz swoje tematy tabu, a ja mam swoje.

- Wiesz, że się dowiem - mruknął.

Nie odpowiedziała, wpatrzona w rozciągający się przed nimi park. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy zobaczyła coś, czego nie było tutaj przed jej wyjazdem do Francji... ogromną, wspaniałą konstrukcją ze szkła i żelaza.

- To Kryształowy Pałac? Och, to na pewno on. Jest taki piękny, znacznie ładniejszy niż na rysunkach, które widziałam.

W budynku zajmującym powierzchnię ponad trzech i pół hektara mieściła się międzynarodowa wystawa sztuki i nauki nazywana Wielką Wystawą Światową. Win czytała o niej we francuskiej prasie, która opisywała ekspozycję jako jeden z cudów świata.

- Kiedy otwarto wystawę? - zapytała, przyspieszając kroku, gdy dochodzili do błyszczącego w świetle budynku.

- Nie dalej niż miesiąc temu.

- Byłeś już w środku? Obejrzałeś wszystko?

- Raz - odparł Merripen z uśmiechem, widząc jej ciekawość. - Obejrzałem tylko kilka ekspozycji, nie wszystkie. Zwiedzanie całości zajęłoby ze trzy dni.

- Co więc widziałeś?

- Wystawę maszyn przede wszystkim.

- Chciałabym zobaczyć cokolwiek - powiedziała tęsknie Win, obserwując tłumy wchodzące do tego niezwykłego budynku i wychodzące z niego. - Zabierzesz mnie tam?

- Mielibyśmy za mało czasu na zwiedzanie. Już popołudnie. Przyjdziemy tu jutro.

- Nie. Proszę. - Pociągnęła go niecierpliwie za ramię. - Kev, nie odmawiaj. Merripen spojrzał na nią. Był tak przystojny, że Win poczuła przyjemne klucie w żołądku.

- Jak mógłbym ci odmówić? - zapytał miękko. Poprowadził ją do głównego wejścia i zapłacił szylinga za wstęp. Win rozglądała się wokół w zachwycie. Według ulotki, którą dodano im do biletów, na samą konstrukcję składało się sto żelaznych kolumn i trzysta szklanych szyb. Miejscami Kryształowy Pałac był tak wysoki, że mógł pomieścić dorosłe wiazy. Na wystawę składało się ponad sto

tysięcy eksponatów z całego świata.

Wystawa była ważna zarówno w kontekście naukowym, jak i społecznym.

Dawała możliwość wszystkim klasom i regionom, by zgromadziły się pod jednym dachem, co rzadko się zdarzało.

W jednej z naw stało elegancko ubrane towarzystwo. Nikt z tych ludzi nie wydawał się zbyt zainteresowany otoczeniem.

- Na co oni czekają? - zapytała Win.

- Na nic - odparł Merripen. - Przychodzą tylko po to, aby się pokazać.

Podobna grupa stała tam, gdy byłem tu poprzednio. Nie obchodzą ich eksponaty. Oni tylko się pokazują i stroszą piórka.

Win się roześmiała.

- Czy powinniśmy stanąć obok nich i udawać, że ich podziwiamy, czy możemy poszukać czegoś naprawdę interesującego?

Merripen podał jej małą mapkę. Win przyjrzała się wykazowi sal i ekspozycji i oznajmiła zdecydowanie:

- Tekstyla i tkaniny.

Merripen poprowadził ją przez zatłoczony hol do pomieszczenia, które oszałamiało swą wielkością i pięknem. Wokoło słychać było stukot krosien i innych maszyn włókienniczych, a wszędzie leżały beły materiałów. Zapach wełny i barwników drażnił nozdrza. Tkaniny z Kidderminster, Ameryki, Hiszpanii, Francji i Orientu tworzyły tęczę kolorów i faktur... Win zdjęła rękawiczki i pogładziła dłonią te cudowne dzieła ludzkich rąk.

- Merripen, spójrz! - zawołała. - To dywan z Wilton! Podobny do brukselskiego, tyle że włos jest przyszyty. Jak aksamit, prawda?

- Wilton staje się coraz bardziej dostępny - oznajmił stojący nieopodal przedstawiciel producenta - teraz, gdy możemy tkąć dywany na krosnach napędzanych parą.

- Gdzie znajduje się fabryka? - zapytał Merripen, przesuując dłonią po miękkim dywanie. - W Kidderminster, jak sądzę?

- Jedna tam, a druga w Glasgow.

Gdy zaczęli rozmawiać o produkcji dywanów na nowych krosnach, Win poszła dalej wzdłuż rzędów próbek i wystaw. Było tam jeszcze więcej maszyn, które zdumiewały swymi rozmiarami i stopniem skomplikowania. Niektóre służyły do tkania, inne do drukowania wzorów, a jeszcze inne do przędzenia wełny. Jedna z nich demonstrowała, jak wygląda proces wypełniania materaców i poduszek.

Win przyglądała się temu wszystkiemu zafascynowana, gdy nagle stanął obok niej Merripen.

- Zastanawiam się, czy kiedyś wszystko będą robiły za nas maszyny - powiedziała mu.

Uśmiechnął się lekko.

- Gdybyśmy mieli czas, pokazałbym ci wystawę rolniczą. Dzięki tamtym

maszynom można wyhodować dwa razy więcej przy użyciu ułamka czasu i sił potrzebnych do produkcji ręcznej. Już kupiliśmy młockarnię dla naszych dzierżawców w Ramsay... Pokażę ci ją, gdy tam pojedziemy.

- Aprobujesz te wszystkie technologiczne nowinki? - zapytała Win z cieniem zdumienia w głosie.

- Tak, czemu cię to dziwi?

- Romowie nie wierzą przecież w takie rzeczy. Wzruszył ramionami.

- Niezależnie od przekonań Romów, nie mogę ignorować postępu, który ułatwi życie nam wszystkim. Dzięki mechanizacji zwykli ludzie będą mogli sobie pozwolić na ubrania, strawę, mydło... nawet dywan na podłogę.

- A co z tymi, którzy utracą dochód, gdy maszyny zajmą ich miejsce?

- Powstaje coraz więcej gałęzi przemysłu i coraz więcej miejsc pracy. Dlaczego człowiek ma podejmować się bezmyślnych zajęć, jeśli można go nauczyć czegoś więcej?

Win się uśmiechnęła.

- Mówisz jak reformator - szepnęła kpiąco.

- Zmiany ekonomiczne zawsze pociągają za sobą zmiany społeczne. Tego procesu nie da się powstrzymać.

Jaki to lotny umysł, pomyślała Win. Jej ojciec byłby dumny, gdyby mógł zobaczyć, co wyrosło z jego cygańskiego podrzutka.

- Aby zbudować ten cały przemysł, potrzebna będzie znaczna siła robocza - powiedziała na głos. - Czy myślisz, że mieszkańcy wsi chętnie będą się przenosić do Londynu i innych miejsc, w których...

Przerwał jej odgłos eksplozji. Z ust widzów wyrwały się okrzyki zaskoczenia. Gęsty, olśniewająco biały puch wypełnił powietrze. Maszyna napęliająca poduszki zepsuła się i obsypała wszystkich obecnych wirującym pierzem.

Merripen zareagował błyskawicznie: zdjął płaszcz, okrył nim Win i osłonił chusteczką jej usta i nos.

- Oddychaj przez to - mruknął i wyprowadził ją z sali. Tłum się rozpierzchnął, ludzie kichali, przeklinali i śmiali się, a obłoki białego puchu osiadały na wszystkim i wszystkich. Dzieci krzyczały z radości, tańcząc i podskakując, by złapać ulatujące kępki.

Merripen nie zatrzymał się, dopóki nie weszli do następnej sali, gdzie pokazano tekstylia. Ogromne gabloty z drewna i szkła eksponowały tkaniny, które falowały jak rzeki. Ze ścian zwisały aksamity, brokаты, jedwabie, wełny, muśliny, bawełna, każdy możliwy materiał, który mógł posłużyć do wykonania ubioru, tapicerki lub portier. Bełe tkanin ustawiono także pionowo, tworząc kolejne przestrzenie wystawowe w postaci korytarzy dzielących salę.

Win wysunęła głowę spod płaszcza, spojrzała na Merripena i wybuchnęła śmiechem. Biały puch pokrył jego czarne włosy i ubranie jak świeży śnieg.

Kev spojrzał na nią gniewnie.

- Już miałem pytać, czy nie nawdychałaś się tego pierza, ale sądząc po twojej wesołości, chyba nie.

Win nie zdołała mu odpowiedzieć, za bardzo się śmiała. Merripen przesunął dłonią po włosach, jeszcze mocniej wplątując w nie pierze.

- Nie rób tego - wykrztusiła Win, próbując opanować chichot. - Nigdy... Pozwól, żebym ci pomogła, sam tylko pogarszasz sprawę... A podobno to ja jestem gołąbkim, którego będą skubać... - Wciąż chichocząc, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą w jeden z korytarzy, który częściowo ukrył ich przed spojrzem ciekawskich. Pograżyli się w półmroku. - Chodź, zanim nas ktoś zobaczy. Och, jesteś dla mnie za wysoki... - Pociągnęła go za rękę, by kucnął, a sama uklękła w obłoku spódnic. Rozwiązała tasiemki czepka i odrzuciła go na bok.

Merripen patrzył na jej twarz, gdy wzięła się do pracy, czyszcząc mu ramiona i włosy.

- Przecież ty świetnie się bawisz.

- Głuptasie, cały jesteś pokryty pierzem. Oczywiście, że świetnie się bawię.

W jej oczach wyglądał wspaniale, był taki uroczy, kiedy klęczał przed nią, marszcząc brwi, gdy go dotykała. Cudownie było dotykać jego gęstych, lśniących włosów, na co w innych okolicznościach nigdy by nie pozwolił. Win raz po raz wybuchała śmiechem, nad którym nie potrafiła zapanować.

Minuty mijały, w końcu przestała się śmiać i poczuła się tak rozluźniona, jakby śniła, gdy wyciągała kolejne piórka z jego włosów. Zwisający wokół nich aksamit tłumiał dochodzące z zewnątrz dźwięki.

W półmroku oczy Merripena lśniły dziwnym, mrocznym blaskiem, rysy jego twarzy były surowe i piękne. Wyglądał jak niebezpieczny, pogański bożek, nawiedzający o północy ludzkie siedziby.

- Już prawie gotowe - szepnęła Win, choć dawno skończyła. Jej palce przeczesywały delikatnie jego włosy. Pełne życia, ciężkie pasma i przystrzyżone na karku gładkie jak aksamit loki.

Wstrzymała oddech, gdy Merripen się poruszył. Z początku myślała, że wstanie, ale on przyciągnął ją bliżej i ujął w dłonie jej twarz. Usta Keva znalazły się tak blisko jej warg, że poczuła jego oddech na wargach jak powiew gorącego wiatru.

Zdumiała ją ta nagła gwałtowność Keva. Czekwała, wsłuchując się w jego ciężki, gniewny oddech, nie rozumiejąc w ogóle, czym go sprowokowała.

- Nie mam ci nic do zaoferowania - powiedział w końcu gardłowym głosem. - Nic.

- Masz siebie - szepnęła.

- Nie znasz mnie. Myślisz tylko, że znasz. Czyny, które mam na sumieniu, do których jestem zdolny... Ty i twoja rodzina wiecie o życiu tyle, co z książek. Gdybyś cokolwiek rozumiała...

- Spraw, abym zrozumiała. Powiedz mi, co jest takie straszne, że musisz

mnie wciąż odpychać.

Kev potrząsnął tylko głową.

- Przestań więc torturować nas oboje - rzuciła łamiącym się głosem. - Zostaw mnie albo pozwól mi odejść.

- Nie mogę - rzucił. - Nie mogę, niech to diabli. - I zanim zdołała coś powiedzieć, pocałował ją.

Jej puls oszalał, jej nozdrza wypełnił zapach dymu, mężczyzny i ziemi jesienią. Jego usta zaatakowały jej wargi z gwałtowną pasją. Przywarli do siebie jeszcze ściślej, Win przycisnęła się do jego piersi. Bolał ją każdy skrawek skóry, którego dotykał Kev. Chciała poczuć go na sobie, jego ciało pod swoimi dłońmi.

Pożądanie rozpałiło ich oboje, nie zostawiając miejsca na zdrowy rozsądek. Gdyby tylko mógł popchnąć ją na ten aksamit, tu i teraz, i posiąść. Marzyła, aby przyjąć go w siebie i cała płonęła pod warstwami ubrania, drżąc od żaru, który palił jej skórę. Merripen odnalazł wargami jej szyję, dotknął językiem miejsca, w którym wyczuł puls. Win aż westchnęła z rozkoszy.

Podniosła rękę i przesunęła palcami po jego policzkach, a sztywny zarost drapał delikatnie jej skórę. Poprowadziła go do swoich ust. Oślepią mrokiem i burzą uczuć poczuła obezwładniającą przyjemność.

- Kev - szepnęła pomiędzy pocałunkami - kocham cię już od tak...

Niemal zmiądzzył jej wargi w przypiływie desperacji, jakby chciał zdławić nie tylko jej słowa, ale i samo uczucie. Całował ją tak głęboko, jak tylko mógł, pragnąc posiąść ją całą. Przycisnęła się do niego, jej ciałem wstrząsały dreszcze, cała płonęła. Był wszystkim, czego pragnęła, czego potrzebowała.

Westchnęła zawiedziona, gdy ją odepchnął, przerywając ich namiętą pieśczętę.

Długo trwali w bezruchu, próbując odzyskać równowagę. Gdy gorączka pożądania opadła, Merripen rzucił szorstko:

- Nie mogę być z tobą sam na sam. To się nie może powtórzyć.

To niemożliwe, pomyślała Win w przypiływie gniewu. Kev nie chciał się przyznać do uczuć, które do niej żywił, i nawet nie tłumaczył dlaczego. Przecież zasługiwała na odrobinę zaufania.

- Doskonale - oznajmiła sztywno. Merripen podał jej rękę, ale odepchnęła ją niecierpliwie. - Nie, nie chcę pomocy. - Zaczęła strzepywać spódnice. - Masz całkowitą rację, Merripen. Nie powinniśmy zostawać sami, bo efekty tego są dosyć przewidywalne: czynisz pierwszy krok, ja odpowiadam, a potem ty mnie odpychasz. Nie jestem dziecięcą zabawką, którą można ciągać tam i z powrotem jak na sznurku, Kev...

- Wiem, że nie jesteś... - Podał jej czepek.

- Mówisz, że cię nie znam, ale w ogóle nie dostrzegasz tego, jak mało ty znasz mnie. Jesteś pewien, kim jestem, prawda? Ale ja się zmieniłam przez te dwa lata, Merripen. Mógłbyś się zdobyć na ten wysiłek i dowiedzieć się, jaką kobietą jestem. - Podeszła do wylotu korytarzyka, wyjrzała, aby się upewnić, że jest

bezpiecznie, i ruszyła w kierunku głównej sali. Merripen podążył za nią.

- Dokąd idziesz?

Spojrzała na niego i z zadowoleniem stwierdziła, że wygląda na tak zirytowanego i rozbitego, jak ona się czuła.

- Wychodzę. Jestem za bardzo wściekła, aby teraz móc się cieszyć wystawą.

- Idź w drugą stronę.

Milczała, gdy Merripen wyprowadzał ją z Kryształowego Pałacu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak niespokojna i rozdrażniona. Jej rodzice zawsze twierdzili, że to śledziona wywołuje skłonność do irytacji, a Win brakowało doświadczenia, aby wiedzieć, że jej zły humor ma zupełnie inne źródło. Dostrzegala wszakże, że Merripen jest równie zirytowany jak ona.

Denerwowało ją, że nic nie mówił. I to, że tak łatwo dotrzymywał jej kroku, gdy ona zaczęła już dyszeć ciężko z wysiłku.

Dopiero gdy dotarli do hotelu, Win przerwała milczenie. Ucieszyła się w duchu, że jej głos brzmiał tak spokojnie.

- Zastosuję się do twoich życzeń, Kev. Od teraz nasze relacje będą platoniczne i przyjacielskie. Nic więcej. - Przystanąła na pierwszym stopniu i spojrzała na niego uroczyście. - Dano mi szansę, która nie zdarza się często, szansę na drugie życie. I zamierzam ją w pełni wykorzystać. Nie zmarnuję mojej miłości dla mężczyzny, który nie wie, czego chce, ani co zamierza. Nie będę ci się już więcej narzucać.

Cam wszedł do sypialni i znalazł Amelię stojącą na środku pokoju pomiędzy stosami paczek i pudełek, w powodzi wstążek, jedwabiu i kobiecych ozdób. Odwróciła się do niego z zażenowanym uśmiechem, gdy zamknął drzwi. Jej serce zmyliło rytm na widok męża. Miał rozpięte górne guziki koszuli, mogła więc dostrzec fragment jego gładkiej, muskularnej piersi. Jego twarz emanowała zmysłowym, męskim urokiem. Do niedawna nie wyobrażała sobie siebie w roli mężatki, a co dopiero żony tak egzotycznego mężczyzny.

Objął wzrokiem jej postać w różowym negliżu, który odsłaniał bieliznianą koszulkę i nagie uda.

- Widzę, że wyprawa na zakupy zakończyła się pełnym sukcesem.

- Nie wiem, co mnie napadło - odparła Amelia ze skrucą. - Wiesz, że nie jestem rozrzutna. Chciałam tylko kupić chusteczki do nosa i parę pończoch. Ale...

- Wskazała dłonią na stos drobiazgow. - Chyba byłam dzisiaj w zakupowym nastroju.

Jego mroczną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Mówiłem ci już nieraz, najdroższa, że możesz wydawać, ile tylko zechcesz. Nie mogłabyś mnie zrujnować, nawet gdybyś bardzo się starała.

- Tobie też coś kupiłam - oznajmiła, grzebiąc w stosie toreb. - Kilka

krawatów i książek, francuskie mydło do golenia... chociaż chciałam z tobą porozmawiać...

- O czym? - Cam zaszedł ją od tyłu i pocałował w szyję. Amelia gwałtownie wciągnęła powietrze i prawie zapomniała, o czym mówiła.

- O goleniu - powiedziała z roztargnieniem. - Ostatnio brody są w modzie. Może spróbowałbyś zapuścić brodę. Wyglądałbyś olśniewająco i... - Urwała, gdy wargi Cama zaczęły się przesuwac po jej karku.

- Może łaskotać - mruknął i roześmiał się, gdy zadrzała.

Delikatnie odwrócił ją do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy. Coś się zmieniło, pomyślała Amelia. W jego spojrzeniu pojawiła się intrygująca wrażliwość, której wcześniej nie dostrzegala.

- Cam - zapytała ostrożnie - jak się udała twoja wyprawa z Merripenem?

Jego bursztynowe oczy zlagodniały i zabłysło w nich podniecenie.

- Całkiem dobrze. Mam pewien sekret, *monisha*. Chcesz, bym ci go zdradził? - Przyciągnął ją do siebie, objął i wyszeptał go do jej ucha.

Rozdział 12

Tego wieczoru Kev miał wiele powodów, aby czuć się podle. Win spełniła swoją obietnicę. Była wobec niego przyjacielska, ale chłodna. Uprzejma, grzeczna, bardzo miła. A on nawet nie mógł się sprzeciwić, bo przecież właśnie tego chciał. Nie spodziewał się jednak, że może być coś jeszcze gorszego niż jej ukradkowe tęskne spojrzenia. A było - jej obojętność.

Odnosiła się do niego życzliwie, nawet serdecznie, tak samo jak do Leo i Cama. Traktowała go po prostu jak brata. Merripen z trudem to znosił.

Hathawayowie zebrali się w jadalni; śmiali się i żartowali, oczekując na posiłek. Po raz pierwszy od dwóch lat mieli zasiąść do stołu wszyscy razem: Kev, Leo, Amelia, Win, Poppy i Beatrix, a oprócz nich jeszcze Cam, panna Marks i doktor Harrow.

Guwernantka próbowała się wymówić, ale nalegali, aby jadała z rodziną.

- A kto inny powie nam - powiedziała Poppy, śmiejąc się głośno - jak mamy się zachowywać? Ktoś musi nas ratować przed popełnieniem gafy.

Panna Marks ustąpiła, choć widać było po niej, że wolałaby teraz znaleźć się gdzie indziej. Zajmowała tak mało miejsca, jak to tylko możliwe - jej szczupła, niepozorna postać tkwiła wciśnięta pomiędzy Beatrix a doktora Harrowa.

Guwernantka rzadko odrywała wzrok od swojego talerza, a wyjątek czyniła tylko wtedy, gdy głos zabierał Leo. Jej oczy zasłaniały co prawda szkła okularów, ale Kev podejrzewał, że jaśniała w nich gorąca niechęć w stosunku do młodego lorda.

Panna Marks i Leo odnaleźli w sobie nawzajem ucieleśnienie cech, których najbardziej nie lubili. Leo nie mógł znieść ludzi pozbawionych poczucia humoru i krytycznych, natychmiast więc zaczął nazywać guwernantkę diabłem w spódnicy. A panna Marks z całego serca pogardzała rozpustnikami. Im bardziej byli czarujący, tym większą okazywała im odrazę.

Rozmowa przy stole koncentrowała się wokół kliniki doktora Harrowa, którą Hathawayowie uważali za niezwykle przedsięwzięcie. Panie zachwycały się jego każdym słowem i otwarcie okazywały mu swój podziw.

Kev żywił do Harrowa instynktowną odrazę, choć nie był pewien, czy chodziło mu o samego lekarza, czy też może nie mógł znieść sympatii, jaką Win darzyła swojego uzdrowiciela.

Chciał pogardzać doktorem za jego gładką doskonałość, ale Harrow odznaczał się błyskotliwym poczuciem humoru, okazywał żywe zainteresowanie toczącą się wokół niego rozmową i wydawał się nie traktować samego siebie zbyt poważnie. Chociaż dźwigał na swych barkach wielką odpowiedzialność - stawką

były przecież śmierć lub życie pacjentów - nie ugiął się pod tym brzemieniem. Był człowiekiem, który potrafił się odnaleźć w każdej sytuacji.

Zebrani rozmawiali przy jedzeniu, lecz Kev milczał, chyba że pytano go o posiadłość Ramsaya. Ostrożnie obserwował Win, ale nie potrafił dokładnie określić, jakie są jej uczucia wobec Harrowa. Odpowiadała mu ze swoim zwykłym spokojem, a jej twarz nie zdradzała niczego. Gdy jednak ich oczy się spotykały, widać w nich było wyraźną więź, wspólnotę. A najgorsze było to, że Kev wiedział, co kryje się w spojrzeniu lekarza... dręczące echo jego własnej fascynacji Win.

W połowie tego straszliwie uprzejmego posiłku Merripen uświadomił sobie, że Amelia, która siadała zazwyczaj u szczytu stołu, jest wyjątkowo jak na nią cicha. Przyjrzał się uważnie i zauważył jej blade policzki i pot na czole. Siedział po jej lewej stronie, pochylił się więc i zapytał:

- Co się dzieje?

Amelia rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Źle się czuję - szepnęła, przerykując z trudem. - Merripen, proszę, pomóż mi wstać od stołu.

Nie dopytując więcej, Kev odepchnął krzesło i pomógł jej się podnieść.

Cam, który siedział na drugim końcu długiego stołu, spojrzał na nich uważnie.

- Amelio?

- Źle się poczuła - wyjaśnił Kev.

Cam dopadł do nich w mgnieniu oka, z twarzą pełną niepokoju. Wziął żonę na rękę i wyniósł, pomimo jej protestów, z jadalni, zupełnie jakby przyczyną jej złego samopoczucia był ciężki uraz, a nie niestrawność.

- Może będę mógł pomóc - powiedział z troską w głosie doktor Harrow, odkładając na stół serwetkę i podążając za nimi.

- Dziękuję. - Win uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. - Tak się cieszę, że tu jesteś.

Kev z trudem powstrzymał się od zgrzytania zębami z zazdrości, gdy Harrow opuścił pokój.

Przerwano posiłek, wszyscy udali się do salonu, aby tam oczekiwać wieści na temat zdrowia Amelii. Przez długą chwilę jednak nikt się nie pojawiał.

- Co się mogło stać? - dopytywała płacząco Beatrix.

- Amelia nigdy nie choruje.

- Nic jej nie będzie - pocieszała siostrę Win. - Doktor Harrow się nią zajmie.

- Może powinnam tam iść - zastanawiała się Poppy - i zapytać, jak się czuje.

Zanim jednak ktokolwiek jej odpowiedział, na progu pojawił się Cam.

Wyglądał na speszzonego, lecz jego bursztynowe oczy śmiały się żywym blaskiem. Wyraźnie szukał właściwych słów. Potem na jego twarz wypłynął

szczęśliwy uśmiech.

- Gadziowie mają na pewno jakiś bardziej wyszukany sposób, by to powiedzieć, ale... Amelia spodziewa się dziecka.

Nowinę powitał chór okrzyków.

- Co powiedziała? - zapytał Leo. Cam uśmiechnął się kpiąco.

- Coś o tym, że to niedogodność. Leo roześmiał się cicho.

- Dzieci rzadko są wygodne. Ale na pewno jej się spodoba, że będzie miała nową osobę do dyrygowania.

Kev spojrział przez pokój na Win. Wpatrywał się w nią zafascynowany przebłyskiem tęsknoty, która na moment odmalowała się na jej twarzy. Jeśli kiedykolwiek wątpił w to, czy Win naprawdę pragnie mieć dzieci, teraz zyskał pewność. A gdy tak na nią patrzył, poczuł w sobie falę ciepła, która w nim narastała, aż uświadomił sobie co to. Był pobudzony, jego ciało pragnęło dać jej to, o czym marzyła. Chciał tulić ją w ramionach, kochać, wypełnić ją swoim nasieniem. Jego reakcja była tak prymitywna i niestosowna, że aż się przeraził.

Win chyba wyczuła, że na nią patrzył, bo także spojrzała w jego kierunku.

Wyglądała tak, jakby wiedziała, co się z nim dzieje. A potem odwróciła głowę.

Cam przeprosił zgromadzonych i wrócił do Amelii, która siedziała na brzegu łóżka. Doktor Harrow wycofał się, aby mogli być sami.

Cam zamknął drzwi i oparł się o nie, patrząc z czułością na szczupłą, napiętą postać żony. Niewiele wiedział o tych sprawach. Tak w kulturze gadziów, jak i Romów, ciąża i poród były domeną kobiet. Wiedział, że jego żona gubi się w sytuacjach, nad którymi nie może zapanować. Wiedział też, że kobiety w jej stanie potrzebują wsparcia i czułości. A on miał dla niej niewyczerpane zapasy obu tych uczuć.

- Zdenerwowana? - zapytał miękko, podchodząc bliżej.

- Och nie, ależ skąd; to przecież zwyczajna kolej rzeczy, tego należało oczekiwać po... - Westchnęła cichutko, gdy usiadł obok niej i wziął ją w ramiona. - Owszem, denerwuję się trochę. Chciałabym... chciałabym móc porozmawiać z mamą. Nie jestem pewna, czy będę wiedziała, co powinnam robić.

Oczywiście. Amelia musiała mieć wszystko pod kontrolą, była stanowcza i zdecydowana, niezależnie od tego, co robiła. Jednak wydanie na świat dziecka łączyło się z zależnością od innych i bezradnością aż do samego końca, kiedy to natura przejmowała całkowitą władzę nad tym procesem.

Cam przycisnął usta do jej lśniących, ciemnych, pachnących różami włosów. Zaczął masować jej plecy tak, jak najbardziej lubiła.

- Znajdziemy jakąś doświadczoną kobietę, z którą będziesz mogła porozmawiać. Może lady Westcliff? Lubisz ją, a ona na pewno będzie z tobą szczerą. A co do tego, jak masz to zrobić... musisz pozwolić mi się tobą zająć,

rozpieszczać cię i dawać ci wszystko, czego zapragniesz - Poczul, że się nieco rozluźniła. - Amelio, kochanie - szepnął - tak długo na to czekałem.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się i wtuliła w niego jeszcze mocniej. - Ja również. Chociaż miałam nadzieję, że zdarzy się to w bardziej dogodnym czasie, gdy Ramsay będzie już gotowe, Poppy zaręczona, a sprawy rodzinne uporządkowane i...

- Wierz mi, w wypadku twojej rodziny taki czas nigdy nie nadejdzie. - Cam pomógł jej położyć się obok mego na łóżku.

- Będziesz taką śliczną mamusią - szepnął, tuląc ją. - Z twoimi niebieskimi oczami, różowymi policzkami i zaokrąglonym brzuszkiem, w którym będzie rosło moje dziecko...

- Mam nadzieję, że gdy stanę się już bardzo gruba, nie będziesz się puszył z tego powodu i pokazywał mnie wszystkim jako przykładu swojej jurności.

- Już to robię, *monisha*.

Amelia spojrzała w jego roześmiane oczy.

- Nie rozumiem w ogóle, jak to się mogło stać.

- Nie wyjaśniłem ci tego w czasie naszej nocy poślubnej?

Zachichotała i objęła go za szyję.

- Chodziło mi o to, że przecież używałam środków zapobiegawczych. Tyle filiżanek tej ohydnej herbatki, a i tak zaszłam w ciążę.

- Jestem w połowie Romem - odparł Cam, jakby to miało wszystko tłumaczyć i pocałował ją namiętnie.

Gdy Amelia w końcu poczuła się na tyle dobrze, że mogła zejść do pań na herbatę, panowie udali się na dół, do pokoju dla dżentelmenów. Sala była przeznaczona do użytku hotelowych gości, ale stała się ulubionym miejscem spotkań tych, którzy pragnęli cieszyć się towarzystwem wybitnych cudzoziemców mieszkających w Rutledge.

Sufity były tu ciemne i niskie, pokryte różanym drewnem, a na podłogach leżały dywany z Wilton. W rogach pokoju znajdowały się odosobnione miejsca, dające możliwość spokojnej rozmowy, czytania i rozkoszowania się trunkami. W głównej części stały obite aksamitem fotele i stoły z pudełkami cygar i najświeższą prasą. Służba poruszała się bardzo cicho, roznosząc szklaneczki brandy i kieliszki porto.

Gdy ulokowali się wygodnie w jednej z wolnych łóż, Kev poprosił o brandy do stolika.

- Tak, panie Merripen - odparł lokaj, spiesząc wypełnić polecenie.

- Doskonale wyszkolona obsługa - zauważył doktor Harrow. - To doprawdy godne pochwały, że traktują z takim samym szacunkiem wszystkich gości.

Kev posłał mu pytające spojrzenie.

- A dlaczego miałyby być inaczej?

- Podejrzewam, że dżentelmeni twojego pochodzenia nie są obsługiwani wszędzie.

- W większości miejsc większą uwagę zwraca się na jakość odzieży niż odcień skóry - odparł spokojnie Kev. - Zazwyczaj to, że jestem Romem, nie ma żadnego znaczenia, dopóki stać mnie na napiwki.

- Oczywiście. - Harrow wyglądał na zażenowanego.

- Proszę o wybaczenie. Zazwyczaj nie bywam tak nietaktowny, Merripen.

Kev kiwnął głową, aby dać mu do zrozumienia, że nie żywi urazy.

Harrow zwrócił się do Cama, najwyraźniej szukając okazji, by zmienić temat.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pan zarekomendować kolegę, który mógłby zaopiekować się panią Rohan, dopóki zostaną państwo w Londynie. Znam wielu doskonałych lekarzy.

- Będę wdzięczny - odparł Cam, przyjmując brandy od służącego. - Podejrzewam jednak, że nie zostaniemy w Londynie zbyt długo.

- Panna Winnifred wydaje się bardzo kochać dzieci - stwierdził Harrow. - Biorąc pod uwagę jej kondycję, dobrze się składa, że będzie miała siostrzeńców i siostrzenice, którymi będzie mogła się zajmować.

Trzej mężczyźni spojrzeli na niego ostro. Cam zamarł ze szklanką tuż przy ustach.

- Kondycję? - powtórzył.

- Jej niezdolność do posiadania własnych dzieci - wyjaśnił lekarz.

- Co ty, do diabła, mówisz, Harrow? - zapytał Leo.

- Przecież wszyscy trąbimy wokół o cudownym powrocie mojej siostry do zdrowia, co zawdzięczamy twoim wybitnym umiejętnościom!

- Ona naprawdę wróciła do zdrowia, milordzie. - Harrow zmarszczył brwi w namyśle, wpatrując się w swoją brandy. - Tylko że zawsze już pozostanie nieco krucha. Moim zdaniem nigdy nie powinna mieć dziecka. To mogłoby mieć tragiczne dla niej skutki.

Zapadła ciężka cisza. Nawet Leo, który zazwyczaj rozładowywał atmosferę niefrasobliwością, nie zdołał ukryć swej reakcji.

- Czy moja siostra jest tego świadoma? - zapytał. - Bo niejednokrotnie dała mi do zrozumienia, że zamierza wyjść za mąż i mieć rodzinę.

- Rozmawiałem z nią o tym, rzecz jasna - odparł Harrow. - Powiedziałem jej, że jeśli wyjdzie za mąż, obie strony będą musiały się zgodzić na związek bezdzietny. - Zamilkł na chwilę. - Panna Hathaway nie jest jeszcze gotowa, by to zaakceptować. Mam jednak nadzieję, że z czasem przekonam ją do dostosowania oczekiwań do rzeczywistości. - Uśmiechnął się lekko. - Macierzyństwo nie jest przecież potrzebne do szczęścia każdej kobiecie, chociaż społeczeństwo gloryfikuje ten stan.

Cam spojrział na niego z uwagą.

- Moja szwagierka będzie zawiedziona, oględnie mówiąc.

- Tak. Lecz będzie się cieszyć znacznie dłuższym i lepszym życiem jako kobieta bezdzietna. I nauczy się to akceptować. Na tym polega jej siła. - Upił łyk brandy i kontynuował cicho: - Panna Hathaway i tak nie była przeznaczona do macierzyństwa. Jest taka szczupła, subtelna i wytworna, lecz nie nadaje się, by spełnić powołanie kobiety.

Kev przechylił szklaneczkę, a bursztynowy ogień spłynął w dół gardła. Odepchnął się od stołu i wstał, nie mogąc dłużej znieść towarzystwa tego bydlaka.

Wzmianka o szczupłości Win przeważała szalę. Przeprosił szorstko i wyszedł z hotelu w mrok nocy. Wszystkimi zmysłami chłonał zimne powietrze, plugawe, ostre zapachy miasta i odgłosy budzących się do nocnego życia ulic. Chryste, jak pragnął znaleźć się jak najdalej stąd.

Pragnął zabrać Win ze sobą na wieś, w jakieś czyste, pełne pachnących kwiatów miejsce. Z dala od promiennego doktora Harrowa, którego pedantyczna doskonałość napełniała go strachem. Instynktownie czuł, że Win nie jest przy tym człowieku bezpieczna.

Przy nim jednak także nie była.

Jego własna matka umarła przy porodzie. Myśl o tym, że mógłby zabić Win, złożywszy w niej nasienie i...

Wzdrygnął się gwałtownie. Najbardziej obawiał się właśnie tego, że ją skrzywdzi. Straci ją.

Pragnął z nią teraz porozmawiać, wysłuchać jej, pomóc jej się pogodzić z ograniczeniami, które na nią nałożono. Ale przecież postawił pomiędzy nimi barierę i wiedział, że nie odważy się jej przekroczyć. Bo jeśli wadą Harrowa był jego brak empatii, Kev był jego całkowitym przeciwieństwem. Zbyt wiele czuł, za dużo pragnął.

Tyle, aby ją zabić.

Później tego samego wieczoru Cam przyszedł do pokoju Keva. Merripen właśnie wrócił ze spaceru, jego płaszcz i włosy wciąż pokrywała wieczorna mgiełka.

Na odgłos pukania Kev podszedł do drzwi, otworzył je i zmarszczył gniewnie brwi.

- O co chodzi?

- Odbyłem pogawędkę na osobności z Harrowem - odparł Cam bez wyrazu.

- I?

- Pragnie ożenić się z Win. Chce jednak, aby było to małżeństwo tylko z nazwy. Ona jeszcze nic nie wie.

- Cholera jasna - mruknął Kev. - Stanie się kolejnym okazem w jego kolekcji. Pozostanie nietknięta, a on będzie romansował na lewo i prawo...

- Nie znam jej zbyt dobrze, ale nie sądzę, aby zgodziła się na coś takiego.

Zwłaszcza gdy zaoferujesz jej inną możliwość, *phral*.

- Jest tylko jedna możliwość: może pozostać przy rodzinie.

- Jest coś jeszcze. Ty możesz jej się oświadczyć.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

Twarz Keva zapłonęła.

- Nie mógłbym żyć z nią na odległość. Nie wytrzymałbym.

- Są pewne środki, które mogą zapobiec... Kev prychnął pogardliwie.

- W twoim przypadku doskonale się sprawdziły, nieprawdaż? - Potarł zmęczoną twarz. - Znasz też inne powody, dla których nie mogę się jej oświadczyć.

- Wiem, jak kiedyś wyglądało twoje życie - powiedział Cam, ostrożnie dobierając słowa. - Rozumiem, że boisz się ją skrzywdzić. Ale trudno mi uwierzyć, że naprawdę pozwolisz jej odejść do innego mężczyzny.

- Zrobię tak, jeśli to będzie dla niej najlepsze wyjście.

- Naprawdę jesteś przekonany, że ślub z Harrowem to dla Winnifred najlepsze wyjście?

- Lepszy on - zdołał wykrztusić Kev - niż ktoś taki jak ja.

Sezon jeszcze się nie skończył, ale wszyscy zdecydowali się wyjechać do Hampshire. Brali pod uwagę stan Amelii, która na pewno lepiej by się czuła w zdrowym otoczeniu, a Win i Leo pragnęli obejrzeć posiadłość. Jediną wątpliwością było to, czy wolno im pozbawiać Poppy i Beatrix ostatnich rozrywek. Obie jednak zapewniały, że z radością opuszczają Londyn.

Spodziewano się takiej decyzji po Beatrix, którą nadal bardziej interesowały książki, zwierzęta i spacer po polach, Leo był jednak zaskoczony, gdy usłyszał podobną deklarację od Poppy, która szczerze pragnęła znaleźć męża.

- Widziałam już wszystkich ewentualnych kandydatów w tym sezonie - oświadczyła ponuro, gdy jechali otwartym powozem przez Hyde Park. - Dla żadnego z nich nie warto zostać w mieście.

Beatrix siedziała naprzeciwko nich z Dodgerem na kolanach. Panna Marks usiadła z przodu i utkwiała wzrok w otaczającej ich zieleni.

Leo rzadko spotykał tak odpychające kobiety. Błada i uszczypliwa guwernantka cała składała się ze spiczastych łokci i kanciastych kości, a charakter miała sztywny, skomplikowany i oschły.

Catherine Marks wyraźnie nienawidziła mężczyzn. Leo nie winił jej za to, bo sam był w pełni świadom wad swojej płci. Tyle że kobiet panna Marks również nie darzyła sympatią. Łagodniała jedynie w obecności Poppy i Beatrix, które z kolei twierdziły, że panna Marks jest wyjątkowo błyskotliwa, bywa bardzo wesoła i uroczo się uśmiecha.

Leo szczerze wątpił, by wąskie zaciśnięte wargi panny Marks mógł kiedykolwiek rozjaśnić uśmiech. Wątpił, czy ta kobieta w ogóle miała zęby, bo nigdy ich nie widział.

- Zatruje mi przejażdżkę - narzekał tego ranka, gdy Poppy i Beatrix poinformowały go, że pojedą we czwórkę. - Nie mogę rozkoszować się parkiem, jeśli obok mnie będzie tkwił Ponury Żniwiarz.

- Nie nazywaj jej tak, Leo - zaprotestowała Beatrix.

- Ja bardzo ją lubię. Jest bardzo miła, gdy ciebie nie ma w pobliżu.

- Wydaje mi się, że w przeszłości jakiś mężczyzna musiał ją bardzo skrzywdzić - dodała Poppy. - Słyszałam zresztą plotki, że panna Marks została guwernantką, bo uwikłała się w jakiś skandal.

Leo poczuł zainteresowanie.

- Jakiego rodzaju skandal? Poppy zniżyła głos do szeptu.

- Mówią, że lekkomyślnie szafowała swymi wdziękami.

- Nie wygląda na kobietę, która szafowałaby swymi wdziękami - oznajmiła Beatrix normalnym tonem.

- Ciszej, Bea! - zawołała Poppy. - Nie chcę, aby panna Marks nas usłyszała. Może pomyśleć, że o niej plotkujemy.

- Przecież to właśnie robimy. A poza tym nie wierzę, że mogłaby... no wiesz... z byle kim. Nie wygląda na taką kobietę.

- A ja wierzę - powiedział Leo. - Zazwyczaj damy, które nie mają czym szafować, najchętniej to czynią.

- Nie rozumiem - stwierdziła Bea.

- On uważa, że nieatrakcyjne kobiety łatwiej uwieść - wyjaśniła Poppy sucho - z czym ja się nie zgadzam. A poza tym panna Marks wcale nie jest nieatrakcyjna. Jest tylko trochę... surowa.

- I chuda jak szkocki kurczak - mruknął Leo.

Gdy powóz minął Marble Arch i wjechał na Park Lane, panna Marks utkwiała wzrok w ukwieconych witrynach.

Leo wpatrywał się w nią dla zabicia czasu i zauważył nagle, że guwernantka ma całkiem znośny profil – okulary wspierały się na uroczym małym nosku, a jej podbródek był łagodnie zaokrąglony. Szkoda tylko, że zaciśnięte usta i zmarszczone czoło psuły cały efekt.

Odwrócił się do Poppy, rozmyślając nad jej chęcią opuszczenia Londynu. Każda inna dziewczyna w jej wieku błagałaby o możliwość pozostania w mieście, aby móc uczestniczyć w niekończących się balach i przyjęciach.

- Opowiedz mi o tych kandydatach - powiedział do siostry. - Naprawdę żaden z nich ci się nie spodobał?

Poppy pokręciła głową.

- Żaden. Spotkałam kilku, których nawet polubiłam, na przykład lorda Bromleya czy...

- Bromleya? - powtórzył Leo, unosząc brwi. - Przecież on jest od ciebie dwa razy starszy. Nie bierzesz pod uwagę młodszych konkurentów? Kogoś, kto urodził się w tym stuleciu?

- Cóż, jest pan Radstock.

- Tęgi i drętwy - stwierdził Leo, który miał okazję spotkać tłuszciocha przy kilku okazjach. Elita Londynu była stosunkowo niewielkim kręgiem. - Kto jeszcze?

- Lord Wallscourt jest bardzo łagodny i życzliwy, ale... to królik.
- Ciekawski i przymilny? - zapytała Beatrix, która bardzo lubiła króliki.

Poppy się uśmiechnęła.

- Nie, raczej bezbarwny i... och, po prostu króliczy. To dobra cecha u zwierzązka, ale nie u męża. - Poprawiła wstążki czepka zawiązane pod brodą. - Zapewne poradzisz mi, żebym obniżyła wymagania, Leo, ale one już są na takim poziomie, że nawet robak by się pod nimi nie prześliznął. Muszę wyznać, że ten londyński sezon to wielkie rozczarowanie.

- Przykro mi, Poppy - odparł Leo łagodnie. - Chciałbym przypomnieć sobie kogoś, kogo mógłbym ci przedstawić, ale obracałem się w towarzystwie hultajów i pijaków. Wspaniali towarzysze, prędzej jednak bym któregoś z nich zastrzelił, niż zgodził się mieć w nim szwagra.

- I to mi przypomina, że miałam cię o coś zapytać.

- Doprawdy? - Spojrzał na słodką, poważną twarz siostry, która tak bardzo pragnęła wieść spokojne, zwyczajne życie.

- Bywam w towarzystwie i słyszałam plotki...

Leo uśmiechnął się smutno, gdy pojął, co Poppy chce wiedzieć.

- O mnie.

- Tak. Naprawdę jesteś tak zepsuty, jak twierdzą niektórzy ludzie?

Pytanie było natury bardzo osobistej, ale Leo był świadom tego, że panna Marks i Beatrix skupiły na nim całą swą uwagę.

- Obawiam się, że tak, kochanie - powiedział, przypominając sobie wszystkie swoje wstrętne grzeszki z przeszłości.

- Dlaczego? - zapytała Poppy ze szczerością, którą w innym przypadku uznałby za czarującą. Teraz jednak panna Marks wpatrywała się w niego z niechęcią.

- Łatwiej jest być zepsutym - odparł. - Zwłaszcza gdy nie masz żadnego powodu, aby być dobrym.

- A zasłużenie na miejsce w niebie? - zapytała panna Marks. Pomyślałby, że jej głos jest piękny, gdyby nie należał do tak mało pociągającej istoty. - Czy to nie jest wystarczający powód, by zachować choć odrobinę przyzwoitości?

- To zależy - odparł sardonicznie. - Czym jest dla pani niebo, panno Marks?

Zastanawiała się nad odpowiedzią znacznie dłużej, niż się spodziewał.

- To spokój. Harmonia. Miejsce, w którym nie ma zła, płotek ani kłótni.

- Cóż, panno Marks, obawiam się, że pani niebo to moje piekło. I dlatego będę dalej podążał ścieżką mego zepsucia. - Odwrócił się do Poppy i odezwał się znacznie przyjaźniej: - Nie trać nadziei, siostrzyczko. Ktoś gdzieś tam na ciebie czeka. Pewnego dnia go odnajdziesz i stanie się dla ciebie wszystkim tym, o czym marzysz.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie. Ale zawsze byłem zdania, że miło jest powiedzieć coś takiego komuś w twojej sytuacji.

Poppy zachichotała i szturchnęła brata w ramię, a panna Marks obrzuciła go spojrzeniem pełnym czystego obrzydzenia.

Rozdział 13

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem z Londynu cała rodzina wybrała się na bal wydawany przez państwa Hunt w Mayfair. Pan Hunt, działający w przemyśle kolejowym, właściciel udziałów w brytyjskiej fabryce lokomotyw, do wszystkiego doszedł własną pracą, a urodził się jako syn londyńskiego rzeźnika. Był członkiem nowej klasy przemysłowców, ludzi interesu i dyrektorów, którzy naruszali wiekową tradycję i autorytet warstwy arystokratów.

Na dorocznym wiosennym balu u Huntów gromadziła się fascynująca i dosyć niestabilna mieszanka gości - od polityków przez dyplomatów i arystokrację po ludzi interesu. Zaproszenia na bal były rzeczą bardzo pożądaną, bo nawet ci, którzy otwarcie gardzili pogonią za majątkiem, pragnęli mieć dobre stosunki z niezwykle bogatym i wpływowym panem Huntem.

Rezydencja Huntów stanowiła symbol sukcesu jej właściciela. Ogromny, luksusowy i bardzo nowoczesny dom był oświetlony gazem i ozdobiony tynkami z nowoczesnych, giętkich form, które wystawiano obecnie w Kryształowym Pałacu. Wysokie okna wychodziły na ścieżki spacerowe w przepięknych ogrodach, a niezwykle oranżerię ze szklanym dachem ogrzewał system rur ukrytych pod podłogą.

Na progu posiadłości Huntów panna Marks udzieliła ostatnich wskazówek swoim podopiecznym, uprzedzając dziewczęta, by nie wypełniały swych karnecików zbyt szybko, bo interesujący dżentelmeni mogą przybyć później, nie zdejmowały rękawiczek i nie odmawiały panom tańców, chyba że już są zajęte. Przede wszystkim jednak pod żadnym pozorem nie wolno im pozwolić żadnemu kawalerowi na więcej niż trzy tańce - taka nadmierna poufałość mogłaby bowiem wywołać plotki.

Win ujęła dyskrekcja, z jaką panna Marks przekazywała swe instrukcje dziewczętom, i powaga, z jaką wysłuchały ich Poppy i Beatrix. Widać było, że ta trójka już długo porusza się razem po zawitych labiryntach kodeksu towarzyskiego.

Win była w znacznie gorszej sytuacji niż jej młodsze siostry. Wiele lat spędziła poza Londynem, dlatego też jej wiedza na temat obyczajów obowiązujących w towarzystwie miała znaczące braki.

- Mam nadzieję, że nie przyniosę wam wstydu - oznajmiła lekko. - Choć muszę was ostrzec, że szanse na jakieś potknięcie z mojej strony są całkiem spore. Mam nadzieję, że weźmie pani i mnie pod swoje skrzydła, panno Marks.

Guwernantka uśmiechnęła się łagodnie, odsłaniając białe zęby i delikatne wargi. Win pomyślała, że gdyby twarz panny Marks choć odrobinę się wypełniła,

byłaby całkiem ładna.

- Ma pani naturalne wycucie dobrego tonu - odparła guwernantka. - Nie wyobrażam sobie, aby nie była pani idealną damą.

- Och, Win nigdy nie popełnia błędów - poinformowała Beatrix pannę Marks.

- Win jest święta - potwierdziła Poppy. - To bardzo męczące. Ale robimy, co w naszej mocy, by ją tolerować.

Win uśmiechnęła się do sióstr.

- Do waszej informacji, mam zamiar złamać co najmniej trzy zasady dobrych manier, zanim ten bal dobiegnie końca.

- Które trzy? - zapytały chórem Poppy i Beatrix. Panna Marks wyglądała na skonsternowaną, jakby zupełnie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś chciałby umyślnie zrobić coś tak strasznego.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. - Win złożyła przed sobą dłonie w rękawiczkach. - To zależy od okoliczności.

Gdy goście weszli do domu, pospieszyli do nich lokaje, aby odebrać peleryny i szale od pań, a kapelusze i płaszcze od panów. Win zauważyła stojących nieopodal Cama i Merripena, którzy zsunęli okrycia takim samym zręcznym ruchem, i uśmiechnęła się figlarnie. Zastanawiała się, jak to możliwe, że nikt inny nie dostrzega w nich braci. Ich więź była dla niej oczywista, choć nie byli bardzo podobni do siebie. Mieli tę samą silną budowę, ale Cam wydawał się szczuplejszy i bardziej zwinny, podczas gdy Merripen miał mocną, bardziej muskularną sylwetkę boksera.

Największa różnica pomiędzy nimi kryła się jednak nie w wyglądzie zewnętrznym, a w sposobie postrzegania świata. Cam odnosił się do niego z kpiącą tolerancją, podbijał wszystkich urokiem osobistym i pewnością siebie, a Merripen objawiał urażoną godność, intensywną niechęć do otoczenia, a przede wszystkim walczył z ogromem uczuć, które z całych sił starał się ukryć.

Tak bardzo go pragnęła. Ale niezwykle trudno, jeśli to w ogóle możliwe, będzie podbić jego serce. Win wiedziała, że jej starania przypominają namawianie dzikiego zwierzęcia, by jadło jej z ręki: niekończące się odwroty i głód walczący ze strachem.

Zapagnęła go jeszcze bardziej, gdy zobaczyła pośród mieniącego się tłumu jego surową, potężną sylwetkę w prostym wieczorowym stroju w kolorach czerni i bieli. Merripen nie czuł się gorszy od otaczających go ludzi, ale był w pełni świadom tego, że do nich nie pasuje. Rozumiał ich system wartości, choć nie zawsze się z nim zgadzał. I nauczył się radzić sobie w świecie gadziów - był pewnym siebie człowiekiem, który umiał się dostosować do dowolnych okoliczności. W końcu, pomyślała Win z rozbawieniem, nie każdy mężczyzna potrafi ujeździć konia, zbudować własnymi rękami kamienne ogrodzenie, wyrecytować grecki alfabet i dyskutować o zaletach empiryzmu i racjonalizmu. Nie wspominając już nawet o odbudowie zrujnowanej posiadłości i prowadzeniu

jej, jakby się do tego urodził.

Kev Merripen był nieprzeniknioną tajemnicą. Win zaś pragnęła poznać wszystkie jego sekrety i sięgnąć do zakamarków niezwykłego serca, które tak chronił.

Ze smutkiem rozejrzała się po wytwornym wnętrzu i dostrzegła śmiejących się i rozmawiających gości. Miała tyle powodów, by się cieszyć tym balem, a pragnęła tylko zostać sam na sam z najbardziej niedostępnym mężczyzną w sali. Nie zamierzała jednak z tego powodu podpierać ścian przez całą noc. Będzie śmiać się i tańczyć, i robić wszystko to, o czym marzyła przez te lata, gdy leżała w łóżku zmożona chorobą. A jeśli zirytuje Merripena lub wzbudzi w nim zazdrość - tym lepiej.

Win podeszła do sióstr. Wszystkie miały pastelowe suknie: Poppy różową, Beatrix błękitną, Amelia lawendową, a sama Win białą. Jej suknia była niewygodna, co Poppy ze śmiechem nazwała zaletą balowej kreacji, bo wygodna na pewno nie byłaby stylowa. Miała zbyt odkrytą górę z głębokim, kwadratowym dekoltem i wąskimi, krótkimi rękawami, a dół składał się z trzech ciężkich szerokich spódnic ozdobionych całą masą falban. Najbardziej jednak przeszkadzał Win gorset, bez którego obywała się tak długo, że teraz nie mogła znieść najmniejszego nawet ucisku. Choć bardzo luźno zasznurowany, i tak usztywniał jej plecy i przesadnie wysoko wypychał piersi. To nie wydawało się przyzwoite, a jednak za nieprzyzwoitość uznano by pojawienie się na balu bez tego pancerza.

Reakcja Merripena wynagrodziła jej jednak wszelkie niewygody. Na widok Win w sukni balowej osłupiał i zaczął jej się intensywnie przyglądać od czubka pantofelków, wystających odrobinę spod spódnicy, aż do twarzy. Kilka dodatkowych spojrzeń poświęcił jej piersiom, wysoko uniesionym i podtrzymywanym gorsetem jak dłońmi. W jego oczach zapłonął obsydianowy ogień. Win zadrżała pod jego spojrzeniem, a potem z wysiłkiem odwróciła głowę. Hathawayowie weszli do holu oświetlonego kryształowymi żyrandolami rzucającymi ostre błyski na parkiet.

- Cóż za niezwykła istota - mruknął stojący nieopodal Win doktor Harrow. Podążyła za jego wzrokiem i ujrzała panią domu, Annabelle Hunt, która witała gości.

Win nigdy wcześniej nie spotkała pani Hunt, ale wiele o niej słyszała. Ta dama była uważana za jedną z najpiękniejszych kobiet w Anglii. Miała śliczną figurę, niebieskie oczy ocienione długimi rzęsami i włosy, które jaśniały wszystkimi odcieniami miodu i złota. Jednak to jej żywa, pełna ekspresji twarz czyniła ją tak pociągającą.

- Obok niej stoi jej mąż - szepnęła Poppy. - Jest onieśmielający, ale bardzo miły.

- Ośmielam się nie zgodzić - wtrącił Leo.

- Nie jest onieśmielający? - zapytała Win.

- Nie jest miły. Ilekroć znajduje się w jednym pokoju z jego żoną, patrzy na

mnie tak, jakby chciał mnie poćwiartować.

- Cóż - stwierdziła rzeczowo Poppy - za to akurat nie można go winić. -

Pochyliła się do Win. - Pan Hunt uwielbia swoją żonę. To małżeństwo z miłości.

- Jakie to niemodne - skomentował z uśmiechem doktor Harrow.

- On nawet z nią tańczy - dodała Beatrix - a mężowie i żony nie powinni tego robić. Ale ze względu na wielki majątek pana Hunta ludzie wybaczą mu takie zachowanie.

- Zobacz, jaką ona ma szczupłą talię - szepnęła Poppy do Win. - A urodziła już trójkę dzieci, w tym dwóch dużych chłopców.

- Muszę objaśnić pani Hunt wady ciasnego sznurowania gorsetu - rzekł półgłosem Harrow, a Win się roześmiała.

- Obawiam się, że dla kobiety wybór pomiędzy zdrowiem a modnym wyglądem nie jest łatwy. Nadal jestem zaskoczona, że mnie pozwoliłeś dzisiaj założyć gorset.

- I tak go nie potrzebujesz - powiedział z błyskiem w szarych oczach. - Twoja talia bez gorsetu nie jest wcale szersza niż ściśnięta talia pani Hunt.

Win uśmiechnęła się do niego. W obecności Harrowa zawsze czuła się bezpieczna i spokojna. Było tak od ich pierwszego spotkania. Stał się dla niej dobrym duchem, tak samo jak dla innych pacjentów kliniki. Nie widziała w nim jednak mężczyzny z krwi i kości. Nie wiedziała, czy mają szansę stworzyć coś więcej razem, niż gdy byli osobno.

- A oto tajemnicza, zaginiona siostra Hathaway! - zawołała pani Hunt, biorąc Win za rękę.

- Nie taka tajemnicza - odparła Win z uśmiechem.

- Panno Hathaway, to wielka przyjemność móc panią w końcu poznać i co więcej oglądać panią w dobrym zdrowiu.

- Pani Hunt zawsze o ciebie pytała - wyjaśniła siostrze Poppy - informowaliśmy ją więc o twoich postępach.

- Dziękuję, pani Hunt - odpowiedziała serdecznie Win. - Czuję się już całkiem dobrze i jestem zaszczycona, mogąc gościć w pani uroczym domu.

Pani Hunt posłała Win olśniewający uśmiech i uwolniła jej dłonie, gdy zwróciła się do Cama.

- Cóż za wspaniałe maniery. Jestem pewna, panie Ronan, że panna Hathaway z łatwością dorówna popularnością swoim siostrze.

- Obawiam się jednak, że dopiero w przyszłym roku - odparł lekko Cam. - Dzisiejszy bal oznacza dla nas koniec sezonu. W tym tygodniu wyjeżdżamy do Hampshire.

Pani Hunt zrobiła smutną minę.

- Tak szybko? Ale należało się tego spodziewać. Lord Ramsay chce zapewne obejrzeć swoją posiadłość.

- Tak, pani Hunt - odparł Leo. - Uwielbiam idylliczne otoczenie. Wprost nie mogę się nacieszyć widokiem owiec.

Słyszac śmiech żony, do rozmowy włączyl się pan Hunt.

- Witam, milordzie - powiedział do Leo. - Cały Londyn świętuje pana powrót do domu. Najwyraźniej wszystkie przybytki wina i gry znacznie ucierpiały pod pańską nieobecność.

- Zrobię, co w mojej mocy, aby ożywić gospodarkę. Hunt uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiele pan zawdzięcza temu człowiekowi - dodał, ściskając dłoń Merripena, który jak zwykle trzymał się z boku. - Według Westcliffa i innych sąsiadów Merripen zamienił Ramsay w prosperujący interes w zadziwiająco krótkim czasie.

- Jako że nazwa Ramsay rzadko jest kojarzona ze słowem sukces - odparł Leo - dokonania Merripena są tym bardziej imponujące.

- Może dzisiejszego wieczoru - zwrócił się Hunt do Keva - znajdziemy chwilę, aby porozmawiać o pańskiej opinii na temat tej młockarni, którą niedawno kupiliście. Przemysł lokomotywowo stoi mocno na nogach, zastanawiam się więc nad rozszerzeniem działalności na maszyny rolnicze. Słyszałem o nowych projektach młockarni i napędzanych parą pras do siana.

- Całe rolnictwo się mechanizuje - stwierdził Merripen. - Kombajny, wrębiarki, snopowiązałki... na wystawie zaprezentowano nowości.

W ciemnych oczach Hunta błysnęło zainteresowanie.

- Chciałbym dowiedzieć się więcej na ten temat.

- Mój mąż jest zafascynowany maszynami - oznajmiła ze śmiechem pani Hunt. - Zepchnęły wszystkie inne jego zainteresowania na drugi plan.

- Nie wszystkie - zaprotestował miękko Hunt. W jego oczach pojawiła się iskra, od której pani Hunt się zaczerwieniła.

- Panie Hunt - wtrącił rozbawiony Leo - chciałbym przedstawić panu doktora Harrowa, człowieka, który pomógł mojej siostrze odzyskać zdrowie.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedział doktor Harrow, ściskając dłoń gospodarza.

- Mnie również - odparł serdecznie Hunt. Posłał jednak lekarzowi dziwne, pytające spojrzenie. - To pan jest tym Harrowem, który prowadzi klinikę we Francji?

-Tak.

- I cały czas pan tam rezyduje?

- Tak, choć staram się odwiedzać przyjaciół i rodzinę w Wielkiej Brytanii, ilekroć zezwalają na to moje obowiązki.

- Znałem rodziców pańskiej zmarłej małżonki - oświadczył Hunt, spoglądając uważnie na lekarza.

Harrow drgnął nieznacznie i odpowiedział z pełnym żalu uśmiechem:

- Lanhamowie. Bardzo szacowni ludzie. Od lat ich nie widziałem. Wspomnienia, rozumie pan.

- Rozumiem - odparł cicho Hunt.

Win była zaskoczona długą, niezręczną pauzą, która nastąpiła potem. Zdumiała ją także osobliwa niechęć, jaką zdawali się emanować obaj panowie. Spojrzała pytająco na swoją rodzinę i panią Hunt, która najwyraźniej także tego wszystkiego nie rozumiała.

- Cóż, panie Hunt - powiedziała radosnym tonem pani domu - zaszokujemy wszystkich i zatańczymy? Zaraz będą grać walca, a wiesz, że jesteś moim ulubionym tancerzem.

Hunt natychmiast poświęcił całą uwagę żonie. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Dla ciebie wszystko, moja ukochana.

Harrow spojrzał w oczy Win.

- Tak długo nie tańczyłem walca - powiedział. - Czy znajdzie się dla mnie miejsce w twoim karneciku?

- Twoje nazwisko już tam jest - odparła i położyła swą drobną dłoń na jego ramieniu. Podążyli za Huntami do sali balowej.

Do Poppy i Beatrix także już podchodzili tancerze, a Cam ujął dłoń Amelii.

- Niech mnie diabli, jeśli pozwolę Huntom szokować towarzystwo w pojedynkę. Chodź, zatańcz ze mną.

- Obawiam się, że nikogo nie zaskoczymy - powiedziała Amelia, podążając za nim bez wahania. - Ludzie i tak zakładają, że nie mamy pojęcia o dobrym tonie. Leo spod zmrużonych powiek obserwował zmierzającą do sali grupę.

- Zastanawiam się - powiedział do Merripena - co ten Hunt wie o Harrowie. Znasz go na tyle dobrze, aby wprost o to zapytać?

- Tak. A nawet gdybym nie znał, nie opuściłbym tego domu, dopóki się nie dowiem.

Leo wybuchnął śmiechem.

- Jesteś chyba jedynym człowiekiem z tu zgromadzonych, który ośmieliłby się zmusić do czegoś Simona Hun-ta. To kawał chłopca.

- Tak jak ja - padła ponura odpowiedź.

Bal był doprawdy wspaniały, albo byłby taki, gdyby Merripen zachowywał się w sposób rozsądny. Tymczasem Kev bezustannie obserwował Win, wcale nie próbując tego ukryć. Ona przechodziła od jednej grupki do drugiej, a on konwersował z kilkoma mężczyznami, wśród których był pan Hunt, ale i tak nie spuszczał z niej oka.

Co najmniej trzy razy podchodzili do niej różni dżentelmeni, by poprosić ją do tańca, i za każdym razem nagle znikąd pojawiał się Merripen i mierzył ich takim wzrokiem, że w popłochu uciekali.

Odstraszał zalotników samą swoją miną.

Nawet panna Marks nie potrafiła go powstrzymać. Powiedziała Merripenowi stanowczo, że jego pomoc nie jest potrzebna, bo ona panuje nad sytuacją. Odparł jej wtedy, że gdyby wykonywała dobrze swoją pracę, trzymałaby niepożądanych kandydatów z dala od swoich podopiecznych.

- Co ty w ogóle wyprawiasz? - szepnęła z furią Win, gdy Kev przepędził kolejnego dżentelmena. - Chciałam z nim zatańczyć! Obiecałam mu, że to zrobię!

- Nie będziesz tańczyć z taką szumowiną - warknął Merripen.

Win ze zdumieniem potrząsnęła głową.

- To wicehrabia, potomek szanowanej rodziny. Co masz mu do zarzucenia?

- Przyjaźni się z Leo. To chyba wystarczy.

Win spojrzała na niego z wściekłością. Z całych sił walczyła, aby zachować spokój. Zawsze z łatwością przychodziło jej ukrywanie emocji pod maską opanowania, ale ostatnio było to coraz trudniejsze. Wszystko kłębiło się w niej i wrzało.

- Jeśli próbujesz zepsuć mi wieczór, doskonale ci się to udaje. Chcę tańczyć, a ty odstraszasz każdego, kto do mnie podejdzie. Zostaw mnie w spokoju.

- Odwróciła się do niego plecami i westchnęła z ulgą na widok Juliana Harrowa.

- Panno Hathaway, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i...

- Tak - powiedziała Win, zanim zdołał dokończyć zdanie.

Ujęła go pod ramię i pozwoliła się poprowadzić w tłum wirujących na parkiecie par. Spojrzała jeszcze przez ramię i zauważyła, że Merripen cały czas patrzy na nią, posłała mu więc groźne spojrzenie. Zrewanżował się tym samym.

Win zdusiła pełen frustracji śmiech. Uznała, że Kev Merripen to najbardziej irytujący mężczyzna, jakiego spotkała w życiu. Był jak pies ogrodnika, odmawiał jej siebie, ale nie pozwalał, by związała się z kimś innym. Znała jego cierpliwość i wiedziała, że taka sytuacja może się ciągnąć latami. Może trwać wiecznie. A ona nie chciała tak żyć.

- Winnifred - powiedział Julian z troską w oczach. - To zbyt piękny wieczór, aby się denerwować. O co się kłóciliście?

- To nieistotne - odparła, siłąc się na lekki ton. - Drobną sprzeczką, jak to w rodzinie.

Dygnęła, a Julian uklonił się i objął ją ramieniem. Jego stanowcza dłoń spoczęła na jej plecach i poprowadził ją z wprawą.

Jego dotknięcie obudziło w niej wspomnienia z kliniki - zachęcał ją i pomagał jej, był stanowczy, kiedy tego potrzebowała, a gdy osiągnęła kolejny cel, świętował razem z nią. To dobry, miły, mądry człowiek. I przystojny. Win nie mogła nie dostrzec pełnych podziwu spojrzeń, które rzucały mu inne kobiety. Większość panien w sali oddałaby wszystko, aby mieć tak wspaniałego konkurenta.

Mogłabym go poślubić, pomyślała. Jasno dał jej przecież do zrozumienia, że wystarczyłaby odrobina zachęty z jej strony. Mogłaby zostać żoną lekarza i zamieszkać na południu Francji, pomagać mu w pracy w klinice. Pomagać ludziom, którzy cierpieli tak jak ona... zrobić z życiem coś dobrego i wartościowego... czy to nie byłoby lepsze niż takie trwanie w zawieszaniu?

Wszystko było lepsze niż miłość do mężczyzny, którego nie mogła mieć. I

z którym musiała mieszkać. Stanie się zgorzkniała i sfrustrowana. Może nawet zacznie nienawidzić Merripena.

Uspokoila się w ramionach Juliana. Gorący gniew opadał, uciszony dźwiękami muzyki i rytmem walca. Julian prowadził ją ostrożnie pomiędzy parami krążącymi po sali.

- Marzyłam o tym - wyznała mu. - Chciałam robić to... co wszyscy inni.

Jego dłoń zacisnęła się na jej talii.

- I robisz. Ale nie jesteś taka jak inni. Jesteś najpiękniejszą kobietą na balu.

- Nie - zaprotestowała ze śmiechem.

- Tak. Jak anioły na obrazach starych mistrzów. Albo śpiąca Wenus.

Widziałas ten obraz?

- Niestety nie.

- Kiedyś ci go pokażę. Choć pewnie wyda ci się szokujący.

- Podejrzewam, że na tym obrazie Wenus jest naga? - Win próbowała mówić lekkim tonem, ale poczuła rumieniec na policzkach. - Nigdy nie rozumiałam, dlaczego piękno ukazuje się zawsze nago, jeśli odrobina przyzwoitej draperii dałaby taki sam efekt.

- Bo nie ma nic piękniejszego niż niczym nieosłonięta kobieca postać. - Julian roześmiał się cicho, gdy jej rumieniec się pogłębił. - Zawstydziłem cię? Przepraszam.

- Wcale nie jest ci przykro. Chciałeś mnie wprowadzić w zakłopotanie. - Było to całkiem nowe doświadczenie: flirtowała z Julianem.

- Masz rację. Chciałem cię zbić z pantałyku.

- Dlaczego?

- Bo pragnę, abyś dojrzała we mnie kogoś innego niż przewidywalny, nudny, stary doktor Harrow.

- Wcale cię tak nie postrzegam - odparła ze śmiechem.

- To dobrze - szepnął, uśmiechając się do niej. Walc się skończył i panowie odprowadzili swoje partnerki na miejsca.

- Tak tu gorąco i tłoczno - stwierdził Julian. - Może zachowamy się nieco skandalicznie i uciekniemy we dwoje na moment do ogrodu?

- Z przyjemnością.

Zaprowadził ją w kąt sali, osłonięty częściowo masywnymi donicami na kwiaty. W odpowiednim momencie wymknęli się i weszli do oranżerii, pełnej krętych ścieżek, drzew, kwiatów i ustronnych ławeczek. Za oranżerią był szeroki taras, skąd rozpościerał się widok na ogrody i inne rezydencje w Mayfair. W oddali wznosiły się kominy miasta, które ozdabiały nocne niebo obłokami dymu.

Usiedli na ławce. Julian zwrócił się twarzą do Win. Światło księżyca dodawało blasku jego jasnej twarzy.

- Winnifred - odezwał się niskim, stłumionym głosem. Wpatrzona w jego szare oczy Win uświadomiła sobie, że Julian zaraz ją pocałuje.

Zaskoczył ją jednak; z przesadną ostrożnością zsunął rękawiczkę z jej

dłoni. Księżyc lśnił na jego czarnych włosach. Podniósł szczupłą rękę Win do ust, ucałował koniuszki jej palców, a potem wrażliwy nadgarstek. Trzymał jej dłoń jak rozchylony kwiat przy swojej twarzy. Jego czułość ją rozbroiła.

- Wiesz, po co przybyłem do Anglii - powiedział miękko. - Chcę lepiej cię poznać, moja droga, w sposób, który nie był możliwy w klinice. Pragnę...

Odgłos kroków sprawił, że Julian zamilkł i uniósł głowę.

Razem spojrzeli w zdumieniu na intruza.

To był Merripen, rzecz jasna; potężny i mroczny gniewnie zmierzał w ich stronę.

Win otworzyła usta z niedowierzania. Czyżby ją śledził? Czowała się jak osaczona. Na litość boską, nie ma na całym świecie miejsca, gdzie mogłaby się schronić przed tym człowiekiem?

- Odejdź - powiedziała, wymawiając to słowo z pogardliwą precyzją. - Nie jesteś moją przyzwoitką.

- Powinnaś być z przyzwoitką - warknął Merripen. - A nie z nim.

Win z trudem zapanowała nad emocjami, w końcu ukryła je pod maską obojętności. Czowała jednak, jak wrze w niej krew. Jej głos drżał lekko, gdy zwróciła się do Juliana.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i zostawił nas na chwilę samych, doktorze Harrow? Jest pewna kwestia, którą musimy sobie z Merripenem wyjaśnić.

Julian spojrział na nich oboje.

- Nie jestem pewien, czy powinienem - odparł ostrożnie.

- Merripen dręczy mnie przez cały wieczór - powiedziała Win. - I tylko ja mogę położyć temu kres. Proszę, zostaw nas samych.

- Dobrze. - Harrow wstał z ławki. - Gdzie mam na ciebie poczekać?

- W salonie - odparła Win, wdzięczna, że Julian się nie sprzeciwia. Najwyraźniej cenil ją i jej umiejętności na tyle, aby pozwolić jej zająć się tą sytuacją. - Dziękuję, doktorze Harrow.

Ledwie spostrzegła, że Julian odszedł, tak była skoncentrowana na Merripenie. Wstała i podeszła do niego, drżąc z gniewu.

- Doprowadzasz mnie do szału! - wykrzyknęła. - To ma się natychmiast skończyć, Kev! Masz pojęcie, jaki jesteś śmieszny? Jak okropnie się dziś zachowujesz?

- Ja źle się zachowuję? - zagrzmiał. - To ty prawie się skompromitowałaś.

- Może chciałam się skompromitować?

- Szkoda - odparł, chwytając Win za ramię, aby zaciągnąć ją do salonu. - Bo ja zamierzam dopilnować, żebyś była bezpieczna.

- Nie dotykaj mnie! - wyrwała się mu rozwścieczona.

- Przez całe lata żyłam bezpiecznie. Tkwiłam w łóżku i przyglądałam się, jak wszyscy wokół mnie cieszą się życiem. Wystarczy mi już tego bezpieczeństwa, Kev. A jeśli tego właśnie dla mnie pragniesz, żebym nadal żyła samotna i niekochana, to możesz iść do diabła.

- Nigdy nie byłaś samotna - stwierdził ochryple. - Nigdy nie byłaś niekochana.

- Chcę być kochana jak kobieta, nie dziecko, siostra czy inwalidka...

- Nie tak cię...

- Może ty w ogóle nie jesteś zdolny do miłości.

- Pod wpływem oślepiającego gniewu Win doświadczyła czegoś, czego nie czuła nigdy wcześniej. Pragnienia, by kogoś skrzywdzić. - Nie ma w tobie miłości. Blask księżyca rozjaśnił postać Merripena, a Win poczuła zdumienie na widok jego twarzy. Kilkoma słowami zdołała go zranić tak głęboko, że otworzyła rany skrywające mrok i furję. Przestraszona cofnęła się o krok, gdy chwycił ją brutalnie za rękę. Przyciągnął ją do siebie.

- Wszystkie ognie piekielne mogłyby płonąć przez tysiąc lat, a i tak nie dorównałyby temu, co ja czuję do ciebie w każdej minucie dnia. Kocham cię tak bardzo, że nie ma w tym żadnej przyjemności. Nic, tylko cierpienie. Bo gdybym dał ci choć setną część tego, co do ciebie czuję, to wystarczyłoby, by cię zabić. I nawet jeśli doprowadza mnie to do szaleństwa, wolę oglądać cię żywą w ramionach tego zimnego, bezdusznego bydlaka niż martwą w moich.

Zanim w ogóle zdołała pojąć, co powiedział, zaczął całować jej usta z dziką pasją. Przez minutę czy dwie Win nawet nie mogła się ruszyć, tylko stała bezradnie, próbując pozbierać myśli. Poczuła słabość, ale nie z powodu choroby. Jej dłoń dotknęła jego karku, twardych mięśni pod sztywnym kołnierzykiem koszuli i błyszczących jak jedwab włosów.

Nieświadomie gładziła szyję Keva, próbując uśmierzyć jego gniew. Przycisnął się do niej jeszcze mocniej, a jego pocałunki ją oszałamiały. A potem coś się stało i nagle złagodniał. Jego ręka zadrżała, gdy dotknął twarzy Win i musnął dłonią podbródek. Przerwał swój gwałtowny atak i delikatnie ucałował jej powieki, nos i czoło.

Tak bardzo pragnął być blisko niej, że przycisnął ją do ściany oranżerii. Zachłysnęła się, gdy jej nagie ramiona dotknęły szklanej tafli i pokryły się gęsią skórką. Zimna szyba... a jego ciało było takie ciepłe, jego oszałamiająco miękkie wargi wędrowały wzdłuż jej szyi do piersi.

Merripen wsunął palce w jej stanik i pogładził miękką skórę. To mu jednak nie wystarczyło. Pociągnął niecierpliwie materiał w dół i odsłonił uniesione gorsetem piersi. Win zamknęła oczy, nie zdobywając się na żaden protest. Merripen westchnął z satysfakcją; przycisnął ją jeszcze mocniej do szklanej tafli i zamknął wargi na różowym sutku.

Win przygryzła wargę, by nie krzyknąć. Każdy ruch jego języka wywoływał w niej falę ciepła. Wsunęła mu palce we włosy, a jej ciało wygięło się ku niemu i czułej pieśszczocie jego ust.

Gdy jej sutek naprężył się i zaczął pulsować, Kev uniósł się i zaczął pieścić wargami jej ramiona.

- Win - powiedział rwącym się głosem. - Pragnę... - Urwał jednak i znów ją

pocałował, gorączkowo i namiętnie, a potem ujął twarde koniuszek jej piersi w palce. Ścisnął go i drażnił delikatnie, aż zaczęła drżeć i jęczeć z rozkoszy.

Nagle wszystko się skończyło. Kev zastygł w bezruchu i odepchnął Win od szyby, zasłaniając ją własnym ciałem. Jakby próbował ją przed czymś ochronić. Z jego ust wyrwało się ciche przekleństwo.

- Co... - Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Była tak oszołomiona, jakby właśnie się obudziła z głębokiego snu. Wirowało jej w głowie. - Co się stało?

- Zobaczyłem ruch na tarasie. Ktoś mógł nas zauważyć.

Przerażenie przywróciło jej zdolność myślenia. Odwróciła się od niego i niezdarnie zaczęła poprawiać suknię.

- Moja rękawiczka - szepnęła, dostrzegając ją pod ławką. Merripen pochylił się, by ją podnieść.

- Ja... ja pójdę teraz do pokoju dla pań - powiedziała drżącym głosem. - Doprowadzę się do porządku i wrócę do salonu najszybciej, jak to możliwe.

Nie była pewna, co się właśnie wydarzyło i jakie to miało znaczenie. Merripen w końcu przyznał, że ją kocha. Nareszcie to powiedział. Ona jednak zawsze wyobrażała sobie, że usłyszy pełne radości wyznanie, a nie gorzką, gniewną deklarację. Czowała się coraz gorzej.

Gdyby tylko mogła wrócić teraz do hotelu. Potrzebowała spokoju, aby to wszystko przemyśleć. Co on właściwie powiedział? „Wolałbym oglądać cię żywą w ramionach tego zimnego, bezdusznego bydlaka niż martwą w moich”. Przecież to nie miało żadnego sensu. Dlaczego mówił takie rzeczy?

Pragnęła z nim porozmawiać, ale to nie było odpowiednie miejsce i czas. Musiała działać z wielką ostrożnością i wyczuciem. Merripen był znacznie bardziej skomplikowany niż wszyscy uważali. Stwarzał wrażenie mniej wrażliwego niż większość ludzi dookoła, ale tak naprawdę skrywał w sobie emocje na tyle potężne, że sam nie umiał sobie z nimi poradzić.

- Musimy o tym porozmawiać, Kev - oznajmiła.

Skinął głową, a jego ramiona i kark pochyliły się, jakby spoczął na nich wielki ciężar.

Win przemknęła dyskretnie do pokoju dla pań na górze, gdzie pokojówki pracownice naprawiały podarte koronki, pomagały usunąć pot z wilgotnych, błyszczących twarzy i poprawiały fryzury dodatkowymi spinkami. Panie gromadziły się w małych grupkach, chichotały i plotkowały o tym, co właśnie zobaczyły lub podsłuchały. Win usiadła przed lustrem i przyjrzała się swemu odbiciu. Miała szkarłatne policzki, które kontrastowały z jej zwykłą spokojną bledością, i czerwone, nabrzmiałe usta. Zarumieniła się jeszcze bardziej, gdy zaczęła się zastanawiać, czy ktoś mógł widzieć, co robiła.

Pokojówka podeszła, aby oprószyć jej twarz ryżowym pudrem. Win mruknęła coś w podziękowaniu. Odetchnęła kilka razy głęboko dla uspokojenia - o tyle, o ile pozwalał na to diabelski gorset - i sprawdziła dyskretnie, czy stanik zakrywa jej biust.

Minęło około pół godziny, zanim w końcu uznała, że jest gotowa, aby zejść na dół. Uśmiechnęła się, gdy do pokoju wkroczyła Poppy i podeszła wprost do niej.

- Witaj, kochanie - powiedziała Win, wstając z krzesła. - Proszę, usiądź tutaj. Czy potrzebne ci spinki do włosów? Puder?

- Nie, dziękuję. - Poppy miała napiętą, zdenerwowaną twarz i była prawie tak czerwona, jak Win kilka minut wcześniej.

- Dobrze się bawisz? - zapytała Win z troską.

- Nie bardzo - odparła Poppy i zaciągnęła siostrę do kąta, w którym nie dało się ich podsłuchać. - Myślałam, że spotkam kogoś innego niż ci wszyscy nadęci, starzy parowie albo co gorsza nadęci, młodzi parowie, ale widzę jedynie pewnych siebie ludzi interesu. Chcą rozmawiać tylko o pieniądzach, co jest wulgarne, i ja na ten temat nic nie wiem, albo twierdzą, że robią kariery, o których nie mogą rozmawiać, co oznacza, że zapewne angażują się w jakieś nielegalne działania.

- A Beatrix? Jak sobie radzi?

- Budzi spore zainteresowanie. Mówi różne skandaliczne rzeczy, a ludzie się śmieją, bo myślą, że żartuje, choć ona mówi całkiem poważnie.

Win się uśmiechnęła.

- Zejdziemy na dół i jej poszukamy?

- Jeszcze nie. - Poppy chwyciła siostrę za rękę i mocno ścisnęła. - Win, kochanie... Szukałam cię, ponieważ... na dole zapanowało pewne poruszenie. I... dotyczy ono ciebie.

- Poruszenie? - Win potrząsnęła głową, nagle czując przejmujące zimno. Ogarnęły ją mdłości. - Nie rozumiem.

- Podobno widziano cię w oranżerii w kompromitującej sytuacji. Bardzo kompromitującej.

Win zbladła jak papier.

- Minęło ledwie trzydzieści minut - szepnęła.

- To londyńska elita - stwierdziła ponuro Poppy. - Tu plotki roznoszą się błyskawicznie.

Do garderoby weszły dwie młode kobiety i na widok Win natychmiast zaczęły coś do siebie szeptać. Win spojrzała z napięciem na Poppy.

- Wybuchnie skandal, prawda? - zapytała słabo.

- Nie, jeśli zaradzimy sytuacji szybko i w przemyślany sposób. - Poppy ścisnęła jej dłoń. - Zaprowadzę cię do biblioteki, kochanie. Amelia i pan Rohan już tam czekają, spotkamy się z nimi, porozmawiamy i podejmiemy decyzje co do dalszego działania.

Win prawie marzyła, by znów stać się słabą kobietką, która łatwo mdleje. W tym momencie bowiem wizja długiej utraty przytomności wydała się jej całkiem pociągająca.

- Och, co ja narobiłam - szepnęła. Poppy uśmiechnęła się blado.

- Wszyscy zadają sobie to pytanie.

Rozdział 14

Biblioteka Huntów był to uroczy pokój wypełniony mahoniowymi półkami na książki. Cam Rohan i Simon Hunt stali obok dużego inkrustowanego kredensu pełnego błyszczących karafek z alkoholami. Hunt, ze szklaneczką bursztynowego płynu w ręce, posłał Win zagadkowe spojrzenie. Byli tam także Amelia, pani Hunt i doktor Harrow. Win miała osobliwe wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się wywołać skandalu, a obecna sytuacja nie wydawała się ani tak ekscytująca, ani tak interesująca, jak Win sobie wyobrażała, leżąc w łóżku. Była raczej przerażająca.

Co prawda wcześniej oznajmiła Merripenowi, że chce zostać skompromitowana, ale wcale tak nie myślała. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach by sobie tego nie życzyła. Skandal zniszczyłby przyszłość nie tylko jej samej, ale również młodszych sióstr. Rzuciłby cień na całą rodzinę. Swoją lekkomyślnością mogła skrzywdzić tych, których kochała.

- Win. - Amelia podeszła do niej i objęła ją mocno. - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Jakoś sobie poradzimy.

Gdyby Win nie była tak zdenerwowana, uśmiechnęłyby się teraz. Jej starsza siostra słynęła z niezachwianej wiary w swoje umiejętności radzenia sobie ze wszystkim, włączając w to kłeski żywiołowe, międzypaństwowe konflikty i rozjuszone zwierzęta. Żadna z tych rzeczy nie równała się jednak spustoszeniu, które mógł spowodować skandal towarzyski w Londynie.

- Gdzie panna Marks? - zapytała Win stłumionym głosem.

- W salonie, z Beatrix. Próbujemy zachować pozory.

- Amelia uśmiechnęła się kpiąco do Huntów. - Nasza rodzina nigdy nie była w tym najlepsza.

Win zeszywniała na widok wchodzących do pokoju Leo i Merripena. Leo podszedł prosto do niej, a Merripen skrył się w kącie, jak zwykle. Nawet na nią nie spojrzął. W pokoju wyczuwało się takie napięcie, że Win przeszedł dreszcz.

Nie spowodowałam tego wszystkiego sama, pomyślała w przypiływie gniewu.

Merripen powinien jej teraz pomóc. Powinien bronić jej wszelkimi dostępnymi środkami. Włączając w to swoje nazwisko.

Jej serce zaczęło bić tak mocno, że aż poczuła ból.

- Słyszałem, że nadrabiasz stracony czas, siostrzyczko

- odezwał się nonszalanckim tonem Leo, choć w jego oczach mignął cień troski. - Musimy działać szybko, bo ludzie będą plotkować jeszcze bardziej, gdy zauważą naszą zbiorową nieobecność. Tak sobie strzepią języki, że wywołali lekki powiew w sali balowej.

Pani Hunt podeszła do Amelii i Win.

- Winnifred. - Jej głos zabrzmiał bardzo łagodnie. - Jeśli ta wiadomość nie jest prawdziwa, natychmiast zacznę jej zaprzeczać w twoim imieniu.

Win westchnęła drżąco.

- Obawiam się, że jest prawdziwa.

Pani Hunt poklepała ją po ramieniu i spojrzała na nią z otuchą.

- Uwierz mi, nie jesteś pierwszą ani ostatnią kobietą, która znalazła się w kłopotliwej sytuacji.

- W zasadzie - wtrącił jej mąż, przeciągając głoski - pani Hunt dysponuje doświadczeniem z pierwszej ręki w takich właśnie...

- Panie Hunt! - przerwała mu z oburzeniem małżonka. Uśmiechnął się szeroko. Odwracając się znów do Win, pani Hunt powiedziała: - Winnifred, ty i ten dżentelmen musicie od razu to rozwiązać. Czy mogę zapytać, z kim cię widziano?

Win nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w dywanie i studiowała w oszołomieniu kwiatowy wzór, czekając, aż Merripen się odezwie. Cisza trwała zaledwie kilka sekund, lecz jej wydawało się, że godzinami. Powiedz coś, pomyślała z desperacją. Powiedz im, że to byłeś ty!

Kev trwał jednak w bezruchu.

A potem do przodu wystąpił Julian Harrow.

- To ja jestem owym dżentelmenem - oznajmił cicho. Win poderwała głowę. Posłała mu zdumione spojrzenie, gdy ujął jej dłoń.

- Przepraszam was wszystkich - kontynuował Julian - a szczególnie pannę Hathaway. Nie zamierzałem narażać jej na plotki czy krytykę. To jednak przyspiesza tylko postanowienie, które podjąłem już dawno: pragnę poprosić pannę Hathaway o rękę.

Win przestała oddychać. Spojrzała prosto na Keva, a jej serce przeszły nagły ból. Surowa twarz Merripena i jego czarne jak węgiel oczy pozostały bez wyrazu.

Nie powiedział nic. Nic nie zrobił.

Skompromitował ją, a teraz pozwalał, aby inny mężczyzna wziął za to odpowiedzialność. Aby ktoś inny ją uratował. Zdrada była gorsza niż choroby czy ból, których dotychczas doświadczyła. W tej chwili Win nienawidziła Keva. Czowała, że będzie go nienawidzić do końca świata.

Jaki miała wybór poza przyjęciem oświadczyn Juliana? Albo to, albo ona i jej siostry będą skompromitowane.

Zbladła jak ściana, ale zdobyła się na nikły uśmiech i spojrzała na brata.

- Cóż, milordzie? - zapytała go. - Czy powinniśmy spytać cię najpierw o pozwolenie?

- Macie moje błogosławieństwo - odparł Leo z drwiną. - Przecież nie mogę pozwolić, aby moją nieskazitelną sytuację oblepiło błoto skandalu.

Win odwróciła się do Juliana.

- Zgadzam się więc, doktorze Harrow - oznajmiła spokojnie. - Wyjdę za pana.

Pani Hunt zmarszczyła śliczne, ciemne brwi i spojrzała na Win. Po chwili skinęła głową.

- Wyjdę w takim razie do gości i po cichu wytłumaczę odpowiednim osobom, że widziano tylko uścisk zaręczonej pary... jest to może odrobinę niestosowne, ale wyba-czalne w świetle zaręczyn.

- Pójdę z tobą - powiedział pan Hunt, podchodząc do żony. Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Harrowa. - Moje gratulacje, doktorze. - Jego ton był uprzejmy, lecz daleki od entuzjastycznego. - To wielkie szczęście zdobyć rękę panny Hathaway. Po wyjściu Huntów do Win podszedł Cam. Zmusiła się, by patrzeć mu prosto w orzechowe oczy, choć wiele ją to kosztowało.

- Czy tego właśnie chcesz, siostrzyczko? - zapytał cicho.

Prawie zmieniła zdanie pod wpływem jego współczucia.

- Och, tak. - Z trudem zwalczyła drżenie brody i zdołała się uśmiechnąć. - Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

A gdy w końcu zdecydowała się spojrzeć w stronę Merripena, zauważyła, że już wyszedł.

- **C**óż za okropny wieczór - szepnęła Amelia, gdy wszyscy opuścili bibliotekę.

- Tak. - Cam poprowadził ją na korytarz.

- Dokąd idziemy?

- Wracamy do salonu, żeby się pokazać. Spróbuj wyglądać na zadowoloną i pewną siebie.

- O Boże. - Amelia odsunęła się od męża i podeszła do niszy w ścianie. Z palladiańskiego okna rozciągał się widok na ulicę. Przycisnęła czoło do szyby i westchnęła ciężko. Po chwili dało się słyszeć gwałtowne postukiwanie obcasem w podłogę.

Sytuacja była poważna, ale Cam nie zdołał opanować uśmiechu. Ilekroć Amelia była zła lub zmartwiona, ujawniał się jej nerwowy nawyk. Jak jej kiedyś powiedział, przypominała mu tym kolibra ubijającego jedną nóżką gniazdo. Cam podszedł do niej i oparł ciepłe dłonie na jej krągłych ramionach. Zadrżała pod jego dotknięciem.

- Koliberku - szepnął, przesuwając palce na jej kark i masując napięte mięśnie. Gdy nieco się rozluźniła, stukot ustał. W końcu uspokoiła się na tyle, aby zwierzyć mu się ze swoich myśli.

- Wszyscy w tej bibliotece wiedzieli, że to Merripen ją skompromitował - powiedziała szorstko. - Nie Harrow. Nie mogę w to uwierzyć! Po tym, co przeszła biedna Win, musiało jeszcze dojść do tego? Poślubi mężczyznę, którego nie kocha, i wyjedzie do Francji, a Merripen nie kiwnie nawet palcem, by ją

powstrzymać? Co on sobie myśli?

- Więcej, niż mogę ci wyjaśnić tu i teraz. Uspokój się, kochanie. Twoje zdenerwowanie nie pomoże teraz Win.

- Nic na to nie poradzę. Wszystko poszło nie tak. Och, jak sobie przypomnę wyraz jej twarzy...

- Mamy czas, wszystko się ułoży - szepnęła Cam. - Zaręczyny to nie to samo co małżeństwo.

- Ale są wiążące - odparła niecierpliwie. - Wiesz, że ludzie traktują je jak kontrakt, a kontrakt nie tak łatwo zerwać.

- Może takie półwiążące - zgodził się Cam.

- Och, kochany. - Amelia pochyliła ramiona. - Ty nigdy nie pozwoliłbyś, aby coś stało pomiędzy nami, prawda? Nie pozwoliłbyś nas rozdzielić?

Pytanie było tak absurdalne, że Cam nie wiedział, co odpowiedzieć. Odwrócił ją twarzą do siebie i ze zdumieniem ujrzał, że jego trzeźwa, rozsądna żona jest bliska łez. To przez tę ciążę jest taka, pomyślał. Wilgotne oczy Amelii wywołały w nim gwałtowną falę czułości. Objął ją ramieniem, a drugą rękę wsunął w jej włosy na karku, nie dbając o to, że niszczy fryzurę.

- To dla ciebie żyję - powiedział cicho, tuląc ją do siebie. - Jesteś dla mnie wszystkim. Nic nie zmusiłoby mnie do opuszczenia cię. A gdyby ktoś próbował nas rozdzielić, zabiłbym go bez wahania. - Pocałował ją z obezwładniającą zmysłowością i nie podniósł ust, dopóki nie osłabła i rozpalona nie przywarła do niego mocno. - A teraz - powiedział półzartem - gdzie jest ta oranżeria?

Amelia uśmiechnęła się przez łzy.

- Myślę, że już wystarczy plotek na jeden wieczór. Porozmawiasz z Merripenem?

- Oczywiście. Nie posłucha, co prawda, ale nigdy wcześniej mnie to nie powstrzymało.

- Myślisz, że on... - Amelia zamilkła, gdy usłyszała odgłos kroków i szelest obfitych, ciężkich spódnic. Wcisnęła się w głąb niszy, pociągając za sobą męża. Wyczuła, że uśmiechnął się w jej włosy. Zamarli razem w bezruchu, przysłuchując się rozmowie dwóch dam.

- ...na litość boską, dlaczego Huntowie ich zaprosili? - zapytała jedna z nich z oburzeniem.

Amelia rozpoznała ten głos - należał do jednej z cnotliwych przyzwoitek, które siedziały w kącie sali. Ciotka jednej z debutantek, stara panna, zdegradowana do roli osoby towarzyszącej.

- Bo są obrzydliwie bogaci? - zasugerowała jej towarzyszka.

- Podejrzewam, że raczej dlatego, iż lord Ramsay jest wicehrabią.

- Masz rację. I kawalerem.

- Tak czy inaczej... Cygan w rodzinie! Na samą myśl...! Po nich akurat nie należy się spodziewać cywilizowanego zachowania. Żyją w zgodzie ze swymi zwierzęcymi instynktami. A od nas oczekuje się, że będziemy ich traktować jak

równych sobie.

- Przecież sami ci Huntowie to parweniusze. Hunt może sobie posiadać na własność połowę Londynu, ale nadal będzie synem rzeźnika.

- On sam i wielu jego gości to ludzie, z którymi w ogóle nie powinniśmy się zadawać. Nie mam wątpliwości, że nim ten wieczór dobiegnie końca, wybuchnie jeszcze pół tuzina skandali.

- Przerazające, zgadzam się. - Po chwili milczenia ta sama dama dodała tęsknie: - Mam nadzieję, że w przyszłym roku znów nas zaproszą...

Gdy głosy ucichły, Cam spojrział z troską na żonę. Nie dbał o opinię innych, przez lata uodpornił się na wszystko, co mówiono o Cyganach. Nienawidził jednak myśli, że czasami te strzały kierowane były w stronę Amelii.

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się do niego spokojnie, a jej niebieskie oczy zabłysły.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co cię tak rozbawiło?

Amelia zaczęła bawić się guzikiem jego surduta.

- Tak sobie myślałam... dziś wieczorem te dwie stare kwoki położą się spać zmarznęte i samotne. - Uśmiechnęła się figlarnie. - A ja pójdę do łóżka z niegodziwym, przystojnym Romem, który będzie mnie całą noc rozgrzewał.

Kev obserwował i czekał, aż w końcu nadarzyła się okazja, by podejść do Simona Hunta, który właśnie zdołał się wyplatać z konwersacji z dwiema chichoczącymi damami.

- Możemy zamienić słowo? - zapytał Kev cicho. Pan domu wcale nie wyglądał na zdziwionego.

- Chodźmy na tylny taras.

Utorowali sobie drogę do bocznych drzwi salonu, które otwierały się wprost na patio. W rogu stała grupka dżentelmenów delektujących się cygarami. Bogaty zapach tytoniu unosił się w powietrzu.

Simon Hunt uśmiechnął się przyjaźnie i pokręcił głową, gdy goście zaproponowali jemu i Kewowi, by do nich dołączyli.

- Mamy pewien interes do omówienia - powiedział.

- Może później.

Oparł się swobodnie o żelazną balustradę i spojrział na Keva uważnie.

Podczas tych kilku okazji, kiedy spotykali się w Hampshire, w Stony Cross Park, posiadłości, która graniczyła z majątkiem Ramsaya, Kev zdążył polubić tego człowieka. Hunt był zdecydowany i bardzo prawdomówny. Kierował się ambicją, uwielbiał pościg za pieniędzmi i przyjemności, na które mógł sobie dzięki nim pozwalać. A choć większość mężczyzn na jego miejscu traktowałaby siebie z wielką powagą, Hunt miał autoironiczne, prześmiewcze poczucie humoru.

- Zapewne zamierzasz mnie teraz zapytać, co wiem o Harrowie - powiedział.

-Tak.

- W świetle ostatnich wydarzeń wydaje się to zamykaniem drzwi, gdy dom został już okradziony. I muszę dodać, że nie mam jednoznacznych dowodów. Ale oskarżenia Lanhamów są na tyle poważne, że zasługują na uwagę.

- Jakie oskarżenia? - warknął Kev.

- Zanim Harrow wybudował klinikę we Francji, poślubił najstarszą córkę Lanhamów, Louise. Była to niezwykle piękna dziewczyna, odrobinę zepsuta i samowolna, ale dla Harrowa stanowiła niewątpliwie korzystną partię. Miała okazały posąg, a jej rodzina liczne koneksje. - Sięgnął do kieszeni surduta i wyjął srebrną papierośnicę.

- Poczestujesz się? - zapytał.

Kev pokręcił głową. Jego rozmówca wyjął cygaro, ze znanstwem odgryzł czubek i zapalił je. Koniuszek cygara rozjarzył się jasno, gdy Hunt się zaciągnął.

- Według Lanhamów - kontynuował, wydychając smugę aromatycznego dymu - po roku małżeństwa Louise bardzo się zmieniła. Stała się bierna i apatyczna, straciła zainteresowanie swoimi wcześniejszymi pasjami. Gdy Lanhamowie oznajmili Harrowowi o swoich spostrzeżeniach, powiedział im, że te zmiany to dowód dojrzałości i małżeńskiego szczęścia.

- Nie uwierzyli?

- Nie. A zapytana o to samo Louise powiedziała im, że jest szczęśliwa, i prosiła, by nie ingerowali. - Hunt znów uniósł cygaro do ust i spojrzał w zamyśleniu na światła Londynu migoczące w mroku nocy. - Kilka miesięcy później Louise podupała na zdrowiu.

Kev poczuł niepokój. Tych słów używano, gdy lekarz nie potrafił zdiagnozować choroby ani jej przeciwdziałać. Niepowstrzymane pogarszanie się stanu zdrowia, niepod-dające się kuracji.

- Była słaba, przygnębiona, coraz więcej czasu spędzała w łóżku. Nic jej nie pomagało. Lanhamowie nalegali na wizytę drugiego lekarza, ale on także nie znalazł żadnej przyczyny choroby. Stan Louise pogarszał się dalej i po miesiącu umarła. Jej rodzina obwiniła o to Harrowa. Przed ślubem Louise była zdrową, radosną dziewczyną, a dwa lata później nie żyła.

- To się czasami zdarza - zauważył Kev, czując potrzebę odegrania roli adwokata diabła. - To niekoniecznie wina Harrowa.

- Owszem. Ale to reakcja Harrowa utwierdziła ich w przekonaniu, że musiał ponosić częściową odpowiedzialność za jej śmierć. Był zbyt opanowany. Zbyt beznamiętny. Kilka krokodylich łez uronionych dla pozorów, i tyle.

- A potem wyjechał do Francji z pieniędzmi z posagu?

- Tak. - Hunt wzruszył szerokimi ramionami. - Gardzę plotkami, Merripen. I rzadko przekazuję je dalej. Ale Lanhamowie to ludzie godni szacunku, którzy nie mają skłonności do koloryzowania. - Marszcząc brwi, strzepnął popiół z cygara przez balustradę. - A pomimo tego, ile dobrego Harrow rzekomo uczynił dla swych pacjentów... nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś z nim jest nie w porządku. Nie potrafię jednak określić tego słowami.

Kev poczuł obezwładniającą ulgę na wieść, że jego zdanie podziela ktoś taki jak Hunt.

- Mam takie samo przeczucie, odkąd go poznałem - powiedział. - Wszyscy inni jednak bardzo go szanują.

W oczach Hunta mignęła drwina.

- Tak, cóż... nie byłby to pierwszy raz, kiedy nie zgadzam się z opinią ogółu. Myślę jednak, że każdy, komu zależy na szczęściu panny Hathaway, powinien zacząć się niepokoić.

Rozdział 15

Rano Merripen wyjechał. Wymeldował się z Rutledge i zostawił wiadomość, że postanowił sam wrócić do Ramsay.

Win obudziła się oszołomiona wspomnieniami. Była smutna, wyczerpana i przygnębiona. Kev zbyt długo był częścią jej życia. Nosiła go w sercu, przeniknął ją całą. Rozstanie z nim odczuwała jak amputację części siebie. A jednak musiała to zrobić. On sam uniemożliwił jej jakąkolwiek inną decyzję.

Umyła się i ubrała z pomocą pokojówki, która upięła jej włosy w kok. Nie będzie żadnych poważnych rozmów z rodziną, postanowiła. Żadnego płaczu ani żalu. Zamierzała poślubić Juliana Harrowa i żyć z nim daleko od Hampshire. I spróbuje odnaleźć spokój w tym małżeństwie.

- Chciałabym wziąć ślub najszybciej jak to możliwe - oznajmiła Julianowi tego ranka, gdy pili herbatę w rodzinnym apartamencie. - Tęsknię za Francją. Chciałabym wrócić tam bez zbędnej zwłoki. Jako twoja żona.

Julian uśmiechnął się i dotknął jej policzka szczupłym, gładkim palcem.

- Dobrze, moja droga. - Wziął ją za rękę. - Mam w Londynie jeszcze kilka spraw do załatwienia, lecz przyjadę do ciebie do Hampshire za kilka dni. Tam poczynimy ustalenia w kwestii ślubu. Możemy się pobrać w kaplicy posiadłości, jeśli tylko zechcesz.

Kaplicy, którą odbudował Merripen.

- Doskonale - odpowiedziała spokojnie.

- Dziś kupię pierścionek - oznajmił Julian. - Czy masz jakieś szczególne życzenia co do kamienia? Może szafir, pod kolor twoich oczu?

- Cokolwiek wybierzesz, na pewno mi się spodoba. - Win nie uwolniła dłoni, gdy oboje umilkli. - Julianie - szepnęła po chwili - nie zapytałeś mnie dotąd, co... co zaszło pomiędzy mną a Merripenem ubiegłej nocy.

- Nie było takiej potrzeby. Jestem zbyt zadowolony z jej rezultatów.

-Ja... ja chcę, żebyś wiedział, że będę dla ciebie dobrą żoną - zadeklarowała szczerze Win. - Ja... Moje przywiązanie do Merripena...

- Zblednie z czasem - dokończył łagodnie Julian. - Tak.

- I uprzedzam cię, Winnifred... Zamierzam stoczyć batalię o twe uczucia. Udowodnię ci, że mogę być tak oddanym i hojnym mężem, że w twoim sercu zabraknie miejsca dla innych.

Win pomyślała o podniesieniu tematu dzieci, chciała bowiem wiedzieć, czy Julian ustąpi, jeśli stan jej zdrowia będzie się poprawiał. Znała go już jednak na tyle, by wiedzieć, że nie zmienia zdania tak łatwo. A ona już nawet nie była pewna, czy to ma znaczenie. Znalazła się w potrzasku.

Jakiegokolwiek miało być od teraz jej życie, musiała nauczyć się zadowalać tym, co zsyła jej los.

Po dwóch dniach pakowania cała rodzina podążyła do Hampshire. Cam, Amelia, Poppy i Beatrix jechali pierwszym powozem, a Leo, Win i panna Marks drugim. Wyruszyli przed świtem, by za dnia przejechać jak najwięcej z dwunastogodzinnej podróży.

Cam nie chciał nawet zgadywać, o czym się dyskutuje w drugim powozie. Miał tylko nadzieję, że obecność Win załagodzi jakoś niechęć pomiędzy Leo a panną Marks.

Dyskusja w pierwszym powozie była natomiast, tak jak się spodziewał, niezwykle ożywiona. Wzruszyło go i rozbawiło, gdy Beatrix i Poppy zainicjowały prawdziwą kampanię na rzecz Merripena jako jedyne go słusznego kandydata do ręki Win. Założyły naiwnie, że jedyną przeszkodą stojącą na drodze zakochanych jest brak majątku Merripena.

- ...więc gdybyś ofiarował mu trochę pieniędzy... - perorowała Beatrix.

- ...albo część fortuny Leo - wtrąciła Poppy. - Bo on i tak wszystko zmarnuje...

- ...dając Merripenowi do zrozumienia, że to posag Win - mówiła Beatrix - żeby nie urazić jego dumy...

- ...a oni nie potrzebują wiele - przerwała siostrze Poppy. - Nie dbają o pałace, piękne powozy czy...

- Chwileczkę, moje drogie - powiedział Cam, unosząc dłonie w obronnym geście. - Problem jest bardziej skomplikowanej natury i... nie, przestańcie szczebiotać i wysłuchajcie mnie. - Uśmiechnął się do dwóch par niebieskich oczu, wpatrujących się w niego z niepokojem. Troska obu dziewcząt o Merripena i Win była bardziej niż rozczulająca. - Merripen ma wystarczające środki, by starać się o Win. Wystarczyłoby tylko to, co zarabia jako zarządca Ramsay, a ma przecież jeszcze nieograniczony dostęp do kont i ksiąg majątku.

- To dlaczego Win wychodzi za doktora Harrowa, a nie Merripena? - zażądała odpowiedzi Beatrix.

- Z powodów, które wolałyby zachować dla siebie, Merripen uważa, że nie byłby dla niej odpowiednim mężem.

- Ale on ją kocha!

- Miłość nie zawsze wystarcza, Bea - oświadczyła łagodnie Amelia.

- To zabrzmiało jak coś, co mógłby powiedzieć Merripen - zauważyła Poppy z lekkim uśmiechem. Beatrix wyglądała na zdegustowaną.

- A co powiedziałby wasz ojciec? - zapytał Cam.

- Wciągnąłby nas wszystkich w zawiłą filozoficzną dysputę o naturze uczuć, która zakończyłaby się niczym

- odparła Amelia - ale byłaby fascynująca.

- Nieważne, jak bardzo to jest skomplikowane! - zawołała Beatrix. - Win

powinna wyjść za Merripena. Nie uważasz tak, Amelio? - Decyzja nie należy do nas - rzekła najstarsza siostra.

- Ani do Win, chyba że ten uparty głuptas zaproponuje jej małżeństwo. Ona sama niewiele może zrobić, dopóki Merripen się nie oświadczy.

- Czy nie byłoby wspaniale, gdyby to damy mogły oświadczać się dżentelmenom? - zadumała się Beatrix.

- Wielkie nieba, nie! - zaprzeczyła natychmiast Amelia. - To byłoby zbyt łatwe dla dżentelmenów.

- W królestwie zwierząt - wyjaśniła Beatrix - samce i samice cieszą się równym statusem. Samice mogą robić, co im się żywnie podoba.

- W królestwie zwierząt pozwala się na wiele zachowań, których my, ludzie, nie możemy naśladować, kochanie. Na przykład na drapanie się w miejscu publicznym. Zwracanie jedzenia. Puszenie się, aby przyciągnąć partnera. Nie wspominając nawet o... Cóż, chyba nie muszę mówić dalej.

- Wielka szkoda - powiedział Cam z uśmiechem. Pomógł żonie wygodniej się ulokować i zwrócił się do Beatrix i Poppy. - Posłuchajcie, wy dwie. Nie wolno wam nękać Merripena w tej sprawie. Wiem, że chcecie pomóc, ale tylko go sprowokujecie do oporu.

Dziewczęta ponarzekały chwilę, po czym niechętnie skinęły głowami i skuliły się w kątach. Na zewnątrz było ciemno, a kołysanie powozu usypiało. Po kilku minutach obie zapadły w sen.

Cam spojrzął na Amelię i zauważył, że ona wciąż nie śpi. Poglaskał żonę po twarzy i szyi i spojrzął w jej czyste, błękitne oczy.

- Dlaczego on nic nie zrobił, Cam? - szepnęła. - Dlaczego oddał Win Harrowowi?

Cam przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Boi się.

- Czego?

- Tego, co mógłby jej zrobić.

Amelia zmarszczyła brwi ze zdumienia.

- To nie ma sensu. Merripen nigdy by jej nie skrzywdził.

- Nie intencjonalnie.

- Chodzi o to, że Win może zająć w ciążę? Ale ona się nie zgadza z opinią doktora Harrowa i uważa, że nawet on nie wie z całą pewnością, co może się wydarzyć.

- To nie tylko to. - Cam westchnął i przyciągnął ją do siebie. - Czy Merripen wspominał ci kiedykolwiek o *ashańbel*

- Nie, co to znaczy?

- Tym słowem opisuje się rzymskiego wojownika. Chłopców w wieku pięciu - sześciu lat przyucza się do walk na pięści. Nie ma żadnych zasad i limitów czasowych. Cel to wyrządzić jak największą krzywdę w możliwie najkrótszym czasie, dopóki przeciwnik nie padnie. Opiekunowie chłopców pobierają opłaty od

widowni. Widziałem *ashań-be*, którzy zostali bardzo poważnie ranni, oślepieni, a nawet zabici w czasie pojedynku. Walczą z połamanymi nadgarstkami i żebrami, jeśli trzeba. - Nieobecnie pogłaskał żonę po włosach. - W moim taborze ich nie było. Nasz przywódca zdecydował, że to zbyt okrutne. Uczyliśmy się, rzecz jasna, walczyć, ale nigdy nie był to dla nas sposób na życie.

- Merripen... - szepnęła Amelia.

- O ile wiem, w jego przypadku było jeszcze gorzej. Człowiek, który go wychowywał... - Cam, zawsze tak elokwentny, nagle nie potrafił znaleźć słów.

- Jego wuj? - ponagliła Amelia.

- Nasz wuj. - Cam powiedział już żonie, że on i Merripen są braćmi. Nie wyznał jednak reszty tego, czego się dowiedział od Shuri. - Najwyraźniej wychowywał Merripena jak bestię.

Amelia zbladła przeraźliwie.

- Co ty mówisz?

- Chciał z niego zrobić dzikie zwierzę. Merripen był głodzony i maltretowany, dopóki nie zgodził się walczyć ze wszystkimi, niezależnie od okoliczności. Nauczono go w pokorze przyjmować ciosy wymierzone weń przez *rom baw*, a zwracać agresję ku przeciwnikom.

- Biedny chłopiec - szepnęła Amelia. - To wyjaśnia, dlaczego był taki, gdy go znaleźliśmy. Na wpół zdziczały. Ale... to było bardzo dawno temu. Jego życie bardzo się zmieniło. Jeśli kiedyś tak straszliwie cierpiał, czy teraz tym bardziej nie powinien pragnąć miłości? Nie chce być szczęśliwy?

- To nie działa w ten sposób, kochanie. - Cam uśmiechnął się do niej łagodnie.

Nie dziwiło go, że Amelia, wychowana w troskliwej, kochającej się rodzinie, nie potrafiła zrozumieć mężczyzny, który bał się swoich własnych potrzeb jak najgorszych wrogów.

- A gdyby uczono cię przez całe dzieciństwo, że żyjesz tylko po to, by zadawać ból innym? Jesteś stworzona do przemocy? Jak byś się tego oduczyla? Nie mogłabyś. Ukrywałabyś to więc najgłębiej, jak się da, zawsze świadoma tego, co skrywa się tuż pod powierzchnią.

- Ale... przecież Merripen się zmienił. To człowiek pełen zalet.

- On sam by się z tym nie zgodził.

- Cóż, Win dała mu wyraźnie do zrozumienia, że zechce go mimo wszystko.

- Nie ma znaczenia, czy ona go chce. On jest zdecydowany za wszelką cenę bronić jej przed sobą samym.

Amelia nie cierpiała mierzyć się z problemami, które nie mają rozwiązania.

- Co więc możemy zrobić? Cam pochylił się i ją ucałował.

- Wiem, jak bardzo nie lubisz tego słyszeć, ukochana... ale niewiele.

Wszystko spoczywa w ich rękach.

Pokręciła głową i mruknęła coś w jego ramię.

- Co powiedziałaś? - zapytał rozbawiony Cam.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się z ironią. - Mniej więcej tyle, że to fatalne rozwiązanie: powierzać przyszłość Merripena i Win im samym.

Poprzednim razem, gdy Win i Leo widzieli Ramsay House, dom był zrujnowany i w połowie spalony, a ogrody wokół niego porośnięte chwastami i pokryte gruzem. W przeciwieństwie do innych członków rodziny nie obserwowali regularnie postępów w odbudowie.

Zamożne południowe hrabstwo Hampshire obejmowało swym zasięgiem wybrzeże, wrzosowiska i potężne, stare lasy obfitujące w zwierzynę. Hampshire miało łagodniejszy, bardziej słoneczny klimat niż inne części Anglii, co zawdzięczało właśnie swemu położeniu. Win nie mieszkała tu zbyt długo przed wyjazdem do kliniki doktora Harrowa, ale i tak miała poczucie, że wraca do domu. Była to bardzo przyjazna i ładna okolica. W dodatku o kilka minut spaceru od posiadłości znajdowało się kipiące życiem miasteczko targowe Stony Cross.

Tego dnia Hampshire postanowiło chyba pokazać im się od najlepszej strony, bo słońce świeciło jasno, a na niebie w oddali widać było tylko kilka malowniczych obłoków.

Powóz mijał właśnie stróżówkę zbudowaną z szaro-niebieskiej cegły z elementami z jasnego kamienia.

- Nazywają ją Błękitnym Domkiem - objaśniła panna Marks - z oczywistych względów.

- Jaka urocza! - zawołała Win. - Nigdy nie widziałam cegły w podobnym kolorze.

- To cegła ze Staffordshire - poinformował ją Leo, odwracając się, aby zobaczyć drugą stronę domu. - Teraz, gdy istnieje możliwość przewozu materiałów budowlanych koleją, nie ma już konieczności wyrabiania ich na miejscu.

Powóz potoczył się dalej szerokim podjazdem do domu, otoczonego aksamitnie zielonym trawnikiem z wysypanymi białym żwirem ścieżkami, młodym żywopłotem i krzewami róż.

- Mój Boże - westchnął Leo, gdy w końcu podjechali pod główny budynek.

Była to rozłożysta budowla z jasnego kamienia z uroczymi mansardowymi oknami. Dach z niebieskich płytek łupkowych załamywał się i tworzył wykusze obrysowane terakotowymi dachówkami na kalenicy. Zachowano podobieństwo do starego domu, ale wprowadzono wiele innowacji. A to, co pozostało z poprzedniego budynku, odrestaurowano tak wspaniale, że z trudem można było odróżnić te części od zbudowanych od nowa.

Leo nie spuszczał oka z domu.

- Merripen powiedział mi, że zachowali niektóre pokoje o dziwnych kształtach i nisze. Widzę znacznie więcej okien. I jest nowe skrzydło dla służby.

Wszędzie pracowali ludzie: murarze, oborowi, cieśle, kamieniarze, ogrodnicy przycinający żywopłoty, chłopcy stajenni i lokaje, którzy wyszli z domu

na widok zbliżających się powozów. Posiadłość nie tylko wróciła do życia; ona kwitła.

Obserwując skupiony profil brata, Win poczuła falę wdzięczności dla Merripena, dzięki któremu to wszystko stało się możliwe. Dobrze, że Leo wracał do takiego domu. Był to obiecujący początek nowego życia.

- Potrzeba więcej służby - powiedziała panna Marks - ale ci, których pan Merripen już zatrudnił, są bardzo wydajni. Pan Merripen jest bardzo wymagającym zarządcą, ale także dobrym. Zrobiliby wszystko, żeby go zadowolić.

Z pomocą lokaja Win zeszała po schodkach powozu i pozwoliła zaprowadzić się do frontowych drzwi - przepięknych dwuskrzydłowych wrót z solidnego drewna w dolnej części i osadzonych w ołowiu szklanych szyb w górnej. Gdy tylko Win stanęła na ostatnim schodku, drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta w średnim wieku, z rudymi włosami i piegowatą, jasną twarzą. Miała kształtną, mocną sylwetkę, ubrana była w czarną suknię z wysokim kołnierzykiem.

- Witamy, panno Hathaway - powiedziała ciepło. - Nazywam się Barnstable, jestem gospodynią. Cieszymy się bardzo z pani powrotu do Hampshire.

- Dziękuję - szepnęła Win, wchodząc za nią do środka. Otworzyła szeroko oczy na widok wnętrza - jasnego, lśniącego, wysokiego na dwa piętra holu, wyłożonego panelami w odcieniu kremowej bieli, który kończył się klatką schodową z szarego kamienia z czarnymi, żelaznymi balustradami, błyszczącymi czystością. W powietrzu unosił się zapach mydła i wosku do podłóg.

- Zdumiewające - westchnęła Win. - To zupełnie inny dom.

Leo stanął obok niej. Tym razem nie czynił żadnych dowcipnych uwag, nawet nie starał się ukryć podziwu.

- To cholerny cud - stwierdził. - Jestem w szoku. - Odwrócił się do gospodyni. - Gdzie jest Merripen, pani Barnstable?

- W składzie drewna, milordzie. Pomaga rozładować transport. Bale są dosyć ciężkie i przy trudnym ładunku robotnicy proszą czasami pana Merripena o pomoc.

- Mamy skład drewna? - zdumiał się Leo.

- Pan Merripen planuje budowę domów dla nowych dzierżawców - poinformowała go panna Marks.

- Pierwsze słyszę. Dlaczego budujemy im domy?

- W głosie Leo nie słyhać było potępienia, raczej życzliwe zainteresowanie. Panna Marks natychmiast jednak zacisnęła wargi, jak gdyby odebrała to pytanie jak skargę.

- Najnowsi dzierżawcy zostali nakłonieni do zamieszkania w Ramsay właśnie obietnicą nowych domów. To doświadczeni rolnicy, wyedukowani i patrzący w przyszłość. Pan Merripen wierzy, że ich praca przyczyni się do

dobrobytu posiadłości. Inni miejscowi właściciele ziemi, na przykład w Stony Cross Park, również budują domy dla swoich dzierżawców i pracowników...

- Dobrze - przerwał jej Leo. - Nie musisz być taka ostra, Marks. Przecież nie zamierzam torpedować planów Merripena po tym, jak zobaczyłem, ile już zrobił.

- Spojrzał na gospodynię. - Jeśli pokaże mi pani drogę, pani Barnstable, pójdę do Merripena. Może też będę mógł pomóc w rozładunku.

- Lokaj wskaże drogę - odparła natychmiast gospodyni. - Ale ta praca bywa niebezpieczna, milordzie, i nie pasuje do dżentelmena o pana pozycji.

- A poza tym wątpliwe, by pan mógł się tam na coś przydać - dodała panna Marks lekkim, lecz zjadliwym tonem.

Gospodyni otworzyła usta ze zdziwienia.

Win z trudem opanowała uśmiech. Panna Marks zwracała się do Leo jak do mizernego słabeusza, a nie potężnego wysokiego mężczyzny, którym był.

Leo uśmiechnął się sardonicznie do guwernantki.

- Jestem bardziej sprawny fizycznie niż pani podejrzewa, panno Marks. Nie ma pani pojęcia, co się kryje pod tym surdudem.

- I bardzo mnie to cieszy, milordzie.

- Panno Hathaway - wtrąciła w pośpiechu gospodyni, starając się zapobiec konfliktowi - czy mogę pokazać pani pokój?

- Tak, dziękuję. - Usłyszawszy głosy sióstr, Amelia odwróciła się i zobaczyła je w holu razem z Camem Rohanem.

- I cóż? - zapytała Amelia z uśmiechem, pokazując szerokim gestem otoczenie.

- Tego się nie da wyrazić słowami - odparła Win.

- Odświeżymy się nieco, zmyjemy z siebie podróży kurz, a potem cię oprowadzę.

- Wystarczy mi kilka minut.

Win podeszła z gospodynią do schodów.

- Jak długo pani tu pracuje, pani Barnstable? - zapytała, gdy wspinały się na piętro.

- Mniej więcej rok. Odkąd dom nadawał się do zamieszkania. Poprzednio pracowałam w Londynie, ale stary pan umarł, a młody panicz zwolnił większość służby, by zastąpić ich swoimi ludźmi. Bardzo potrzebowałam pracy.

- Przykro mi to słyszeć. Ale pani obecność okazała się korzystna dla Hathawayów.

- Było to bardzo ambitne zadanie - powiedziała gospodyni. - Musiałam zatrudnić i wyszkolić całą służbę. Przyznam szczerze, że miałam wątpliwości ze względu na te nietypowe okoliczności, ale pan Merripen był bardzo przekonujący.

- Tak - zgodziła się Win - trudno jest mu odmówić.

- To bardzo silny i zrównoważony człowiek, ten pan Merripen. Nieraz obserwowałam ze zdumieniem, jak zajmował się tuzinem spraw jednocześnie:

stolarze, malarze, kowal, główny stajenny, wszyscy domagali się jego uwagi. A on zawsze zachowuje spokój. Nie poradzilibyśmy sobie bez niego. To serce całej posiadłości.

Win skinęła posepnie głową. Po drodze zaglądała do pokoi, które mijały. Zobaczyła jeszcze więcej jasnych, kremowych paneli, lekkie, wiśniowe meble i tkaniny w miękkich, pastelowych barwach zamiast ciężkich, ponurych zasłon, które były obecnie w modzie. Posmutniała na myśl, że będzie mogła cieszyć się tym domem tylko przy okazji rzadkich wizyt.

Pani Barnstable zaprowadziła ją do pięknego pokoju z oknami wychodzącymi na ogrody.

- Ten został przeznaczony dla pani - oznajmiła. - Nikt tu wcześniej nie mieszkał.

Drewniane łóżko miało kolor niebieski. Pościel była biała. W rogu stał uroczy sekretarzyk, a dalej wielka szafa z klonowego drewna z lustrem osadzonym w drzwiach.

- Pan Merripen osobiście dobierał tapety - powiedziała pani Barnstable. - Prawie doprowadził do szału architekta wnętrz, bo przejrzał całe setki próbek, zanim znalazł ten wzór.

Tapeta była biała, kwitnące gałązki tworzyły delikatny wzór. A pomiędzy nimi gdzieniegdzie powtarzał się motyw małego rudzika.

Win powoli podeszła do ściany i czubkami palców dotknęła ptaszka. Oczy jej się zaszkliły.

Po chorobie bardzo długo dochodziła do siebie. Gdy zmęczyła się już trzymaniem w rękach książki, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej poczytać, przyglądała się gniazdku rudzików tuż za oknem, na pobliskim klonie. Obserwowała pisklęta, które dopiero co wykluły się z błękitnych jajek, takie różowe, żyłkowane i puszyste.

Widziała, jak rosną im piórka i jak mama-rudzik bardzo się stara, by napełnić ich wygłodniałe dzióbki. A potem patrzyła, jak małe jeden po drugim wylatują z gniazdku, gdy ona musiała cały czas leżeć w łóżku.

Pomimo swojego lęku wysokości Merripen często wspinał się na drabinę, aby umyć jej okno. Chciał, by miała dobry widok na świat.

Mówił, że dla niej niebo powinno być zawsze niebieskie.

- Lubi pani ptaki, panno Hathaway? - zapytała gospodyni.

Win kiwnęła głową bez odwracania się, bo bała się, że jej twarz zdradziłaby niewypowiedziane emocje.

- Zwłaszcza rudziki - szepnęła.

- Lokaj zaraz przyniesie pani kufry, a jedna z pokojówek je rozpakuje. Jeśli chciałaby się pani odświeżyć, na umywalni stoi dzbanek z ciepłą wodą.

- Dziękuję. - Win podeszła do porcelanowej umywalki i opłukała twarz i szyję, nie zważając na kropelki, które spadły na jej stanik. Osuszyła twarz ręcznikiem i poczuła natychmiastową ulgę, gdy pałący ją ogień przygasł.

Usłyszała skrzypienie podłogi i odwróciła się gwałtownie. Na progu stał Merripen i przyglądał się jej uważnie. Rumieńce powróciły. Chciała się znaleźć jak najdalej od niego, żeby już nigdy go nie oglądać. Ale jednocześnie wszystkie jej zmysły lgnęły do niego chciwie... jego postać w rozpiętej koszuli, ukazującej opaloną skórę koloru gałki muszkatołowej... krótkie, ciemne włosy, jego zapach po całodziennym wysiłku łaskoczący jej nozdrza. Poczula nieodpartą potrzebę, by dotknąć wargami jego skóry. Poczuć jego serce przy swoim. Gdyby tylko zechciał podejść do niej tak, jak stał, w tym momencie, rzucić ją na łóżko, przycisnąć swoim twardym, ciężkim ciałem i wziąć. Skompromitować ją.

- Jak wam minęła podróż z Londynu? - zapytał z obojętną twarzą.

- Nie będę prowadzić z tobą tak bezcelowej konwersacji. - Win podeszła do okna i skupiła wzrok na ciemnym lesie w oddali.

- Pokój ci się podoba?

Skinęła głową, nie odwracając się.

- Jeśli będziesz czegoś chciała...

- Mam wszystko, czego mi trzeba - przerwała mu.

- Dziękuję.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o ostatniej...

- Nie ma potrzeby - odparła, siląc się na spokój. - Nie musisz się tłumaczyć, dlaczego się nie oświadczyłeś.

- Chcę, żebyś zrozumiała...

- Rozumiem. I już ci wybaczyłam. Może twojemu sumieniu pomoże świadomość, że tak będzie dla mnie lepiej.

- Nie chcę twojego wybaczenia.

- Dobrze, więc ci nie wybaczam, jak sobie życzysz.

- Nie mogła zostać z nim sam na sam ani minuty dłużej. Łamał jej serce; dosłownie czuła, jak pęka. Zwiesiła głowę i postanowiła wyminąć stojącego nieruchomo Merripena, by wyjść z pokoju.

Nie zamierzała się zatrzymywać. Zanim jednak przeszła przez drzwi, stanęła na odległość ramienia od niego. Jeszcze jedną rzecz musiała mu powiedzieć. Nie mogła tego dusić w sobie.

- Nawiasem mówiąc, byłam wczoraj w Londynie u lekarza. Bardzo szacowny specjalista. Opowiedziałam mu historię swojej choroby i poprosiłam, by ocenił mój ogólny stan. - Świadoma uważnego spojrzenia Merripena, Win kontynuowała spokojnie: - Według niego nie ma powodu, abym nie urodziła dzieci, jeśli tego chcę. Powiedział, że żadna kobieta nie ma gwarancji, że jej poród obędzie się bez ryzyka. Zamierzam wieść pełne życie. Będę miała stosunki małżeńskie z moim mężem i jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia zostanę matką. - Urwała, a po chwili dokończyła zgorzkniałym głosem, który w ogóle nie przypominał jej zwykłego głosu: - Doktor Harrow będzie bardzo szczęśliwy, gdy mu o tym powiem, nie sądzisz? Jeśli ostrze dosięgło Merripena, nie okazał tego.

- Jest coś, co musisz o nim wiedzieć - powiedział cicho. - Rodzina jego

pierwszej żony, Lanhamowie, podejrzewa, że mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią.

Win poderwała głowę i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Nie wierzę, że upadłeś tak nisko. Julian opowiadał mi o niej. Kochał ją. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, by jej pomóc. Gdy umarła, był zdruzgotany, a potem jeszcze jej rodzina zaczęła go prześladować. Cierpieli, więc musieli rzucić na kogoś winę. A Julian był idealnym kozłem ofiarnym.

- Lanhamowie twierdzą, że po jej śmierci zachowywał się podejrzanie. Nie odpowiadał obrazowi pogrążonego w żałobie męża.

- Nie wszyscy okazują smutek w ten sam sposób. Julian jest lekarzem, musiał nauczyć się panować nad emocjami dla dobra swoich pacjentów. To oczywiste, że nie mógł sobie pozwolić na załamanie, niezależnie od tego, jak głęboki był jego żal. Jak śmiesz go osądzać?

- Nie pojmujesz, że może grozić ci niebezpieczeństwo?

- Ze strony Juliana? Człowieka, dzięki któremu jestem zdrowa? - Win pokręciła głową i roześmiała się z niedowierzaniem. - Przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń wybaczę ci to, co powiedziałeś, Kev. Ale na przyszłość pamiętaj: nie będę tolerować obelg rzucanych na mojego narzeczonego. On stanął przy mnie, a ty nie.

Przeszła obok niego, nie czekając na jego reakcję. Na korytarzu zauważyła starszą siostrę.

- Amelio! - zawołała radośnie. - Zaczniemy zwiedzanie? Chciałabym wszystko obejrzeć.

Rozdział 16

Choć Merripen dał wszystkim domownikom jasno do zrozumienia, że to Leo, a nie on, jest w Ramsay panem, służący i robotnicy nadal jego uważali za autorytet. To do niego przychodzili ze swoimi troskami. A Leo był zdecydowany tak to pozostawić, dopóki nie zapozna się z przywróconą do życia posiadłością i jej mieszkańcami.

- Nie jestem kompletnym głupcem, choć może trochę na takiego wyglądam - oznajmił oschle Merripenowi, gdy pewnego ranka jechali na wschodnie krańce Ramsay. - Ustalenia, jakie poczyniłeś, najwyraźniej świetnie się sprawdzają. Nie zamierzam wszystkiego popsuć, próbując dowieść, że to ja jestem tu panem na włościach. A skoro już to sobie wyjaśniliśmy... Chciałbym zaproponować kilka ulepszeń w domkach dla dzierżawców.

- Czyżby?

- Kilka niezbyt kosztownych przeróbek w projektach sprawi, że te chatki będą wygodniejsze i bardziej atrakcyjne. A jeśli ostatecznie mamy tu założyć wioskę, moglibyśmy pokusić się o stworzenie wioski modelowej.

- Chcesz popracować nad planami? - zapytał Merripen, zdumiony entuzjazmem obojętnego dotychczas Leo.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. To twoja własność. - Merripen spojrzał na niego pytająco. - Zamierzasz powrócić do dawnej profesji?

- Szczerze mówiąc, tak. Na początek mógłbym zajmować się architekturą dorywczo. Zobaczymy, dokąd nas ta amatorszczyzna doprowadzi. I dobrze, że będę się wprawiał na domach moich dzierżawców. - Uśmiechnął się szeroko. - Moim zdaniem będą mniej skłonni mnie w razie czego pozwać.

Posiadłość porośnięta tak gęstymi lasami jak Ramsay wymagała przeredzenia drzewostanu raz na dziesięć lat. Według obliczeń Merripena pominięto już dwa cykle, co oznaczało, że w lasach Ramsay zalega od trzydziestu lat wiele martwych, chorych lub przyduszonych drzew.

Ku wielkiej konsternacji Leo, Merripen nalegał na jego udział w całym tym przedsięwzięciu i wkrótce młody lord wiedział o drzewach znacznie więcej, niż kiedykolwiek miał zamiar się dowiedzieć.

- Właściwe przeredzanie drzew pomaga naturze - oznajmił Merripen w odpowiedzi na protesty Leo.

- Lasy będą produkować zdrowsze i znacznie cenniejsze drewno, jeśli gorsze sztuki zostaną usunięte, aby inne mogły rosnać.

- Wolałbym, aby drzewa ustalały to między sobą - odparł Leo, ale Kev

zignorował jego słowa.

Aby obaj dowiedzieli się jeszcze więcej na ten temat, gdy Merripen zaaranżował spotkanie z niewielką grupą okolicznych drwali. Poszli razem obejrzeć przeznaczone do wycinki sztuki, a drwale tłumaczyli im, jak mierzyć ich wysokość i przekrój, aby określić objętość drewna.

Za pomocą taśmy mierniczej, sześciometrowego pręta i drabiny dokonywali wstępnych pomiarów.

Zanim Leo zdążył się zorientować, co się dzieje, znalazł się na samym szczycie drabiny.

- Mogę zapytać, dlaczego - zawołał do stojącego na dole Merripena - ty jesteś tam, a ja tu ryzykuję skręcenie karku?

- To twoje drzewo - odparł zwięźle Merripen. - I moja szyja!

Leo odgadł, że Merripen pragnie nakłonić go do żywszego zainteresowania się majątkiem i jego problemami, tymi wielkimi i tymi małymi. Najwyraźniej w tych czasach arystokratyczny właściciel ziemski nie mógł już po prostu delectować się w bibliotece doskonałym portem, niezależnie od tego, jak bardzo kusząca była to wizja. Można by rzecz jasna scedować obowiązki na zarządców i służbę, ale zawsze istniało ryzyko, że trafi się na oszusta albo człowieka niekompetentnego.

Gdy kolejno odhaczali punkty na liście, która z upływem dnia stawała się coraz dłuższa, Leo zaczął rozumieć, jak ogromną pracę wykonał Merripen w ciągu ostatnich trzech lat. Zarządcy odbywali zazwyczaj długoletnią praktykę, a synowie właścicieli ziemskich od dzieciństwa uczyli się niuansów prowadzenia posiadłości, którą mieli pewnego dnia odziedziczyć.

Merripen natomiast nauczył się tego wszystkiego - zarządzania żywym inwentarzem, gospodarowania, leśnictwa, budownictwa, użyźniania ziemi, obliczania pensji, zysków i czynszów - nie mając ani wystarczającej ilości czasu, ani przygotowania. Najwyraźniej jednak był do tego stworzony. Miał doskonałą pamięć, lubił ciężką pracę i był bardzo dokładny.

- Przyznaj - powiedział Leo na zakończenie szczególnie ogłupiającej rozmowy o uprawie ziemi - że czasami cię to męczy. Na pewno umierasz z nudów po godzinie dyskusji na temat tego, jak wprowadzić płodozmian i ile ziemi należy przeznaczyć pod kukurydzę i fasolę.

Merripen przez chwilę się zastanawiał, jakby nigdy wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, że taka praca może być męcząca.

- Nie, bo to trzeba zrobić.

Wtedy Leo w końcu zrozumiał. Jeśli jego towarzysz założył sobie jakiś cel, żaden szczegół nie był zbyt drobny, żadne zadanie zbyt trudne. I żadne przeciwności losu nie odwiodłyby go od podjętego zamiaru. Cechy, które Leo w przeszłości wyszydzał, znalazły teraz idealne zastosowanie. Bóg jeden wie, co spotkałoby tego, kto stanąłby Merripenowi na drodze.

Tyle że ten człowiek miał jedną słabość.

Wszyscy już znali tajemnicę gwałtownego i beznadziejnego uczucia łączącego Merripena i Win. Wszyscy wiedzieli, że wspominając o tym, mogą spodziewać się tylko kłopotów. Leo nigdy wcześniej nie widział, by dwoje ludzi w tak rozpaczliwy sposób zwalczało wzajemne przyciąganie.

Jeszcze nie tak dawno temu sam bez wahania wybrałby dla Win doktora Harrowa. Poślubienie Cygana bezsprzecznie wiązało się z towarzyską degradacją. A londyńska elita uznawała za jak najbardziej rozsądne małżeństwo dla obopólnych korzyści i ulokowanie uczuć gdzie indziej. Tyle że dla Win takie wyjście było niemożliwe. Jej serce było zbyt czyste, a uczucia zbyt silne. Leo latami obserwował jej walkę o wyzdrowienie, którą z uporem toczyła, nie słabnąc ani na chwilę, i stwierdził nagle, że cholernie szkoda byłoby, gdyby Win nie mogła wyjść za mąż w zgodzie ze swoim sercem.

Trzeciego ranka po przyjeździe do Hampshire Amelia i Win udały się na spacer dróżką, która biegła wokół Ramsay House. Dzień był rześki i czysty, ścieżka momentami błotnista, a łąki pokryte bogactwem białych margerytek na pierwszy rzut oka wyglądały jak ośnieżone.

Amelia, która od zawsze uwielbiała spacerować, z łatwością dostosowała się do zwawego tempa siostry.

- Uwielbiam Stony Cross - powiedziała Win, wdychając słodkie, chłodne powietrze. - Jest dla mnie bardziej domem niż Primrose Place, choć przecież nie mieszkamy tu długo.

- Tak. Hampshire ma w sobie coś wyjątkowego. Każdy powrót tutaj z Londynu przynosi mi nieopisaną radość. - Amelia zdjęła czepek i trzymając go za wstążki, zaczęła nim lekko wymachiwać w rytm swoich kroków. Wydawała się całkowicie zaabsorbowana otoczeniem: powodzią kwiatów, brzęczeniem owadów między drzewami, zapachem nagrzanego trawy i rzeżuchy. - Win - powiedziała w końcu w zamyśleniu - nie musisz opuszczać Ramsay, przecież wiesz.

- Tak, wiem.

- Nasza rodzina zniesie każdy skandal. Spójrz na Leo. Przetrwaliśmy wszystkie jego...

- Jeśli chodzi o skandale - wtrąciła drwiąco Win - radzę sobie chyba nie gorzej niż on.

- Nie sądzę, aby to było możliwe, kochanie.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że utrata czci przez kobietę może zrujnować rodzinę znacznie bardziej skutecznie niż utrata honoru przez mężczyznę. To niesprawiedliwe, ale tak właśnie jest.

- Ty nie utraciłaś czci - zaprotestowała gorąco Amelia.

- Ale naprawdę się starałam. Możesz mi wierzyć, że bardzo chciałam. - Win spojrzała na starszą siostrę i zobaczyła, że jej słowa ją zszokowały. Uśmiechnęła się blade. - Myślałaś, Amelio, że jestem ponad takie uczucia?

- Cóż... tak, chyba właśnie tak myślałam. Nigdy nie marzyłaś o przystojnych konkurentach, nie rozmawiałaś o balach i przyjęciach, nie śniłaś o

swoim przyszłym mężu.

- To wszystko przez Merripena - przyznała Win. - Tylko jego chciałam.

- Och, Win - szepnęła Amelia. - Tak mi przykro. Win ruszyła ścieżką wiodącą przez wąską dziurę w kamiennym płocie, a Amelia poszła za nią. Przeszły trawiastą dróżką do lasu, a potem przez mostek nad strumykiem.

Amelia wzięła siostrę za rękę.

- W świetle tego, co właśnie powiedziałaś, tym bardziej uważam, że nie powinnaś wychodzić za Harrowa. To znaczy, możesz to zrobić, jeśli naprawdę tego pragniesz, ale nie dlatego, że boisz się skandalu.

- Pragnę tego. Lubię go. Wierzę, że jest dobrym człowiekiem. A jeśli tu zostanę, unieszczęśliwię i siebie, i Merripena. Jedno z nas musi stąd odejść.

- A dlaczego to musisz być ty?

- Merripen jest potrzebny w Ramsay. To jego miejsce. A dla mnie miejsce nie jest ważne. Tak naprawdę wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli rozpocznę nowe życie zupełnie gdzie indziej.

- Cam z nim porozmawia.

- O nie, nie wolno mu! Nie w moim imieniu. - Urażona Win odwróciła się do Amelii. - Nie pozwól mu na to, proszę.

- Nie mogłabym powstrzymać Cama, nawet gdybym bardzo chciała. On nie rozmawia z Merripenem dla twojego dobra, Win, lecz dla jego własnego. Obawiamy się tego, co może zrobić, gdy utraci cię na zawsze.

- Już mnie utracił - oznajmiła głuchym głosem Win.

- Utracił mnie w momencie, gdy nie ujął się za mną. A po moim odejściu będzie taki jak zawsze. Nigdy nie pozwoli sobie na chwilę słabości. Myślę, że on gardzi rzeczami, które sprawiają mu przyjemność, bo osłabiłyby jego charakter. - Win uniosła dłoń, by rozmasować napięte, pulsujące skronie. - Im bardziej mu na mnie zależy, z tym większą determinacją mnie odpycha.

- Mężczyźni - mruknęła Amelia.

- Merripen jest przekonany, że nie ma mi nic do zaoferowania. To szczyt arogancji, nie sądzisz? Decyduje za mnie o moich potrzebach. Nie dba o moje uczucia. Stawia mnie tak wysoko na piedestale, że zwalnia go to od odpowiedzialności.

- To nie arogancja - zaprotestowała miękko Amelia.

- To lęk.

- Cóż, ja nie zamierzam tak żyć. Nie pozwolę, aby pętały mnie moje własne obawy czy też jego strach. - Win poczuła ulgę, gdy wyznała prawdę. - Kocham go, ale nie chcę go zaciągnąć siłą czy podstępem do ołtarza. Pragnę mieć partnera.

- Nie można cię za to winić. Zawsze mnie irytowało, gdy ludzie mówili o jakiejś kobiecie, że złapała męża. Jakby to był pstrąg, którego trzeba złowić i wyciągnąć z wody.

Pomimo ponurego nastroju Win zdołała się uśmiechnąć.

Szły dalej po wilgotnej, nagrzanej ziemi. Gdy w końcu wróciły do Ramsay

House, zobaczyły zatrzymujący się przed wejściem powóz.

- To Julian - powiedziała Win. - Tak szybko! Musiał wyjechać z Londynu przed świtem. - Przyspieszyła kroku i podbiegła do Harrowa, gdy wysiadał z powozu.

Jego chłodna uroda nie ucierpiała ani trochę podczas długiej podróży. Ujął dłonie Win i mocno uściśnął, a potem uśmiechnął się do niej.

- Witaj w Hampshire - powiedziała.

- Dziękuję, moja droga. Byłaś na spacerze?

- Bardzo żwawym - zapewniła go z uśmiechem.

- To dobrze. Proszę, mam tu coś dla ciebie. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakiś mały przedmiot. Win poczuła chłodną obrączkę na palcu. Spojrzała na rubin w odcieniu gołębiej krwi oprawiony w złoto i otoczony diamentami.

- Mówi się - wyjaśnił jej Julian - że rubin daje zadowolenie i spokój.

- Dziękuję, jest przepiękny - szepnęła Win. Zamknęła oczy, gdy poczuła lekkie muśnięcie jego ust na czole. Zadowolenie i spokój... Dobry Boże, może pewnego dnia staną się i jej udziałem.

Cam sam zaczął wątpić, czy jest przy zdrowych zmysłach, gdy zbliżał się do Merripena pracującego w składzie drewna. Przez chwilę obserwował, jak jego brat pomaga trzem drwalom rozładować wóz z potężnymi balami. Była to niebezpieczna praca - każdy moment nieuwagi mógł się zakończyć ciężkim urazem lub śmiercią.

Za pomocą nachylonych pod kątem desek i długich dźwigni mężczyźni ostrożnie przetaczali kłody na ziemię. Stękając z wysiłku i wyężdżając mięśnie, walczyli, aby zachować kontrolę nad opadającym ciężarem. Merripen, najwyższy i najsilniejszy z nich, zajął miejsce w środku - miał najmniejsze szanse na ucieczkę, gdyby coś poszło nie tak.

Zaniepokojony Cam ruszył natychmiast, by im pomóc.

- Cofnij się - warknął Merripen, dostrzegając go kątem oka.

Cam natychmiast się zatrzymał. Mają własną metodę, uświadomił sobie. Każdy, kto nie znał procedury, mógł przez przypadek wyrządzić krzywdę im wszystkim.

Czekał i obserwował, jak kolejne bale lądują bezpiecznie na ziemi. Drwale oddychali ciężko, pochylali się i obejmowali kolana dłońmi, próbując odzyskać siły po oszałamiającym wysiłku. Tylko Merripen, zamiast odpocząć, zatopił koniec śmiertelnie ostrego haka w jednym z pni. Potem odwrócił się do Cama ze szczypcami w rękach.

Wyglądał jak diabeł z zaczerwienioną, spoconą twarzą i błyszczącymi jak ogień piekielny oczami. Cam zdążył dosyć dobrze poznać Keva w ciągu tych trzech lat, ale nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie. Merripen wyglądał jak potępiona dusza bez nadziei i ochoty na odkupienie.

Boże, dopomóż, pomyślał Rohan. Czuł, że jeśli Win naprawdę wyjdzie za doktora Harrowa, Kev straci nad sobą kontrolę. Pamiętając nadal kłopoty, których

przysporzył im Leo, Cam jęknął w duchu.

Kusiło go, by umyć ręce od całego tego przekłętego bałaganu, bo miał przecież na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż walka o zdrowe zmysły brata. Niech Merripen sam sobie radzi z konsekwencjami swoich wyborów.

Potem jednak zaczął się zastanawiać, jakby się zachowywał, gdyby ktoś chciał mu odebrać Amelię. Z pewnością nie lepiej. Zalała go fala współczucia.

- Czego chcesz? - zapytał szorstko Merripen, odkładając szcypce.

Cam podszedł do niego powoli.

- Harrow przyjechał.

- Widziałem.

- Wejdiesz do środka, żeby z nim się przywitać? Merripen posłał mu pogardliwe spojrzenie.

- Leo jest panem domu. Może powitać tego bydlaka.

- A ty będziesz się tu chował?

Czarne jak kawa oczy zwęziły się groźnie.

- Nie chowam się. Pracuję. A ty mi przeszkadzasz.

- Chcę z tobą porozmawiać, *phrai*

- Nie nazywaj mnie tak. Nie potrzebuję twojego wtrącania się.

- Ktoś musi spróbować przemówić ci do rozsądku. Spójrz na siebie, Kev. Zachowujesz się jak prymityw, którego próbował zrobić z ciebie *rom baw*.

- Zamknij się - rzucił ochryple Merripen.

- Pozwalasz, żeby decydował zza grobu, jak będzie wyglądać reszta twojego życia. Z całą siłą zaciskasz na sobie te cholerne łańcuchy.

- Jeśli się zaraz nie zamkniesz...

- Gdybyś krzywdził tylko siebie, nie powiedziałbym ani słowa. Ale ranisz także ją i wydajesz się w ogóle nie...

Cam urwał, gdy brat rzucił się na nań, atakując go z krwiożerczą gwałtownością, aż obaj upadli na ziemię. Lądowanie było twarde, choć grunt rozmókł po deszczu. Przewracali się kilkakrotnie, walcząc zaciekle. Merripen był ciężki jak diabli.

Cam uświadomił sobie nagle, że jeśli pozwoli przycisnąć się do ziemi, tamten wyrzuci mu krzywdę, dlatego ostatkiem sił wywinął się i poderwał na nogi. Uniósł pięści, zablokował cios i zrobił unik, gdy przeciwnik skoczył na niego jak rozjuszony tygrys.

Drwale rzucili się do przodu - dwaj chwycili Merripe-na i odciągnęli go na bok, a trzeci przytrzymał Cama.

- Jesteś idiotą - warknął Rohan, mierząc brata wściekłym wzrokiem. Odsunął rękę mężczyzny, który próbował go uspokoić. - Za wszelką cenę chcesz wszystko zepsuć, prawda?

Merripen szarpnął się do przodu, a drwale walczyli z całych sił, by im się nie wyrwał. Cam z odrazą potrząsnął głową.

- Liczyłem na minutę lub dwie racjonalnej rozmowy, ale najwyraźniej to

cię przerasta. - Spojrzał na drwali. - Puście go! Dam sobie z nim radę. Łatwo jest pokonać mężczyznę, który pozwala, by zawładnęły nim emocje.

W tym momencie Merripen zeszytywniał, z całych sił starając się zapanować nad gniewem. Żądę mordu w jego oczach zastąpiła zimna nienawiść. Z tą samą ostrożnością, z którą opuszczali ciężkie bale, drwale powoli go uwolnili.

- Udowodniłeś swoje racje - powiedział Cam. - I wygląda na to, że będziesz to robił tak długo, aż wszystkich przekonasz. Zaoszczędzę ci więc wysiłku: zgadzam się z tobą. Nie jesteś dla niej wystarczająco dobry.

Odszedł powoli, odprowadzany gniewnym spojrzeniem brata.

Nieobecność Merripena rzuciła cień na kolację tego wieczoru, choć wszyscy starali się zachowywać jak zwykle. Najdziwniejsze było to, że Kev nigdy nie dominował w rozmowach i nie zajmował centralnego miejsca przy stole, a jednak jego brak miał taki sam skutek jak pozbawienie stołka jednej z nóg. Nie było równowagi.

Julian próbował wypełnić pustkę swoim urokiem i elokwencją - opowiadał zajmujące historie o znajomych z Londynu, chętnie dyskutował na temat kliniki, odsłaniając przed nimi tajemnice terapii, która dawała tak wspaniałe efekty.

Win słuchała go z uśmiechem. Udawała, że interesuje ją to, co dzieje się wokół - stół zastawiony porcelaną i kryształami, półmiski z doskonałym jedzeniem, rodowe srebra. Na zewnątrz była spokojna. W środku jednak skręcała się z napięcia, gniewu, pożądania i żalu, emocji przemieszanych ze sobą tak dokładnie, że nie potrafiła ich rozróżnić.

W połowie posiłku, pomiędzy rybą a pieczywym, do stołu podszedł lokaj z małą, srebrną tacą. Podał Leo list.

- Milordzie - szepnął.

Wszyscy umilkli wpatrzeni w Leo, który rozerwał kopertę. Niedbale wsunął arkusik papieru do kieszeni surduta i szepnął lokajowi, by szykowano mu konia. Uśmiechnął się lekko, zauważywszy utkwione w sobie spojrzenia.

- Proszę o wybaczenie, moi drodzy - oznajmił spokojnie. - Wzywają mnie sprawy, które nie mogą czekać.

- Jego jasnoniebieskie oczy błysnęły sardonicznie, gdy zwrócił się do Amelii. - Może mogłabyś polecieć kuchni, by zachowano dla mnie porcję deseru? Wiesz, jak lubię awanturki.

- Na deser czy jako sposób spędzania wolnego czasu? Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- W obu postaciach, oczywiście. - Wstał od stołu.

- Wybaczcie mi, proszę.

Win ogarnął strach. Wiedziała, że to ma coś wspólnego z Merripenem; czuła to w sercu.

- Co się stało, Leo? - zapytała zduszonym głosem. - Czy to...

- Wszystko w porządku - odparł natychmiast.

- Może ja też powinienem jechać? - zapytał Cam. Była to dla nich

wszystkich niezwykła sytuacja: Leo zaradzający problemom. Była to nowość zwłaszcza dla niego samego.

- Nie ma mowy - odparł wesoło lord Ramsay. - Za nic w świecie bym sobie tego nie podarował.

Areszt w Stony Cross znajdował się przy Fishmonger Lane. W przeszłości Leo spędził tutaj niejedną noc. Z tego, co wiedział, Merripen nigdy jednak nie łamał prawa i na pewno nigdy nie zarzucono mu pijaństwa i awantur publicznych czy też w gronie prywatnym. Aż do dziś.

Ta odmiana była nawet całkiem zabawna. To Merripen zawsze wyciągał go z aresztu czy innych miejsc, w których Leo w końcu lądował nieprzytomny. Lord Ramsay najpierw odbył krótką rozmowę z kon-stablem, który wydawał się równie zdziwiony takim obrotem spraw.

- Czy może mi pan objaśnić naturę przestępstwa? - zapytał uprzejmie Leo.

- Upił się do nieprzytomności w oberży i rozpoczął bójkę z miejscowymi - odparł konstabl.

- Co było powodem bójki?

- Ktoś z miejscowych powiedział coś na temat Cyganów i picia, a to rozjuszyło pana Merripena. - Konstabl podrapał się po porośniętej gęstą szczecią brodzie. - Mnóstwo osób się rzuciło, aby bronić pana Merripena, jest bowiem bardzo poważany wśród okolicznych wieśniaków, ale on zaczął walczyć ze wszystkimi. Ale i tak próbowali go wykupić. Twierdzili, że to do niego niepodobne tak się upić i wdawać w burdy. Z tego, co wiem, pan Merripen to człowiek spokojny. Nie jak inni Cyganie. Ale im odmówiłem, powiedziałem, że nie wezmę żadnych pieniędzy, dopóki on choć trochę nie ochłonie. Ma pięści jak szynki z Hampshire. Nie wypuszczę go, zanim choć trochę nie wytrzeźwieje.

- Mogę z nim pomówić?

- Tak, milordzie. Jest w pierwszej celi. Zaprowadzę pana.

- Proszę się nie kłopotać - odparł Leo uprzejmie. - Znam drogę.

Konstabl uśmiechnął się szeroko.

- Tak przypuszczałem, milordzie.

Cela była prawie pusta - znajdował się w niej tylko niski stółek, puste wiadro i siennik ze słomy. Właśnie na nim siedział więzień, oparty plecami o drewnianą ścianę. Jedno kolano miał ugięte, obejmował je ręką. Jego czarna głowa opadła smętnie, znamionując kompletną porażkę.

Podniósł wzrok, gdy Leo podszedł do krat, które ich rozdzielały. Twarz Merripena była ściągnięta i posępna. Wyglądał tak, jakby nienawidził świata i wszystkich jego mieszkańców.

Leo dobrze znał to uczucie.

- Proszę, proszę, cóż za miła odmiana - zauważył radośnie. - Zazwyczaj to ty byłeś po tej stronie, a ja po tamtej.

- Odczep się - warknął Merripen.

- A to jest moja kwestia - zauważył Leo.

- Zabiję cię - oznajmił Merripen z nagłą szczerością.

- To mnie nie zachęci, żeby cię stąd wyciągnąć, nie sądzisz? - Leo skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na aresztanta wzrokiem eksperta. Merripen nie był już pijany, tylko zły jak diabli. I cierpiał. Leo doszedł do wniosku, że w kontekście swoich przeszłych występków powinien wykazać się większą cierpliwością. - Niemniej jednak uwolnię cię stąd, bo robiłeś dla mnie to samo przy niezliczonych okazjach.

- Na co czekasz?

- Jeszcze momencik. Mam ci kilka rzeczy do powiedzenia, a dobrze wiem, że jeśli najpierw cię wypuszczę, czmychniesz jak zając i nie będę miał szans.

- Mów, co chcesz. Ja nie słucham.

- Popatrz na siebie. Jesteś wrakiem człowieka, dałeś się zamknąć w celi. I zaraz otrzymasz wykład ode mnie. Niżej już chyba nie można upaść.

Na pierwszy rzut oka jego słowa trafiały w próżnię, Leo kontynuował jednak niezrażony.

- To do ciebie nie pasuje, Merripen. Nie umiesz pić. I w przeciwieństwie do ludzi takich jak ja, którzy pod wpływem alkoholu stają się przyjacielscy, ty zamieniasz się w nikczemnego demona. - Leo zamilkł, zastanawiając się, jak najlepiej go sprowokować. - Podobno alkohol wydobywa na światło dzienne prawdziwą naturę człowieka.

Strzała dosięgła celu. Merripen zmierzył go mrocznym spojrzeniem, pełnym furii i cierpienia. Zdumiony gwałtownością jego reakcji, Leo się zawahał. Rozumiał sytuację lepiej, niż ten biedak był w stanie pojąć. Może nie wiedział zbyt wiele o tajemniczej przeszłości Merripena i zawilościach jego charakteru, które nie pozwalały mu poślubić ukochanej kobiety, znał jednak jedną banalnie prostą prawdę, która przewyższała wszystko inne.

Życie jest zbyt krótkie, do cholery.

- Niech cię diabli - mruczał Leo, spacerując tam i z powrotem. Wolałby wziąć nóż i odkroić sobie kawałek ciała, niż powiedzieć to, co należało teraz powiedzieć. Miał jednak dziwne przeczucie, że stoi pomiędzy Merripenem a jego zagładą, że musi znaleźć coś istotnego, podać ważki argument, aby go ocalić.

- Gdybyś nie był takim upartym osłem, nie musiałbym tego robić.

Merripen nie zareagował. Nawet na niego nie spojrzał.

Leo odwrócił się i potarł kark.

- Wiesz, nigdy nie rozmawiam z nikim o Laurze. W zasadzie to chyba pierwszy raz, odkąd umarła, wymieniłem na głos jej imię. Ale tobie zamierzam coś o niej opowiedzieć, bo nie tylko jestem ci to winien za wszystko, co zrobiłeś dla posiadłości, ale...

- Nie, Leo. - Te słowa były twarde i zimne. - Ośmieszasz się.

- Cóż, jestem w tym całkiem dobry. A ty nie pozostawiłeś mi żadnego cholernego wyboru. Rozumiesz, gdzie się znalazłeś, Merripen? W więzieniu swoich własnych decyzji. I nawet jeśli cię stąd wypuszczą, nadal będziesz tam

tkwił. Całe twoje życie stanie się więzieniem. - Leo pomyślał o Laurze. Nie pamiętał już zbyt dokładnie jej rysów. Wciąż jednak towarzyszyła mu jako wspomnienie słonecznego blasku w świecie, który po jej śmierci stał się przeraźliwie zimny.

Piekiło nie było wielkim ogniem i płonąca siarką. Piekiłem były samotne poranki, pościel mokra od łez i świadomość, że kobieta, o której śniłeś, już nigdy do ciebie nie wróci.

- Odkąd straciłem Laurę - kontynuował Leo - wszystko, co robię, to sposób na zabicie czasu. Nic mnie nie interesuje. Ale przynajmniej żyję ze świadomością, że o nią walczyłem. Spędziłem z nią każdą minutę, którą dał nam los. Umarła, wiedząc, że ją kochałem. - Zatrzymał się i spojrzał z pogardą na Merripena. - A ty odrzucasz to wszystko i łamiesz serce mojej siostrze, bo jesteś cholernym tchórzem. Albo głupcem. Jak możesz... - Urwał, gdy Merripen rzucił się na kraty i zaczął je szarpać jak szaleniec.

- Zamknij się, do cholery!

- Co wam zostanie, gdy Win odejdzie z Harrowem? Ty zamkniesz się w więzieniu, które sam dla siebie zbudowałeś, to oczywiste. Ale sytuacja Win będzie po stokroć gorsza. Zostanie sama. Z dała od rodziny. Będzie żoną mężczyzny, który ceni ją jak kosztowny bibelot do postawienia na półce. A co się stanie, gdy jej uroda przeminie

I tym samym Win straci dla niego całą wartość? Jak wtedy będzie ją traktował?

Merripen zamarł w bezruchu, z wykrzywioną twarzą i pragnieniem mordy w oczach.

- Win jest silna i twarda - mówił dalej Leo. - Przez dwa lata obserwowałem, jak mierzy się z jednym wyzwaniem po drugim. Tą długą walką zasłużyła chyba na prawo do decydowania o sobie. Jeżeli chce podjąć ryzyko i urodzić dziecko, jeśli czuje się na tyle silna, ma do tego prawo. A jeśli to ty jesteś mężczyzną, którego pragnie, nie bądź cholernym głupcem i nie odtrącaj jej. - Leo znużonym gestem potarł czoło. - Ani ty, ani ja nie jesteśmy warci funta kłaków - mruknął. - Możesz oczywiście pracować w Ramsay i udowodniać mi, że potrafisz prowadzić księgi, zarządzać dzierżawcami i zapełniać spiżarnie. Przypuszczam, że we dwóch damy sobie radę. Ale będziemy tylko żywymi trupami. Jak większość mężczyzn, z tą tylko różnicą, że my będziemy mieli tego świadomość.

Leo urwał z lekka zdziwiony tym, że czuje zaciskającą się na jego szyi pętlę.

- Amelia powiedziała mi kiedyś o pewnym swoim podejrzeniu. Bardzo ją to dręczy. Podobno gdy ja i Win zapadliśmy na szkarlatynę, a ty zrobiłeś ten wywar z wilczej jagody, przyrządziłeś go znacznie więcej, niż było trzeba. I trzymałeś go przy sobie, czuwając przy łóżku Win, niczym jakiś rodzaj makabrycznego środka na sen. Amelia jest przekonana, że gdyby Win umarła, wypiłbyś resztę trucizny. A ja cię za to nienawidziłem. Bo mnie zmusiłeś, abym żył bez kobiety, którą

kochałem, choć sam nie zamierzałeś tego zrobić.

Merripen nie odpowiedział, nie dał po sobie poznać, że w ogóle usłyszał jego słowa.

- Chryste, człowieku - wydyszał Leo. - Miałeś na tyle odwagi, by z nią umrzeć, ale nie jesteś dość odważny, żeby z nią żyć?

Do wyjścia odprowadziła go głucha cisza. Zastanawiał się, czy to, co powiedział, odniesie jakiś skutek.

Wszedł do izby konstabla i polecił mu uwolnić Merripena.

- Proszę jednak odczekać jeszcze pięć minut - dodał zdecydowanym tonem.
- Potrzebne mi fory.

Po wyjściu Leo rozmowa przy stole nabrała wymuszonej wesołości. Nikt nie chciał głośno spekulować na temat powodów nieobecności Merripena i tajemniczej sprawy, która odciągnęła od kolacji Leo. Wszyscy domyślali się jednak, że te dwa fakty coś łączy.

Win martwiła się ogromnie, choć tłumaczyła sobie surowo, że nie powinno jej to wszystko obchodzić. I martwiła się jeszcze bardziej. Zmusiła się do zjedzenia kilku kęsów z talerza, lecz jedzenie nie mogło jej przejść przez zaciśnięte gardło.

Wcześniej udała się na spoczynek, wymawiając się bólem głowy. Zostawiła resztę rodziny przy różnych grach w saloniku. Julian odprowadził ją do schodów, a wtedy pozwoliła mu się pocałować. Pocałunek trwał długo i jego cierpliwa słodycz była bardzo przyjemna, choć nie wstrząsnęła jej światem.

Uznała jednak, że Julian będzie doświadczonego i wrażliwego partnerem, gdy w końcu nakłoni go, by się z nią kochał. On jednak wcale nie wydawał się owładnięty pożądaniem, co było jednocześnie rozczarowaniem i ulgą. Gdyby choć raz spojrział na nią z ułamkiem tego głodu i pasji, które widziała w oczach Merripena, może obudziłby w niej jakieś żywsze emocje.

Win wiedziała, że choć Julian jej pożąda, jego uczucia nie umywały się nawet do wszechogarniającej namiętności Merripena. Nie mogła sobie wyobrazić, by Julian utracił kontrolę nad sobą nawet podczas tego najbardziej intymnego aktu. Nie wyobrażała go sobie, jak jęczy spocony, przywierając do niej całym ciałem. Czuła instynktownie, że Harrow nigdy nie zniżyłby się do takiego zapamiętania.

Zdawała sobie też sprawę z tego, że Julian z czasem zacznie sypiać z innymi kobietami. Ta myśl ją przygnębiała. Wszystkie te wątpliwości nie mogły jednak odwieść jej od małżeństwa. W końcu przecież niewierność była dosyć powszechna. Mężczyzna nie dotrzymywał przysięgi; uważano to za normalne i szybko wybaczano mężom, którzy zblądzili. W myśl zasad obowiązujących w społeczeństwie żona powinna zawsze wybaczać.

Win wykapała się, włożyła białą koszulę nocną i usiadła na łóżku, by jeszcze chwilę poczytać. Powieść, którą pożyczyła jej Poppy, była tak zagmatwaną płataniną wątków i postaci, w dodatku napisaną tak kwiecistym stylem, że zaczęła

podejrzewać, iż autorowi płacono od słowa. Po dwóch rozdziałach zamknęła książkę i zgasiła lampę. Leżała w łóżku, z przygnębieniem wpatrując się w ciemność.

W końcu zapadła w sen. Spała mocno, wdzięczna za chwilowe wytchnienie. Potem jednak, gdy wciąż było jeszcze ciemno, obudziła się nagle. Ktoś był w jej pokoju. Najpierw pomyślała, że może to fretka Beatrix, która czasami wślizgiwała się do sypialni w poszukiwaniu przedmiotów, które ją intrygowały.

Win potarła oczy i zaczęła wstawać, gdy zauważyła przy łóżku ruch. Padł na nią potężny cień. Zanim zdumienie ustąpiło miejsca strachowi, usłyszała znajomy głos i poczuła ciepłe palce na ustach.

- To ja.

Jej wargi poruszyły się bezdźwięcznie na jego dłoni. Kev.

Poczuła skurcz rozkoszy, jej serce załomotało gwałtownie. Nadal jednak była na niego zła, skończyła z nim przecież, a jeśli przyszedł z nią porozmawiać, to musiał się przygotować na bolesne rozczarowanie. Zaczęła mu o tym mówić, gdy nagle ku swemu ogromnemu zdumieniu poczuła na ustach gruby kawałek materiału, który Merripen zawiązał jej dość mocno z tyłu. W kilka sekund skrępował także jej nadgarstki.

Zesztywniała z przerażenia. Kev nigdy nie zrobiłby czegoś takiego! A jednak to był on; wystarczyło jedno dotknięcie, by go rozpoznała. Czego chciał? Co się działo w jego szalonej głowie? Oddychał szybciej niż zazwyczaj, słyszała to i czuła. Gdy jej wzrok w końcu przywykł do ciemności, dojrzała jego twarz - surową i poważną.

Zdjął z jej palca zaręczynowy pierścionek z rubinem i położył na stoliku nocnym. Ujął w dłonie jej twarz i spojrzał Win prosto w oczy. Powiedział tylko dwa słowa. Ale wyjaśniły wszystko - to, co robił, i to, co zamierzał zrobić.

- Jesteś moja.

Podniósł ją z łatwością, ułożył sobie w ramionach i wyniósł ją z pokoju.

Win zamknęła oczy, uległa i drżąca. Knebel stłumił łkanie, które wyrwało się z jej ust - nie ze smutku czy strachu, lecz z ogromnej, nieopisanej ulgi. To nie był impulsywny postępek, tylko obrzęd. Starodawny rzymski rytuał zalotów, w którym nie było nic wymuszonego. Kev zamierzał ją porwać i zniewolić.

Nareszcie.

Rozdział 17

Porwanie zostało przeprowadzone w sposób bardzo przemyślany. Tak jak można było się tego spodziewać po Merripenie. Win założyła, że zanieśie ją po prostu do swojego pokoju, ale on ją zaskoczył, wychodząc przed dom, gdzie stał już osiodłany koń. Kev owinął ją w swój płaszcz, przytulił do piersi i ruszyli. Nie do stróżówki, lecz ku lasowi, przez nocną mgłę i nieprzeniknioną ciemność, którą już wkrótce rozproszyć miały promienie wschodzącego słońca.

Win była spokojna, ufała mu przecież, a jednak czuła, że drży. To był Merripen, ale wcale nie wydawał jej się teraz znajomy. Ta strona jego charakteru, nad którą dotychczas bezwzględnie panował, uwolniła się dzisiaj.

Poprowadził konia przez dębowo-jesionowy zagajnik. Z mroku wynurzyła się nagle mała biała chatka. Win zastanawiała się, do kogo należy ten domek. Był schludny i wyglądał na nowy, z komina unosił się dym. Oświetlony i przytulny, wyglądał, jakby właśnie oczekiwał na przybycie gości.

Merripen zsiadł z konia, wziął Win na ręce i wniósł na ganek.

- Nie ruszaj się - polecił.

Stała więc posłusznie, czekając, gdy pęta! konia.

Zamknął dłonie na jej skrzepowanych nadgarstkach i pociągnął ją do środka. Poszła za nim bez protestów, zbyt chętnie jak na branke. W środku było niewiele sprzętów, a wszystko pachniało świeżym drewnem i farbą. Domek wyglądał tak, jakby nikt w nim nigdy nie mieszkał.

Merripen zaniósł Win do sypialni i położył ją na łóżku przykrytym kocami i białą pościelą. Jej bosc nogi zakołysały się na brzegu materaca, gdy usiadła prosto.

Stanął przed nią, a płomienie z kominka rozjaśniły mu twarz. Wpatrywał się w nią intensywnie. Powoli zdjął płaszcz i rzucił go na podłogę. Gdy ściągnął przez głowę koszulę, Win drgnęła zaskoczona, podziwiając jego masywny tors oznaczony liniami mięśni i gładką klatkę piersiową. Poczwała nieprzepartą ochotę, by dotknąć lśniącej jak jedwab skóry Keva i zapłonęła cała z oczekiwania, a jej policzki zalał rumieniec.

Ciemne oczy Merripena dostrzegły, co się z nią dzieje. Win wiedziała, że rozumiał jej dojmujące pragnienie. Zdjął wysokie buty, kopnął je na bok i podszedł tak blisko, że poczuła słony męski zapach. Dotknął koronkowego stanika jej koszuli nocnej i przesunął palcami po piersiach. Ciepłe dotknięcie sprawiło, że zadrżała; jej sutki stwardniały. Zapragnęła, by ją tam pocałował. Chciała tego tak bardzo, że aż westchnęła pod kneblem.

Odczuła ulgę, gdy Merripen sięgnął ręką za jej głowę i rozwiązał supeł.

Zarumieniona i drżąca zdobyła się tylko na niepewny szept.

- Nie... nie musiałeś tego robić. Na pewno bym nie krzyczała.

- Jeśli już mam coś robić, robię to jak należy - odrzekł poważnym tonem, ale w jego oczach błysnął diabelski ogień.

- Tak. Wiem - szepnęła.

Ujął jej twarz w dłonie i pochyliwszy się, pocałował ją delikatnie, a gdy jęknęła, zagłębił się w jej ustach, żądając więcej. Pocałunek trwał, aż Win zaczęła tracić oddech. Była tak zaabsorbowana tym, co się działo, tak oszołomiona narastającym w niej podnieceniem, że dopiero po długiej chwili uświadomiła sobie, że leży pod nim na plecach, z rękami unieruchomionymi nad głową.

Merripen przesunął usta na jej szyję, znacząc ją powolnymi, gorącymi pocałunkami.

- Gdzie my jesteśmy? - zdołała wyjąkać, gdy jego wargi odnajdywały szczególnie wrażliwe punkty.

- W chatce leśniczego. - Zatrzymał się w jednym z takich miejsc, aż zwinęła się pod nim z rozkoszy.

- A gdzie leśniczy?

W jej głosie rozbrzmiewało pożądanie.

- Jeszcze go nie mamy.

Win potarła policzkiem o ciężkie pasma włosów Merripena, rozkoszując się jego bliskością.

- Dlaczego nigdy wcześniej nie widziałam tego domku?

Uniósł głowę.

- Jest ukryty w lesie - szepnęła - z dala od hałasu. - Bawił się jej piersią, delikatnie pieszcząc sutek. - Leśniczy potrzebuje ciszy i spokoju.

Win nie czuła absolutnie żadnej ciszy i spokoju. Jej nerwy były napięte jak postronki, ręce walczyły z jedwabnymi więzami. Aż do bólu pragnęła go dotknąć, przytulić.

- Kev, rozwiąż mnie.

Pokręcił głową. Leniwie przesunął dłonią po ciele Win, aż wygięła się w łuk.

- Och, proszę - wykrztusiła. - Kev...

- Cicho - szepnęła. - Jeszcze nie. - Skubnął zębami jej wargę z podniecającą delikatnością. - Pragnę cię od tak dawna. Za bardzo cię potrzebuję. Jedno twoje dotknięcie, a całkiem przestałbym nad sobą panować.

- Ale ja chcę cię przytulić - powiedziała płaczliwie. Poczowała dreszcz na widok jego rozgorączkowanej twarzy.

- Zanim skończymy, będziesz się do mnie tulić do woli. - Nakrył jej dziko galopujące serce ciepłą dłonią. Pochylił się i pocałował ją w rozpalony policzek. - Wiesz, co zamierzam z tobą zrobić, Win?

Odetchnęła głęboko.

- Chyba tak. Amelia wyjaśniła mi kiedyś parę spraw. I oczywiście wszyscy

widywaliśmy owce i bydło na wiosnę.

Kev uśmiechnął się lekko.

- Jeśli mam się trzymać takich standardów, to nie będzie żadnych problemów.

Zarzuciła mu na szyję związane ręce i poderwała się do góry, do jego ust. Kev delikatnie pchnął ją z powrotem na materac i wsunął ostrożnie kolano pomiędzy jej uda. Posuwał się coraz dalej, aż poczuła jego dotyk w tym miejscu, które już zaczynało boleć. Subtelne, rytmiczne ruchy Keva sprawiły, że Win zaczęła jęczeć z rozkoszy. Oszołomiona, zastanawiała się, czy robienie tego z mężczyzną, którego знаła od tak wielu lat, nie jest jednak znacznie bardziej krepujące, niż gdyby robiła to z zupełnie obcym człowiekiem.

Noc przeradzała się w dzień, srebrne światło poranka sączyło się do pokoju, las budził się świergotem i szelestem... w niebo wzbily się pleszki i jaskółki. W głowie Win mignął obraz Ramsay House... Wkrótce odkryją, że zniknęła. Poczuła dreszcz, zastanawiając się, czy będą jej szukać. I czy ją tu znajdą. Jeśli wróci do domu jako dziewica, jej wspólna przyszłość z Merripenem znów stanie pod znakiem zapytania.

- Kev - szepnęła z niepokojem - może powinieneś się pospieszyć?

- Dlaczego?

- Obawiam się, że ktoś może tu przyjść. Podniósł głowę.

- Nikt nas nie powstrzyma. Cała armia mogłaby otoczyć tę chatkę, a to się wydarzy i tak.

- Jednak uważam, że powinieneś troszkę się pospieszyć.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się do niej tak, że serce jej zamarło. Zrelaksowany i szczęśliwy, pomyślała, Kev był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Uwodził ją głębokimi, żarliwymi pocałunkami. Chwycił koronkowy stanik jej koszuli nocnej i szarpnął, rozrywając go na pół, jakby to był pergamin. Win westchnęła skonsternowana, ale nie zaprotestowała.

Merripen uniósł się i odsłonił w pełni jej piersi. Gdy spojrzał na blad różowe sutki, z jego gardła wydobył się cichy jęk. Pochylił się i musnął językiem jej pierś... Win wzdrygnęła się, jakby to dotknięcie ją sparzyło. Gdy podniósł głowę, sutek był twardszy i bardziej różowy niż kiedykolwiek wcześniej.

Jego oczy były pełne namiętności, gdy całował drugą pierś Win. Jego język drażnił delikatną brodawkę i koił ją swoim ciepłem. Kev chwycił sutek wargami i ostrożnie go przygryzł. Jęczała, gdy jego silne dłonie poznawały jej ciało, zatrzymując się w miejscach pulsujących nieopisaną przyjemnością.

Sięgnął do jej ud i spróbował je rozdzielić, jednak Win zacisnęła je wstydliwie. Chciała posunąć się dalej, ale wstydziła się wilgoci w intymnym miejscu, o której nigdy jej nie mówiono.

- Mówiłaś, że mam się spieszyć - szepnęła Merripen do jej ucha. Jego usta błędziły po jej szkarłatnej twarzy.

- Rozwiąż mnie - poprosiła zdenerwowana. - Ja muszę... cóż, doprowadzić to do porządku.

- Doprowadzić to do porządku? - Merripen spojrział na nią ze zdziwieniem i uwolnił jej nadgarstki. - Masz na myśli pokój?

- Nie, moją... siebie.

Pomiędzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka. Pogładził zacisnięte uda Win, a wtedy zacisnęła je jeszcze mocniej. Zrozumiał w końcu jej zażenowanie i uśmiechnął się z czułością.

- Czy to cię niepokoi? - Rozsunął jej uda. - To, że jesteś tu mokra?

Zamknęła oczy i kiwnęła głową zawstydzona.

- Nie - uspokoił ją - to dobrze, tak właśnie powinno być. To pomoże mi wnikać w ciebie i... - Jego oddech zaczął się rwać. - Och, Win, jesteś taka śliczna, pozwól mi się dotknąć; pozwól mi się kochać...

Umierając ze wstydu, pozwoliła, by jeszcze bardziej rozchylił jej uda. Próbowwała leżeć w bezruchu, ale jej biodra unosiły się same, gdy gładził to miejsce, które stało się prawie boleśnie wrażliwe. Kev mruczał cicho, zafascynowany jej miękkim ciałem. Jeszcze więcej wilgoci, więcej ognia, jego palce ślizgały się nad nią i wokół niej, aż w końcu któryś wniknął do środka. Zesztywniała i niemal się zachłysnęła, a Merripen natychmiast cofnął dłoń.

- Zrobiłem cię krzywdę? Uniosła powieki.

- Nie - odparła zdumiona. - Tak naprawdę nie czułam bólu. - Wygięła się, aby spojrzeć pomiędzy nich. - Czy ja krwawię? Może powinnam...

- Nie, Win... - Konsternacja na jego twarzy była tak wielka, że graniczyła z komizmem. - To, co właśnie zrobiłem, nie spowoduje bólu ani krwawienia. - Zamilkł na chwilę. - Gdy jednak dotknę cię tam moim członkiem, pewnie zaboli jak diabli.

- Och. - Zastanowiła się nad tym przez chwilę. - Czy tego słowa używają mężczyźni na określenie swoich intymnych części ciała?

- To jedno ze słów, których używają gadziowie.

- A co mówią Romowie?

- Nazywają to *akori*.

- A co to znaczy?

- Kolec.

Win spojrzała wstydliwie na potężną wypukłość widoczną pod jego spodniami.

- To zdecydowanie zbyt pokaźne na kolec. Spodziewałam się jakiegoś bardziej odpowiedniego terminu. Choć z drugiej strony... - Odetchnęła gwałtownie, gdy jego dłoń powędrowała w dół. - Podejrzewam, że jeśli ktoś pragnie róż - znów poczuła w tym miejscu jego palec - musi od czasu do czasu nadziać się na kolec.

- Bardzo słuszne stwierdzenie. - Delikatnie gładził zaciskające się wnętrze jej ciała.

Win ścisnęła dłońmi narzutę, czując rozkoszne napięcie w dole brzucha.

- Kev, co mam robić?

- Nic. Pozwól mi się zadowolić.

Całe życie tęskniła właśnie za tym, za powolnym, oszalamiającym łączeniem się z nim, za rezygnacją z siebie i wzajemnym poddaniem. Nie było wątpliwości, że to on kontroluje sytuację, a jednak podporządkował swoje potrzeby Win. Czuła narastające w niej pragnienie, jej ciało rozkwitło kolorem i ogniem.

Merripen nie pozwolił jej ukryć przed sobą niczego... Brał, co chciał, unosząc ją i odwracając, przewracając na brzuch i na plecy z ogromną delikatnością, a jednocześnie pełnym pasji zapamiętaniem. Całował ją całą, penetrował językiem każdy zakątek jej ciała i każdą wilgotną fałdkę. Narastająca łagodnie przyjemność przestoczyła się w coś mrocznego i gwałtownego. Win jęknęła z bólu wywołanego palącym pragnieniem.

Czuła, jak jej puls uderza gwałtownie - w piersiach, skroniach i żołądku, a nawet w czubkach palców dłoni i stóp. Było tego zbyt wiele, tego napięcia, które on potęgował. Zaczęła błagać o chwilę wytchnienia.

- Jeszcze nie - wykrztusił z trudem, jednak tonem pełnym triumfu, którego nie rozumiała.

- Proszę cię, Kev...

- Jesteś tak blisko, czuję to. O Boże... - Ujął w dłonie jej twarz, pocałował ją namiętnie i szepnął: - Nie chciałabyś, żebym teraz to przerwał. Pokażę ci dlaczego.

Z jej piersi wyrwał się jęk, gdy pochylił się pomiędzy jej udami, a jego głowa znalazła się nad pulsującym miejscem, które dotąd drażnił palcami. Dotknął go teraz; polizał wrażliwą, słoną szczelinę i rozchylił fałdki. Win próbowała się unieść, ale opadła na poduszki, gdy znalazł to, czego szukał językiem.

Leżała pod nim jak pogańska ofiara, oświetlona blaskiem poranka, który zalewał pokój. Merripen pieścił ją gorącym językiem, delektując się smakiem jej wyczekującego ciała. Z jękiem zacisnęła nogi wokół jego głowy, a wtedy zaczął ssać i lizać wnętrze jednego białego uda, a potem drugiego. Brał od niej wszystko. Win w napięciu zacisnęła palce na jego włosach, wstydliwie naprowadzając go z powrotem, jej ciało prężyło się w cichym żądaniu...

- Tutaj, proszę, jeszcze, jeszcze, teraz... - jęknęła, gdy zamknął na niej usta w szybkim, gwałtownym rytmie.

Owładnęła nią rozkosz, wywołująca jęk zdumienia i porażająca ją na kilka rozpaczliwych sekund. Każde poruszenie i puls wszechświata zwały się w niej w fascynujący, wilgotny ogień ogarniający to miejsce, a potem wszystko się uwolniło, emocje roztrzaskały się nagle i pograżyły ją w pełnych błogości spazmach. Opadła bezradnie na poduszki. Cudowne dreszcze ustały, wypełniało ją rozżarzone zmęczenie, uczucie spokoju zbyt wielkie, aby mogła się poruszyć. Merripen wypuścił ją z objęć tylko po to, by się do końca rozebrać. Wrócił do niej nagi i podniecony. Podniósł Win z brutalną, męską siłą i ułożył się nad nią.

Uniosła ku niemu ręce; jego plecy były twarde i gładkie pod jej palcami, jego mięśnie drżały, gdy ich dotykała. Pochylił głowę i otarł się ogolonym policzkiem o piersi Win. Poddała mu się; rozsunęła kolana i uniosła biodra, aby go przyjąć.

Najpierw pchnął delikatnie. Niewinne ciało stawiało opór atakowi. Kev natarł mocniej, a Win westchnęła głośno, czując palący ból. Za dużo go, zbyt mocno, zbyt głęboko. Wzdrygnęła się, a Merripen przycisnął ją do materaca, szepcząc cicho, by się nie poruszała, prosząc, by zaczekała, bo jeśli teraz oboje nie będą się poruszać, będzie lepiej. Znieruchomieli więc na chwilę, oddychając ciężko.

- Mam przestać? - zapytał urywanym szeptem, pełen napięcia.

Nawet w takim momencie martwił się o nią. Win rozumiała, ile kosztowało go to pytanie, jak bardzo jej pragnął, i poczuła przypływ obezwładniającej miłości.

- Nawet o tym nie myśl - szepnęła w odpowiedzi. Dotknęła jego szczupłych bioder i pogładziła go gestem nieśmiałej zachęty. Jęknął i zaczął się poruszać; drżał cały, zagłębiając się w niej raz po raz.

Każde pchnięcie powodowało ostre pieczenie w miejscu, w którym się połączyli, ale Win za każdym razem przyciągała go jeszcze bliżej. Uczucie posiadania go w sobie wykraczało poza granice bólu i przyjemności. Było jej niezbędne.

Merripen spojrział na nią, jego oczy jaśniały w zarumienionej twarzy. Wyglądał groźnie, drapieźnie, ale wydawał się nieco zdezorientowany, jakby doświadczał czegoś, co nie jest dostępne zwykłym ludziom. Dopiero wtedy Win pojęła ogrom jego uczucia dla niej, które przez lata w nim narastało, choć z całych sił starał się je zdusić. Z całej siły walczył z przeznaczeniem z powodów, których nie potrafiła zrozumieć. Teraz jednak posiadał jej ciało z czułością i pasją, które przyćmiły wszelkie inne emocje.

Kochał ją jak kobietę, a nie eteryczną istotę. Jego uczucia dla niej były pełne namiętności i mocy, właśnie takie, jak chciała.

Brała go i brała, owijając się wokół niego szczupłymi nogami, chowając twarz w jego szyi i ramionach. Kochała dźwięki, które z siebie wydawał, miękkie westchnienia i jęki, jego ciężki oddech. I jego siłę wokół niej, i w niej. Gładziła go czule i obejmowała, obsypując pocałunkami jego szyję i pierś. Jej pieszczoty go zelektryzowały; zaczął poruszać się szybciej, gwałtowniej, zacisnął mocno powieki. A potem poderwał się nagle i opadł na nią wstrząsany drżeniem.

- Win! - jęknął głucho, chowając twarz w jej piersiach.

- Win... - To jedno słowo zawierało w sobie całą jego miłość i oddanie.

Upłynęły długie minuty, zanim którekolwiek z nich przemówiło. Trwali tak, wtuleni w siebie, rozpaleni i wilgotni, nie chcąc już nigdy się rozdzielić.

Win się uśmiechnęła, czując na twarzy jego wargi. Całował jej policzki, nos, usta, a potem skubnął lekko zębami podbródek.

- Nie na piedestale - powiedział szorstko.

-
- Hm? - Poruszyła się i uniosła dłoń do jego policzka.
 - Co masz na myśli?
 - Powiedziałaś, że postawiłem cię na piedestale, pamiętasz?
 - Tak.
 - Nigdy tak nie było. Zawsze nosiłem cię w sercu. Zawsze. Myślałem jednak, że to nie wystarczy.
- Poruszona Win pocałowała go delikatnie.
- Co się stało, Kev? Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Rozdział 18

Merripen nie zamierzał odpowiadać na to pytanie, dopóki się nią nie zajął. Wstał i poszedł do małej kuchni, w której zainstalowano piec z mosiężnym zbiornikiem i systemem rur do podgrzewania wody. Napełnił dzbanek i zabrał go do sypialni wraz z czystym ręcznikiem.

Przystanął w progu na widok leżącej na boku Win; biała pościel opływała jej ciało; włosy rozsypały się na ramiona powodzią czystego złota. Rysy jej twarzy zmiękły pod wpływem zaspokojenia, a usta nabrzmiały i zaczerwieniły się od jego pocałunków. Właśnie taką ją widywał w najśmielszych marzeniach. Czekałącą na niego.

Zmoczył ręcznik w gorącej wodzie i odsunął prześcieradło oczarowany pięknoscią Win. Pragnąłby jej niezależnie od wszystkiego, czy byłaby dziewicą, czy nie... lecz w skrytości ducha czuł satysfakcję na myśl, że był jej pierwszym mężczyzną. Nikt poza nim jej nie dotykał, nie zadowolil, nie widział... poza...

- Win - odezwał się, marszcząc brwi, gdy obmywał ją, dotykając parującym ręcznikiem jej ud. - Czy w klinice nosiłaś stroje bardziej skąpe niż twój kostium do ćwiczeń? To znaczy, czy Harrow na ciebie patrzył?

Zachowała spokój, ale w jej cudownych, niebieskich oczach błysnęło rozbawienie.

- Pytasz, czy Julian kiedykolwiek widział mnie nagą jako pacjentkę?

Kev był zazdrosny, oboje to wiedzieli. Nie zdołał teraz powstrzymać grymasu niezadowolenia. -Tak.

- Nie, nie widział - odrzekła stanowczym tonem.

- Jego interesował mój układ oddechowy, który, jak sam zapewne wiesz, znajduje się w zupełnie innym miejscu niż rozrodczy.

- Jego interesowało znacznie więcej niż twoje płuca - stwierdził ponuro Kev.

Win się uśmiechnęła.

- Jeśli masz zamiar odwrócić moją uwagę od pytania, które ci wcześniej zadałam, twoja taktyka nie działa. Co się stało wczoraj wieczorem, Kev?

Splukał plamy krwi z ręcznika, wycisnął go i położył na jej udach kolejny ciepły okład.

- Byłem w areszcie.

Win otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- W areszcie? A więc Leo pojechał, żeby cię uwolnić?

- Tak.

- Dlaczego, na miłość boską, znalazłeś się za kratkami?
- Wdałem się w bójkę w oberży. Win pokręciła głową.
- To do ciebie niepodobne.

Niezamierzona ironia jej wypowiedzi przyprawiła Ke-va o pusty śmiech. Musiał mieć dziwny wyraz twarzy, bo Win spojrzała na niego z powagą i usiadła. Odłożyła na bok kompres i podciągnęła prześcieradło na piersi. Przebiegła dłonią po jego nagich ramionach, chcąc ukoić jego napięcie. Dotykała go, gładziła jego tors, kark i brzuch, a z każdą jej kochającą pieśczętą jego samokontrola słabła.

- Zanim przyjeśliście mnie do swojej rodziny - wyznał ochryple - był tylko jeden powód, dla którego żyłem. Walka, zadawanie bólu innym. Byłem... bestią. - Spojrzał w oczy Win, ale nie dostrzegł w nich nic oprócz współczucia.

- Powiedz mi - szepnęła. Merripen pokręcił głową.

Win objęła go za szyję i lekko przyciągnęła do siebie. Kev oparł twarz na jej ramieniu.

- Powiedz mi.

Nie mógł już teraz nic przed nią ukrywać. Był zagubiony; wiedział, że to, co powie, napełni ją obrzydzeniem, ale musiał to zrobić.

Wyznał więc wszystko szczerze, chcąc, by zrozumiała, jakim łajdakiem był kiedyś i nadal jest. Opowiadał jej o chłopcach, których skatował na krwawą miazgę, i o tym, że niektórzy z jego przeciwników, jak mu się wydawało, mogli nawet umrzeć, choć nigdy nie zyskał pewności. Opowiedział jej o swoim życiu zwierzęcia, gdy zjadał resztki i kradł, i o gniewie, który zżerał go od środka. Był zbirem, złodziejem, żebrakiem. Wyznał prawdę o okrucieństwach i upokorzeniach, jakich doznał w dzieciństwie, choć powinien był zatrzymać to wszystko dla siebie, gdyby miał odrobinę dumy i zdrowego rozsądku.

Dławił w sobie te uczucia tak długo, że gdy w końcu je wyrzucił, rozlały się jak rzeka nieczystości. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że całkiem utracił kontrolę nad sobą, a ilekroć próbował zamilknąć, wystarczyło dotknięcie i szept Win, a gadał o wszystkim jak skazaniec do księdza pod szubienicą.

- Jak miałem cię dotykać tymi rękami? - zapytał głosem pełnym cierpienia.
- Jak mogłabyś mi na to pozwolić? Boże, gdybyś wiedziała wszystko o moich uczynkach...

- Kocham twoje dłonie - szepnęła.

- Nie jestem wystarczająco dobry dla ciebie. Ale nikt nie jest. Większość mężczyzn, tych dobrych i tych złych, zna granice tego, co mogą zrobić dla ukochanej osoby. Ja nie mam żadnych granic. Żadnego Boga, kodeksu moralnego, wiary w cokolwiek. Poza tobą. Ty jesteś moją religią. Zrobię wszystko, o co poprosisz. Będę walczył, kradł i zabijał dla ciebie. Będę...

- Sza. Już wystarczy. Mój Boże! - Jego wyznanie pozbawiło ją tchu. - Nie musisz łamać dla mnie przykazań, Kev.

- Nie rozumiesz - powiedział, podnosząc głowę, by spojrzeć na Win. - Gdybyś uwierzyła w to, co powiedziałem...

- Rozumiem. - Miała twarz anioła, łagodną i pełną współczucia. - I wierzę w to, co mi powiedziałaś... ale nie zgadzam się z wnioskami, które, zdaje się, wyciągnęłaś. - Położyła dłonie na jego ramionach. - Jesteś dobrym, kochającym człowiekiem. *Rom baw* próbował zabić w tobie te uczucia, ale mu się nie udało. Bo jesteś silny. I masz wielkie serce.

Opadła na poduszki i pociągnęła go za sobą.

- Nie myśl o tym, Kev - szepnęła. - Twój wuj był złym człowiekiem, ale to, co zrobił, musi zostać wraz z nim pogrzebane. Niech umarli chowają umarłych. Wiesz, co to znaczy?

Pokręcił głową.

- Zostaw za sobą przeszłość i skup się na tym, co przed tobą. Wtedy odnajdziesz drogę. Nowe życie. To chrześcijańskie powiedzenie... ale powinno mieć sens także i dla Roma.

Miało więcej sensu, niż Win mogła się domyślać. Romowie byli niewiarygodnie przesądni, gdy chodziło o śmierć i zmarłych - niszczyli wszystko, co należało do tych, którzy odeszli, i wspominali ich imiona tak rzadko, jak to tylko możliwe. Dla dobra zmarłych i żywych, aby powstrzymać tych pierwszych od powrotu z zaświatów. Niech umarli chowają umarłych... Kev nie był pewien, czy zdoła to zrobić.

- Trudno o tym nie myśleć - odrzekł drżącym głosem. - Trudno zapomnieć.

- Tak. - Jej ramiona zacisnęły się wokół niego. - Postaramy się jednak wypełnić twój umysł zupełnie nowymi wspomnieniami.

Kev milczał długo, przyciskając ucho do serca Win i wsłuchując się w jego rytm i jej regularny oddech.

- Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam - szepnęła w końcu - wiedziałam, kim dla mnie będziesz. Byłeś taki dziki i pełen złości. Od razu cię pokochałam. Ty też to poczułeś, prawda?

Kiwnął nieznacznie głową, rozkoszując się bliskością Win. Jej skóra pachniała tak słodko.

- Chciałam cię oswoić. Nie za bardzo. Tylko tyle, aby móc się do ciebie zbliżyć. - Wsunęła palce w jego włosy. - Szalencie. Co cię opętało, żeby mnie porywać, jeśli wiedziałeś, że pójde za tobą z własnej woli?

- Musiałem czegoś dowieść - powiedział stłumionym głosem.

Zachichotała i pogłaskała go po głowie. Merripen prawie zamruczał z rozkoszy.

- Dowiodłeś więc. Wracamy?

- A chcesz wracać?

Win pokręciła przecząco głową.

- Chociaż... chyba chciałabym coś zjeść.

- Przywiozłem tu jedzenie, zanim po ciebie pojechałem.

- Ależ z ciebie zapobiegawczy porywacz. Możemy więc zostać w tej chatce cały dzień?

-Tak.

Win westchnęła z rozkoszy.

- Czy ktoś tu po nas przyjdzie?

- Wątpię. - Kev odchylił prześcieradło i położył twarz pomiędzy jej piersiami. - Zabiję każdego, kto chciałby przekroczyć próg.

Roześmiała się cicho.

- Co się stało? - zapytał.

- Och, pomyślałam właśnie o tych wszystkich latach, kiedy podnosiłam się z łóżka, by być z tobą. A teraz marzę tylko o powrocie do niego.

Na śniadanie zjedli tosty z serem i wypili mocną herbatę. Owinięta w koszulę Merripena Win siedziała na niskim zydłu w kuchni. Z przyjemnością obserwowała napinające się mięśnie na plecach Keva, który nalewał gorącej wody do przenośnej wanny. Uśmiechnęła się i wrzuciła do ust ostatni kawałek grzanki.

- Porwanie i uwiedzenie zaostrożają apetyt ofiary - stwierdziła.

- Uwodziciela również.

W ich małej, wiejskiej chatce atmosfera pełna była magii. Win czuła się jak zaklęta. Bała się chwilami, że śni i że obudzi się sama w swoim panieńskim łóżku. Obecność Merripena była jednak zbyt namacalna i prawdziwa, aby to mógł być sen. A ból i klucie w dolnych partiach ciała dowodziły, że została wzięta. Kev ją posiadał.

- Wszyscy już zapewne wiedzą - powiedziała nieobecny głosem, myśląc o mieszkańcach Ramsay House. - Biedny Julian. Musi być naprawdę wściekły.

- A zrozpaczony? - Merripen odstawił konwie z wodą i podszedł do niej, mając na sobie tylko spodnie.

Win z namysłem zmarszczyła czoło.

- Raczej rozczarowany. Wierzę, że żywi wobec mnie jakieś uczucia, ale nie, nie będzie zrozpaczony. - Pochyliła się ku Kewowi, który gładził jej włosy, i przytuliła policzek do jego twardego torsu. - Nigdy nie pragnął mnie tak jak ty.

- W takim razie musi być eunuchem. - Syknął, gdy Win ucałowała go w pępek. - Powiedziałaś mu o wizycie u lekarza? O tym, że jesteś na tyle zdrowa, aby mieć dzieci?

Win kiwnęła głową.

- I co powiedział Harrow?

- Julian stwierdził, że mogłabym odwiedzić całą armię lekarzy i część z nich na pewno poparłaby moje plany. Ale według niego nie powinnam mieć dzieci.

Merripen postawił ją na nogi i spojrzał na nią z nie-odgadnioną miną.

- Nie chcę cię narażać na ryzyko. Nie ufam jednak Harrowowi i jego opiniom.

- Bo traktujesz go jak rywala?

- Po części dlatego - przyznał. - Ale to także mój instynkt. On... coś jest z nim nie w porządku. Czuję w nim jakiś fałsz.

- Może to dlatego, że jest lekarzem - zasugerowała Win. Zadrżała, gdy Merripen ściągnął z niej koszulę. - Przedstawiciele tej profesji często wydają się powściągliwi. A nawet zarozumiali. To konieczne, ponieważ...

- Nie o to chodzi. - Merripen podniósł ją z krzesła i pomógł jej usiąść w wannie. Win zakrzuszyła się nie tylko z powodu temperatury wody, lecz także dlatego, że Kev widział ją nagą. W takiej wannie trzeba było siedzieć z nogami na zewnątrz, co nie przeszkadzało w zaciszu sypialni, ale budziło zażenowanie w obecności kogoś innego. Jej skromność została wystawiona na znacznie cięższą próbę, gdy Merripen ukląkł i zaczął ją myć. Jego ruchy nie były jednak lubieżne, lecz pełne troski, dlatego też w końcu odprężyła się pod dotykiem silnych, kojących dłoni ukochanego.

- Nadal podejrzewasz, że Julian zrobił coś złego swojej pierwszej żonie, wiem - powiedziała. - Przecież on jest lekarzem. Nigdy nikogo by nie skrzywdził, a już zwłaszcza jej. - Spojrzała na Merripena. - Nie wierzysz mi. Jesteś zdecydowany myśleć o nim jak najgorzej.

- Myślę, że on czuje się uprawniony do igrania z życiem i śmiercią. Jak ci bogowie z mitów, którymi ty i twoje siostry tak się zachwycacie.

- Nie znasz Juliana tak dobrze, jak ja. Nie odpowiedział, tylko nadal ją mył. Obserwowała jego mroczną twarz w obłokach pary, tak piękną i surową, jak oblicze starożytnego wojownika.

- Po co ja go w ogóle bronie? - zapytała smutno. - Ty nigdy nie będziesz o nim dobrze myślał, prawda?

- Prawda - przyznał.

- A gdybyś wierzył, że Julian jest dobrym człowiekiem, pozwoliłbyś mu mnie poślubić?

Kev milczał chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie. - W jego głosie słychać było nienawiść do samego siebie. - Jestem na to zbyt samolubny. Nigdy bym nie dopuścił do waszego małżeństwa. Gdybym musiał, porwałbym cię przed ołtarza.

Pragnęła go zapewnić, że dla niej nie musi być taki bezinteresowny. Czowała się szczęśliwa, będąc kochaną właśnie tak - z pasją, która nie pozostawiała miejsca na nic więcej. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, Merripen sięgnął po mydło, a jego dłonie przemknęły po obolałym miejscu pomiędzy jej udami.

Dotykał jej z miłością. I zaborczością. Przymknęła oczy. Zanurzył w niej palec, a drugą ręką objął jej plecy. Osunęła się bez sił na jego twardą pierś i ramiona. Nawet ten delikatny dotyk sprawiał ból. Jej ciało było wciąż zbyt poruszone, nienawykłe do takich pieszczot. Jednak gorąca woda przynosiła ulgę, a Merripen był tak delikatny, że uda Win się rozsunęły pod wpływem falującego ciepła.

Wdychała poranne powietrze, przesycone parą, wonią mydła, drewna i rozgrzanej miedzi. I upajającym zapachem kochanka. Potarła ustami jego ramię, delektując się bogatym smakiem słonej skóry.

Kołysała się w jego ramionach leniwie jak trzcina na wietrze... Jego zmyślne palce szybko odkryły, gdzie są najbardziej upragnione. Kev igrał z nią, rozchyłał i powoli badał wypukłą miękkość i jej najwrażliwsze punkty. Sięgnęła na oślep i mocno zacisnęła dłoń na nadgarstku Keva, wyczuwając jego siłę. Merripen wsunął w nią dwa palce, a woda wylała się z wanny, gdy Win zaczęła rytmicznie poruszać biodrami, przyciskając się do jego dłoni. Trzeci palec utorował sobie drogę do jej wnętrza, a wtedy zacisnęła się i jęknęła w proteście - to zbyt wiele, nie może - lecz on tylko szepnął, że może, tłumiąc okrzyki pocałunkami.

Win zaczęła się rozluźniać i cieszyć zmysłową przyjemnością, jaką dawała jej jego dłoń. Czuła, że pragnie tego coraz bardziej, otwierała się, by wchłonąć jeszcze więcej obezwładniającej przyjemności. Podrapała Keva, zaciskając palce na jego twardej, gładkiej skórze, a on jęknął cicho, jakby sprawiło mu to rozkosz. Krzyknęła krótko, czując pierwsze uderzenie orgazmu. Próbowwała się opanować, ale zaraz wydarł się z jej gardła następny okrzyk, a potem jeszcze jeden. Powierzchnia wody zmarszczyła się, gdy Win zadrżała z rozkoszy, którą przedłużały delikatne ruchy jego dłoni, aż w końcu osłabła i zaczęła ciężko oddychać.

Merripen oparł ją o krawędź wanny i wyszedł na chwilę. Moczyła się w parującej wodzie, zbyt zadowolona, by zapytać czy zauważyć, dokąd poszedł. Wrócił z naręczem kąpielowych prześcieradeł i podniósł ją ostrożnie. Stała przed nim bezwolnie, pozwalając się osuszać jak dziecko. Gdy się o niego oparła, zobaczyła na jego ręce niewielkie czerwone ślady, niezbyt głębokie, ale widoczne. Wiedziała, że powinna go przeprosić, czuć żal, ale ona chciała tylko zrobić to znowu. Sycić się nim. Było to do niej tak niepodobne, że zamyśliła się na chwilę.

Zaniósł ją do sypialni i położył na świeżo zaścielonym łóżku. Win wślizgnęła się pod prześcieradła i czekała na niego, drzemiąc, gdy poszedł się umyć i opróżnić wannę. Ogarnęło ją uczucie, jakiego nie doświadczała od lat... rodzaj radości, którą odczuwała jako dziecko, gdy budziła się w bożonarodzeniowy poranek. Leżała wtedy w łóżku cicho, rozkoszując się perspektywą wszystkich tych miłych rzeczy, które miały się wkrótce wydarzyć, a jej serce przepęniało oczekiwanie.

Otworzyła oczy, gdy w końcu materac ugiął się pod ciężarem kochanka. Kev był zdumiewająco ciepły w zetknięciu z jej chłodną skórą. Umościła się wygodnie na jego ramieniu i westchnęła głęboko. Merripen delikatnie pogładził ją po plecach.

- Czy będziemy mieli kiedyś taką chatkę? - szepnęła. Kev ułożył już, rzecz jasna, cały plan.

- Pomieszkamy w Ramsay House jeszcze rok, może dwa, dopóki nie zakończymy odbudowy i Leo nie stanie na nogi. Potem poszukam odpowiedniej farmy i zbuduję dla ciebie dom. Większy niż ten, jak mniemam. - Jego dłoń przesunęła się na jej pośladki i zaczęła zataczać powolne kółka. - To nie będzie życie pełne luksusów, ale na pewno wygodne. Będziesz miała kucharkę, służącą i

stangreta. I zamieszkamy blisko twojej rodziny, żebyś mogła wszystkich widywać, kiedykolwiek zechcesz.

- To brzmi wspaniale - zdołała odpowiedzieć Win. Była tak szczęśliwa, że z trudem mogła oddychać. - Życie jak w niebie. - Nie miała wątpliwości, że Kev się o nią zatroszczy, a ona uczyni go szczęśliwym. Razem zbudują sobie dobrą przyszłość, choć wiedziała, że na pewno nie będzie to zwyczajne życie.

- Jeśli za mnie wyjdiesz, nigdy nie zyskasz pozycji w towarzystwie - stwierdził rzeczowym tonem.

- Nie ma dla mnie lepszej pozycji niż pozycja twojej żony.

Położył dłoń na głowie Win i przycisnął ją do swojego ramienia.

- Zawsze pragnąłem dla ciebie czegoś więcej.

- Kłamiesz - szepnęła. - Zawsze pragnąłeś mnie tylko dla siebie.

Piers Keva poruszyła się, gdy wybuchnął śmiechem.

- Masz rację - przyznał.

Umilkli, delektując się tym, że mogą dzielić łóżko w wypełnionej światłem poranka izbie. Byli sobie bliscy na tak wiele sposobów... Znali się tak dobrze... A jednak nie do końca. Fizyczna intymność nadała uczuciom zupełnie nowy wymiar, jakby Win przyjmowała w siebie; nie tylko jego ciało, ale i część duszy. Nie mogła pojąć, jak ludzie mogą angażować się w ten akt bez miłości, jak puste i bezcelowe muszą być takie próby.

Jej goła stopa dotykała jego nogi, palce wyczuwały twarde mięśnie.

- Myślałeś o mnie, kiedy z nimi byłeś? - zapytała nieśmiało.

- Z kim?

- Z kobietami, z którymi sypiałeś.

Z napięcia mięśni Merripena poznała, że nie spodobało mu się to pytanie. Jego odpowiedź była cicha, naznaczona poczuciem winy.

- Nie. O niczym nie myślałem, gdy z nimi byłem.

Jej dłoń powędrowała do jego gładkiej piersi, odnalazła mały, brązowy sutek i zaczęła go drażnić.

- Nie mogę znieść myśli, że robiłeś to z innymi - wyznała szczerze Win, opierając się na łokciu.

Przykrył palcami jej dłoń i przycisnął ją sobie do serca.

- One nic dla mnie nie znaczyły. To po prostu była transakcja. Coś, co należało zrobić najszybciej, jak to możliwe.

- To chyba nawet gorzej. Wykorzystywać kobiety w ten sposób, bez uczuć...

- Otrzymały dobrą zapłatę - stwierdził. - I zawsze robiły to chętnie.

- Powinieneś być znaleźć kogoś, na kim by ci zależało i komu zależałoby na tobie. To znacznie lepsze niż takie beznamienne działania.

- Nie mogłem.

- Czego nie mogłeś?

- Znaleźć kogoś, na kim by mi zależało. Ty zajmowałaś zbyt wiele miejsca

w moim sercu.

Jak to świadczyło o okropnym, egoistycznym charakterze Win, jeśli taka odpowiedź wzruszyła ją i zadowolila?

- Po twoim wyjeździe - mówił dalej Merripen - myślałem, że oszaleję. Nie mogłem nic zrobić, żeby poczuć się lepiej. Nie miałem nikogo, z kim chciałbym być. Marzyłem, żebyś wyzdrowiała. Oddałbym za to życie. Ale jednocześnie nienawidziłem cię za to, że odeszłaś. Nienawidziłem wszystkich i wszystkiego. Mojego własnego serca za to, że ośmielało się bić. Tylko jedno trzymało mnie przy życiu: pewność, że znów cię zobaczę.

Win była wzruszona surową prostotą jego deklaracji. Jest ucieleśnieniem siły, pomyślała. Nie można było go sobie podporządkować, tak jak nie można powstrzymać burzy. Kochał ją niepohamowanie, jak umiał, i niech diabli wezmą całą resztę.

- Czy te kobiety ci pomagały? - zapytała miękko.

- Czułeś ulgę, gdy się z nimi kochałeś?

Merripen pokręcił przecząco głową.

- Czułem się jeszcze gorzej, bo nie były tobą.

Win pochylała się nad nim, jej włosy opadły lekkimi pasmami na jego pierś, szyję i ramiona. Spojrzała w czarne jak tarnina oczy Keva.

- Chcę, byśmy byli sobie wierni - oznajmiła poważnie.

- Od dzisiaj.

Zapadła cisza, wahanie zrodzone nie z wątpliwości, lecz świadomości. Jakby ich przysięga miała zostać wysłuchana przez niewidzialną siłę.

Pierś Merripena uniosła się i opadła w długim, głębokim oddechu.

- Zawsze będę ci wierny.

- A ja tobie.

- Obiecuję, że już nigdy mnie nie opuścisz.

Win uniosła dłoń, która dotychczas spoczywała na jego piersi, i wycisnęła w tym miejscu gorący pocałunek.

- Obiecuję.

Była gotowa i chętna, by przypieczętować tę przysięgę, ale chciał, by odpoczęła, jej ciało musiało wyzdobrzeć. Gdy zaprotestowała, uciszył ją łagodnym pocałunkiem.

- Śpij - szepnęła, a Win posłuchała, popadając w najśłodsze, najmroczniejsze oszołomienie, jakie znała.

Światło dnia atakowało niecierpliwie zasłony w oknach, zamieniając je w jasne prostokąty. Kev tulił do siebie Win godzinami. Nie spał w ogóle. Radość z patrzenia na nią przysłoniła potrzebę odpoczynku. Pamiętał czas w jego życiu, kiedy tak nad nią czuwał - wtedy, gdy chorowała. Teraz było jednak inaczej, bo należała do niego.

Od lat zżerało go przygnębienie, bo kochał Win, a jednocześnie wiedział, że będzie to miłość niespełniona. Gdy teraz ją tulił, ogarniało go zupełnie nieznanne

uczucie - fala euforycznego ognia. Pocałował ją, niezdolny oprzeć się dojmującemu pragnieniu. Przesunął usta na różową wypukłość jej policzka. Koniuszek nosa był tak uroczy, że zasługiwał na cały sonet. Merripen kochał każdy skrawek jej ciała. Nagle przyszło mu do głowy, że nie całował jeszcze miejsc pomiędzy palcami jej stóp - było to niedopatrzenie, które domagało się natychmiastowej naprawy.

We śnie Win przerzuciła przez niego nogę i wsunęła pomiędzy nich kolano drugiej. Czując muśnięcia jej jasnych loków na torsie, Kev natychmiast zeszywniał, a jego ciało ożywiło się bolesnym, rytmicznym pulsowaniem, które wyczuwał pod okrywającymi ich prześcieradłami.

Win poruszyła się, przeciągnęła i otworzyła oczy. Mer-ripen dostrzegł jej zdumienie, że obudziła się w jego ramionach. Ogarnęła ją satysfakcja, gdy przypomniała sobie

O tym wszystkim, co poprzedziło sen. Objęła go, poznając dłońmi jego ciało. Był napięty, pobudzony i trwał nieruchomo, pozwalając jej się odkrywać.

Poznawała go z niewinnym zafascynowaniem, które go całkowicie uwiodło. Jej wargi ocierały się o naprężoną skórę jego piersi. Win odnalazła jego ostatnie żebro i przygryzła je lekko. Potem przesunęła dłonią po jego udzie i zawędrowała aż do pachwiny.

Szepnął jej imię pomiędzy urywanymi oddechami i sięgnął do dręczących go palców. Win jednak odepchnęła jego rękę - to podnieciło go do granic wytrzymałości.

Objęła go dłonią i ścisnęła, a potem delikatnie przebiegła palcami po jego krągłościach. Merripen zacisnął zęby i znosił jej dotyk jak najśłodsza torturę.

Przesunęła się niżej i chwyciła go lekko - zbyt lekko. Błagałby, żeby zacisnęła dłoń mocniej, gdyby był w stanie złapać oddech. Ale mógł tylko czekać, dysząc ciężko. Jej głowa pochyliła się nad nim, a złote włosy uwięziły go jak lśniąca sieć. Nie zamierzał się poruszać, ale jego zdradziecka męskość drgnęła i wystrzeliła w górę. Zszokowany, poczuł, że Win pochyla się, by go pocałować.

Przesuwała powoli wargami po jego członku, a Kev jęknął z rozkoszy i niedowierzania.

Jej śliczne usta na nim... Umierał, tracił zmysły. Była zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, co ma robić. Nie brała go głęboko w usta, tylko drażniła czubek, tak jak Kev robił z nią wcześniej. Ale to wystarczyło. Wydał z siebie udęczony okrzyk, gdy poczuł na sobie słodkie, wilgotne dotknięcie jej warg. Mruczając coś w mieszaninie romani i angielskiego, chwycił ją za biodra i pociągnął w górę. Ukrył w niej twarz i ssał ją z zapamiętaniem, a ona wyla się nad nim jak schwytna w potrzask syrena.

Smakował jej rozkosz, zatapiając w niej głęboko język raz za razem. Jej uda zeszywniały, gdy znalazła się na krawędzi spełnienia. Musiał w niej być, zanim to się wydarzy, musiał poczuć, jak się wokół niego zaciska. Przewrócił ją delikatnie na brzuch i wsunął jej poduszkę pod biodra.

Jęknęła i rozłożyła szerzej nogi. Nie potrzebował zachęty, umościł się nad nią, śliski od wilgoci jej ust. Sięgnął ku niej i odnalazł maleńki, nabrzmiący pączek. Drażnił go powoli, wchodząc w nią z wyczuciem, a gdy w końcu zanurzył się w niej cały, eksplodowała z łkaniem.

Czuł zbliżające się spełnienie, ale postanowił jeszcze poczekać. Gdyby tylko mógł, trwałby tak wiecznie. Przesunął dłonią po kremowej skórze jej pleców. Win wygięła się w łuk, szepcząc jego imię. Ułożył się na niej, zmieniając nieco kąt, lecz nadal dotykając jej najwrażliwszego miejsca, i pchnął. Wstrząsnęły nią kolejne spazmy, jej ramiona i plecy zaróżowiły się z rozkoszy. Znaczył ustami plamy koloru, całował je wszystkie po kolei, kołysząc się w niej powoli, zagłębiając w niej, aż w końcu zamarł i szarpnął się dziko, gdy osiągnął szczyt.

Zsunął się z Win i przytulił ją do siebie, łapiąc oddech. Czuł głośne pulsowanie w uszach i dopiero po chwili uświadomił sobie, że to pukanie do drzwi.

Win dotknęła jego policzka i zwróciła ku sobie jego twarz. Oczy miała okrągłe z przerażenia.

- Ktoś tu jest - powiedziała.

Rozdział 19

Przeklinając pod nosem, Kev wciągnął spodnie, koszulę i podszedł boso do drzwi. Na progu ujrzał Cama Rohana, który opierał się nonszalancko o futrynę z sakwojażem w jednej ręce i przykrytym koszykiem w drugiej.

- Dzień dobry. - W jego orzechowych oczach tańczyły kpiące ogniki. - Przyniosłem wam kilka rzeczy.

- Jak nas znalazłeś? - zapytał Kev spokojnie.

- Wiedziałem, że nie pojechaliście daleko. Nie brakowało żadnych ubrań, waliz czy kufrów. Stróżówka była zbyt oczywista, więc przyjechałem tutaj. Nie zaprosisz mnie do środka?

- Nie - rzucił Kev krótko, a Cam się uśmiechnął.

- Na twoim miejscu, *phral*, pewnie byłbym tak samo niegościnnie. W koszu jest jedzenie, a w sakwojażu ubrania dla was obojga.

- Dziękuję. - Kev odebrał pakunki od Cama i postawił tuż za drzwiami. Wyprostował się i spojrzał na brata, szukając w jego twarzy oznak potępienia. Nie znalazł.

- *Ovyilo isi?* - zapytał Cam.

W języku romani oznaczało to: „czy wszystko w porządku”, jednak dosłowne tłumaczenie tego pytania: „czy jest tutaj serce”, bardziej pasowało do sytuacji.

- Tak - odparł Kev miękko.

- Nic ci nie trzeba?

- Po raz pierwszy w życiu - przyznał się Kev - niczego więcej nie potrzebuję.

Cam się uśmiechnął.

- To dobrze. - Nonszalancko włożył ręce do kieszeni i oparł się o drzwi.

- A jak się mają sprawy w Ramsay House? - zapytał Kev, w duchu obawiając się odpowiedzi.

- Było kilka niespokojnych minut dziś rano, gdy się okazało, że oboje zniknęliście. Harrow utrzymuje, że Win została porwana wbrew woli. W pewnym momencie zagroził nawet, że pójdzie do konstabla. Jeśli nie wrócicie przed zachodem słońca, może podjąć jakieś drastyczne środki.

- Czyli?

- Nie wiem. Mógłbyś jednak pomyśleć o tych z nas, którzy musieli zostać z nim w Ramsay House, gdy ty sobie tu siedzisz z jego narzeczoną.

- To już jest moja narzeczoną. Odwiozę ją, kiedy będę chciał, do cholery.

- Rozumiem. - Kąciki ust Cama zdrzały. - Mam nadzieję, że zamierzasz ją wkrótce poślubić?

- Nie wkrótce. Natychmiast.

- Dzięki Bogu. To dosyć niestosowna sytuacja, nawet jak na Hathawayów. - Cam spojrział na niestaranny strój Keva i uśmiechnął się kpiąco. - Miło w końcu widzieć cię rozluźnionym, Merripen. Gdyby to nie chodziło o ciebie, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że wyglądasz na szczęśliwego.

Ale jemu wciąż jeszcze nie było łatwo przed kimś się otworzyć. Kusiło go jednak, by zwierzyć się bratu z tego, że nie znajduje nawet słów, by opisać swój stan. Odkrył, że miłość kobiety staje się początkiem zupełnie nowego świata. A Win, która zawsze wydawała się mu taka krucha i wymagająca opieki, okazała się nawet silniejsza niż on.

- Rohan - zapytał na tyle cicho, by Win nie mogła go usłyszeć. - Mam pytanie...

- Tak?

- Czy traktujesz swoje małżeństwo jak gadzio czy jak Rom?

- Raczej jak gadzio - odparł bez wahania Rohan.

- W przeciwnym razie nie mogłoby funkcjonować. Amelia nie jest typem kobiety, którą można sobie podporządkować. Ale jako Rom zawsze będę sobie rezerwował prawo do ochrony i opieki nad nią. - Uśmiechnął się lekko.

- Znajdziesz złoty środek, tak jak my.

Kev przeczesał dłonią włosy.

- Czy Hathawayowie są wściekli za to, co zrobiłem? - zapytał ostrożnie.

- Masz na myśli porwanie Win? - Tak.

- Narzekają tylko, że zabrało ci to zbyt dużo czasu.

- Wiedzą, gdzie jesteśmy?

- Moim zdaniem nie - uspokoił go Cam. - Mogę ci kupić jeszcze kilka godzin, *phral*. Ale wróćcie przed wieczorem, choćby tylko po to, żeby uciszyć Harrowa. - Zmarszczył lekko czoło. - Ten człowiek jest jakiś dziwny.

Kev rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

- Dlaczego tak sądzisz? Cam wzruszył ramionami.

- Inny mężczyzna w jego sytuacji już dawno by coś zrobił, cokolwiek. Zniszczył jakiś mebel. Skoczył komuś do gardła. Gdyby chodziło o moją kobietę, do tego czasu przewróciłbym już Hampshire do góry nogami, by ją znaleźć. A Harrow tylko gada. I gada, i gada.

- O czym?

- Bardzo dużo o tym, jakie ma prawa, co mu się należy, o poczuciu zdrady... ale dotąd nie wyraził żadnej troski o Win, nie bierze pod uwagę jej pragnień. Zachowuje się jak dziecko, któremu zabrano zabawkę, a ono chce ją z powrotem. - Cam się skrzywił. - Cholernie żenujące, nawet jak na gadzia. - Podniósł głos i zawołał do ukrytej Win: - Wychodzę. Miłego dnia, siostrzyczko!

- Nawzajem, Rohan! - odpowiedziała mu radośnie.

Rozpakowali zawartość kosza: było tam zimne pieczone kurczę, kilka sałatek, owoce i grube kromki chleba z kminkiem. Nasycili głód na pledzie rozłożonym przed kominkiem. Win, mając na sobie tylko koszulę Keva, siedziała pomiędzy jego udami, a on czesał jej włosy. Przegarniał palcami jedwabne pasma, lśniące jak światło księżyca.

- Pójdziemy na spacer, skoro mam już ubranie? - zapytała Win.

- Jeśli chcesz. - Kev odsunął na bok jej włosy i pocałował ją w kark. - A potem wracamy do łóżka.

Win wydała z siebie zabawny dźwięk.

- Nigdy nie podejrzewałam, że spędzasz w łóżku tak wiele czasu.

- Dotąd nie miałem odpowiedniego powodu. - Odłożył na bok szczotkę, przyciągnął Win do siebie i przytulił. Pocałował ją leniwie. Przywarła do niego w niemym pragnieniu. Kev uśmiechnął się i odsunął.

- Spokojnie - powiedział, głaszcząc jej szyję. - Nie będziemy teraz znów zaczynać.

- Powiedziałeś przecież, że chcesz wracać do łóżka.

- Żeby odpocząć.

- Nie będziemy się już więcej kocha-?

- Nie dzisiaj - odparł łagodnie. - Masz już dosyć. - Obrysował kciukiem jej opuchnięte od pocałunków wargi. - Gdybym znów się z tobą kochał, nie mogłabyś jutro chodzić.

Jak zdążył już zauważyć, obawy o wytrzymałość Win za każdym razem napotykały jej zdecydowany protest.

- Czuję się bardzo dobrze - powiedziała uparcie, siadając mu na kolanach.

Zasypała pocałunkami jego twarz i szyję, wszędzie tam, gdzie mogła sięgnąć. - Jeszcze tylko raz, zanim wrócimy. Pragnę cię, Kev. Potrzebuję...

Uciszył ją pocałunkami, a Win odpowiedziała mu tak żarliwie, że nie mógł opanować śmiechu. Cofnęła głowę.

- Śmiejesz się ze mnie?

- Nie, nie. Ja tylko... jesteś taka urocza, sprawiasz mi tyle radości. Moja chętna mała kobietka... - Pocałował znów Win, próbując ją uspokoić. Ona jednak nie ustępowała, rozpięła koszulę i przyciągnęła jego dłonie do swego nagiego ciała.

- Dlaczego jesteś taka niespokojna? - szepnął, kładąc się z nią na kocu. - Nie... zaczekaj... Win, porozmawiaj ze mną.

Znieruchomiała w jego ramionach ze zmarszczonym czołem.

- Boję się wrócić - wyznała. - Czuję, że wydarzy się coś złego. Wydaje mi się tak nieprawdopodobne, że nareszcie jesteśmy razem.

- Nie możemy się tu wiecznie ukrywać - szepnął Kev, głaszcząc ją po włosach. - Nic się nie wydarzy, ukochana. Zaszliśmy zbyt daleko, by móc się cofnąć. Jesteś teraz moja i nikt tego nie zmieni. Boisz się Harrowa? O to ci chodzi?

- Nie boję się go. Po prostu nie mam ochoty się z nim spotkać.
- Oczywiście, że nie. Pomogę ci. Porozmawiam z nim pierwszy.
- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - powiedziała niepewnie.
- Nalegam. Obiecuję, że będę panował nad sobą. Ale zamierzam wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Nie zostawię cię, abyś sama stawiała temu czoło.

Win przytuliła policzek do jego ramienia.

- Jesteś pewien, że nic nie wpłynie na zmianę twojej decyzji co do naszego ślubu?

- Nie ma takiej siły, która mogłaby coś zmienić. - Wyczuł jej napięcie i przesunął dłońmi po jej ciele, zatrzymując się dłużej na piersiach. Jej serce obijało się o żebra w nierównym rytmie. Położył na nim rękę, by je uspokoić. - Czy mogę ci jakoś poprawić nastrój? - zapytał czule.

- Powiedziałam ci już jak, ale ty nie chcesz - odparła ze smutkiem, prowokując Merripena do śmiechu.

- W takim razie spełnię twoje życzenie - szepnął. - Ale powoli, żeby nie zrobić ci krzywdy. - Pocałował ją za uchem, a potem przesunął się w dół na gładkie białe ramiona i miejsce na szyi, gdzie uderzał puls.

Muskał delikatnie ustami piersi Win. Wciąż jeszcze były rozpalone i twarde. Kev drażnił je ostrożnie, lekko przytrzymując wargami pulsujące koniuszki.

Win drgnęła i syknęła cicho, odgadł więc, że poczuła ból. Objęła jednak dłońmi jego głowę i przytrzymała przy sobie. Językiem zataczał na jej piersi powolne kółka, obdarzając je delikatnymi pocałunkami, aż zaczęła jęczeć i poruszać biodrami, domagając się więcej niż tej ulotnej pieszczoty.

Opadł ustami na jej uda i zagłębił się w gorącym jedwabistym wnętrzu w poszukiwaniu delikatnej aksamitnej fałdki, by pobudzać ją językiem i pięścią. Win przywarła do niego kurczowo i wyszlochała jego imię, podniecając go swymi gardłowymi jękami.

Gdy jej biodra odnalazły regularny rytm, oderwał się od niej i rozłożył szeroko jej nogi. Całą wieczność zajęło mu ułożenie się w niej, gdy zaciskała się na nim rozgorączkowana i wilgotna. Otoczył Win ramionami i mocno przytulił.

Szamotała się pod nim, ponaglając go do natarcia, ale trwał w bezruchu z ustami przyciśniętymi do jej ucha i szeptał, że da jej przyjemność właśnie w taki sposób, że zostanie w niej tak długo, jak będzie chciała. Jej ucho spurpurowiało. Zacisnęła się wokół niego.

- Proszę, zrób coś - szepnęła, ale Kev łagodnie odmówił.

- Proszę, zrób coś, proszę... - błagała. - Nie.

Po chwili jednak poruszył biodrami w subtelnym rytmie. Wzdychała i jęczała, gdy się w niej zagłębiał, ocierając się o nią, ale wciąż zachowując kontrolę. Wreszcie doszła do szczytu, drżąc i krzycząc. Kev milczał, doświadczając spełnienia tak gwałtownego i paralizującego, że całkiem pozbawiło

go mowy. Szczupłe ciało Win owinięło się wokół niego, wyssało go, zamknęło w kokonie pulsującego żaru.

Rozkosz była tak wielka, że wywołała w jego oczach nieznane pieczenie, wstrząsając nim do głębi. W tej właśnie chwili, uświadomił sobie, że coś się w nim zmieniło, że nie ma już odwrotu. Skapitulował i poddał się niepewnej władzy jednej małej kobiety.

Słońce zachodziło pomiędzy zalesionymi dolinami, gdy w końcu oboje się ubrali. Palenisko wygasło, pograżając domek w chłodzie i ciemności.

Win ścisnęła kurczowo Merripena, gdy prowadził ją do swojego konia.

- Zastanawiam się, dlaczego szczęście wydaje się zawsze takie kruche - powiedziała. - Myślę, że wszystkie doświadczenia mojej rodziny... utrata rodziców, śmierć Laury, pożar, moja choroba uświadomiły mi, jak łatwo można utracić bezcenne rzeczy. Życie może odmienić się w jednej sekundzie.

- Nie wszystko się zmienia. Niektóre sprawy trwają wiecznie.

Win zatrzymała się, odwróciła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Odpowiedział natychmiast, przytulając ją mocno do swego potężnego torsu. Win ukryła twarz na jego piersi.

- Mam nadzieję - odparła po chwili. - Naprawdę jesteś teraz mój, Kev?

- Zawsze byłem twój - szepnął do jej ucha.

Przygotowana na wrzawę, jaką zwykle czyniły siostry, Win poczuła ogromną ulgę, gdy wraz z Kevem wrócili do pograżonego w ciszy i spokoju Ramsay House. Było zbyt normalnie, od razu więc stało się dla niej jasne, że wszyscy zamierzają zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Znalazła Amelię, Poppy, pannę Marks i Beatrix w saloniku na górze. Trzy z nich szyły, a Beatrix czytała na głos.

Gdy uciekinierka weszła do pokoju, Beatrix umilkła, a wszystkie spojrzały na Win błyszczącymi z ciekawości oczami.

- Witaj, kochanie - powiedziała ciepło Amelia. - Czy twoja wycieczka z Merripenem się udała? - Zupełnie jakby chodziło o piknik czy przejażdżkę powozem.

- Tak, dziękuję. - Win uśmiechnęła się do najmłodszej siostry. - Czytaj dalej, Bea. Wydaje się to bardzo interesujące!

- To powieść sensacyjna - wyjaśniła jej Beatrix. - Ekscytująca. Akcja rozgrywa się w mrocznej, ponurej posiadłości, służba zachowuje się niezwykle osobliwie, a za gobelinem są ukryte drzwi. - Zniżyła głos do dramatycznego szeptu. - Wkrótce ktoś zginie.

Podjęła lekturę, a Win usiadła obok Amelii. Poczuła na ręce ciepłą dłoń starszej siostry. Ten uścisk niósł otuchę. Tym prostym gestem Amelia przekazywała jej tak wiele... troskę, akceptację, zapewnienie.

- Gdzie on jest? - zapytała szeptem.

Win poczuła ukłucie strachu, choć nic po sobie nie pokazała.

- Rozmawia z Harrowem. Amelia wzmocniła uścisk.

- Cóż - odparła kpiąco - to będzie bardzo ożywiona dyskusja. Mam wrażenie, że ten twój Harrow dość długo się do niej przygotowywał.

- Ty nieokrzesany, głupi prostaku! - Julian Harrow był blady jak ściana, ale panował nad sobą, gdy spotkali cię z Kevem w bibliotece. - Nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Tak się spieszyłeś, by położyć łapska na tym, czego pragnąłeś, że w ogóle nie pomyślałeś o konsekwencjach. I nie pomyślisz, aż będzie za późno. Dopóki jej nie zabijesz!

Kev spodziewał się, co usłyszy od Harrowa, dlatego też zdecydował wcześniej, jak sobie z nim poradzi. Dla dobra Win postanowił tolerować wszelkie zniewagi i oskarżenia. Niech ten człowiek powie, co ma powiedzieć... a Kev pozwoli, by spłynęło to po nim jak po kaczce. Wygrał. Win należała do niego, nic innego nie miało już znaczenia.

Nie było mu jednak łatwo. Harrow perfekcyjnie odgrywał rolę zdradzonego, romantycznego bohatera... był subtelny, elegancki, jego blada twarz wyrażała oburzenie. Przy nim Kev czuł się jak śniady, prostacki zbir. A to ostatnie: „dopóki jej nie zabijesz”, zmroziło go do kości.

Tak wielu ludzi ucierpiało z jego ręki. Nikt z taką przeszłością nie zasługiwał na Win. A chociaż ona wybaczyła mu dawne brutalne życie, Kev nie potrafił zapomnieć o tamtych czasach.

- Nikt jej nie skrzywdzi - powiedział głośno. - To oczywiste, że jako twoja żona byłaby otoczona doskonałą opieką, ale Win nie tego pragnie. Dokonała wyboru.

- Pod przymusem!

- Ja jej do niczego nie zmuszałem.

- Ależ oczywiście, że tak - odparł z pogardą Harrow. - Porwał ją, dając pokaz brutalnej siły. A ona, będąc kobietą, uznała, rzecz jasna, że to podniecające i romantyczne. Kobiety można zdominować i przekonać je praktycznie do wszystkiego. A w przyszłości, gdy będzie umierać przy porodzie, wijąc się z bólu, nawet cię za to nie obwini. Ty jednak będziesz wiedział, że to twoja sprawka. - Roześmiał się ponuro na widok miny Keva. - Naprawdę jesteś tak głupi, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Uważasz, że jest zbyt krucha, by nosić dziecko. Ale ona skonsultowała się z lekarzem w Londynie, który...

- Tak. Czy Winnifred zdradziła ci nazwisko tego lekarza? - Oczy Harrowa były jak szary lód.

Kev pokręcił głową.

- Ja nalegałem tak długo, aż mi powiedziała. Od razu wiedziałem, że to zmyślona postać. Oszustwo. Ale żeby się upewnić, sprawdziłem rejestr londyńskich lekarzy. Nie ma tam nazwiska, które wymieniła. Kłamała, Merripen. - Harrow przeczesywał dłonią włosy i chodził nerwowo po pokoju. - Kobiety są bardzo przebiegłe, jeśli pragną postawić na swoim. Mój Boże, ależ łatwo tobą manipulować!

Kev nie wiedział, co odpowiedzieć. Uwierzył Win z tego prostego względu, że nigdy nie kłamała. O ile wiedział, tylko raz go oszukała - po to, by go nakłonić do wzięcia morfiny, gdy cierpiał od oparzeń. Potem zrozumiał powody i natychmiast jej wybaczył. Ale jeśli teraz także kłamała... Cierpienie paliło go jak kwas.

W końcu zrozumiał, dlaczego Win tak się denerwowała perspektywą powrotu.

Harrow przystanął przy stole i oparł się o niego.

- Nadal jej pragnę - wyznał cicho. - Nadal chcę ją mieć. Pod warunkiem że nie poczęła dziecka. - Urwał, gdy Kev spojrział na niego morderczym wzrokiem. - Och, możesz się gapić, ale nie zaprzeczysz oczywistej prawdzie. Spójrz tylko na siebie. Jak usprawiedliwisz to, czego się właśnie dopuściłeś? Jesteś brudnym Cyganem, który lubi świecidełka, tak jak wy wszyscy. - Popatrzył na niego badawczo i mówił dalej: - Jestem pewien, że ją kochasz, na swój własny sposób. Nie z wyrafinowaniem, nie tak, jak ona tego potrzebuje, lecz o tyle, o ile pozwala ci twoja natura. Myślę, że to wzruszające. I godne politowania. Win niewątpliwie czuje, że wasza dziecinna więź daje ci więcej praw niż jakimkolwiek innemu mężczyźnie. Ah; zbyt długo żyła z dala od świata. Nie ma tyle mądrości czy doświadczenia, by znać się na swoich potrzebach. Jeśli cię poślubi, jest tylko kwestią czasu, gdy się tobą zmęczy i zapragnie więcej, niż możesz jej zaoferować. Znajdź sobie jakąś zdrową, wiejską dziewczynę, Merripen. A jeszcze lepiej Cyganę, która będzie szczęśliwa, wiodąc proste życie u twego boku. Pragniesz słowika, a powinieneś zadowolić się miłym, tłustym gołąbkim. Zrób to, co należy, Merripen. Oddaj ją mnie. Jeszcze nie jest za późno. Przy mnie będzie bezpieczna...

Kev z trudem rozpoznał swój własny schrypnięty głos, pełen zaskoczenia, desperacji i furii.

- Może zapytamy o to Lanhamów? Ciekawe, czy zgodziliby się, że przy tobie będzie bezpieczna? - rzucił.

Wybiegł z biblioteki, nie odwracając się nawet, by ocenić, jaki skutek wywarły jego słowa.

Z nadejściem wieczoru Win czuła coraz większy niepokój. Została w saloniku z siostrami i panną Marks, dopóki Beatrix nie zmęczyła się czytaniem. Jediną ulgę niosło jej obserwowanie figli fretki Beatrix, Dodgera, który wydawał się darzyć pannę Marks gorącym uczuciem, pomimo, a może właśnie z powodu jej oczywistej antypatii. Dodger podkradał się do guwernantki, próbując zabrać jej igłę, a kobieta obserwowała go zmrużonymi oczami.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała w pewnej chwili z lodowatym spokojem. - Albo utnę ci ogon nożem do mięsa.

Beatrix uśmiechnęła się szeroko.

- Myślałam, że takie przygody przydarzają się tylko ślepym myszkom, panno Marks.

- To odnosi się do wszystkich nieposłusznych gryzoni.
- Fretka nie jest gryzoniem - odparła Bea. - Należy do rodziny łasicowatych. Tak więc można powiedzieć, że jest tylko dalekim kuzynem myszy.
- Nie jest to rodzina, z którą chciałabym zawrzeć bliższą znajomość - zauważyła Poppy.

Dodger wdrapał się na podłokietnik sofy i utkwił w pannie Marks rozkochane spojrzenie, które guwernantka zignorowała.

Win uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie.

- Jestem zmęczona. Życzę wam wszystkim dobrej nocy.

- Ja też już się chyba położę - powiedziała Amelia, tłumiąc ziewnięcie.

- Może wszystkie powinnyśmy udać się na spoczynek - zasugerowała panna Marks, sprawnie pakując robótkę do małego koszyka.

Rozeszły się do swoich sypialni. W złowieszczej ciszy pustego korytarza Win czuła, że jej nerwy napinają się jak postronki. Gdzie jest Merripen? Co zaszło pomiędzy nim a Julianem?

W pokoju paliła się lampka, rzucając wątle cienie na ścianę. Win drgnęła, zobaczywszy w rogu nieruchomą sylwetkę... Na krześle siedział Merripen.

- Och - westchnęła zdumiona.

Gdy do niego podchodziła, nie spuszczał z niej wzroku.

- Kev? - zapytała z wahaniem, czując pełznący wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz. Rozmowa nie udała się najlepiej. Coś poszło nie tak. - Co się stało?

Merripen wstał i pochylił się nad nią z nieodgadnioną miną.

- Jak się nazywał lekarz, do którego poszłaś w Londynie, Win? Jak go znalazłaś?

Wtedy zrozumiała. Odetchnęła kilka razy, by się uspokoić.

- Nie było żadnego lekarza - wyznała cicho. - Nie widziałam konieczności konsultowania się z kimś innym.

- Nie widziałas konieczności... - powtórzył wolno.

- Nie. Ponieważ, jak stwierdził potem Julian, mogłabym chodzić od lekarza do lekarza, aż znalazłabym takiego, który powiedziałby mi to, co chciałam usłyszeć.

Merripen potrząsnął z niedowierzaniem głową. Z jego gardła wyrwał się jęk.

- Jezu.

Jeszcze nigdy Win nie widziała go na tyle zdruzgotanego, by nie krzyczał i nie czuł gniewu. Podeszła do niego, wyciągając ręce.

- Kev, proszę, pozwól mi...

- Nie. Proszę. - Widać było, że z całych sił walczy, aby zachować nad sobą kontrolę.

- Przepraszam - odpowiedziała żarliwie. - Pragnęłam cię tak bardzo, a miałam poślubić Juliana. Pomyślałam, że jeśli powiem ci o wizycie u innego lekarza, to... cóż, popchnę cię do działania.

Odwrocił się od niej z zaciśniętymi dłońmi.

- To nie ma znaczenia - dodała, siłąc się na spokój, nie myśląc o desperackich porywach serca. - To niczego nie zmienia, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło dzisiaj.

- Jest różnica, skoro mnie okłamałaś - odparł gardłowym tonem.

Romowie nie tolerowali żadnej manipulacji u swoich kobiet. A Win naruszyła jego zaufanie w chwili, gdy był szczególnie podatny na zranienie. Pozwolił jej się zbliżyć do siebie. Jak inaczej mogłaby go jednak zdobyć?

- Czułam, że nie mam wyboru - wyznała. - Jesteś niemożliwie uparty, gdy już coś postanowisz. Nie wiedziałam, jak nakłonić cię do zmiany zdania.

- W takim razie znów skłamałaś. Bo wcale nie jest ci przykro.

- Przeprosiłam cię, bo czujesz się urażony i zły, a ja rozumiem, jak bardzo... Urwała, gdy Merripen podszedł do niej szybko, chwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany. Zbliżył do niej wykrzywioną twarz.

- Gdybyś cokolwiek rozumiała, nie wymagałabyś ode mnie, bym dał ci dziecko, które cię zabije.

Spojrzała w jego czarne oczy i utonęła w ich mroku. Odetchnęła głęboko.

- Pójde do tyłu lekarzy, do ilu będziesz chciał - powtórzyła uparcie. - Zbierzemy całą gamę różnych opinii, a ty będziesz mógł obliczyć szanse. Ale nikt nie zdoła przewidzieć z całą pewnością, co się wydarzy. I nic nie zmieni tego, jak zamierzam przeżyć resztę życia. Na moich własnych warunkach. A ty... możesz mieć wszystko albo nic. Nie zgadzam się być dłużej inwalidką. Nawet za cenę twojej miłości.

- Nie przyjmuję ultimatum - powiedział, potrząsając nią lekko. - Zwłaszcza od kobiet.

Jego twarz nagle się rozmazała; Win przekleła zbierające się w kącikach oczu łzy. Zastanawiała się z gniewną desperacją, dlaczego los z takim uporem odbiera jej zwyczajne życie, które inni ludzie przyjmowali za coś oczywistego.

- Ty arogancki głupcze - odparła drżącym głosem. - To mój wybór, nie twój. Moje ciało. Moje ryzyko. Może już jest za późno. Może już poczęłam...

- Nie. - Chwycił jej głowę i przycisnął jej czoło do swojego. Jego oddech palił jej usta. - Nie mogę tego zrobić - szepnął. - Nie zmusisz mnie, bym cię skrzywdził.

- Tylko mnie kochaj.

Win nie wiedziała, że płacze, dopóki nie poczuła na twarzy warg Keva. Delikatnie scałował łzy z jej policzków, a potem desperacko zaatakował jej usta z gwałtownością, która wywołała w niej podniecenie. Gdy przycisnął ją do ściany, Win poczuła napór jego twardej męskości przez dzielące ich warstwy ubrań. Zdumiała ją własna natychmiastowa reakcja; była już nabrzmiąta i wilgotna. Chciała mieć go w sobie, głęboko i blisko, pragnęła go zadowolić i ukoić jego gniew.

Sięgnęła do jego sztywnej męskości, chwyciła ją i ucisnęła, aż Kev jęknął

głucho.

Oderwała się od niego i szepnęła:

- Weź mnie do łóżka, Kev. Weź mnie... Odepchnął ją jednak z brutalnym przekleństwem.

- Kev...

Rzucił jej rozpalone spojrzenie i wyszedł z pokoju. Drzwi zadrżały w zawiasach, gdy trzasnął nimi gwałtownie.

Rozdział 20

Poranne powietrze było rześkie i ciężkie od deszczu, chłodny wietrzyk wpadał przez uchylone okno do pokoju Cama i Amelii. Cam budził się powoli, czując wtulone weń ponętne ciało żony. Zawsze sypiała w koszulach nocnych ze skromnego, białego batystu, z mnóstwem zakładek i maleńkich falbanek. Podniecało go to nieodmiennie, bo wiedział, jakie wspaniałe krągłości kryją się pod tym skromnym strojem.

Tego ranka Amelia miała koszulę podwiniętą do kolan. Lekko wypukły brzuch dotykał jego boku. Cięża podkreśliła i uwydatniła jej kobiecość. Amelia jaśniała w tych dniach kruchością, która napełniała go nieodpartą potrzebą, by ją chronić. A świadomość, że zmiany, które w niej zachodzą, wywołało jego nasienie, że to coś z niego rośnie w jej łonie... była niewiarygodnie podniecająca.

Nie spodziewał się, że będzie tak zachwycony stanem żony. W oczach Roma poród i wszystkie związane z tym kwestie były *mahńme*, skalane. A jako że Irlandczycy pozostawali bardzo pruderyjni w odniesieniu do wszystkiego, co wiązało się z płodnością, nic nie tłumaczyło zachwyty Cama wobec stanu żony. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Była najpiękniejszą i najbardziej fascynującą kobietą, jaką widział w życiu.

Pogłaskał czule jej biodro i nagle ogarnęło go pożądanie zbyt silne, by mu się opierać. Podciągnął koszulę żony i pogładził jej nagie pośladki. Całował usta i podbródek Amelii, rozkoszował się jej gładką skórą.

Amelia poruszyła się rozbudzona.

- Cam - szepnęła sennie, rozsuwając nogi i zapraszając go do siebie. Cam uśmiechnął się z ustami przy jej policzku.

- Ależ z ciebie dobra, mała żona - szepnął w romani.

Przeciągnęła się i westchnęła z rozkoszy, gdy przesunął dłońmi po jej rozgrzanym ciele. Głaskał ją, pieścił i całował jej piersi. Jego palce zanurzyły się pomiędzy jej udami, by drażnić ją tam zapamiętałe, aż zaczęła cicho jęczeć. Zaciśnęła dłonie na jego ramionach, gdy wsunął się na nią, spragniony jej wilgotnego, zachęcającego ciepła...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Amelio? Oboje zamarli.

Cichy, kobiecy głos ponowił wezwanie.

- Amelio?

- To jedna z moich siostr - szepnęła Amelia.

Cam wymamrotał przekleństwo, które bardzo wyraziście określało, co miał zamiar zrobić, ale najwyraźniej nie było mu dane dokończyć.

- Twoja rodzina... - rozpoczął ponuro.

- Wiem. - Odrzuciła kołdrę. - Przepraszam, ja... - Urwała, gdy zobaczyła oczywisty dowód jego podniecenia. - Och, kochanie - szepnęła cicho.

Zazwyczaj Cam wykazywał wiele zrozumienia dla licznych kłopotów i dziwactw Hathawayów, ale tego dnia akurat nie był w tolerancyjnym nastroju.

- Ktokolwiek to jest, pozbadź się go - powiedział - i wróć do mnie.

- Tak. Spróbuję. - Narzuciła peniuar i w pośpiechu zapięła trzy górne guziki. Wybiegła do saloniku sąsiadującego z sypialnią, a cienki, biały materiał powiewał za nią jak główny żagiel szkunera.

Cam został w łóżku i nasłuchiwał. Drzwi na korytarz uchyliły się i ktoś wszedł do środka. Amelia zapytała

O coś, a jej siostra udzieliła niespokojnej odpowiedzi. Musiała to być Win, odgadł, bo Poppy i Beatrix obudziłyby się tak wcześnie tylko w obliczu poważnej katastrofy.

Cam kochał Amelię między innymi za to, że z czułością i niesłabnącym przejęciem wysłuchiwała trosk, małych i dużych, swojego rodzeństwa. Była jak matka kwoka, która dbała o rodzinę jak najlepsza romska żona. Dobrze się z tym czuł. Dzięki temu wracał wspomnieniami do wczesnego dzieciństwa, gdy wciąż jeszcze wolno było mu żyć pośród bliskich. Rodzina była dla nich obojga równie ważna. Oznaczało to jednak, że musiał się dzielić Amelią, co w chwilach takich jak ta było diabelnie irytujące.

Minęło kilka minut, a kobiecy szepc nie milkł. Cam pojął, że Amelia nie wróci do łóżka szybko, westchnął więc i wstał.

Nalozyl na siebie jakieś ubranie, wszedł do salonikui zobaczył Amelię na małej sofie z Win, która wyglądała na zdruzgotaną.

Były tak skupione na rozmowie, że nawet go nie zauważyły. Cam usiadł na stojącym nieopodal fotelu i przysłuchiwał się ich dyskusji, z której dowiedział się, że Win okłamała Merripena co do wizyty u innego lekarza, że Merripen jest wściekły, a ich związek legł w gruzach.

Zatroskana Amelia odwróciła się do Cama.

- Może Win nie powinna była go oszukiwać, miała jednak prawo do swojej decyzji. - Chwyciła dłoń siostry i uścisnęła. - Ja sama najchętniej uchroniłabym Win od wszelkich niebezpieczeństw... ale wiem, że to niemożliwe. Merripen musi zaakceptować to, że Win pragnie mieć z nim normalne, małżeńskie stosunki.

Cam potarł dłońmi twarz i stłumił ziewnięcie.

- Tak. Ale nie powinna podstępem zmuszać go do zaakceptowania tego. - Spojrzał wprost na Win. - Siostrzyczko, powinnaś wiedzieć, że kłamstwo nigdy nie działa w przypadku Romów. To zupełnie sprzeczne z rom-ską naturą, podporządkować się woli kobiety.

- Ja mu niczego nie kazałam - zaprotestowała słabo Win. - Ja mu tylko powiedziałam...

- Że nie ma znaczenia, co on myśli czy czuje - mruknął Cam. - Że

zamierzasz żyć tak, jak chcesz, niezależnie od wszystkiego.

- Owszem - zgodziła się Win. - Ale nie chciałam, aby zabrzmiało to tak, jakbym nie dbała o jego uczucia.

Cam uśmiechnął się smutno.

- Podziwiam twój hart ducha, siostrzyczko. A nawet się z tobą zgadzam. Ale nie tak postępuje się z Romem. Nawet twoja siostra, która, jak powszechnie wiadomo, nie jest urodzoną dyplomatką, wie doskonale, że nie należy działać nazbyt bezpośrednio.

- Jestem bardzo dyplomatyczna, kiedy tego chcę - zaprotestowała Amelia, marszcząc brwi. Cam uśmiechnął się do niej. Zwróciła się do siostry i przyznała niechętnie: - Cam ma rację.

Win milczała przez chwilę, przyjmując to do wiadomości.

- I co ja mam teraz zrobić? Jak to wszystko naprawić?

Obie spojrzały na Cama.

Ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, było mieszanie się w problemy Win i Merripena. Wiedział doskonale, że jego brat będzie tego ranka równie czarujący jak rozdrażniony niedźwiedź. Cam pragnął wrócić do łóżka i kochać się ze swoją żoną. I może jeszcze chwilę pospać. Westchnął, gdy obie siostry spojrzały na niego błagalnie.

- Porozmawiam z nim - mruknął.

- Zapewne już nie śpi - odpowiedziała mu z nadzieją Amelia. - Zawsze wstaje wcześniej.

Cam kiwnął ponuro głową, godząc się powoli z koniecznością odbycia dyskusji z opryskliwym bratem na temat kobiecych rządów.

- Przetrzepie mnie jak zakurzony chodnik - oznajmił na głos. - I nawet go za to nie winię.

Cam umył się, ubrał i zszedł na dół do małej jadalni, gdzie Merripen zazwyczaj jadał śniadanie. Podszedł do kredensu, na którym wyłożono zapiekane w cieście kielbaski, plastry bekonu i jaja sadzone, filety z soli, grzanki i miskę z fasolką.

Jedno z krzeseł przy okrągłym stole było odsunięte. Przy nakryciu stała pusta filiżanka na spodeczku, a obok niej mały parujący, srebrny imbryk. Zapach mocnej, czarnej kawy unosił się w powietrzu.

Cam spojrzął przez szklane drzwi na taras i zobaczył potężną, mroczną sylwetkę Merripena. Kev patrzył na sad rozciągający się za ogrodami. Postawa brata znamionowała irytację i przygnębienie.

Do diabła. Cam nie miał pojęcia, co mu powiedzieć. Minęło dużo czasu, zanim zyskał minimum jego zaufania. Każda rada, którą da Merripenowi, najprawdopodobniej zostanie ciśnięta mu z powrotem w twarz.

Wziął z bufetu grzankę, rozsmarował na niej łyżeczkę marmolady pomarańczowej i wyszedł na taras.

Merripen rzucił na niego okiem i wrócił do obserwowania krajobrazu: pola

za domem kwitły, gęsty las ciągnął się szerokim pasmem aż do rzeki.

Nad jej brzegami unosiły się smugi dymu tam, gdzie Cyganie rozbijali obozy, gdy wędrowali po Hampshire. Cam osobiście wyrzył na drzewach znaki głoszące, że jest to miejsce przyjazne dla Romów. I za każdym razem, gdy pojawiali się nowi przybysze, jechał do nich z wizytą, pełen nadziei, że spotka kogoś ze swojej rodziny.

- Odwiedziła nas nowa *kumpania* - stwierdził swobodnie, stając obok Merripena. - Może pojedziemy ich odwiedzić?

Ton Merripena był chłodny i nieprzyjazny.

- Robotnicy odlewają dzisiaj nowe sztukaterie do wschodniego skrzydła.

Muszę przy tym być, bo ostatnim razem wszystko popsuli.

- Źle umocowali listwy - stwierdził Rohan.

- Wiem o tym - warknął Merripen.

- Dobrze. - Śpiący, poirytowany Cam potarł dłonią twarz. - Posłuchaj, nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale...

- To się nie wtrącaj.

- Nic ci się nie stanie, jeśli wysłuchasz kogoś, kto nie jest w to bezpośrednio zaangażowany.

- Nie interesuje mnie twoje zdanie.

- Gdybyś nie był taki skupiony na sobie, może w końcu zrozumiałbyś, że nie ty jeden się martwisz. Sądzisz, że nie myślałem o tym, co może się wydarzyć, gdy Amelia zacznie rodzić?

- Amelii nic nie będzie - odparł z lekceważeniem Merripen.

Cam jęknął.

- Wszyscy w tej rodzinie wolą myśleć, że Amelia jest niezniszczalna. Zresztą ona sama też tak uważa. Ale przecież jest podatna na wszystkie choroby i słabości kobiet w tym stanie. Prawda jest taka, że zawsze istnieje ryzyko.

Oczy Merripena rozblęły wrogością.

- Dla Win ryzyko jest znacznie większe.

- Możliwe. Ale jeśli chce je podjąć, to jej decyzja. - I tu się różnimy, Rohan. Bo ja...

- Bo ty nie ryzykujesz? Szkoda, że zakochałeś się w kobiecie, której nie da się postawić na półce, *phral*.

- Jeśli jeszcze raz mnie tak nazwiesz - warknął Merripen - urwę ci łeb.

- Ależ bardzo proszę, spróbuj.

Zapewne Merripen rzuciłby się w tym momencie na niego, gdyby drzwi się nie otworzyły i na tarasie nie stanęła kolejna postać. Cam spojrzął na intruza i jęknął w duchu.

To był doktor Harrow, opanowany i uprzejmy. Podszedł do Cama, ignorując Merripena.

- Dzień dobry, Rohan. Chciałem tylko powiedzieć, że dziś wyjeżdżam z Hampshire. Nie zdołałem, niestety, odwołać się do rozsądku panny Hathaway.

- Oczywiście - powiedział Cam z uprzejmym wyrazem twarzy. - Proszę dać mi znać, jeśli będziemy mogli jakoś ułatwić panu wyjazd.

- Ja pragnę dla niej tylko tego, co najlepsze - mruknął lekarz, nie patrząc na Merripena. - Wciąż uważam, że wyjazd ze mną do Francji to najlepszy możliwy wybór dla wszystkich zainteresowanych. Ale decyzja należy do panny Hathaway.

- Urwał i spojrzał na Cama ponuro. - Mam nadzieję, że dołoży pan wszelkich starań, by uświadomić zaangażowanym stronom, co jest tutaj stawką.

- Myślę, że wszyscy raczej rozumiemy sytuację - odparł Cam z łagodnością, która zamaskowała ostry sarkazm.

Harrow spojrzał na niego podejrzliwie i kiwnął głową.

- Zostawię panów w takim razie, byście mogli kontynuować dyskusję. - Podkreślił subtelnie słowo „dyskusja”, jakby wiedział, że jego gospodarze znaleźli się o krok od bitki. Wrócił do jadalni i zamknął za sobą drzwi na taras.

- Nie cierpię tego bydlaka - mruknął Merripen pod nosem.

- Ja też za nim nie przepadam - przyznał Cam. Potarł dłonią kark, próbując rozmasować sztywne mięśnie. - Jadę do obozu cygańskiego. Napiję się tego diabelskiego wywaru, który tak uwielbiasz, jeśli nie masz nic przeciw temu. Gardzę tym świństwem, ale muszę się jakoś obudzić.

- Wypij wszystko - odparł Merripen. - Ja jestem znacznie przytomniejszy, niż bym chciał.

Cam kiwnął głową i podszedł do drzwi jadalni. Przystanął jeszcze na progu, pogładził dłonią włosy i przemówił cicho.

- Najgorszy aspekt miłości, Merripen, to właśnie świadomość, że są rzeczy, przed którymi nie zdołasz uchronić ukochanej osoby. Nie wszystko można przewidzieć. Bo w końcu zaczynasz rozumieć, że jest coś gorszego niż twoja własna śmierć... Nie wiesz, co byś zrobił, gdyby to jej coś się stało. I musisz żyć z tym lękiem. Ale trzeba się zgodzić na minusy, jeśli chce się korzystać z plusów.

Kev spojrzał na niego ponuro.

- A co tu jest plusem? Cam uśmiechnął się lekko.

- Wszystko inne - powiedział i wszedł do środka.

- Zakazano mi cokolwiek mówić pod groźbą śmierci. - Takie były pierwsze słowa Leo, który znalazł Merripena w jednym z pokojów wschodniego skrzydła. W rogu pracowali sztukatorzy, mierząc i nanosząc znaki na ściany. Jeden z robotników naprawiał rusztowanie, na którym inni mieli pracować przy suficie.

- Powinieneś więc posłuchać - odparł Kev.

- Nigdy nie przyjmuję rad, ani dobrych, ani złych. To tylko prowokuje kolejne.

Mimo ponurych myśli Kev uśmiechnął się niechętnie. Wskazał ręką stojące obok wiadro pełne lekkiego szarego mułu.

- Może weźmiesz patyk i trochę to zamieszasz?

- A co to jest?

- Mieszanka wapna i gliny.

- Urocze. - Leo jednak posłusznie chwycił patyk i włożył go do wiadra z zaprawą.- Panie udały się z poranną wizytą do lady Westcliff. Beatrix uprzedziła mnie, bym uważał na fretkę, która podobno zginęła. A panna Marks została w domu. Dziwne stworzenie, nie uważasz?

- Fretka czy panna Marks? - Kev ostrożnie przyłożył do ściany listewkę i umocował ją gwoździem.

- Marks. Tak się zastanawiam... Czy ona nienawidzi tylko mężczyzn, czy może ogólnie wszystkich?

- Ona nie nienawidzi mężczyzn. Wobec mnie i Rohana zawsze jest bardzo miła.

Leo spojrział na niego szczerze zdumiony.

- To znaczy, że... tylko mnie nie znosi?

- Na to wygląda.

- Przecież nie ma żadnego powodu!

- A twój lekceważący stosunek do niej i arogancja?

- To część mojego arystokratycznego uroku - zaprotestował Leo.

- Najwyraźniej panna Marks za nim nie przepada.

- Kev uniósł brwi na widok jego nachmurzonej miny.

- A dlaczego pytasz? Przecież ona cię nie interesuje, prawda?

- Oczywiście, że nie - odparł zapalczywie Leo. - Wolałbym pójść do łóżka z jeżem Bei. Wyobraź sobie tylko te spiczaste łokcie i kolana. I wszystkie te ostre kąty. Mężczyzna mógłby wyrządzić sobie poważną krzywdę, zabawiając się z Marks. - Zaczął mieszać zaprawę z wielką werwą, wyraźnie zaabsorbowany wizją niebezpieczeństw płynących z uwiedzenia guwernantki.

Zbyt zaabsorbowany, stwierdził w duchu Kev.

Szkoda, myślał Cam, idąc z rękami w kieszeniach przez zieloną dolinę, że należenie do tak blisko ze sobą związanej rodziny oznacza, że nie można się cieszyć swoim własnym szczęściem, gdy ktoś inny ma problemy.

On sam miał w tym momencie wiele powodów do radości... Słońce oblewało ciepłym blaskiem wiosenny krajobraz, słychać było brzęczenie pszczół, młoda zieleń przebijała się przez wilgotną ziemię. Wiatr unosił dym z ognisk w cygańskim obozowisku. Może dziś w końcu odnajdzie kogoś ze swoich krewnych. W taki dzień jak ten wszystko wydawało się możliwe.

Miał piękną żonę, która nosiła jego dziecko. Kochał Amelię ponad życie. Tak wiele było do stracenia, a jednak Cam nie pozwalał, by strach go paraliżował czy powstrzymywał przed kochaniem jej całą duszą. Strach... Cam zwolnił zdumiony, gdy nagle jego puls gwałtownie przyspieszył. Jakby biegł wiele godzin, w ogóle się nie zatrzymując. Rozejrzał się wokół i zauważył, że trawa jest nienaturalnie zielona.

Jego serce waliło o żebra tak boleśnie, jakby ktoś je tam w środku kopał. Oszołomiony Cam zeszywniał jak człowiek, któremu przyłożono nóż do gardła. Uniósł dłoń do piersi. Jezu, słońce świeciło tak jasno, że oczy piekły go do łez.

Otarł wilgoć rękawem i padł na ziemię.

Czekał na kolanach, aż ból zelżeje, a jego serce w końcu zwolni rytm, co przecież musiało nastąpić, ale było tylko gorzej. Walczył o każdy oddech, próbując wstać, lecz bez skutku. Opadł bez sił na trawę, która zaczęła kłuć go w policzek. Ból był coraz większy, jego serce prawie eksplodowało kolejnymi dzikimi uderzeniami.

Cam zrozumiał nagle, że umiera. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Przecież nikt inny nie zatroszczy się o Amelię, która tak bardzo go teraz potrzebowała. Nie może jej zostawić. Ktoś musi się nią opiekować; masować jej stopy, gdy jest zmęczona. Taka zmęczona. Cam nie zdołał unieść głowy ani ręki czy poruszyć nogą, ale mięśnie w jego ciele drżały, wstrząsając nim jak kukielką na sznurkach. Amelio, nie chcę od ciebie odchodzić.

Boże, nie pozwól mi umrzeć, to jeszcze za wcześnie. A jednak ból nie ustępował, przelewał się przez niego kolejnymi falami, pochłaniał go, dławiąc każdy oddech i uderzenie serca.

Amelia... Chciał powiedzieć na głos jej imię, lecz nie zdołał. Los potraktował go okrutnie, nie pozwalając mu opuścić świata z tym ostatnim tak cennym słowem na ustach.

Po godzinie mocowania listew i wypróbowywania różnych mieszanin wapna, gipsu i gliny Kev, Leo i robotnicy ustalili w końcu właściwe proporcje. Leo zdumiewająco szybko zaangażował się w cały proces, proponując nawet pewne ulepszenia w kładzeniu tynku na ścianach.

- Dodajcie więcej gliny do tej warstwy – zasugerował - i nie wygładzajcie jej, a kolejna warstwa lepiej się będzie trzymać.

Było jasne dla Keva, że choć Leo nie wykazuje zainteresowania finansową stroną prowadzenia posiadłości, jego miłość do architektury i budownictwa wzrastała z każdym dniem.

Gdy Leo schodził z rusztowania, na progu pokoju stanęła pani Barnstable z jakimś chłopcem. Kev spojrzał na niego z uwagą. Dzieciak mógł mieć jedenaście lub dwanaście lat. Nawet gdyby nie miał na sobie ubrania w jaskrawych kolorach, ostre rysy twarzy i śniada karnacja natychmiast zdradziłyby jego romskie pochodzenie.

- Przepraszam pana - zwróciła się gospodyni do Keva - proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam panom w pracy, ale ten młodzieniec przyszedł przed chwilą. Bełkocze coś niezrozumiale i nie można go wyrzucić. Może pan będzie w stanie go zrozumieć.

Bełkot okazał się bardzo klarownym romani.

- *Droboy turne Romale* - powiedział chłopiec uprzejmie.

Kev odpowiedział na powitanie skinieniem głowy.

- *Mishto avilan...* - kontynuował rozmowę w romani.

- Jesteś z *vitsa* nad rzeką?

- Tak, *kako*. Przysłał mnie tu *rom phuro*, abym wam powiedział, że

znaleźliśmy na polu nieprzytomnego Roma ubranego jak gadzio. Pomyśleliśmy, że może przyszedł stąd.

- Leżał nieprzytomny na polu... - powtórzył Kev, czując chłód w piersi. Od razu zrozumiał, że wydarzyło się coś złego. - Czy odpoczywał? - zapytał, siląc się na spokój.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Jest chory i niespełna rozumu. I trzęsie się, o tak...

- Zatrzepotał rękami w powietrzu.

- Powiedział wam, jak się nazywa? - zapytał Kev.

- Mówił cokolwiek? - Cały czas posługiwali się romani, ale Leo i pani Barnstable przyglądali im się uważnie, rozumiejąc, że stało się coś złego.

- O co chodzi? - zapytał Leo, marszcząc brwi.

- Nie, *kako* - odparł chłopiec Kewowi - on niewiele mówi. A jego serce... - Chłopiec uderzył się kilka razy przesadnie w pierś drobną pięścią.

- Zabierz mnie do niego. - Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja jest tragiczna. Cam Rohan nigdy nie chorował, był w doskonałej kondycji fizycznej. Cokolwiek mu się przydarzyło, nie wyglądało to na zwyczajne zasłabnięcie.

Kev przeszedł na angielski i zwrócił się do Leo i gospodyni.

- Rohan zachorował... Jest w cygańskim obozie. Milordzie, trzeba posłać lokaja i woźnicę do Stony Cross Manor, by natychmiast przywieziono Amelię. Pani Barnstable, proszę posłać po lekarza. Wróć z Rohanem najszybciej, jak to możliwe.

- Lekarza? - zapytała oszołomiona gospodyni. - Czy ma pan na myśli doktora Harrowa?

- Nie - odparł natychmiast Kev. Instynkt podpowiadał mu, by nie mieszać do tego Harrowa. - W zasadzie najlepiej będzie w ogóle mu nie mówić, co się stało. Proszę na razie utrzymywać wszystko w tajemnicy.

- Dobrze, proszę pana. - Gospodyni nie rozumiała powodów tego polecenia, ale była zbyt dobrze wykształcona, by kwestionować autorytet Merripena. - Dziś rano pan Rohan wyglądał jak okaz zdrowia - dodała. - Co mu się mogło stać?

- Wkrótce się tego dowiemy. - Bez dalszych zbędnych pytań Kev chwycił chłopca za ramię i poprowadził go do drzwi. - Ruszajmy.

Vitsa okazała się małym, zamożnym klanem rodzinnym. Rozbili bardzo dobrze zorganizowany obóz, mieli dwa *vardo*, kilka zdrowych koni i osiołków. Przywódca, którego chłopiec nazywał *rom phuro*, był przystojnym mężczyzną z długimi czarnymi włosami i ciepłymi, ciemnymi oczami. Niewysoki, lecz szczupły i proporcjonalnie zbudowany, roztaczał wokół siebie aurę spokoju i władzy. Keva zdumiał zwłaszcza jego stosunkowo młody wiek. Słowo *phuro* odnosiło się zazwyczaj do mężczyzn starszych i doświadczonych. W przypadku człowieka, który nie miał więcej niż czterdzieści lat, oznaczało nadzwyczajny szacunek.

Mężczyźni wymienili zdawkowe powitania i *rom phuro* zaprowadził Keva

do swojego *vardo*.

- Czy to twój przyjaciel? - zapytał Rom z wyraźną troską.

- Mój brat. - Z jakiegoś powodu odpowiedź ta została skwitowana badawczym spojrzeniem.

- Dobrze, że tu jesteś. Być może ostatni raz zobaczysz go wśród żywych.

Keva zdumiała własna odruchowa reakcja na te słowa - fala gniewu i smutku.

- On nie umrze - oznajmił stanowczym głosem, przyspieszając kroku i prawie wpadając do *vardo*.

Wóz miał ponad trzy i pół metra długości i niespełna dwa szerokości, a na jego wyposażenie składał się między innymi typowy piecyk z metalowym kominem i uchodzącą obok drzwi rurą. Na drugim końcu *vardo* stały dwie prycze, jedna za drugą. Długie ciało Cama Rohana spoczywało na pierwszym posłaniu, obute stopy zwisały z jednego z końców. Drżał i trząsał się, a jego głowa podskakiwała niespokojnie na poduszkach.

- A niech to szlag! - zaklął Kev, nie mogąc uwierzyć, jak taka gwałtowna zmiana mogła zajść w tak krótkim czasie. Cam był blady jak ściana, usta miał spękane i szare. Jęczał z bólu, dysząc jak pies.

Kev usiadł na brzegu łóżka i przyłożył dłoń do lodowatego czoła brata.

- Cam - odezwał się wyraźnie. - Cam, to ja, Merripen. Otwórz oczy. Powiedz mi, co się wydarzyło.

Rohan walczył z dreszczami, próbował skupić na nim wzrok, ale było to dlań niemożliwe. Chciał coś powiedzieć, lecz wydawał tylko niezrozumiałe dźwięki.

Kev położył mu dłoń na piersi i wyczuł dzikie, nieregularne uderzenia serca. Zaklął pod nosem, uświadomiwszy sobie, że żadne serce, nawet najsilniejsze, nie wytrzyma zbyt długo tak szalonego tempa.

- Może połknął jakieś ziele, nie wiedząc, że jest szkodliwe - odezwał się *rom phuro* z zaniepokojoną miną.

Kev pokręcił przecząco głową.

- Mój brat bardzo dobrze zna się na roślinach. Nie popełniłby takiego błędu.

- Spojrzał w ściągniętą twarz Rohana z mieszaniną furii i współczucia. Tak bardzo chciał, by jego serce mogło przejąć pracę serca brata. - Ktoś go otruł.

- Powiedz mi, co mam robić - odrzekł cicho przywódca klanu.

- Po pierwsze, musimy z niego usunąć truciznę.

- Jego żołądek opróżnił się, zanim wnieśliśmy go do *vardo*.

To był dobry znak. Ale tak gwałtowna reakcja po usunięciu trucizny oznaczała, że substancja była naprawdę toksyczna. Serce Cama dosłownie wyrywało się z piersi. Wkrótce mogą się zacząć konwulsje.

- Musimy spowolnić mu puls i drgawki - rzucił szorstko Kev. - Macie laudanum?

- Nie, ale mamy opium.

- To nawet lepiej. Przynies mi je szybko.

Rom phuro wydał polecenie dwóm kobietom, które stały przy wejściu do *vardo*. Nie minęła nawet minuta, a przyniosły mały słoiczek gęstej, brązowej pasty. Był to odparowany wywar z niedojrzałych makówek. Kev nabrał odrobinę pasty na łyżeczkę i podał Rohanowi.

Zęby Cama uderzały gwałtownie o metal, drżał cały. Kev wsunął mu rękę pod głowę i unióśł ją delikatnie do góry.

- Cam, to ja. Przyjechałem, by ci pomóc. Zażyj to dla mnie. Zażyj. - Kev wcisnął łyżeczkę do ust Cama i przytrzymał ją, choć Rohan dławil się i trząśł w jego uścisku.

- Wystarczy - szepnął, wyjmując po chwili łyżeczkę. Położył ciepłą dłoń na gardle brata i pomasaował je delikatnie.

- Tak, *phrał*, właśnie tak.

Opium zadziałało zdumiewająco szybko. Drgawki zaczęły ustępować, a gwałtowne sapanie ustało. Kev nie wiedział, że wstrzymuje oddech, dopóki nie wydał z siebie okrzyku ulgi. Położył dłoń na sercu Rohana i wyczuł spokojniejszy rytm.

- Może wypije trochę wody - zasugerował *rom phuro*, wręczając mu drewniany kubek. Merripen przycisnął naczynie do ust Rohana i zmusił go do wypicia łyku.

Ciężkie powieki uniosły się powoli, Cam z wysiłkiem skoncentrował na nim wzrok. -Kev...

- Jestem tu, braciszku.

Rohan mrugnął. Wyciągnął rękę i kurczowo jak topielec chwycił za poję koszuli Keva.

- Niebieskie - szepnął ochryple. - Wszystko... niebieskie.

Kev otoczył ramieniem jego plecy i podtrzymał go. Spojrzał na *rom phuro*, z całych sił starając się skupić myśli. Słyszał już o takim objawie, o niebieskiej mgle na oczach. Powodowała go zbyt duża dawka silnego lekarstwa na serce.

-To może być naparstnica - mruknął *rom phuro*. Jego głos brzmiał spokojnie, ale twarz miał napiętą z niepokoju. - To śmiertelna trucizna. Zabija bydło.

- Jakie jest antidotum? - zapytał ostro Kev.

- Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle jakieś istnieje - padła cicha odpowiedź.

Rozdział 21

Leo wyprawił lokaja do wsi po lekarza i zdecydował się pojechać do obozu, by osobiście sprawdzić, jak sobie radzi Merripen. Nie mógł znieść niepewności i oczekiwania. Głęboko martwiła go myśl, że coś złego przydarzyło się Rohanowi, który stał się podporą całej rodziny.

Zszedł szybko na dół po głównych schodach i zmierzał właśnie do holu, gdy podeszła do niego panna Marks, ciągnąc za rękę pokojówkę. Służąca była błąda i miała zaczerwienione oczy.

- Milordzie - oznajmiła zwięźle panna Marks. - Proszę natychmiast wrócić ze mną do saloniku. Jest coś, co powinien pan...

- Marks, znasz zasady na tyle dobrze, aby wiedzieć, że pan domu nie przyjmuje rozkazów od nikogo.

Surowe usta guwernantki wykrzywiły się niecierpliwie.

- Do diabła z zasadami. To ważne.

- Dobrze więc. Najwyraźniej nie masz zamiaru ustąpić. Ale powiedz mi to tu i teraz. Nie mam czasu na salonowe pogawędki.

- Salonik - powtórzyła z naciskiem panna Marks.

Leo wzniosł oczy ku niebu i poszedł za kobietami.

- Ostrzegam cię, że jeśli chodzi o jakąś trywialną domową kwestię, zażądam twojej głowy. Mam do załatwienia niecierpiącą zwłoki sprawę i...

- Tak - przerwała mu guwernantka. - Wiem o tym.

- Doprawdy? Pani Barnstable miała przecież nikomu nic nie mówić.

- Pod schodami nie mamy przed sobą żadnych sekretów, milordzie.

Gdy weszli do saloniku, Leo spojrział raz jeszcze na wyprostowane plecy guwernantki i poczuł ukłucie irytacji, która ogarniała go zawsze w obecności tej kobiety. Była jak to swędzenie w krzyżu, w miejscu, do którego nie dało się sięgnąć ręką. Na pewno miało to coś wspólnego z węzłem jej jasnobrązowych włosów upiętych ciasno na karku. I płaską piersią, wąską talią i suchą, nieskazitelną bledością skóry. Nie mógł przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby ją rozsznurował, rozwiązał i rozpiął. Zdjął jej okulary z nosa. Robił z nią rzeczy, od których by się zaróżowiła, rozgrzała i straciła ten swój chłodny spokój.

Tak, to było to. Chciał, by przez niego traciła spokój.

Raz za razem.

Dobry Boże, co się z nim, do cholery, dzieje? Panna Marks zamknęła drzwi i szczupłą, białą dłonią poklepała pokojówkę po ramieniu.

- To jest Sylvia - poinformowała Leo. - Sylvia zobaczyła dziś rano coś niepokojącego i bała się komukolwiek o tym powiedzieć. Kiedy jednak

dowiedziała się o chorobie pana Rohana, przysłała do mnie.

- A po co tak długo czekała? - zapytał niecierpliwie Leo. - Niepokojące sprawy powinna chyba zgłaszać od razu.

- Nie ma żadnej ochrony dla służby widzącej rzeczy, których widzieć nie powinna - odparła panna Marks z irytującym spokojem. - A Sylvia, dziewczyna rozsądna, nie chciała stać się kozłem ofiarnym. Czy mamy pańskie zapewnienie, że Sylvia nie poniesie żadnych konsekwencji z powodu tego, co zamierza wyznać?

- Macie moje słowo. Niezależnie od wszystkiego. Mów, Sylvio.

Pokojówka kiwnęła głową i pochyliła się ku panie Marks, szukając w niej oparcia. Była o tyle cięższa od eterycznej guwernantki, że tylko cudem się nie przewróciły.

- Milordzie - wykrztusiła dziewczyna - polerowałam dziś rano widelce do ryby i zaniiosłam je do małej jadalni, aby je położyć przy filetach z soli. Gdy wchodziłam, zobaczyłam pana Merripena i pana Rohana na tarasie. Rozmawiali. A w środku był doktor Harrow, przyglądał się im i...

-!? - ponaglił Leo, gdy wargi pokojówki zadrżały.

- Zobaczyłam, jak doktor Harrow wlewa jakiś płyn do imbryka z kawą pana Merripena. Wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak jedna z tych dziwnych, szklanych fiolek, których używają aptekarze. Wszystko działo się tak szybko, że nie jestem pewna, co zrobił. A potem odwrócił się i spojrzał na mnie, gdy podeszłam do kredensu. Udałam, że nic nie widziałam, milordzie. Nie chciałam czynić zamieszania.

- Podejrzewamy, że pan Rohan wypił doprawioną czymś kawę - dodała guwernantka.

Leo potrząsnął głową.

- Rohan nie pije kawy.

- A nie jest możliwe, by tego ranka zrobił wyjątek?

Sarkazm w jej głosie był nieznośnie irytujący.

- Jest możliwe. Ale bardzo do niego niepodobne. - Leo westchnął gwałtownie. - Niech to diabli! Spróbuję się dowiedzieć, co zrobił Harrow. Dziękuję, Sylvio.

- Tak, milordzie. - Pokojówka wyraźnie odetchnęła z ulgą.

Leo wyszedł z pokoju i ze zdumieniem zauważył za sobą pannę Marks.

- Nie idź za mną, Marks.

- Potrzebuje mnie pan.

- Idź gdzieś indziej i zaceruj coś. Poodmienij czasowniki. Rób to, co robią guwernantki.

- Tak bym zrobiła - rzuciła kwaśno - gdybym pokładała choć odrobinę zaufania w pańskich umiejętnościach. Ale z tego, co wiem, niewiele pan zdziała bez mojej pomocy.

Leo się zastanawiał, czy wszystkie guwernantki ośmielają się tak mówić do swoich pracodawców. Nie sądził, by tak było. Dlaczego, do diaska, jego siostry

nie zatrudniły kogoś cichego i łagodnego zamiast tej małej osy?

- Byłabyś w siódmym niebie, mogąc doświadczyć moich umiejętności, Marks, lecz to się nigdy nie wydarzy.

Prychnęła drwiąco, jednak za nim poszła.

Leo zapukał symbolicznie do drzwi pokoju Harrowa i od razu wszedł do środka. Garderoba była pusta, na łóżku leżał otwarty kufer.

- Wybacz mi to najście, Harrow - powiedział, siląc się na minimum uprzejmości. - Ale coś się wydarzyło.

- Och? - Lekarz był zdumiewająco niezainteresowany.

- Ktoś zachorował.

- To bardzo niefortunne. Chciałbym pomóc, ale niestety muszę zaraz wyjechać, jeśli chcę się znaleźć w Londynie przed północą. Będziecie musieli poszukać innego lekarza.

- Ma pan chyba etyczne zobowiązanie pomóc człowiekowi w potrzebie - stwierdziła z niedowierzaniem panna Marks. - A co z przysięgą Hipokratesa?

- Przysięga nie jest obligująca. A w świetle ostatnich wydarzeń mam wszelkie prawo odmówić. Proszę znaleźć sobie innego lekarza, by go leczył.

Jego.

Leo nie musiał nawet patrzeć na pannę Marks, by wiedzieć, że ona także zauważyła to potknięcie. Zdecydował się nakłonić Harrowa do mówienia.

- Merripen zdobył serce mojej siostry uczciwie, przyjacielu. A łączące ich uczucie rozgorzało na długo przedtem, nim ty wkroczyłeś na scenę. Nie możesz ich przecież za to winić.

- Nie winię ich - rzekł szorstko Harrow. - Winię ciebie.

- Mnie? - oburzył się Leo. - Za co? Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Masz tak mało względów dla swoich sióstr, że pozwoliłeś nie jednego, ale dwóch Cyganów wprowadzić do swojej rodziny.

Kącikiem oka Leo dostrzegł skradającego się po podłodze Dodgera. Ciekawska fretka stanęła na tylnych łapkach i sięgnęła do kieszeni ciemnego płaszcza przewieszzonego przez oparcie krzesła.

- Pan Merripen i pan Rohan to ludzie ogromnych zalet, doktorze Harrow - oświadczyła rzeczowo panna Marks. - Można winić lorda Ramsaya za wiele rzeczy, ale nie za to.

- To Cyganie.

Leo już zaczynał mówić, ale przerwała mu panna Marks, kontynuując swój wykład.

- Człowieka należy oceniać na podstawie jego czynów, doktorze Harrow. Po tym, co robi, gdy nikt na niego nie patrzy. Będąc dłużej w pobliżu pana Merripena i pana Rohana, mogę stwierdzić z całą pewnością, że to prawi, honorowi mężczyźni.

Dodger wyjął coś z kieszeni płaszcza i podskoczył z przejęcia. Zaczął się cofać w kąt pokoju, obserwując uważnie Harrowa.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie będę przyjmował żadnych uwag od kobiety takiej jak pani - odparł Harrow. - Plotki głoszą, że w przeszłości nawiązała pani zbyt bliskie stosunki z pewnymi dżentelmenami.

Guwernantka pobladła z oburzenia.

- Jak pan śmie?

- Ta uwaga była bardzo niestosowna - zwrócił się Leo do Harrowa. - To przecież oczywiste, że żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie wplątałby panny Marks w żaden skandal. - Widząc Dodgera przy samych drzwiach, Leo chwycił napięte ramię guwernantki. - Chodź, Marks. Pozwólmy panu doktorowi dokończyć pakowanie.

W tej samej chwili Harrow dostrzegł fretkę, która niosła w pyszczku wąską, szklaną fiolkę. Zbladł i wytrzeszczył oczy.

- Oddawaj to! - wrzasnął i rzucił się ku Dodgerowi. - To moje!

Leo skoczył na lekarza i zbił go z nóg. Harrow zaskoczył go mocnym prawym sierpowym, ale szczęka lorda Ramsaya była już uodporniona po wielu ulicznych bójkach. Leo odpowiedział równie mocnym ciosem i zaczął się turlać z doktorem po podłodze, walcząc o przewagę.

- Co do diabła - wydusił - dodałeś do tej kawy?

- Nic. - Silne palce Harrowa zacisnęły się na jego gardle. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

Leo walił go pięścią w bok, aż uścisk doktora zelżał.

- Naturalnie - wykrztusił i wbił mu kolano w pachwinę. Była to brudna sztuczka, której nauczył się w czasie jednej ze swych barwnych eskapad po Londynie.

Harrow przewrócił się i zaczął dyszeć.

- Dżentelmen... by... tego... nie zrobił...

- Dżentelmeni nie trują ludzi. - Leo zmierzył go wzrokiem. - Powiedz mi, co to było, do diabła!

Harrow cierpiał, ale jego wargi wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu.

- Merripen nie otrzyma ode mnie pomocy.

- Merripen nie wypił twojej trucizny, łotrze, lecz Rohan! Powiedz mi, co dodałeś do kawy albo urwę ci głowę.

Harrow zdębiał. Zacisnął jednak stanowczo usta i odmówił pomocy. Leo uderzył go najpierw z prawej, a potem z lewej, ale jego przeciwnik milczał. Głos panny Marks drżał od tłumionej furii.

- Milordzie, proszę przestać. W tej chwili. Musi mi pan pomóc odzyskać tę fiolkę.

Leo poderwał Harrowa na nogi, zaciągnął go do pustej garderoby i zamknął w środku, a potem ze spoconą twarzą, ciężko oddychając, odwrócił się do panny Marks.

Ich spojrzenia zetknęły się na ułamek sekundy. Oczy guwernantki stały się tak okrągłe, jak oprawki okularów. Ta osobliwa więź pomiędzy nimi prysnęła, gdy

pokój wypełnił się popiskiwaniami Dodgera.

Piekielna fretka czekała na progu, wykonując radosny taniec, który składał się z serii podskoków. Dodger był wyraźnie zachwycony swoją nową zdobyczą, a jeszcze bardziej tym, że panna Marks również chciała ją mieć.

- Wypuście mnie stąd! - krzyczał Harrow stłumionym głosem, waląc zaciekle w drzwi garderoby.

- Cholerna łasica - mruknęła panna Marks. - To dla niej zabawa. Będzie całymi godzinami się z nami drażnić, trzymając tę fioletkę poza naszym zasięgiem. Leo spojrział na fretkę, przykucnął na dywanie i zaczął przemawiać do niej spokojnym głosem.

- Chodź tu, ty zapchlona kupo sierści. Dam ci tyle biszkoptów, ile będziesz chciał, jeśli oddasz mi swoją nową zabawkę. - Gwizdnął cicho i klasnął językiem. Zakłęcia jednak nie podziałały. Dodger prawie w ogóle na niego nie patrzył, stał tylko na progu i ścisnął fioletkę małymi pazurkami.

- Daj mu swoją podwiązkę - powiedział Leo, nie spuszczać wzroku ze zwierzaka.

- Słucham? - zapytała panna Marks lodowatym tonem.

- Słyszałaś. Zdejmij podwiązkę i zaproponuj mu wymianę, Marks. Inaczej będziemy musieli ścigać tego diabła po całym domu. A wątpię, czy Rohan ucieszy się ze zwłoki.

Guwernantka posłała Leo pełne bólu spojrzenie.

- Zgadzam się na to tylko ze względu na dobro pana Rohana. Proszę się odwrócić, milordzie!

- Na miłość boską, Marks, czy naprawdę sądzisz, że ktoś chciałby oglądać te twoje suche zapalki, które nazywasz nogami? - Leo posłuchał jednak i spojrział w przeciwną stronę. Usłyszał szum batysty, gdy guwernantka usiadła na krześle i uniosła spódnice.

Przez przypadek usiadł naprzeciwko długiego lustra. Miał więc doskonały widok na pannę Marks. I stała się rzecz nadzwyczajna - przed oczami mignęła mu zdumiewająco śliczna nóżka. Leo mrugnął zaskoczony, a spódnice opadły.

- Proszę - powiedziała guwernantka ponuro i rzuciła mu podwiązkę. Leo złapał ją w locie.

Dodger przyglądał się im z prawdziwym zainteresowaniem.

Leo kusząco zakręcił podwiązką na palcu.

- Popatrz, Dodger. Niebieski jedwab i koronki. Czy wszystkie guwernantki noszą pończochy na takich cudeńkach? Może te plotki o twojej zdumiewającej przeszłości są jednak po części prawdziwe, Marks?

- Radzę, aby trzymał pan język na wodzy, milordzie.

Mały łepiek Dodgera zaczął się kołysać, gdy fretka śledziła uważnie każdy ruch podwiązki. Chwyliła fioletkę w zęby jak miniaturowy piesek i zaczęła iść ku Leo z irytującą powolnością.

- To wymiana, stary - poinformował go Leo. - Nie możesz dostać czegoś za

nic.

Dodger ostrożnie upuścił fiolkę i sięgnął po podwiązkę. Leo jednym ruchem podał mu błękitny skrawek koronki i chwycił fiolkę napełnioną do połowy mętym zielonym proszkiem. Spojrzał na nią uważnie, obracając ją w palcach.

Panna Marks natychmiast znalazła się przy nim.

- Ma etykietę? - zapytała bez tchu.

- Nie. Niech to diabli. - Lorda Ramsaya opanowała dzika furia.

- Proszę mi to dać - powiedziała panna Marks i wyjęła mu fiolkę z dłoni.

Leo natychmiast skoczył na równe nogi i rzucił się do drzwi garderoby.

Załomotał w nie obiema pięściami.

- Niech cię szlag, Harrow! Co to jest? Co to za świństwo? Powiedz mi albo zgnijesz w tej szafie.

Nie było żadnej reakcji.

- Przysięgam na Boga, że... - krzyknął Leo, ale panna Marks mu przerwała.

- To naparstnica.

Rzucił jej rozkojarzone spojrzenie. Otworzyła fiolkę i wahała ją teraz ostrożnie.

- Skąd wiesz?

- Moja babcia brała ten środek na serce. Pachnie herbatą, ale tego koloru nie da się z niczym pomylić.

- Czy jest na to jakieś antidotum?

- Nie mam pojęcia - odparła panna Marks z bardzo zmartwioną miną. - To silna substancja. Duża dawka może zabić dorosłego mężczyznę. Leo odwrócił się do garderoby.

- Harrow - wykrztusił - jeśli chcesz żyć, natychmiast mi zdradzisz, jak się nazywa antidotum.

- Najpierw mnie stąd wypuście - dobiegła ich stłumiona odpowiedź.

- Nie będziemy negocjować! Powiedz mi, co usunie tę truciznę, do cholery!

- Nigdy.

- Leo? - Do dyskusji włączył się czyjś głos.

Leo się odwrócił i zobaczył na progu Amelię, Win i Beatrix. Patrzyły na niego jak na szaleńca.

- Mam dwa pytania, Leo - powiedziała Amelia z godnym podziwu spokojem. - Czemu po mnie posłałeś i dlaczego kłócisz się z garderobą?

- Harrow jest w środku.

Wyraz jej twarzy nieco się zmienił.

- Dlaczego?

- Próbuję go zmusić, żeby mi powiedział, jak sobie poradzić z przedawkowaniem naparstnicy. - Spojrzał mściwie na drzwi do garderoby. - Zabiję go, jeśli tego nie zrobi.

- A kto połknął naparstnicę? - zapytała Amelia, blednąc w jednej chwili. - Ktoś jest chory? Kto?

- Trucizna była przeznaczona dla Merripena - powiedział Leo cichym głosem, podchodząc do siostry, by ją podtrzymać. - Ale przez pomyłkę zażył ją Cam.

Amelia zaszlochała gwałtownie.

- O Boże. Gdzie on jest?

- W obozie cygańskim. Merripen już tam jest. Oczy Amelii wypełniły się łzami.

- Muszę do niego jechać.

- Nie pomożesz mu bez antidotum.

Win przecisnęła się obok nich i podeszła do stolika przy łóżku. Wzięła lampę i pudełko zapalek, po czym podeszła do drzwi garderoby.

- Co ty robisz? - zapytał Leo, zastanawiając się, czy siostra całkiem postradała zmysły. - On nie potrzebuje lampy, Win.

Nie zwracając zupełnie uwagi na jego słowa, zdjęła z lampy szklany klosz i rzuciła go na łóżko. To samo zrobiła z mosiężną nasadką z knotem, odsłaniając zbiorniczek na parafinę. Bez wahania połała drzwi garderoby. Pokój wypełnił się gryzącym zapachem łatwopalnej substancji.

- Czyś ty całkiem zwariowała? - zawołał Leo zdumiony nie tylko zachowaniem, ale też chłodnym spokojem siostry.

- Mam zapalki, Julianie - oświadczyła Win. - Powiedz mi, co podać Rohanowi, albo podpalę garderobę.

- Nie odważysz się! - krzyknął Harrow.

- Win - powiedział Leo - spalisz cały ten cholerny dom, a właśnie go odbudowaliśmy. Oddaj mi zapalki!

Win zdecydowanie pokręciła głową.

- To jakaś nowa wiosenna tradycja? - zawołał Leo.

- Doroczne puszczenie z dymem siedziby Ramsayów? Win, uspokój się.

Odwróciła się od niego i utkwiała wzrok w drzwiach.

- Powiedziano mi, Julianie, że zabiłeś swoją pierwszą żonę. Najprawdopodobniej za pomocą trucizny. Nie wiem, co zrobiłeś mojemu szwagrowi, ale teraz w to wierzę. Jeśli nam nie pomożesz, usmażę cię jak grzanekę.

- Otworzyła pudełko z zapalkami.

Leo uznał w tym momencie, że Win na pewno blefuje i postanowił jej pomóc.

- Błagam cię, Win - zawołał dramatycznym tonem - nie rób tego. Nie musisz... Chryste Panie!

Win zapaliła zapalkę i rzuciła nią w drzwi.

To nie błąd, pomyślał oszołomiony Leo. Ona naprawdę zamierza usmażyć tego drania! Gdy tylko płomienie zaczęły lizać drewno, z garderoby dał się słyszeć przeraźliwy krzyk.

- Ratunku! Wypuście mnie stąd! Wypuście mnie. To kwas taninowy. Kwas taninowy! Jest w mojej torbie lekarskiej. Wypuście mnie stąd!

- Dobrze, Leo - powiedziała Win, zachłystując się lekko. - Możesz ugasić ogień.

Pomimo paniki Leo nie zdołał powstrzymać śmiechu. Win mówiła do niego tak, jakby prosiła o zgaszenie świecy, a nie buchających płomieni! Zdarł z siebie surdut, rzucił się do przodu i zaczął gwałtownie uderzać nim o drzwi.

- Jesteś szalona - powiedział.

Wrzawa zwabiła do pokoju kilkoro służących. Jeden z lokajów zdjął surdut i pospieszył Leo na pomoc. W tym czasie siostry znalazły torbę Harrowa.

- Czy kwas taninowy ma kolor herbaty? - zapytała Amelia, drżącymi dłońmi szarpiąc zapięcie.

- Nie, pani Rohan - odparła guwernantka. - Sądzę, że pan doktor mówił o kwasie taninowym z liści dębu. - Wyciągnęła dłoń, by powstrzymać Amelię, która prawie wysypała zawartość torby na podłogę. - Ostrożnie, proszę tego nie robić. On nie stosuje etykiet. - W jednej z przegródek odkryły cały rząd opakowań wypełnionych proszkami i płynami. Fiolki nie były podpisane, ale ich kieszonki już tak. Panna Marks szybko przeszukała torbę i wyjęła jedną z fiolek, z żółtobrazowym proszkiem. - To ta.

Win wzięła ją od niej.

- Ja ją zawiozę - powiedziała. - Wiem, gdzie jest obóz. A Leo jest zajęty gaszeniem pożaru.

- Ja zawiozę fiolkę Camowi - zaprotestowała Amelia gwałtownie. - To mój mąż.

- Tak. A ty nosisz jego dziecko. Jeśli spadniesz z konia, nigdy ci nie wybaczy, że ryzykowałeś życie.

Amelia posłała jej udęczone spojrzenie. Jej wargi drżały. Kiwnęła głową.

- Pospiesz się, Win - powiedziała ochryplym głosem.

- Możecie zrobić nam nosze? - zapytał Merripen *rom phuro*. - Muszę go zabrać do Ramsay House.

Przywódca klanu kiwnął głową, zawołał kilku ludzi czekających nieopodal *vardo*, wydał im instrukcje, a tamci natychmiast rzucili się do ich wypełniania.

- Za kilka minut będą gotowe - mruknął, odwracając się do Merripena.

Kev kiwnął głową i spojrzał na trupioblada twarz Cama. Rohan z pewnością nie czuł się dobrze, ale przynajmniej minęło ryzyko konwulsji i zatrzymania serca. Pozbawiony swej zwykłej energii Cam wydawał się taki młody i bezbronny.

Byli braćmi, a jednak przeżyli tyle lat, nie wiedząc o swoim istnieniu. Kev bardzo długo narzucał sobie samotność, ale ostatnio zaczęła go drażnić jak wytarte od zbyt długiego noszenia, rozchodzące się w szwach ubranie. Chciał się dowiedzieć więcej o życiu Cama, podzielić się z nim wspomnieniami. Pragnął mieć brata. „Zawsze czułem, że nie jestem sam”, powiedział mu Cam, gdy dowiedzieli się o łączących ich więzach krwi. Kev czuł dokładnie to samo. Tyle że nie był w stanie ubrać tego w słowa.

Wziął do ręki kawałek płótna i otarł nim pot z twarzy brata. Cam jęknął jak dziecko, które męczą senne koszmary.

- Wszystko będzie dobrze, *phral* - szepnął Kev, kładąc dłoń na jego piersi i wschluchując się w powolne bicie serca. - Wyzdrowiejesz. Nie opuszczę cię.

- Jesteście sobie bliscy - powiedział miękko *rom phuro*. - To dobrze. Macie jeszcze jakąś rodzinę?

- Mieszkamy z gadziami - odparł Kev, wyzywając mężczyznę wzrokiem, by okazał dezaprobatę. Twarz Roma pozostała jednak życzliwa i pełna ciekawości.

- Jedna z nich jest jego żoną.

- Mam nadzieję, że nie jest ładna.

- Jest. A dlaczego nie powinna być?

- Bo żonę należy wybierać sobie uszami, a nie oczami. Kev uśmiechnął się lekko.

- Bardzo mądre słowa. - Znów spojrzął na Cama, który wyglądał coraz gorzej. - Jeśli trzeba im pomocy z tymi noszami...

- Nie, moi ludzie są bardzo sprawni. Zaraz skończą. Ale trzeba je zrobić dobrze, muszą być mocne, aby unieść mężczyznę jego postury.

Ręce Cama drżały, jego długie palce zaciskały się na kocu, którym go przykryli. Kev chwycił zimną dłoń brata i ścisnął ją mocno, próbując go ogrzać i przelać w niego trochę siły.

Rom phuro spojrzął na widoczny teraz tatuaż na przedramieniu Cama - dynamiczne linie czarnego, uskrzydłonego rumaka.

- Kiedy poznałeś Rohana? - zapytał cicho.

Kev posłał mu zdumione spojrzenie i chwycił mocniej dłoń brata.

- Skąd znasz jego nazwisko? Przywódca klanu się uśmiechnął.

- Wiem znacznie więcej. Ty i twój brat zostaliście rozdzieleni wiele lat temu. - Dotknął palcem tatuażu. - A ten znak... ty też taki nosisz.

Kev wpatrywał się w niego bez słowa.

Na zewnątrz wybuchła wrzawa i ktoś nagle wpadł do *vardo*. Kobieta. Kev ze zdumieniem rozpoznał błysk jasnych włosów.

- Win! - krzyknął. Ostrożnie wypuścił rękę Cama i zerwał się na nogi. Nie zdołał stanąć prosto w niskim pomieszczeniu. - Powiedz mi, że nie przyjechałaś tu sama. To niebezpieczne. Dlaczego...

- Chcę pomóc. - Spódnice Win zaszeleściły, gdy podbiegła do łóżka. W dłoni bez rękawiczki zaciskała coś kurczowo. Nie poświęciła ani jednego spojrzenia *rom phuro*, od razu podeszła do Keva. - Masz. Masz. - Oddychała ciężko, bo galopowała do obozu na złamanie karku. Policzki miała zarumienione.

- Co to jest? - zapytał Kev, delikatnie wyjmując przedmiot z jej dłoni, a drugą ręką głaszcząc Win uspokajająco po plecach. Zobaczył małą fiolkę wypełnioną żółtobrą-zowym proszkiem.

- To antidotum - odparła. - Podaj mu je natychmiast.

- Skąd wiesz, że to zadziała?

- Zmusiłam Harrowa, żeby mi powiedział.
- Mógł cię okłamać.
- Nie, na pewno nie. Nie mógł kłamać, bo był wówczas... pod dużą presją.

Palce Keva zacisnęły się na fiolce. Nie mieli wielkiego wyboru. Mogli czekać na zaufanego lekarza, ale na pierwszy rzut oka było widać, że Cam nie ma tyle czasu. A nie-robienie niczego nie było żadnym wyjściem.

Ostrożnie rozpuścił mikroskopijną szczyptę w małej ilości wody, dochodząc do wniosku, że lepiej zacząć od słabej dawki, niż podać bratu za dużo następnej trucizny. Pomógł mu usiąść i podtrzymał go ramieniem. Niespokojny, pogrążony w delirium Cam zaprotestował cicho, bo ruch wywołał nową falę bólu w jego napiętych mięśniach.

Kev nie widział jego twarzy, ale dostrzegł pełne współczucia spojrzenie Win, która unosiła brodę Cama. Rozmasowała sztywne mięśnie i siłą otworzyła mu usta. Wlała płyn z łyżeczki do gardła Rohana i przesunęła dłonią po jego policzkach i szyi, nakłaniając, by połknął lekarstwo. Cam zadrżał i oparł się ciężko o pierś brata.

- Dzięki Bogu - szepnęła Win, głaszcząc go po wilgotnych włosach i przykładając dłoń do jego zimnej twarzy. - Zaraz lepiej się poczujesz. Leż spokojnie i czekaj, aż lekarstwo zadziała.

Zdaniem Keva jeszcze nigdy nie wyglądała tak ślicznie, jak w tamtej chwili, gdy na jej twarzy widać było serdeczny smutek.

- Wracają mu kolory - zauważyła cicho po kilkunastu minutach.

Tak jak oddech, który stał się wolniejszy i bardziej miarowy. Kev poczuł, że ciało brata się rozluźnia, a napięte mięśnie wiotczeją. Naparstnica została zneutralizowana.

Cam poruszył się, jakby się budził z długiego snu.

- Amelia - szepnął oszołomionym przez opium głosem.

Win wzięła go za rękę.

- Czuje się całkiem dobrze i czeka na ciebie w domu, mój drogi.
- Dom - powtórzył i wyczerpany skinął głową.

Kev położył go ostrożnie na pościeli i spojrzał na niego uważnie. Trupia błądź ustępowała z jego twarzy z każdą sekundą; poprawa jego stanu była tak gwałtowna, że aż zdumiewająca.

W końcu bursztynowe oczy otworzyły się i Cam spojrzał na brata.

- Merripen - powiedział tonem tak przytomnym, że Kev poczuł obezwładniającą ulgę.

- Tak, *phrall*

- Czy ja umarłem? -Nie.

- Na pewno umarłem.

- A skąd ten pomysł? - zapytał Kev zdumiony.

- Bo... - Cam przerwał, by zwilżyć suche wargi. - Bo ty się uśmiechasz... A tam stoi mój kuzyn, Noah.

Rozdział 22

Rom phuro podszedł do łóżka i ukląkł przy nim.

- Witaj, Camlo - szepnął.

Cam spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Noah. Jesteś starszy. Jego kuzyn zachichotał.

- W rzeczy samej. Ostatnim razem, gdy cię widziałem, nie sięgałeś mi do piersi. A teraz wygląda na to, że przewyższasz mnie co najmniej o głowę.

- Nigdy po mnie nie wróciłeś.

- I nigdy nie powiedziałeś mi, że ma brata - wtrącił z napięciem Kev.

Noah uśmiechnął się smutno.

- Nie mogłem zrobić żadnej z tych rzeczy. Dla waszego dobra. - Odwrócił wzrok w kierunku Keva. - Powiedziano nam, że umarłeś, Kev. Cieszę się, że się myliliśmy. Jak udało ci się przeżyć? Gdzie mieszkałeś?

Kev spojrział na niego gniewnie.

- To teraz nieistotne. Rohan szukał cię całymi latami. Chciał znaleźć odpowiedzi. Powiedz mu prawdę o tym, dlaczego go odesłano i co oznaczają te przeklęte tatuaże. I niczego nie pomijaj.

Noah poczuł zdziwienie, słysząc autokratyczny ton Keva. Był przywódcą *vitsa*, nienawykłym do przyjmowania rozkazów.

- On już taki jest - wyjaśnił mu Cam. - Można się do tego przyzwyczaić.

Noah sięgnął pod łóżko, wyciągnął stamtąd drewniane pudełko i zaczął przeszukiwać jego zawartość.

- Co wiesz o naszej irlandzkiej krwi? - domagał się odpowiedzi Kev. - Jak się nazywał nasz ojciec?

- Niewiele wiem - przyznał Noah. Najwyraźniej znalazł to, czego szukał, bo wyjął coś z pudełka i spojrział na Cama. - Ale nasza babka wyznała mi na łożu śmierci tyle, ile zdołała. I dała mi to...

Podniósł do góry zaśnieżony srebrny nóż.

Kev błyskawicznym ruchem zamknął dłoń tamtego w miażdżącym uścisku. Win krzyknęła zdumiona, a Cam spróbował unieść się na łokciach.

Noah spojrział Kewowi w oczy.

- Spokojnie, kuzynie. Nigdy nie skrzywdziłbym Camlo. - Otworzył dłoń. - Weźcie go. Należy do was, a wcześniej był własnością waszego ojca, Briana Cole'a.

Kev wziął nóż i uwolnił nadgarstek Noaha. Spojrział na obosieczny sztylet, długości mniej więcej dziesięciu centymetrów, z rzeźbioną rękojeścią. Nóż wyglądał na stary i zapewne był bardzo cenny. Najbardziej zdumiał jednak Keva

rysunek na ostrzu... stylizowany wizerunek irlandzkiego puki.

Pokazał go Camowi, który na moment przestał oddychać z przejęcia.

- Nazywacie się Cameron i Kevin Cole - powiedział Noah. - Ten znak jest symbolem waszej rodziny. Był w waszym herbie. Gdy was rozdzieliliśmy, zostaliście nim oznaczeni. Nie tylko po to, by można było was zidentyfikować, ale także by uprosić drugiego syna Moshto o opiekę nad wami.

- Kto to jest Moshto? - zapytała cicho Win.

- To cygańskie bóstwo - poinformował ją Kev, nie poznając swego oszołomionego głosu. - Bóg wszystkich dobrych rzeczy.

- Ja szukałem... - powiedział Cam ze wzrokiem utkwionym w ostrzu, a potem potrząsnął głową, jakby przerastał go wysiłek wyjaśniania tej kwestii. Kev przemówił za niego.

- Mój brat wynajął ekspertów od heraldyki, by przeszukali irlandzkie księgi herbowe, ale nie znaleźli takiego symbolu.

- Cole'owie usunęli pukę ze swojego herbu mniej więcej trzysta lat temu, gdy angielski król ogłosił się głową irlandzkiego kościoła. Puka był symbolem pogańskim. Zapewne obawiali się o swoją pozycję w zreformowanym Kościele. Ale nie przestali darzyć starego bóstwa sympatią. Pamiętam, że twój ojciec nosił srebrny pierścień z wizerunkiem puki.

Kev spojrzął na brata i zrozumiał, że Cam czuje dokładnie to samo, co on - otwarto przed nimi drzwi pokoju, w którym przez całe życie byli zamknięci.

- Wasz ojciec, Brian - kontynuował Noah - był synem lorda Cavana, irlandzkiego para w brytyjskiej Izbie Lordów. Brian był jego jedynym dziedzicem. Wasz ojciec popełnił jednak mezalians, zakochał się w Cygance o imieniu Sonya. Bardzo pięknej. Ożenił się z nią, pomimo sprzeciwu obu rodzin. Żyli z dala od wszystkich, a Sonya powiła dwóch synów. Umarła, wydając na świat Cama.

- Zawsze myślałem, że moja matka umarła, wydając na świat mnie - powiedział miękko Kev. - Nie wiedziałem, że mam młodszego brata.

- Dopiero po drugim synu odeszła do Boga. - Oczy Noaha były pełne wspomnień. - Byłem na tyle duży, by zapamiętać dzień, w którym Cole przyniósł was obu do naszej babki. Powiedział Mamiit, że cierpi, próbując żyć w dwóch światach i że pragnie wrócić tam, gdzie jego miejsce. Zostawił więc dzieci i nigdy nie wrócił.

- Dlaczego nas rozdzieliliście? - zapytał Cam. Wciąż był bardzo wyczerpany, ale zaczynał już przypominać dawnego siebie.

Noah wstał zwinnie i podszedł do piecyka w kącie. Odpowiadając, parzył herbatę, dokładnie odmierzając suche listki do małego imbryczka z parującą wodą.

- Po kilku latach wasz ojciec ponownie się ożenił. A potem usłyszeliśmy od innego *vitsa*, że jacyś gadziowie rozpytują o chłopców, oferują pieniądze w zamian za informacje i wyrządzają szkody, jeśli nikt nie chce im nic powiedzieć. Zrozumieliśmy wtedy, że wasz ojciec chce się pozbyć mieszanych synów, którzy byli jego legalnymi spadkobiercami. Miał nową żonę, która mogła obdarzyć go

dziećmi.

- A my staliśmy im na drodze - podsumował ponuro Kev.

- Na to wyglądało. - Noah zaparzył herbatę w im-bryku. Nalał płyn do filiżanki, dodał cukru i podał Ca-mowi. - Wypij trochę, Camlo. Musisz wypluć z siebie truciznę.

Cam usiadł i oparł się plecami o ścianę. Wziął filiżankę w drżące dłonie i ostrożnie sączył gorący napój.

- Aby się upewnić, że nas nie znajdą – powiedział - zatrzymaliście mnie, a Keva oddaliście wujowi.

- Tak, wujowi Povowi. - Noah zmarszczył brwi i odwrócił wzrok od Keva.

- Sonya była jego ukochaną siostrą. Myśleliśmy, że będzie dobrym opiekunem. Nikt się nie spodziewał, że będzie winił dzieci za jej śmierć.

- Nienawidził gadziów - oznajmił Kev cichym głosem.

- Ale było coś jeszcze, co miał mi za złe.

Noah z trudem podniósł na niego oczy.

- Gdy usłyszeliśmy o twojej śmierci, uznaliśmy, że nie możemy już dłużej trzymać przy sobie Cama. Zawiozłem go więc do Londynu i pomogłem mu znaleźć pracę.

- W jaskini hazardu? - zapytał Rohan z nutą sceptycyzmu.

- Czasami najlepiej jest ukryć się na widoku - padła prozaiczna odpowiedź.

Cam ze smutkiem potrząsnął głową.

- Założę się, że połowa Londynu widziała mój tatuaż. To cud, że lord Cavan nigdy o tym nie usłyszał.

Noah zmarszczył brwi.

- Przecież kazałem ci go zakrywać.

- Wcale nie.

- Ależ tak - powtórzył Noah i przyłożył dłoń do czoła.

- Ach, Moshto, nigdy mnie nie słuchałeś.

Win siedziała cicho u boku Merripena. Przysłuchiwała się toczącej się rozmowie i ostrożnie się rozglądała. Wóz był stary, ale bardzo starannie utrzymany, a jego wnętrze schludne i czyste. Ze ściany unosił się nikły, rześki zapach dymu, deski zaimpregnowano tysiącami posiłków, które tu gotowano. Dzieci bawiły się przed *vardo*, śmiejąc się i sprzecząc. Zdumiona Win pomyślała, że ten wóz jest jedynym schronieniem rodziny przed światem zewnętrznym. Idea ta była jej z gruntu obca, ale niewątpliwie niosła ze sobą wolność.

Potrafiła wyobrazić sobie Cama żyjącego w ten sposób, lecz nie Keva. On musiał kontrolować swoje otoczenie, panować nad nim. Budować i organizować. Mieszkał z jej rodziną na tyle długo, by zrozumiał ich życie. A rozumiejąc, zaczął się do nich upodabniać.

Była ciekawa, jak się czuł ze świadomością, że jego przeszłość w końcu została wyjaśniona, a tajemnice wyszły na jaw. Wydawał się zupełnie spokojny i opanowany, jednak po takim doświadczeniu każdy czułby niepokój.

- Biorąc pod uwagę upływ czasu - mówił Cam - zastanawiam się, czy nadal grozi nam niebezpieczeństwo. Czy nasz ojciec wciąż żyje?

- Łatwo się tego dowiedzieć - odparł Merripen, po czym dodał ponuro: - Nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że nadal żyjemy.

- Jesteście bezpieczni, dopóki pozostajecie Romami - stwierdził Noah. - Ale jeśli Kev ujawni, że jest dziedzicem Cavana i upomni się o tytuł, mogą być kłopoty.

Merripen spojrzał na niego z pogardą.

- A czemu miałbym to robić? Noah wzruszył ramionami.

- Żaden Rom by tego nie zrobił. Ale ty jesteś w połowie gadziem.

- Nie chcę żadnego tytułu ani niczego, co się z nim wiąże - oznajmił stanowczo Kev. - I nie chcę mieć nic wspólnego z Cole'ami, lordem Cavanem i żadnymi sprawami tamtej rodziny.

- Odrzucisz połowę siebie? - zapytał Cam.

- Tyle lat przeżyłem, nie wiedząc o tej irlandzkiej połowie. Odrzucenie jej na resztę życia nie będzie dla mnie wielkim problemem.

Do *vardo* wszedł mały chłopiec, aby ich poinformować, że nosze są gotowe.

- Dobrze - powiedział Merripen. - Pomogę ci wyjść i...

- O nie - skrzywił się Cam. - Nie ma mowy, żebym pozwolił się zanieść do Ramsay House.

Merripen posłał mu drwiące spojrzenie.

- Jak więc zamierzasz tam wrócić?

- Pojadę konno. Merripen zmarszczył brwi.

- Nie zdołasz utrzymać się w siodle. Spadniesz i skręcisz kark.

- Dam sobie radę - stwierdził Cam z uporem. - To niedaleko.

- Spadniesz z konia!

- Nie położę się na tych piekielnych noszach. Przeraziłbym Amelię.

- Nie chodzi ci o stan Amelii, tylko o swoją dumę. Zaniesiemy cię, koniec dyskusji.

- Niech cię diabli! - warknął Cam.

Win i Noah wymienili zaniepokojone spojrzenia. Bracia wydawali się gotowi do bitki.

- Jako przywódca plemienia mogę wam pomóc załagodzić ten spór - powiedział dyplomatycznie Noah.

- Nie - odparli zgodnie Merripen i Cam.

- Kev - szepnęła Win - może Cam pojedzie ze mną? Mógłby usiąść za mną i trzymać się mnie dla równowagi.

- Dobrze - natychmiast zgodził się Cam. - Tak właśnie zrobimy.

Merripen spojrzał na nich gniewnie.

- Ja też pojedę z wami - wtrącił z uśmiechem Noah. - Na moim własnym koniu. Powiem synowi, aby go osiodłał. - Zamilkł na chwilę. - A może zostanieie dłużej? Macie wielu kuzynów, których musicie poznać. A ja mam żonę i dzieci,

które chcę wam pokazać, i...

- Później - odparł Merripen. - Teraz bez zwłoki muszę odwieźć brata do jego żony.

- Dobrze więc.

Noah wyszedł, a Cam spojrzał nieobecny wzrokiem na resztki swojej herbaty.

- O czym myślisz? - zapytał go Merripen.

- Zastanawiam się, czy nasz ojciec miał dzieci z drugą żoną. A jeśli tak, to ile. Czy mamy przyrodnich braci i siostry, o których nie wiemy?

Merripen zmrużył oczy.

- A jakie to ma znaczenie?

- To nasza rodzina.

Kev uniósł dłoń do czoła w obcym sobie dramatycznym geście.

- Mamy Hathawayów i przynajmniej tuzin Cyganów biegających po okolicy, którzy mienią się naszymi kuzynami. Jakiej jeszcze rodziny ci potrzeba?

Cam uśmiechnął się tylko.

W Ramsay House panował chaos. Hathawayowie, panna Marks, służba, konstabl i lekarz tłoczyli się w holu przy drzwiach. Krótka przejażdżka zupełnie pozbawiła Cama sił, oparł się więc na ramieniu brata, gdy wchodzili do domu.

Natychmiast otoczyła ich rodzina, a Amelia przepchnęła się do Cama. Z jej piersi wyrwał się pełen ulgi szloch; walczyła ze łzami, przesuując drżącymi dłońmi po jego twarzy i piersi. Cam puścił Merripena i objął żonę, składając głowę na jej ramieniu. Przez chwilę trwali w milczeniu; Amelia podniosła dłoń do jego włosów i zamknęła na nich palce. Cam szepnął jej coś do ucha, coś bardzo osobistego i pełnego otuchy. Lecz potem się zatoczył, aż musiała chwycić go mocniej, a Kev ujął go za ramiona, by go podtrzymać.

Cam uniósł głowę i spojrzał na żonę.

- Wypiłem dziś rano filiżankę kawy - wyjaśnił jej.

- Jakoś mi nie smakowała.

- Tak, słyszałam - odparła Amelia, gładząc jego pierś. Rzuciła Merripenowi pełne troski spojrzenie. - Ma rozbiegany wzrok.

- Jest upojony jak kawka - odparł Kev. - Zanim nadjechała Win z antidotum, daliśmy mu czyste opium, by spowolnić pracę serca.

- Zabierzmy go na górę - powiedziała Amelia, ocierając oczy. Zwróciła się do starszego, brodatego mężczyzny, który stał z boku. - Panie doktorze, proszę nam towarzyszyć na górę, będzie pan mógł w spokoju ocenić stan zdrowia mojego męża.

- Nie potrzebuję lekarza - zaprotestował Cam.

- Na twoim miejscu bym nie narzekała - odparła Amelia. - Chciałam posłać po pół tuzina lekarzy, nie mówiąc już o specjalistach z Londynu. - Spojrzała na Noaha.

- Czy to pan udzielił pomocy mojemu mężowi? Jesteśmy pańskimi

dłużnikami, drogi panie.

- Wszystko dla mojego kuzyna - odparł Noah.
- Kuzyna? - powtórzyła Amelia, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.
- Wyjaśnię ci to na gorze - powiedział Cam, zataczając się do przodu.

Noah natychmiast stanął u jego jednego boku, a Mer-ripen u drugiego i na wpół ciągnąc, na wpół niosąc Gama, poprowadzili go ku schodom. Reszta rodziny ruszyła w ich ślady, pokrzykując i rozmawiając podnieconymi głosami.

- To najbardziej hałaśliwi gadziowie, jakich w życiu spotkałem - zauważył Noah.

- To jeszcze nic - stwierdził Cam, dysząc z wysiłku, gdy wspinali się na górę. - Zazwyczaj są znacznie gorsi.

- Moshto! - zawołał Noah, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Cam nie zaznał ani odrobiny spokoju; gdy w końcu położył się do łóżka, a doktor Martin zaczął go badać, Amelia próbowała kilkakrotnie wyprosić rodzinę z pokoju, ale wszyscy po chwili wracali, by sprawdzić, co się dzieje. Lekarz zmierzył Camowi puls, obejrzał źrenice, osłuchał płuca, sprawdził wilgotność i kolor skóry oraz odruchy, a wreszcie zawyrokował, że w jego opinii pacjent w pełni odzyska zdrowie. W razie niepokojących objawów, takich jak palpacje serca, zaordynował kroplę laudanum rozpuszczoną w szklance wody.

Zalecił także, aby podawać Camowi dużo płynów i zatrzymać go na dwa - trzy dni w łóżku na ścisłej diecie. Przepowiedział utratę apetytu i bóle głowy, co miało wrócić jednak do normy, gdy organizm pozbędzie się ostatnich śladów naparstnicy.

Usatysfakcjonowany wynikami badania Kev podszedł do stojącego w kącie Leo.

- Gdzie jest Harrow? - zapytał miękko.

- Poza twoim zasięgiem - odparł Leo. - Zabrali go do aresztu tuż przed twoim powrotem. Nawet nie próbuj się do niego dostać. Zapowiedziałem konstablowi, by nie dopuszczał cię na sto kroków do jego celi.

- Myślałem, że sam zechcesz go ukarać. Gardzisz nim równie mocno jak ja.

- Owszem. Ale wierzę w nasz wymiar sprawiedliwości. I nie chcę sprawić zawodu Beatrix. Ma nadzieję na proces.

- Dlaczego?

- Myśli, że wtedy powołają Dodgera na świadka. Kev uniósł wzrok ku niebu, ukrył się w kącie pokoju i oparł o ścianę. Słuchał, jak Hathawayowie wymieniają się swoimi wersjami wydarzeń tego dnia i odpowiadają na pytania konstabla. Nawet Noah włączył się do rozmowy, dzieląc się z resztą rewelacjami na temat przeszłości Keva i Cama. Informacje fruwały w powietrzu. Nic nie zapowiadało końca tej rozmowy.

Cam wydawał się bardziej niż zadowolony, leżąc w łóżku i pozwalając Amelii robić wokół niego zamieszanie. Głaskała go po włosach, podawała mu wodę, poprawiała poduszki i bez przerwy go obejmowała. Ziewnął, przez chwilę

walczył z opadającymi powiekami, a potem ułożył się wygodnie.

Kev spojrzał na siedzącą w fotelu przy łóżku Win. Wyglądała spokojnie i stosownie, jak zwykle, tylko kilka nieposłusznych kosmyków włosów wysunęło się ze spinek. Nikt by nie pomyślał, że ta kobieta byłaby w stanie podpalić garderobę! Z doktorem Harrowem w środku. Jak stwierdził potem Leo, pomysł ten nie świadczył najlepiej o jej inteligencji, ale zasługiwała na dodatkowe punkty za bezwzględność. I osiągnęła cel.

Kev żałował, że Leo wyciągnął w końcu Harrowa z zamknięcia - oszołomionego dymem, lecz żywego.

W końcu Amelia oznajmiła, że rozmowa skończona, bo Cam musi odpocząć. Konstabl wyszedł, za nim Noah i służący, a w pokoju została tylko najbliższa rodzina.

- Dodger jest chyba pod łóżkiem. - Beatrix ukłękła i zajrzała pod spód.

- Domagam się zwrotu podwiązki - oświadczyła groźnie panna Marks, opadając na dywan obok dziewczyny. Leo przyglądał jej się z ukradkowym zainteresowaniem.

A Kev zastanawiał się, co ma począć z Win.

Miłość zawładnęła nim absolutnie. Była bardziej egzotyczna, słodsza i oszałamiająca niż czyste opium. Bardziej niezbędna niż powietrze. Merripen czuł się już tak bardzo zmęczony walką ze swoim uczuciem.

Cam miał rację. Nie da się przewidzieć przyszłości. Mógł tylko kochać Win.

Dobrze więc.

Podda się temu, podda się jej i nie będzie próbował niczego kontrolować. Skapituluje. Na dobre wyjdzie z cienia. Wziął długi, głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

Kocham cię, pomyślał, spoglądając na Win. Kocham każdą cząstkę ciebie, każdą twoją myśl i słowo... całą twoją skomplikowaną, fascynującą istotę. Pragnę cię na dziesięć różnych sposobów naraz. Kocham cię we wszystkich twoich postaciach, taką, jaka jesteś teraz, i myślę o tym, jak bardzo będziesz pięknieć w nadchodzących latach. Kocham cię za to, że jesteś odpowiedzią na każde pytanie, które może zadać moje serce.

Gdy w końcu się poddał, wszystko wydało mu się takie proste. Takie naturalne i właściwe.

Nie był pewien, czy kapituluje przed Win, czy przed swoim uczuciem do niej. Wiedział tylko, że dłużej nie może się wstrzymywać. Weźmie ją. I da jej wszystko, co ma, każdy skrawek swej duszy, nawet to, co złe.

Wpatrywał się w nią, nie śmiejąc mrugnąć w obawie, że nawet najmniejszy jego ruch może sprowokować coś, czego on nie będzie w stanie kontrolować. Mógłby po prostu do niej podejść i zaciągnąć ją do sypialni. Oczekiwanie było tym bardziej rozkoszne, że wiedział, iż wkrótce będzie ją miał.

Przyciągnięta siłą jego spojrzenia, Win odwróciła się do niego. To, co

zobaczyła na twarzy Keva, przyprawiło ją o szkarłatne rumieńce. Przycisnęła dłoń do piersi, jakby próbowała uspokoić galopujące serce, a Merripen poczuł nieopanowane pragnienie, by ją przytulić. Chciał całować rumieńce na jej twarzy, chłonąć jej ciepło wargami i językiem. Rozpalili się w nim najbardziej prymitywne pragnienia. Spojrzał na nią gorącym wzrokiem, nakłaniając ją w milczeniu, by się podniosła.

- Przepraszam - szepnęła Win, wstając z gracją, czym podnieciła go do utraty zmysłów. Jej palce znów zatrzepotały, gdy opuściła rękę. Zapraǳnęła chwycić jej dłoń i przycisnąć sobie do ust. - Pozwolę ci odpocząć, drogi szwagrze - powiedziała.

- Dziękuję - mruknął Cam. - Siostrzyczko... dziękuję ci za...

Umilkł, a ona dokończyła z uśmiechem:

- Rozumiem. Śpij dobrze.

Przestała się uśmiechać, gdy spojrzała na Keva. Chyba pod wpływem instynktu samozachowawczego szybko wybiegła z pokoju.

Nie minęła nawet sekunda, a Kev ruszył za nią.

- Dokąd oni tak się spieszą? - zapytała Beatrix z głową przy ziemi.

- Tryktrak - odparła pospiesznie panna Marks. - Zdaje się, że planują rozegrać partyjkę lub dwie tryktraka.

- Ja też tak słyshałem - poparł ją Leo.

- To musi być strasznie fajna zabawa: grać w tryktraka w łóżku - odparła niewinnie Beatrix i zachichotała.

Natychmiast stało się dla nich jasne, że nie pogodzą ich słowa, lecz coś znacznie bardziej prymarnego. Win pobiegła w ciszy do swojego pokoju, nie śmiejąc oglądać się za siebie, choć była świadoma, że Kev podąża tuż za nią. Dywany na podłodze w korytarzu tłumiły stukot ich kroków.

Nadał się nie oglądając, Win zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach i zacisnęła palce na klamce.

- Moje warunki - powiedziała łagodnie. - Tak jak mówiłam wcześniej.

Kev zrozumiał. Nic się pomiędzy nimi nie wydarzy, jeśli Win nie przeforsuje swojego zdania. A on kochał ją za ten upór i siłę, choć jednocześnie jego romska połowa jeżyła się na myśl o władzy Win. Mogła rządzić w pewnych dziedzinach życia, lecz nie we wszystkich. Pchnął ramieniem drzwi na oścież, wciągnął ją do pokoju i zamknął je za nimi. Przekręcił klucz w zamku.

Win nie zdążyła nawet odetchnąć, gdy chwycił w dłonie jej twarz i zaczął ją całować, rozchylając jej wargi. Jej smak go rozpalil, ale starał się nie spieszyć, pieścił ją powoli, pogłębiając pocałunki. Poczul na sobie jej szczupłe ciało, o tyle, o ile pozwalały na to przymarszczone spódnice.

- Nie okłamuj mnie nigdy więcej - powiedział szorstko.

- Nie będę. Obiecuję. - W błękitnych oczach Win błyszczala miłość.

Pragnął dotknąć jej miękkiego ciała. Zaczął zsuwać z niej suknię, rozpinął ozdobne guziczki, odrywał te stawiające opór i torował sobie drogę, aż chmura

materiału opadła, a Win zaczęła głośno oddychać. Gniótł suknię stopami, aż w końcu stanęli w jej różowych fałdach, które ułożyły się wokół nich na kształt wielkiego kwiatu. Sięgnął do bielizny Win, rozwiązał wstążki przy dekolcie koszuli i tasiemki pantalonów. Pomagała mu z całych sił; jej szczupłe ręce i nogi powoli wyłaniały się z fałd materiału.

Jej białoróżowa nagość pozbawiała go tchu. Jej szczupłe, silne łydki okrywały białe pończochy na prostych podwiązkach. Kontrast pomiędzy bujnym ciepłem jej ciała a skromną, białą bawełną był niewymownie erotyczny. Chcąc pomóc Win zsunąć podwiązki, Kev ukląkł przed nią w stercie różowego muszliny. Oparła się o niego, a jej nieśmiała gotowość rozpalila go do szaleństwa. Pochylił się i pocałował jej gładkie, jedwabiste wnętrza ud, a gdy westchnęła i próbowała się cofnąć, chwycił ją za biodra i przytrzymał. Musnął ustami jasne loczki, czując ich różany zapach i miękkość, i językiem rozsunał fałdki. Jej jęk był miękki i proszący.

- Kolana mi drżą - szepnęła. - Upadnę.

Zagłębił się w niej, nie słuchając jej słów. Pulsowała wokół niego, gdy wsunął język jeszcze głębiej i poczuł wstrząsającą jej ciałem odpowiedź. Pieścił ją w rozkosznym transie, aż zacisnęła palce na jego włosach, a jej biodra wygięły się ku niemu.

Odsunął się od niej i wstał. Oczy miała półprzytomne, jakby w ogóle go nie dostrzegała. Drżała od czubka głowy do koniuszków palców u stóp. Kev objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Opadł ustami na wrażliwe miejsce w zgięciu szyi, całował ją i dotykał językiem. A jednocześnie sięgnął do pasa swoich spodni.

Przywarła do niego, gdy ją uniósł i przycisnął do ściany, jedną ręką chroniąc jej plecy przed otarciem. Jej ciało było sprężyste i zdumiewająco lekkie, jej ramiona zeszywniały, gdy nieco rozluźnił uścisk, a Win zrozumiała, co zamierzał zrobić. Usadowił ją na sobie, obserwując, jak otworzyła usta ze zdziwienia, gdy wszedł w nią powolnym, pewnym pchnięciem.

Owinęła nogi wokół jego bioder i przywarła do niego kurczowo, jakby znaleźli się na pokładzie miotanego sztormem okrętu. Kev trzymał ją pewnie, przyciskając do siebie jej biodra. Spodnie opadły mu do kolan i odwrócił twarz, by ukryć szybki uśmiech, przez chwilę rozważając, czy nie przestać i nie rozebrać się do końca... ale było mu zbyt dobrze, pożądanie narastało, aż przysłoniło wszystko.

Win wzdychała lekko przy każdym wilgotnym natarciu, czując, jak on ją wypełnia, porusza się w niej. Przerwał, by pocałować ją wygłodniałe, a dłonią sięgnął pomiędzy nich i zaczął drażnić jej nabrzmiałe wargi. Gdy podjęli rytm, jego członek dotykał jej najwrażliwszego miejsca. Oczy Win zamknęły się jak we śnie i zacisnęła się cała wokół niego, pulsując gorączkowo.

Wchodził w nią coraz głębiej i prowadził ją coraz dalej na szczyt. Zacisnęła uda wokół niego, zeszywniała i krzyknęła, a wtedy zamknął jej usta pocałunkiem, by ją uciszyć. Ciche jęki Win wirowały wokół nich, rozkosz wstrząsała nią falami. Gdy zatopił się po raz kolejny w jej delikatnej głębi, sam także poczuł ekstazę,

rozlewając się zarem po jego ciele.

Dyszac ciężko, opuścił Win na ziemię. Stali objęci w wilgotnej pułapce swoich ciał, a ich usta spotkały się w kojących pocałunkach i westchnieniach. Win wsunęła mu dłonie pod koszulę i łagodnie gładziła jego tors i plecy. Wycofał się z niej ostrożnie i zdjął resztę ubrania.

Zdołali jakoś dotrzeć do łóżka. Kev otulił ich oboje kołdrą i przyciągnął do siebie Win. Zapachy obojga połączyły się w jego nozdrzach w lekkie, słonawe perfumy. Oddychał nimi, do głębi poruszony tym aromatem.

- *Me voliv tu* - szepnął, całując ją delikatnie. - Gdy Rom mówi kobiecie, że ją kocha, nie jest to platoniczna deklaracja. Wyraża pożądanie, namiętność.

To zadowoliło Win.

- *Me voliv tu* - odparła szeptem. - Kev...

- Tak, ukochana?

- A jak Romowie biorą ślub?

- Biorą się za ręce w obecności świadków i składają przysięgę. Ale my zrobimy to tak jak gadziowie. I na każdy inny możliwy sposób. - Zsunął jej pończochy i dotykał każdego z jej palców, aż zaczęła cicho mruzczyć z zadowolenia.

Sięgnęła po niego, poprowadziła jego głowę do swoich piersi i wygięła się zapraszająco. Spełnił jej życzenie, biorąc w usta różową brodawkę i zataczając kółka językiem, aż stwardniała.

- Nie wiem, co mam teraz robić - powiedziała Win niepewnym głosem.

- Po prostu leż. Ja zajmę się resztą. Zachichotała.

- Nie, chodziło mi o to, co robią ludzie, gdy w końcu zaczynają żyć długo i szczęśliwie?

- Starają się żyć tak jak najdłużej. - Bawił się jej piersią, delikatnie obrysowując jej kształt palcami.

- Wierzysz w szczęśliwe zakończenia? - zapytała, oddychając nieco głośniejszym głosem, gdy lekko skubnął jej pierś.

- Takie jak w bajkach? Nie.

- Nie wierzysz?

Kev pokręcił przecząco głową.

- Wierzę, że dwoje ludzi może się kochać. - Uśmiechnął się do niej. - Znajdować przyjemność w zwyczajnych chwilach. Sprzeczać się o to, jak długo gotować jajko, jak zarządzać służbą i ile można zapłacić rzeźnikowi. Kłaść się razem do łóżka każdej nocy i budzić się rankiem obok siebie. - Przytulił dłoń do twarzy Win. - Zawsze rozpoczynałem dzień, podchodząc do okna, aby spojrzeć na niebo. Teraz nie będę musiał tego robić.

- Dlaczego nie?

- Bo zamiast tego będę widział błękit twoich oczu.

- Jesteś taki romantyczny - szepnęła, całując go delikatnie. - Ale nie martw się. Nikomu nie powiem.

Znów zaczął się z nią kochać, tak nią pochłonięty, że nawet nie usłyszał cichego szczęku zamka.

Win spojrzała przez ramię i zobaczyła zwinnego Dodgera, który wyciągnął się jak długi, sięgając do zamka, i wyjął klucz. Otworzyła usta, chcąc spłoszyć zwierzaka, ale Merripen ją pocałował i rozsunał jej uda. Później, pomyślała beztrosko, nie patrząc na fretkę, która przeciskała się pod drzwiami z kluczem w pyszczku. Może później nadarzy się odpowiednia chwila, by o tym wspomnieć... Wkrótce całkiem zapomniała o kluczu.

Rozdział 23

Zgodnie z tradycją *pliashka*, czyli ceremonia zaręczyn, powinna trwać kilka dni, ale Kev zdecydował się skrócić świętowanie do jednego wieczoru.

- Pochowałeś srebra? - zapytał wcześniej Cama, gdy Cyganie z obozu nad rzeką zaczęli wlewać się szeroką falą do domu odziani w jaskrawe, pełne brzęczących ozdób odświętne stroje.

- *Phral* - odparł Cam radośnie - nie ma takiej potrzeby. Przecież to rodzina.

- Właśnie dlatego trzeba pozamykać srebra. Zdaniem Keva jego brat w ostatnim czasie zbyt dobrze się bawił. Kilka dni wcześniej urządził całe przedstawienie, ogłaszając, że przybywa w imieniu Keva, by negocjować z Leo cenę panny młodej. Odbyli pełną kpinię debatę na temat zalet obojga narzeczonych i tego, ile rodzina pana młodego powinna zapłacić za przywilej pozyskania takiego skarbu jak Win. Obie strony doszły ostatecznie do wniosku, pośród wybuchów wielkiej wesołości, że kobieta, która zgodziła się tolerować Merripena, warta jest fortunę. A Kev obserwował to wszystko z pochmurną miną, co obu tych błaznów rozśmieszało jeszcze bardziej.

Gdy dopełniono formalności, *pliashka* została błyskawicznie zaplanowana i urządzona z wielkim entuzjazmem. Po samej ceremonii zaręczyn miała się rozpocząć wielka uczta z pieczonym prosiakiem i wołowiną, a także wszystkimi odmianami psentactwa i kartoflami smażonymi w ziołach z ogromną ilością czosnku.

Ze względu na Beatrix jeże wyłączono z menu.

Salę balową, w której zgromadzili się goście, wypełniały dźwięki gitar i skrzypiec. Ubrany w luźną, białą koszulę, skórzane bryczesy i buty, przepasany szeroką, czerwoną szarfą Cam wszedł do koła, które utworzyli zebrani. W rękę trzymał butelkę owiniętą jaskrawym jedwabiem, z szyjką otoczoną sznurem złotych monet. Gestem uciszył zebranych, a skoczna muzyka przeszła w dźwięczną balladę.

Zachwycona różnokolorowym zgromadzeniem Win stała przy Merripenie, przysłuchując się mowie, którą wygłosił Cam w romani. W odróżnieniu od brata Kev miał na sobie ubranie gadziów, tyle że bez halsztuka i z rozpiętym kołnierzykiem. Gładka, smagła szyja urzekła Win. Pragnęła przyłożyć usta do miejsca, w którym miarowo bił puls. Musiała jednak zadowolić się dyskretnym uściskiem jego palców. Merripen rzadko okazywał uczucia publicznie. Ale w zaciszu sypialni...

Poczuła, jak jego ręka owija się powoli wokół jej nadgarstka, a jego kciuk gładzi wrażliwe wnętrze dłoni.

Cam zakończył swoje przemówienie i podszedł do Win. Zręcznym ruchem

zdał monety z butelki i zawiesił je na szyi przyszłej bratowej. Były ciężkie, chłodne i brzęczały radośnie, układając się na jej dekolcie. Naszyjnik ogłaszał wszem wobec, że właśnie się zaręczyła i każdy mężczyzna, który do niej podejdzie, poza Merripenem, będzie wiele ryzykował.

Cam z szerokim uśmiechem na ustach przytulił mocno Win i szepnął jej coś do ucha, a następnie podał butelkę. Upiła ostrożnie łyk mocnego czerwonego wina i podsunęła butelkę Merripenowi. Kielichy wina rozdano także gościom. Wszyscy krzyczeli: „Sastimos” i „Na zdrowie”, życząc narzeczonym pomyślności. W końcu rozpoczęła się zabawa. Zabrzmiała rytmiczna muzyka, a kielichy zostały szybko osuszone.

- Zatańcz ze mną - szepnął Merripen do zaskoczonej Win.

Pokręciła głową, uśmiechając się niepewnie, gdy obserwowała pary, które wirowały dookoła. Kobiety poruszały rękami, a mężczyźni stukali obcasami i klaskali, krążąc wokół siebie i patrząc sobie w oczy.

- Nie umiem - odparła.

Merripen stanął za nią i przyciągnął ją blisko ku sobie. Kolejna niespodzianka. Nigdy wcześniej nie dotykał jej tak otwarcie. Rozbawiony tłum nie zwracał na nich uwagi.

- Przyjrzyj się - wyszeptał jej do ucha. - Widzisz, jak mało miejsca im potrzeba? Jak krążą wokół siebie? Gdy Romowie tańczą, unoszą ręce do nieba, ale przytupują, by podkreślić swój związek z ziemią. I ziemskimi namiętnościami. - Uśmiechnął się do Win i łagodnie odwrócił ją do siebie. - Chodź - szepnął, obejmując ją w talii i pociągając za sobą.

Podążyła za nim nieśmiało, zafascynowana tą stroną jego natury, której dotychczas nie знаła. Nie podejrzewała, że będzie tak pewny siebie, że będzie tańczył z taką gracją i patrzył na nią z diabelskim błyskiem w oczach.

Nakłonił ją, by uniosła ręce, pstrykała palcami, a nawet szeleściła spódnicami, gdy wokół niej krążył. Nie mogła przestać się śmiać. Tańczyli, a on ze znanstwem zamieniał znajome ruchy w grę w kotka i myszkę.

Win okręciła się wokół niego, a wtedy otoczył ramieniem jej talię i przyciągnął ją do siebie na jeden palący moment. Zapach jego skóry i ciepło jego piersi sprawiły, że ogarnęło ją gwałtowne pożądanie. Oparł czoło o jej czoło i spojrzał na nią, a ona zatoneła w głębinach jego oczu, ciemnych i błyszczących jak ogień piekielny.

- Pocałuj mnie - szepnęła, nie dbając o to, gdzie są i kto może ich zobaczyć. Uśmiechnął się kpiąco.

- Jeśli teraz zacznę, nie zdołam przestać. Czar prysł, gdy obok nich ktoś nagle chrząknął. Merripen spojrzał na stojącego obok Cama. Twarz Rohana była jak maska.

- Przepraszam, ale muszę wam przeszkodzić. Pani Barnstable poinformowała mnie właśnie, że przybył nieoczekiwany gość.

- Ktoś z rodziny?

- Tak, ale nie z tej romskiej strony. Merripen pokręcił głową zdumiony.
- Więc kto?

Cam przełknął ślinę.

- Lord Cavan. Nasz irlandzki dziadek.

Zadecydowano, że Cam i Kev spotkają się z przybyłym bez świadków. *Pliashka* trwała w najlepsze, a obaj bracia udali się do biblioteki i tam czekali. Dwaj lokaje kursowali pomiędzy powozem a domem, znosząc do biblioteki poduszki, pokryty aksamitem podnózek, pled na kolana, ogrzewacz do stóp i kubek na srebrnej tacy. Gdy zakończono przygotowania, jeden z lokajów oznajmił przybycie lorda Cavana, który zaraz potem wszedł do pokoju.

Stary hrabia był niski i drobny, ale postawę miał iście monarszą. Obnosił się ze swoim wyblakłym dostojenstwem ze zmęczoną dumą. Jego czerwona czaszka porastały białe włosy, a siwa broda okalała policzki jak lwia grzywa. Zmierzył obojętnie obu młodzieńców przenikliwymi, brązowymi oczami.

- Jesteście Kevin i Cameron Cole - oznajmił raczej, niż zapytał z melodyjnym angielsko-irlandzkim akcentem.

Żaden z braci nie odpowiedział.

- Który jest starszy? - zapytał Cavan, sadowiając się w miękkim fotelu. Lokaj natychmiast podsunął mu podnózek.

- On - odparł Cam, wskazując palcem Keva, który zrewanżował mu się gniewnym spojrzeniem. Ignorując złość brata, Cam zapytał swobodnie: - Jak nas pan znalazł, milordzie?

- Pewien mistrz heraldyczny z Londynu poinformował mnie, że wynajęliście go, by zbadał bardzo szczególny wzór. Zidentyfikował go jako starodawny znak Cole'ów. Gdy pokazał mi szkic tatuażu, który odrysował z waszych ramion, od razu wiedziałem, kim jesteście i dlaczego rozpoczęliście poszukiwania.

- Dlaczego więc? - zapytał Cam grzecznie.

- Szukacie finansowych i towarzyskich korzyści. Chcecie, abym uznał was za Cole'ów.

Cam uśmiechnął się ponuro.

- Proszę mi wierzyć, milordzie, nie szukałem ani zysków, ani uznania. Chciałem się tylko dowiedzieć, kim jestem. - W jego oczach błysnął gniew. - I zapłaciłem temu cholernemu gryzipiórkowi, by najpierw przesłał informację mnie, nie panu. Obedrę go żywcem ze skóry!

- Dlaczego postanowiłeś się z nami zobaczyć? - zapytał obcesowo Kev. - Niczego od ciebie nie chcemy, a ty na pewno nie dostaniesz nic od nas.

- Po pierwsze, może zainteresuje was informacja, że wasz ojciec nie żyje. Zmarł kilka tygodni temu, spadłszy z wierzchowca. Nigdy nie radził sobie z końmi, co tragicznie się dla niego skończyło.

- Nasze kondolencje - powiedział Cam obojętnym tonem.

Kev ledwie wzruszył ramionami.

- Tak przyjmujecie wiadomość o śmierci waszego ojca?
- Obawiam się, że nie znaleźliśmy go na tyle dobrze, by popisać się bardziej satysfakcjonującą dla ciebie reakcją - stwierdził sardonicznie Kev. - Proszę wybaczyć nam niedostatek łez.

- Chcę od was czegoś więcej niż łez.
- Dlaczego mnie to nie dziwi? - zastanawiał się głośno Cam.
- Mój syn pozostawił po sobie żonę i trzy córki. Żadnych synów, poza wami. - Hrabia przycisnął do skroni blade, powykęcane palce. - Ziemie są objęte majoratem dziedzicznym tylko w linii męskiej, a wszyscy potomkowie rodu Cole'ów i jego odgałęzień nie żyją. A zatem tytuł hrabiego Cavana i wszystko, co z tym związane, po mojej śmierci wygasa. - Zaciśnął zęby. - Nie pozwolę, by nasze dziedzictwo zostało zaprzepaszczone na zawsze tylko dlatego, że wasz ojciec był niezdolny do prokreacji.

Kev uniósł brwi.

- Nie nazwałbym dwóch synów i trzech córek niezdolnością do prokreacji.
- Z córek nie ma żadnego pożytku. A ty i twój brat jesteście mieszańcami. Nie powiecie chyba, że wasz ojciec przyczynił się do przedłużenia naszego rodu. Ale to teraz nieistotne. Musimy się pogodzić z sytuacją. W końcu pochodzicie przecież z prawego łoża. Jesteście moimi jedynymi dziedzicami - dodał z przekąsem hrabia.

Kulturowa przepaść pomiędzy nimi ujawniła się w całym swym ogromie właśnie w tym momencie. Gdyby lord Cavan przekazał taką wiadomość komukolwiek innemu, spotkałaby się ona z ekstatycznym wręcz przyjęciem. Objawienie dwóm Romom perspektywy oszałamiającego awansu społecznego i zyskania ogromnych bogactw nie wywołało jednak reakcji, której oczekiwał Cavan.

Szczerze mówiąc, obaj bracia wydawali się osobliwie, a nawet irytująco obojętni.

Rozdrażniony starzec zwrócił się bezpośrednio do Keva:

- Jesteś wicehrabią Mornington, dziedzicem posiadłości Mornington w hrabstwie Meath. Po mojej śmierci otrzymasz także zamek Knotford w Hillsborough, posiadłość Fairwall w Down i Watford Park w Hertfordshire. Czy to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Jesteś ostatnim męskim potomkiem rodu - perorował Cavan - który sięga swymi początkami szlachestwa ustanowionego przez Athelstana w dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Co więcej, jesteś dziedzicem tytułu o rodowodzie znacznie szlachetniejszym, niż może się poszczycić trzy czwarte arystokracji Korony. I nie masz nic do powiedzenia? Czy ty w ogóle pojmujesz, jak wspaniała fortuna przypadła ci w udziale?

Kev rozumiał wszystko bardzo dobrze. Między innymi to, że ten władczy, stary drań, który jeszcze do niedawna pragnął ich śmierci, teraz oczekuje, że padną

mu do stóp z powodu dziedzictwa, o które wcale nie prosili. - Nie szukałeś nas kiedyś przypadkiem, milordzie, z zamiarem pozbycia się nas jak pary niechcianych szczeniaków?

Cavan skrzywił się gniewnie.

- To nie ma teraz żadnego znaczenia.

- Czyli tak - odpowiedział Kewowi Cam.

- Okoliczności się zmieniły - stwierdził Cavan. - Teraz żywi macie dla mnie większą wartość niż umarli. Powinniście być za to wdzięczni.

Kev już miał powiedzieć Cawanowi, gdzie może sobie wsadzić swoje posiadłości i tytuły, gdy Cam pchnął go gwałtownie.

- Proszę nam wybaczyć - powiedział Rohan do Cavana. - Musimy odbyć braterską pogawędkę.

- Nie chcę z tobą gadać - mruknął Kev, ale odszedł z nim na bok.

- Choć raz w życiu mnie wysłuchaj, dobrze? - poprosił Cam łagodnym tonem. - Chociaż raz.

Kev skrzyżował ramiona na piersi i pochylił głowę.

- Zanim wykopiesz stąd jego przywiedły, stary tyłek, rozważ kilka kwestii.

Po pierwsze, on już długo nie pożyje. Po drugie, dzierżawcy na ziemiach Cavana zapewne rozpaczliwie potrzebują przyzwoitego zarządzania i pomocy. Mógłbyś dla nich bardzo wiele zrobić, nawet gdybyś zdecydował się pozostać w Anglii i stąd doglądać swoich irlandzkich posiadłości. Po trzecie, pomyśl o Win. Miałyby pozycję i majątek. Nikt nie ośmieliłby się obrazić hrabiny. Po czwarte, okazuje się, że mamy macochę i trzy przyrodnie siostry, o które nikt się nie zatroszczy, gdy ten stary kozioł umrze. Po piąte...

- Nie musisz mówić nic więcej. Zrobię to.

- Co? - Brat uniósł brwi w zdumieniu. - Zgadzasz się ze mną?

-Tak.

Cam miał rację we wszystkim, ale wystarczyłaby tylko wzmianka o Win. Na pewno będzie żyła wygodniej i będzie traktowana z większym szacunkiem jako hrabina niż jako żona Cygana.

Stary mężczyzna przyglądał się Kewowi z kwaśną miną.

- Wydajesz się trwać w błędnym przeświadczeniu, że zaoferowano ci jakiś wybór. Ja o nic cię nie prosiłem. Poinformowałem cię o twoim szczęśliwym losie i wiążącym się z tym obowiązku. Co więcej...

- Cóż, w takim razie wszystko ustalone - wtrącił pospiesznie Cam. - Lordzie Cavan, ma pan już swojego dziedzica i następcę. Proponuję, abyśmy się teraz rozeszli, by przywyknąć do nowej sytuacji. Jeśli to pana zadowala, milordzie, spotkamy się jutro, by omówić szczegóły.

- Zgoda.

- Czy możemy zaproponować panu i pańskiej służbie nocleg?

- Zdecydowałem się zaszczyścić swoją obecnością lorda i lady Westcliff. Na pewno o nim słyszeliście. Bardzo dystyngowany dżentelmen. Znałem jego ojca.

- Tak - odparł Cam poważnie. - Słyszeliśmy o Westcliffie.

Cavan zacisnął wargi.

- Podejrzewam, że teraz będę was musiał mu przedstawić któregoś dnia. - Zmierzył ich obu pogardliwym spojrzeniem. - Gdybyśmy mogli tylko coś zrobić z waszym stylem ubierania się i sposobem bycia. I waszym wykształceniem. Boże, zlituj się nad nami. - Pstryknął palcami, a dwaj lokaje szybko zebrali rzeczy, które przynieśli z powozu. Cavan wstał z fotela i pozwolił zarzucić sobie płaszcz na chude ramiona. Spojrzał jeszcze raz na Keva i ponuro potrząsnął głową. - Cały czas muszę sobie powtarzać, że lepsze to niż nic. Do jutra więc.

Gdy tylko Cavan opuścił salon, Cam podszedł do kredensu i nalał do dwóch szklanek spore porcje whisky. Podał jedną Kewowi.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Oto i dziadek, o którym marzyliśmy - odparł Kev, a Cam omal nie zachłysnął się whisky, wybuchając śmiechem.

Win leżała na piersi Keva, jej włosy jaśniały jak promienie księżyca. Była naga, miała na sobie tylko naszyjnik z monet. Kev delikatnie wyplątał go z jej włosów, zdjął i odłożył na nocną szafkę.

- Nie - zaprotestowała.

- Dlaczego?

- Lubię go, przypomina mi, że jestem zaręczona.

- Ja ci będę o tym przypominał - szepnął i przesunął się, układając ją sobie na ramieniu. - Tak często, jak będzie trzeba.

Uśmiechnęła się do niego i dotknęła palcem jego ust.

- Żałujesz, że lord Cavan cię odnalazł, Kev? Ucałował delikatnie jej dłonie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie - stwierdził w końcu. - To zgorzkniały, stary głupiec i nie zamierzam spędzać zbyt wiele czasu w jego towarzystwie. Ale teraz znam odpowiedzi na pytania, nad którymi się zastanawiałem przez całe życie. I... - zawahał się, zanim dokończył z zakłopotaniem: - nie mam nic przeciwko zostaniu pewnego dnia hrabią Cavan.

- Doprawdy? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Kev kiwnął głową.

- Myślę, że całkiem nieźle bym sobie radził - wyznał.

- Z pewnością - odparła Win konspiracyjnym szeptem. - Jestem przekonana, że bardzo wiele osób będzie zdumionych tym, jak wspaniale potrafisz wydawać rozkazy.

Kev uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło.

- Mówiłem ci, jak mnie pożegnał Cavan, zanim wyszedł? Powiedział, że cały czas musi sobie powtarzać, że jestem lepszy niż nic.

- Śmieszny, stary głupiec - powiedziała Win, obejmując dłonią kark Keva. - I bardzo się myli - dodała, zanim ich usta się spotkały. - Ponieważ ty, mój

ukochany, jesteś lepszy niż wszystko.
Potem zapadła długa cisza.

Epilog

Lekarz zapewniał, że był to pierwszy poród, kiedy bardziej się martwił o przyszłego ojca niż o matkę i dziecko.

Samą ciążę Win Kev znosił całkiem dobrze, choć czasami zdarzało mu się reagować przesadnie. Zwyczajne w tym stanie klucia i bóle wzbudzały w nim najwyższy niepokój i nieraz nalegał, aby bez żadnego powodu posyłać po doktora, nie zważając na gniewne protesty Win.

Zdarzały się też momenty wspaniałe. Ciche wieczory, kiedy leżał obok niej, kładąc dłonie na jej brzuchu, aby poczuć ruchy dziecka. Letnie popołudnia, gdy spacerowali po ogrodach, czując jedność z naturą i tętniącym wokół życiem. Nieoczekiwane odkrycie, że małżeństwo, zamiast obciążyć ich związek powagą, dodało mu lekkości i pogody.

Kev częściej się teraz śmiał. Był bardziej skłonny do żartów, zabawy i otwartego okazywania uczuć. Uwielbiał syna Cama i Amelii, Ronana, i chętnie wraz z całą rodziną psuł ciemnowłosego niemowlaka.

Jednak podczas ostatnich tygodni ciąży Win nie potrafił ukryć rosnącego przerażenia. A gdy w środku nocy zaczął się poród, wpadł w panikę, której nic nie mogło usunąć. Każdy skurcz, każdy krzyk żony sprawiał, że twarz Keva szarzała, aż w końcu Win zrozumiała, że sama radzi sobie znacznie lepiej niż on.

- Proszę - szepnęła dyskretnie do Amelii - zróbcie z nim coś.

Cam i Leo wyciągnęli więc Keva z sypialni i zaprowadzili biedaka do biblioteki, gdzie przez resztę dnia poił go wyśmienitą irlandzką whisky.

Gdy w końcu na świecie pojawił się przyszły hrabia Cavan, lekarz orzekł, że dziecko jest jak najbardziej zdrowe i że zyczyłby sobie, by wszystkie porody były tak łatwe. Amelia i Poppy umyły Win i ubrały ją w świeżą koszulę, a noworodka wykąpały i owinęły w miękkie pieluszki. Dopiero wtedy pozwolono Kewowi wejść na górę. Gdy się upewnił, że i żona, i dziecko są w doskonałym stanie, ogarnęła go taka ulga, że natychmiast zasnął na łóżku obok nich.

Win wodziła wzrokiem od śpiącego męża do maleństwa, które tuliła w ramionach. Jej synek był drobny, ale idealnie uformowany; miał jasną skórę i zaskakująco dużo czarnych włosów. Nie można było jeszcze określić koloru jego oczu, ale Win była pewna, że będą niebieskie. Uniosła go wyżej do piersi, przyciskając usta do miniaturowego uszka. I zgodnie z rromską tradycją zdradziła malcowi szeptem jego imię.

- Jesteś Andrei. - Było to miano wojownika. Syn Keva Merripena nie mógł być nikim innym. - Dla gadziów będziesz nazywał się Jason Cole. A dla swoich

krewnych... - Pogrążyła się w namyśle.

- Jado - usłyszała senny głos męża.

Spojrzała na Keva i pogłaskała go po gęstych, ciemnych włosach. Pionowe zmarszczki zniknęły z jego twarzy, pozostawiając ją spokojną i zadowoloną.

- Co to znaczy? - zapytała.

- Ten, który żyje poza Romami.

- Idealne. - Jej dłoń nadal błędziła w gęstych pasmach. – *Ov yilo isi?* - zapytała łagodnie.

- Tak - odparł Kev po angielsku. - Jest tutaj serce. Podniósł się powoli, by ją objąć, a Win obdarzyła go pełnym szczęścia pocałunkiem.

